P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/274-8/275 1970

• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. CZAPSKI - G. GRUDZIŃSKI : **DIALOG O DOWODCY**

Z.S. SIEMASZKO : **ROZMOWA Z GEN. ANDERSEM**

H. KOSTEK : **STRUŚ A SPRAWA POLSKA**

CZ. MIŁOSZ : **KIM JEST GOMBROWICZ?**

ZB. BYRSKI : **« NOWA LEWICA » A LEWICA ANTYKOMUNISTYCZNA**

SPIS RZECZY

Hanna Kostek:	*Struś a sprawa polska*	3
Józef Czapski i Gustaw Herling-Grudziński:	*Dialog o Dowódcy*	15
Z. S. Siemaszko:	*Rozmowa z Gen. Andersem*	26
Czesław Miłosz:	*Kim jest Gombrowicz?*	41
Aleksander Hertz:	*O jedności i wielości kultury narodowej*	57
Zbigniew Byrski:	*„Nowa lewica" a lewica antykomunistyczna*	79
Alberto Ronchey:	*Studenci jako „klasa"*	112

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Lekcja indochińska i chińska*	117
Brukselczyk:	*Widziane z Brukseli*	124
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	134
Włodzimierz Ledóchowski:	*Apartheid w Afryce Południowej*	140
Stefan Komornicki:	*Czy zmiana kierunku?*	148

SĄSIEDZI

Marcin Wyziembło:	*Gra*	151
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	158

KRAJ

Jolanta Dworzecka:	*Jak kupuje PAX?*	165
—	*Czarna lista*	176

WOLNA TRYBUNA

Aleksander Peczenik:	*Kwadratura koła socjalizmu*	177

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	*Przed Konwencją Kongresu Polonii Amerykańskiej*	183
Tymon Terlecki:	*Danuta Mostwin i jej ankieta*	188
—	*Z działalności organizacji kobiecych* ..	192
	◆	
Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	194

KRONIKA KULTURALNA

Jan Kowalski:	*Zepchnięta na margines*	195

KSIĄŻKI

Leon Szulczyński:	*Wolność dla Dobrowolskiego Stanisława Ryszarda*	203
Józef Łobodowski:	*Rustaweli w wersji Jerzego Zagórskiego*	210
Józef Łobodowski:	*Literacka madame zwiedza Hiszpanię* ..	215
Piotr Wandycz:	*Na marginesie książki „Roman Dmowski"*	221
Ks. W. Sojka:	*Krótka historia narodu chińskiego*	225
—	*Dziwna pomyłka*	228
	Subskrypcja na książkę St. Vincenza ..	228
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	229
	◆	
—	*Wydarzenia miesiąca*	230
	◆	
R. Gronowski, A. Mieczysławska, St. Łaniewski, A. S. Ostrowski, N. Żaba, J. Ciastoń:	*Listy do Redakcji*	236
—	*Z ostatniej chwili*	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1970

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Bezimiennie z Australii	F.2.700,00
Bezimiennie z Baltimore, Md. (USA)	F.1.100,00
Aleksander Grzonka, Gossau (S.G.) (Szwajcaria), po raz 17-ty	F. 28,40
Aleksander Hertz, Elmhurst, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego	F. 300,00
Prof. Jan Jaworski, Bloomington, Ind. (USA), po raz czwarty	F. 110,00
Prof. Aniela Kosińska, Poughkeepsie, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 55,00
Dr Józef Lewandowski, Stockholm	F. 100,00
Bronisław Paprocki, Rego Park, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 66,00
Jan Jerzy Piórkowski, New York, po raz ósmy	F. 55,00
Franck, L. Schoell, Sommerset West, C.P. (Afryka Poł.)	F. 140,00
Władysław Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz drugi	F. 30,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż — zamiast kwiatów na grób Ojca	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

◆

Usilnie prosimy naszych Prenumeratorów o nadsyłanie zmian adresów *najpóźniej do 25-go każdego miesiąca,* tak aby następny zeszyt *Kultury* mógł być już właściwie adresowany. Jednocześnie przypominamy że do każdorazowej zmiany adresu należy dołączyć międzynarodowy kupon pocztowy na pokrycie kosztów.

ADMINISTRACJA

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786 Chr. Arch.

Imprimé en France.

Struś a sprawa polska

Szkic „W polskich oczach"[1] jest napisany z niewątpliwą troską, ale sam niemałą troskę budzi.

Nacechowany jest wielką siłą przekonania. W niejednym punkcie zmusza do podziwu i zachęca do solidarności z autorem. Jest pisany dobitnym stylem, szczęśliwie omijającym okazje do przesady i banału. Zawiera szereg określeń i całych przewodów, które wbijają się w pamięć, bo zaraz widać, że autor dopracował się ich z udręką i z pasją. Ale przede wszystkim jest tu wiele wątków i spostrzeżeń uderzających trafnością i odważnie dopowiedzianych do końca. Tak jest ze sprawą najważniejszego miejsca w hierarchii polskich problemów, które autor przyznaje zagadnieniu stosunku do Rosji i Rosjan. Taką samą zaletą szkicu jest analiza rujnującej funkcji i nihilistycznej treści despotycznego systemu rządzenia. Podobnie jest z rozumną oceną zasług i roli polskiego mesjanizmu w okresie niewoli; nie inaczej — z poważnym stosunkiem do polityki wschodniej Piłsudskiego. Nawet wtedy, gdy autor dotyka problemów nie nowych — czyni to często z taką energiczną surowością, że zmusza czytelnika do nowego zastanowienia się nad nimi („Zachodni intelektualiści przestali się fascynować komunizmem nie dlatego, że Rosja była krajem terroru, łez i krwi, ale dlatego, że przestała nim być..."). Wreszcie — zagadnienie niezastąpionej (ale dotychczas nie podjętej) roli polskiej inteligencji w dziele „przemyślenia doświadczeń rosyjskich, określenia ich kształtu" postawione zostało w tym szkicu bez megalomanii, natomiast z siłą pilnego wymogu.

1. Otrzymaliśmy ostatnio dużą ilość rękopisów z kraju, co — przy skomplikowanych warunkach — spowodowało że przez omyłkę szkic *W polskich oczach* (majowy zeszyt *Kultury)* przypisany został Tomaszowi Stalińskiemu. Jego autorem jest ZENON MIELNICKI. Przepraszamy obu naszych współpracowników krajowych za tę omyłkę.

Jest więcej takich wątków i godnych uwagi spostrzeżeń. Z tym wszystkim — szkic nasuwa wątpliwości; dotyczą one kilku naczelnych tez tej pracy.

Wkracza ona w ten sam krąg spraw co „Glossy do książki Herlinga-Grudzińskiego" drukowane w kwietniowym numerze *Kultury* — i oświetla prawie wszystkie te zagadnienia z przeciwstawnej pozycji. Ale choćby szkic Mielnickiego trafił mi do rąk wiele wcześniej — ani jedno słowo we wspomnianych glossach zapewne nie uległoby zmianie[2].

◆

Sądzę, że szkic Mielnickiego wywoła polemiki. Mając niedawno okazję do przedstawienia własnego stanowiska — wcale nie myślę tu wymieniać wszystkich różnic. Wystarczy rozstawienie kilku znaków zapytania.

Łatwo może ktoś dojść do wniosku, że „W polskich oczach" zawiera prawie kompletny zestaw polskich urazów i stereotypów antyrosyjskich.

Mnie zaś ten szkic nie wydaje się wcale typowy, ani z tradycją polską związany. Jest bowiem nierycerski.

Jest nielojalny w stosunku do głównego przedmiotu rozważań, tzn. myśli rosyjskiej, a także — wobec możliwych oponentów. Tym nie daje Mielnicki żadnego wyjścia, ani sposobu obrony odmiennych stanowisk — pod groźbą zarzutu, że należą do polskich Rosjan.

Co do Rosjan samych, to mało, że Mielnicki nie zostawia na nich suchej nitki — ale ponadto twierdzi, iż jakikolwiek by strój ideowy wdział Rosjanin na siebie, zawsze będzie to tylko kostium, przebranie. Zawsze pod nim ukrywać się będzie ten sam bałwochwalca despotyzmu. Zarówno nacjonalista i zwolennik tradycyjnej przemocy, jak rewolucjonista i buntownik — są dla Mielnickiego wyrazicielami tego samego m a k s y m a l i z m u, zawsze dążącego do rozszerzenia i umocnienia Imperium. W ten sposób — cokolwiek by podejrzany zrobił — Mielnicki z góry wyklucza jego niewinność.

Jest to sprzeczne nie tylko z prawem rzymskim, ale również z bardzo żywą polską tradycją. Polska literatura i wielka publicystyka nie demonizowały Rosjan, a ton wielkoduszności i współczucia dla nich był wypróbowanym sprawdzianem polskiej niezawisłości, wyższości nawet. Widać to właśnie u najbardziej stanowczych przeciwników rosyjskiej polityki.

2. Wyjąwszy zdanie: „Ważę tu słowa i w z d r a g a m się przed nowymi pustymi formułami...", gdzie błąd wkradł się między rękopisem a drukiem.

Najpiękniejsze i nacechowane największym zrozumieniem słowa polskie o Tołstoju wyszły spod wyostrzonego pióra Stanisława Mackiewicza. Wyniósł Tołstoja nawet nad Sienkiewicza, którego miał za pierwszego wśród polskich pisarzy. Zrobił to Mackiewicz np. w felietonie „Chciałem pisać...", opublikowanym jeszcze wtedy, gdy wydawał w Londynie swoje pismo. Zwało się „Lwów i Wilno".

Wydał też wówczas „Dostojewskiego", pisał o Gogolu, o Czechowie, jeszcze wcześniej — o Puszkinie. Wszystko to pełne jest barw, dowcipu i genialnych czasem domysłów. Ale przede wszystkim — uczciwego uznania bez czołobitności i bez wietrzenia niskich podstępów.

Pisał tak zresztą o politykach rosyjskich, o hr. Witte, nawet o Aleksandrze III-cim. Widząc w nich bezpośrednich przeciwników, podkreślał, że robili to, co politycy innych państw w podobnej sytuacji. Pisał tak w czasach, kiedy powszechnie uchodził za zwolennika ekspansji na Wschód i germanofila, a był w końcu wychowankiem Studnickiego. Mógłby ktoś powiedzieć, że to brało się z fascynacji absolutyzmem, że ten monarchista kresowy po prostu zapatrzył się w rosyjski przykład skutecznego gwałtu. Ale to nieprawda. Mackiewicz trzymał się zasad Maurrasa. Nie uznawał centralizmu i absolutnej władzy państwa, a z całą — w istocie demokratyczną — niechęcią odnosił się do zjawiska, które Mielnicki trafnie nazywa n a c j o n a l i z a c j ą s u m i e ń :

„Najbardziej irytuje mnie Pobiedonoscew tym, że swoje własne, najbardziej osobiste myśli wypowiada jako myśli całego „narodu rosyjskiego" albo „wszystkich ludzi rosyjskich", jak gdyby w Rosji nie było wtedy ludzi, którzy by choć cokolwiek inaczej myśleli niż Pobiedonoscew. Wstrętna, nieznośna maniera wypowiadania się i pisania".

Ten sposób myślenia o Rosjanach, umiejętność r o z r ó ż n i a n i a można znaleźć z podobną łatwością u Melchiora Wańkowicza i tylu innych pisarzy — zwłaszcza z Kresów, gdzie z Rosją trzeba się było ścierać, ale gdzie trzeba ją było też znać.

Ten ton nie wziął się z bylekąd.

To jest ton wiersza „Do przyjaciół Moskali".

◆

Szkic Mielnickiego tym się odznacza, że wciąga polemistę na teren grząski i zarazem jałowy. Wchodzimy mianowicie na grunt rozważań o duszy narodowej.

Widzenie spraw w ruchu, pojmowanie ich zmienności — to obowiązek każdego, kto o polityce pisze. Choć by nic nie chciał

słyszeć o dialektyce. Polityk nie uznaje sytuacji niezmiennych, bo inaczej nic by nie miał do roboty. Podobnie z pojęciem odwiecznych wrogów. W każdym zbiorowisku znajdowali politycy grupy zainteresowane w zmianach.

Sensem pracy Mielnickiego jest, że takich grup w Rosji w gruncie rzeczy nie było, nie ma i być nie może. Zwłaszcza — z punktu widzenia interesów Polski i poglądów Polaka.

Autor szkicu zakłada, że polityka Rosji jest niezmienna — bo dusza rosyjska jest niezmienna. Jej naczelne cechy przejawiają się zawsze, we wszystkich — pozornie różnorodnych — tendencjach myśli rosyjskiej i dziejów państwa rosyjskiego.

W pełni akceptując poglądy i pojęcia Zdziechowskiego, Mielnicki pisze nie o narodowym obyczaju, narodowej tradycji, narodowym charakterze wreszcie, tylko właśnie o duszy, pojęciu trudno uchwytnym. Tym się ono różni od poprzednio wymienionych zjawisk, że ma być atrybutem narodu niezmiennym. U Mielnickiego zaś — decydującym nadto o polityce państwowej i prawdziwej treści dążeń zwalczających się grup społecznych.

Nb. — Mielnicki nigdzie nie zdradza, aby podobnie myślał o innych narodach. Można sądzić, że tylko w Rosji te fenomeny występują.

Nie mam żadnego przekonania ani do zbiorowej duszy, ani do zbiorowej odpowiedzialności. Powiem więcej — kto neguje tę drugą, powinien wątpić w istnienie pierwszej.

To przeświadczenie nie ma nic wspólnego z powrotem do ryzykownych tez, negujących różnice między narodami, albo podważających znaczenie narodowych zbiorowisk, ich prawo do odrębności i zachowania własnej tożsamości. Te iluzje brały się m.in. z przekonania o bezgranicznej podatności ludzkiej natury. Miały usprawiedliwić zbawienny przymus i wychowawczy gwałt. Zapewne, ludzka natura nie da się kształtować dowolnie i ma swoje cechy niezmienne. Cechy — na szczęście — nie poddające się bez reszty naciskom i gwałtom, w imię szlachetnych utopii. W starej powieści Wellsa doktor Moreau chirurgicznymi metodami przekształca zwierzęta w istoty człekokształtne. Ta książka wydaje mi się niekiedy organicznym uzupełnieniem „Animal farm" Orwella.

Ale właśnie cechy niezmienne, wyróżniki natury ludzkiej — są wspólne, są prawie jednakowe u różnych narodów i ras. To one czynią z nas w końcu rodzinę.

Wcale jednak nie chcę wtrącać się do przekonań Mielnickiego i odmawiać mu prawa do wiary w jakiekolwiek zjawiska niematerialne. Żeby przecież uczynić grunt trochę twardszym, proszę o zwrócenie uwagi na fakty.

Te, które tu przytoczę, są marginalne. Ale tylko dla kogoś, kto z taką samą niechęcią słucha rozważań o duszy rosyjskiej, jak o kolektywnej duszy każdego innego narodu. Także niemieckiego. Nie chodzi tu o przerzucenie piłki Mielnickiego w inne ręce. Raczej o uprzytomnienie, jak mało wyjaśnić można w polityce roztrząsaniami o pochodzeniu babek i o zbiorowej duszy wykonawców tej polityki.

Tomasz Masaryk wydał w 1913 r. w Jenie dzieło „Russland und Europa", wynik solidnych badań. Wylicza w nim, kim właściwie byli ludzie, którzy w XIX-tym, decydującym stuleciu wcielali w życie interes imperialny Rosji, przesuwali jej granice, rusyfikowali obce ludy, prowadzili wojny, formułowali prawa, stali na straży prawosławia i samodzierżawia, czyli umacniali i rozszerzali obszar — jak słusznie pisze Mielnicki — upaństwowionej pogardy dla człowieka.

Jak wykazuje Masaryk, w rządzie i w administracji państwowej carskiej Rosji odsetek Niemców był następujący:

w Radzie Państwa	36 %
w ministerstwie wojny	46 %
w ministerstwie dworu (wraz z osobistą świtą cara)	39 %
w ministerstwie łączności	62 %
w ministerstwie spraw zagranicznych ...	57 %
wśród wyższych dowódców wojskowych .	41 %

itd.

Cyfry pochodzą z końcowych lat panowania Aleksandra II. W tym samym okresie Niemcy w Imperium (razem z Kurlandią i zwartym terenem kolonizacji niemieckiej nad środkową Wołgą) stanowili 1,1 % ogółu ludności.

Dla Królestwa Polskiego były to lata najgwałtowniejszej rusyfikacji po upadku powstania 1863 roku.

Ta statystyka — to zabawny przyczynek do teorii i praktyki narodowej regulacji. Ma rację Zdziechowski gdy pisze o nienagannej lojalności i gorliwości tych niemieckich urzędników.

◆

Inną wątpliwość budzą znaki równości, których sporo jest w szkicu Mielnickiego.

Tymi znakami łączy ZSSR — z rewolucją, system sowiecki — z socjalizmem, oraz ideologię państwową Imperium — z marksizmem.

Wydaje się, że te znaki równości są już nie bardzo na czasie.

Mielnicki głosi to samo, co tezy oficjalnej propagandy sowieckiej, które już dawno są pobożnym życzeniem, a teraz przybrały charakter fasadowy.

W książce Herlinga-Grudzińskiego wciąż mówi się, jak duchy rewolucji i socjalizmu coraz to wracają w postaci wybuchowych obrazów i haseł na stronice książek i memoriałów pisanych przez młodych rosyjskich buntowników. Sztuczne tłumaczenie, że jest wciąż po staremu, już się więcej do tej nowej sytuacji nie da zastosować i nic w niej nie zmieni. Nie wiem dlaczego polski pisarz woli ignorować rzeczywistość, niż łamać żelazną prostotę swojej koncepcji.

Także w tej dziedzinie niepozorne fakty dość skutecznie przeczą ważnym tezom jego artykułu.

Wszechzwiązkowy Instytut Marksa-Engelsa-Lenina jest od lat najbardziej martwą instytucją w ZSSR. Chociaż mieści się w samym centrum Moskwy, przy placu Sowieckim, prawie nikt nie potrafi wskazać jego adresu. Od lat, chyba od czasów Bucharina, nie wydano w Rosji ani jednej oryginalnej pracy, która by cokolwiek dodała do marksistowskiej tradycji. Naczelni egzegeci, profesorowie Mitin i Konstantinow, pobierają zapewne najbardziej niezasłużone honoraria autorskie na świecie: ich masowo wydawane książki składają się przeważnie z cytatów. Niewiele zmieniło się po śmierci Stalina. Tak było w całym Obozie — aż do chwili gdy mogli opublikować swoje książki Polacy i Czesi. Przede wszystkim — Leszek Kołakowski, a w dziedzinie marksistowskiej ekonomii — Lange, Kalecki, Brus.

To, co ukazywało się wcześniej za granicami Obozu — już tym samym było zaliczane do pism heretyckich.

Cokolwiek Mielnicki myśli i mówi o marksizmie, jest faktem, że lektura pism klasyków tego ruchu, z Leninem włącznie, n i e s ł u ż y teraz utrwaleniu autorytetu władzy i pedagogicznym celom systemu w ZSSR. I że wszyscy tam nieźle sobie z tego zdają sprawę.

Anachronizm środków i kierunku analizy w omawianym szkicu coraz bardziej razi w miarę lektury.

◆

Sprawa maksymalizmu wymagałaby osobnego omówienia. Tu trzeba tylko powiedzieć, że Mielnicki grzeszy podwójnie przeciw własnej zasadzie umiaru i konkretu — przenosząc analizę Zdziechowskiego na sprawy naszych dni — i próbując na jego termin nanizać wszystkie problemy i zjawiska z dziejów Rosji i z jej obecnego życia.

Maksymalizm jest w tym szkicu uniwersalnym pojęciem. Ale

też traci prawie konkretne znaczenie. Jeżeli ma oznaczać skrajność żądań — to występuje jako cecha każdej doktryny w ogóle. Jeżeli — za Zdziechowskim i Mielnickim — sprowadzić go do hasła *„wszystko albo nic"*, to przecież nie Rosjanie ani rewolucjoniści podnieśli je na wyżyny: jest to wymóg prawie wszystkich sekt religijnych. W dziedzinie moralnej — to przecież siła napędowa świętości.

Maksymalizm — pisze Mielnicki — „po bizantyjsku przekreśla rzeczywistość na rzecz absolutnych schematów".

Teorie społecznych utopistów są najszerzej znane jako przykłady tych schematów absolutnych. Ale Rosjaninem nie był ani święty Tomasz Morus, ani Campanella. Podobnie jak szlachetny Meslier, Saint Simon, Proudhon, Robert Owen, Fourier. „Pochwałę knuta" oraz „Wieczory Sankt-Petersburskie" — wzory utopii reakcyjnej, napisał jednak Francuz, Józef de Maistre.

Fabryki-kuchnie, zmora okresu pięciolatek — nie mniejsza niż wspólne mieszkania — wzięły się prosto z „Kodeksu Wspólnoty" Dézamy („Co może być wspanialszego nad kuchnię zbiorową?").

Francuski anarchista Cœurderoy przyzywał hordy rosyjskie, aby dokonały dzieła zniszczenia („Hurra, czyli rewolucja Kozaków") dużo wcześnie nim Błok napisał swoich „Scytów", a Briusow „Hunnów przyszłości".

Więc co — może pisać o zgubnym wpływie duszy francuskiej? Prawda, słowianofile już pisali.

Ale oczywiście Rosja stała się poligonem tych schematów absolutnych wcale nie z przypadku. Kiedy tu doktryner dorwał się do władzy, więcej miał okazji i daleko więcej pola do realizacji bizantyjskich planów. Na mniejszy opór napotykał, bo miał silniejszy aparat władzy i materiał ludzki w rozsypce.

Jeżeli już wierzyć w duchów obcowanie — to nie żarliwy duch maksymalizmu nam z Rosji teraz zarazą grozi, lecz duch rabstwa, małości i pokory. I to w chwili, gdy Rosjanie coraz energiczniej chcą się od niego uwolnić. Zżyli się z nim od wieków, od Tatarów, od opryczniny, od lat monotonnych jak smagnięcia leniwego knuta. I nie to powinno zdumiewać, że tak długo to znoszą, tylko że wciąż się buntowali i buntują.

◆

Wśród jasnych formuł, od których jednak roi się szkic „W polskich oczach", jedna wydaje mi się wyjątkowo interesująca:

„Tak bezlitosna krytyka rzeczywistości, której niesposób wszakże zmie-

nić, zaczęła się przemieniać w bunt rozpaczliwy, skrajny, szalony, bo beznadziejny i bezsilny".

Jeżeli założymy, że taka reakcja i taka sytuacja wcale nie jest wyłączną specjalnością Rosjan, to mogliby od nich coś skorzystać inni, którzy obawiają się podobnych warunków u siebie. Rosjanie dochodzą do stanu, w którym ich bunt nie musi być rozpaczliwy i szalony, bowiem sytuacja przestaje być beznadziejna, a to z uwagi na niebezpieczeństwo, jakie dla samego państwa przedstawia puszczenie w ruch mechanizmu represji.

Ale Mielnicki nie bierze pod uwagę możliwości zmiany sytuacji, scharakteryzowanej w jego formule. Jest bowiem fanatykiem pewnej koncepcji, która wydaje mi się najmniej wartościowym, najbardziej doktrynerskim elementem jego szkicu.

„... przybierano w celu ratowania Imperium dwojaką postawę, wypływającą z jednego źródła: z rosyjskiego maksymalizmu..." — pisze Mielnicki — „... Jedni usiłowali zbudować prawdziwy carat, odrodzić siłę Prawosławia, stworzyć Trzeci Rzym, drudzy chcieli zburzyć carat, aby stworzyć fundament dla nowej budowli Imperium. [...] Iluż to mądrych, niezniewolonych ludzi nie rozumie jeszcze, że te dwa czynniki zostały w Rewolucji krwawo rozdzielone po to, aby ku pożytkowi Imperium spleść je następnie doskonalej, bardziej despotycznie niż poprzednio".

Nie ma kwestii, że ta formuła wygląda zgodnie z ogólnie znanymi faktami. A jednocześnie jest w niej założone przypuszczenie bardzo osobliwe, którego nie wolno traktować jako figury stylistycznej. Z innych jeszcze fragmentów szkicu wynika, że autor uważa bunt przeciw tyranii za jej własną intrygę.

Określniki celu w przytoczonym cytacie nie są igraszką składni. Jeżeli brać je poważnie, to również w przyszłości możemy liczyć tylko na cuda w kwestii stosunków z Rosjanami.

Demoniczna koncepcja intrygi przesyca cały szkic Mielnickiego i odbiera jego wskazaniom praktyczną wartość.

Autor szkicu wyciąga swoje wnioski zakładając, że rewolucja bolszewicka była świadomą od początku próbą wzmocnienia carskiego imperium i osiągnięcia jego celów drogą skuteczniejszą. Taki miał być świadomy i zamierzony skrycie plan rewolucji, marksizmu, rosyjskiej lewicy.

Otóż ludzie, którzy tę rewolucję podsycali, przeprowadzili i obronili — prawie wszyscy przecież zginęli, trzy czwarte z nich zmiażdżyła machina terroru stalinowskiego w samych tylko latach trzydziestych. Można widzieć w tym rękę Nemezis, ale niesposób uważać tych ludzi za świadomych samobójców, czy ślepych durniów. Już to zjawisko dowodzi, iż nie ma mowy o planie i logice w tym procesie i że zajść musiała jakaś ważna zmiana w jego toku. Albo, że walczyły w nim dwie tendencje, co na jedno wychodzi.

Skąd zatem demoniczna koncepcja zmowy u polskiego pisarza? Zapewne nie pod wpływem duszy rosyjskiej. Ale chyba nie bez wpływu okazała się obserwacja praktyk sądowej inkwizycji, polowania na spiski, na bloki prawicowo-lewicowej opozycji z japońskimi szpiegami. Cokolwiek złego się działo w państwie, musiało być skutkiem intrygi, tajnej zmowy. Nie mogło mieć przyczyn naturalnych, skoro natura podporządkowana została organizacji. Nie mogło być wynikiem niedoskonałości, skoro organizacja jest doskonała.

Nacisk takich teorii i praktyk powoduje deformację sposobu myślenia. Wszędzie, nie tylko wśród wykonawców i zwolenników.

◆

Czytamy: „Ustrój radziecki jest już dość silny, aby pozwolić sobie na enklawy wewnętrznego buntu".

Jest to jedno z tych zdań, które niebezpiecznie przedłużają zasięg dopiero co omówionych formuł.

Przekonania takie opierają się na pewności, że władze Obozu są rzeczywiście wszechmocne. Kierownictwu na niczym chyba bardziej nie zależy niż na rozpowszechnieniu takiego poglądu. Zastępuje on całe tony aparatów podsłuchowych.

Dotąd takie poglądy rozpowszechnione były raczej na Zachodzie. Pomysł, że protesty są planowane centralnie, jest wciąż na nowo powtarzany przez radio i prasę brytyjską, niemiecką, amerykańską. Bierze się on wcale nie z szacunku dla siły władz komunistycznych, tylko z głębokiej pogardy dla nas, ludzi Wschodu. Jesteśmy niezdolni do własnych myśli i odruchów. Także dlatego, że mamy duszę zbiorową.

Stąd właśnie głosy, które zaraz po opublikowaniu książek Amalrika obwołały go agentem KGB. Wiara w zupełną wszechmoc i wszechobecność tej instytucji ma dla większości ekspertów na Zachodzie to samo znaczenie, co wiadomości o nerwicach dla znachorów. „To wszystko na tle nerwowym" — biada choremu, który to usłyszy.

Teraz Amalrik został aresztowany. Może to nowa intryga, dla odwrócenia podejrzeń? Gdyby (co nie daj Boże) ścięto Amalrikowi głowę — też znalazłby się ktoś, kto by uznał to za skrajny przykład wysługiwania się KGB przez rosyjskich buntowników.

◆

Przestrogi Mielnickiego nie wiodą prawie do rzeczowych wskazań. W konkluzji znajdujemy zdanie nadzwyczaj ogólnikowe:

„... jest naszym obowiązkiem patrzeć na rosyjskie zjawisko z punktu widzenia polskich wartości, zastanawiać się nad jego kształtami, w miarę możliwości wpływać na korzystną ewolucję, a w każdym wypadku próbować ochronić rodzime wartości przed niszczącym działaniem tego systemu".

No tak, ale tu dopiero zaczyna się problem. I nie jeden. Po pierwsze — po lekturze szkicu Mielnickiego wcale nie jest jasne, co uważa za r o d z i m e wartości? Po drugie — jak tu wpływać na korzystną ewolucję rosyjskich zjawisk, odżegnując się od kontaktu z nimi i odmawiając wszelkiego znaczenia pozytywnego tym wewnętrznym ruchom, które mogą stosunki w Rosji zmienić?

Pisze jeszcze Mielnicki, że *d z i e d z i c t w o, które otrzymaliśmy od przodków* trzeba nie tylko utrwalić, lecz w miarę możliwości umacniać i ulepszać. Takie ulepszanie jednak, aby było skuteczne, może w końcu oznaczać wprowadzenie do polskiego programu elementów i postulatów, które Mielnicki uważa za maksymalistyczne i z góry oddaje w pacht samym Rosjanom.

Lojalnie szukając oznaczników treści tego dziedzictwa, dochodzi się do takich słów Mielnickiego:

„Rzeczpospolita była przecież koncepcją państwowości otwartej, prozelitycznej, zapewniającej ponadetnicznej wspólnocie wewnętrzny ład, a niosącej na zewnątrz europejską normę prawną i państwową".

Znamy ten pogląd i prawie wszyscy bardzo go lubimy. Myślę tylko, że nie wolno kontynuować tych rozważań tak, jakby między Polską a Rosją rozciągały się jedynie bezludne bagna i puste pola bitew. Dlatego, o wiele bardziej niż opinia Mielnickiego o tych uwagach, obchodzi mnie jego stosunek do spraw tak uczciwie poruszonych przez Mieroszewskiego w szkicu „Może zdarzyć się i tak"... (*Kultura*, 4, 5, 1970).

◆

I wreszcie:

„... Musimy robić to, co jest w naszej mocy, a czego nikt za nas nie uczyni: musimy patrzeć jak nasz los rysuje się w polskich oczach".

Kiedy nie tylko od tego nasz los zależy.

Gdyby to wystarczyło patrzeć sobie wzajem w polskie oczy i nie oglądać się na innych. Gdyby to dano nam spokój tylko za to, że go innym dajemy.

Zasklepienie, izolacja od światoburczych haseł — dobre to było w 1919 roku, kiedy Zdziechowski publikował swoją książkę, ideologia komunistyczna była w natarciu, a Polska nie miała jeszcze nawet granic.

Zdziechowski wiedział co robi, podkreślając tylko to, co zagrażało niepodległości polskiej ze strony Czerwonej Armii i czerwonej ideologii.

Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Nie ma *ideowej* fascynacji Rosją. Dzisiaj Rosja jest masą ogromną i wielokrotnie groźniejszą w sensie wojskowym niż Rosja Lenina, Trockiego i Tuchaczewskiego. Ale ta siła jest tylko siłą, w 1919 była czymś więcej.

Z drugiej strony, nie front Rosję od Polski dzieli. Sądzę, że dziwna to rzecz proponować w tej sytuacji postawę przyjętą w 1919 roku i taktykę frontową. Nie o to mi chodzi, że na froncie się strzela, tylko o to, że — niezależnie od osobistych poglądów — póki co, nie czyni się rozróżnień wśród ludzi, z którymi w ten przeraźliwy sposób ma się do czynienia.

◆

Nawet ze stanowiska narodowego egoizmu, czy wyłącznej obrony polskiej substancji cywilizacyjnej — jedynym pomyślnym dla Polski rozwiązaniem jest zwycięstwo i utrzymanie się w Rosji porządku respektującego równe prawa innych narodów, negującego zabory, interwencję i rusyfikację.

Rzetelny rosyjski socjalizm jest tu jedynym możliwym sojusznikiem Polaków. Nie ma *żadnej* gwarancji szybkiego nadejścia tego rozwiązania. Ale to dla Polski nadzieja najważniejsza. Jej realizacja zależy też w końcu od tych wyklinanych maksymalistów z rosyjskiej lewicy.

Trzeba uprzedzenia wręcz zabobonnego, aby z góry widzieć w nich wciąż *to samo* dla Polski niebezpieczeństwo.

To, co Mielnicki proponuje jest dumnym chowaniem głowy w stary, polski piasek.

◆

Rachuby na wzajemne zrozumienie i współpracę z buntowniczą i demokratyczną młodą Rosją o tyle są praktyczne, o ile się wierzy, że opinia w ogóle będzie miała coś do powiedzenia i do roboty w tym kraju.

Ale to nie jest sprawa wiary — tylko życiowej dla ZSSR konieczności.

Alternatywą takiej ewolucji jest dla ZSSR tylko nowa fala terroru wobec inteligencji — co na dalszą metę skazałoby ten kraj na klęskę w każdej rywalizacji technicznej, czy wojskowej z Zachodem.

Oczywiście, Rosjanie bardzo liczą na kolejne głupstwa, na ślepotę i niezdarność Zachodu. Tu się nieraz już pożywili, ale sami rozumieją, że to niepewna rachuba.

Dla uniknięcia przyszłej klęski zostawałoby Rosji, póki co, przyspieszenie wojny. Nowa fala terroru przeciw inteligencji mogłaby oznaczać przyjęcie tej koncepcji przez Kierownictwo.

Nie jest wykluczone, że taki wybór rozstrzygnąłby o końcu ZSSR. Ale już bez wątpliwości w wypadku wojny Obozu z Zachodem, Polska znalazłaby się między kowadłem a tym młotem, który — jedyny pono — dać może radę systemowi sowieckiemu.

Przepraszam, że w tak upraszczający sposób streszczam własne wywody. Czynię to jednak po to aby wyjaśnić, że z tą sytuacją nic nie mają wspólnego przestrogi Mielnickiego i że nie mogą na nią zaradzić (ani nawet jej polepszyć) jego skąpe i dość mgliste zalecenia.

Jeżeli ziści się druga — albo raczej ostatnia możliwość, to obyśmy się zdążyli z Mielnickim pomodlić i daj Boże — żeby w tym samym kościele.

Jeżeli dojdzie jednak do ewolucji wewnątrz Rosji, to coś dać Polsce może tylko solidarność z rosyjskim ruchem odnowy.

Nic nie dadzą nam rosyjscy nacjonaliści. Obojętność zaś i wrogość wobec ich przeciwników jest nie tylko niesprawiedliwa, nieetyczna i sprzeczna z polską tradycją. Jest również praktycznym nonsensem.

Hanna KOSTEK

Dialog o Dowódcy

Gustaw Herling-Grudziński: — W dniu wyjazdu na pogrzeb generała Andersa poczta przyniosła mi świeży numer *Tygodnika Powszechnego* z felietonem Andrzeja Kijowskiego „Nasza wojna trojańska". Czytałem go w drodze z Neapolu na Monte Cassino.

W majową niedzielę mieszkańców kamienicy warszawskiej budzą rano ślepcy muzyką skrzypiec i harmonii. Śpiewają piosenki wojenne, wśród nich popularną piosenkę o bitwie montecassińskiej. Posłuchaj refleksji Kijowskiego: „Wojna nasza trojańska. Kto był jej żołnierzem, kto nią kierował, kto był więźniem, kto się przez nią tułał, kto jej się tylko przyglądał z ukrycia, komu wzięła dzieciństwo, komu je tylko zatruwają cudze o niej wspomnienia, wszyscyśmy coraz bardziej wobec niej równi, bo nas jednako od niej czas oddala, nikogo z nas wszakże nie uwalniając od zależności, jaką nakłada ona naszym duszom... Wszystkie poważne między nami konflikty wzbudzają echa tej wojny już dawno minionej, jakbyśmy z niej, niby z ukrytej siłowni, wciąż pobierali prądy, wstrząsy, bodźce. Nie tylko o międzynarodowych konfliktach myślę, które wynikają z niezałatwionych do końca spraw politycznych, lecz także o konfliktach powstających z przeciwstawienia zasadniczych postaw wobec życia społecznego, wobec życia w ogóle... Gdy młodzież powstaje przeciw władzom, jak dwa lata temu we Francji i w innych krajach, albo gdy syn kłóci się z ojcem, co może zdarzyć się przy każdej kolacji, konflikt taki, jeśli nabierze rozpędu, powagi, zawsze jakoś i którędyś, pokręconym swoim odgałęzieniem, połączy się z tym co się ćwierć wieku temu zakończyło. I Poszli Szaleni Uparci — śpiewają ślepcy, lecą monety w papierkach, dzieci je podnoszą i wtykają muzykantom w kieszenie. Ta wojna wydusiła z ludzkości (w Europie) maksimum cierpienia, wysiłku i dzielności, stając się miarą

wszystkiego co człowiek może... Jak prosto było wtedy wybrać słuszną sprawę, i jak łatwo wierzyć w jej wygraną. Tak nam się przynajmniej dziś wydaje". Kończy się warszawski koncert podwórzowy, ślepcy przysiadają na murku okalającym przedszkolny ogródek, przebierają monety w palcach z głowami uniesionymi ku młodemu słońcu.

Podczas pogrzebu Dowódcy na Monte Cassino często unosiliśmy głowy ku młodemu wiosennemu słońcu, przebierając w palcach dawno minione lata. Ślepcy ze swoim wojennym groszem wspomnień złych i dobrych, zawiedzionych nadziei, straconych złudzeń? „Ukryta siłownia" z której wciąż płyną do Polaków wyczuwalne palcami „prądy, wstrząsy, bodźce"? Setki ludzi na białym tle cmentarza, wielu w otrzepanych z naftaliny mundurach wojskowych. Byłem tu w sierpniu ubiegłego roku, na obchodzie dwudziestopięciolecia bitwy. Napisałem wówczas, że jest to ostatni rozdział emigracji wojennej. Teraz jeszcze epilog: grób bodaj dokładnie w tym samym miejscu gdzie przed dziewięcioma miesiącami siedział Generał, żegnając się ze swymi żywymi i umarłymi żołnierzami.

Naturalnie wspomnienia wracają do rosyjskiego etapu drogi. Dotarłem do formującej się w Ługowoje, w Kazachstanie, 10 Dywizji na początku marca 1942 roku, po półtoramiesięcznej wędrówce z łagru nad Morzem Białym. U kresu sił, w łachach obozowych, wygłodniały, pokryty wrzodami. Skierowano mnie do namiotu w którym było paru postawionych już jako tako na nogi żołnierzy, też więźniów czy zesłańców, pozwolono mi nazajutrz przeleżeć na sienniku pobudkę. Nie należy, grzebiąc w pamięci, wstydzić się akcentów sentymentalnych. Kiedy usłyszałem chóralny śpiew po polsku, dziękowałem Bogu że jestem w namiocie sam. Może wszyscy ci półżywi tułacze z łagrów i zesłania płakali pierwszego dnia po przebudzeniu w wojsku? Byliśmy armią więźniów dowodzoną przez więźnia i odbudowywaną za oporną zgodą nadzorców więziennych. Mówię „za oporną zgodą", bo zdarzyło mi się raz w drodze z łagru poprosić w jakimś dowództwie sowieckim o pomoc w dalszej podróży; nakłaniano mnie tam żebym machnął ręką na wojsko polskie i wstąpił do *Krasnoj Armii*.

Józef Czapski: — Byłeś na pogrzebie Generała, pożegnałeś go na Monte Cassino, o które ty się biłeś pod jego rozkazami (ja wtedy „roznosiłem gazety") — zazdroszczę ci.

Śmierć Generała, która już od dłuższego czasu zdawała się tak nieuchronnie bliska, dotknęła mnie więcej niż oczekiwałem, zmierzyłem moje do tego człowieka przywiązanie, ale to było więcej, to było uczucie zerwania nici, która w ostatnich latach już

bardziej symbolicznie wiązała przecie nas wszystkich. Jego losy, jego czyny to była nasza historia.

Mówisz o powracających wspomnieniach rosyjskich, o twojej wędrówce ostatnimi siłami z „innego świata" do wojska, w tych paru zdaniach, mówiąc o sobie, mówisz o losie tysięcy Polaków, spływających do wojska z całego ZSSR. Ilu do tego wojska nie doszło. „Gdyby się zaczęło tworzyć wojsko polskie gdziekolwiek, na kolanach bym do niego dotarł" — powiedział mi jeszcze w Starobielsku mjr Adam Sołtan, szef sztabu Generała Andersa podczas kampanii wrześniowej. Nie ziściło się to marzenie dla niego i iluż innych, ziściło się dla nas.

W moim wspomnieniu o Generale dominuje ten rosyjski etap. Wtedy dopiero zobaczyłem człowieka, odczułem jego miarę, nie „Kmicica", w którym kochały się wszystkie kobiety (jakim go widziałem w 1917), ale dowódcy.

Utykający, o lasce, z cerą ziemistą, przybył do nas do Griazowca prosto z Łubianki i powołał nas znowu do czynnej służby. To był koniec sierpnia 1941.

Po kilku tygodniach, kiedy już w tworzącej się armii naszej na południu niepojęta nieobecność wszystkich oficerów i podoficerów z trzech obozów: Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa (z wyjątkiem 400 w Griazowcu) stała się naszą obsesją, Anders mianuje mnie kierownikiem poszukiwań zaginionych oficerów i żołnierzy. Ponad pół roku wówczas, pracując pod jego bezpośrednimi rozkazami, mam czas go obserwować. Uderza mnie jego spokój, koncentracja, opanowanie odruchów i zmysł — gdy tego potrzeba — natychmiastowej decyzji. Pochłonięty tworzeniem armii, w warunkach pozornie niemożliwych, Anders zdaje się — nawet wówczas — nie tylko nie zapominać o poszukiwaniach, o reklamacjach oficerów i żołnierzy, ale dawać tej sprawie pierwszeństwo. Na każdą wieść o śladach, o nadziei śladów nieprzybywających kolegów, Generał reaguje natychmiast. Angażując się całkowicie, narażając się najwyższym czynnikom sowieckim, stawiając im nieustanne żądania, zasypując władze sowieckie telegramami, żądając od naczelników obozów, od wszelkich instancji NKWD, wypuszczenia bez zwłoki wszystkich Polaków. Katyń nawet z imienia był nam wówczas nieznany. Niemniej, myśląc o tamtej epoce, odruchowo myślę o Generale i łączę go wcale nie tylko z Monte Cassino, ale i z Katyniem.

Jedno z ostatnich wystąpień publicznych Generała, jeżeli nie ostatnie, to zebranie w Londynie w rocznicę Katynia. Generał przeprosił zebranych, że będzie mówił siedząc. Mówił bardzo cicho, wiedział, że ma nie tylko dni życia wyliczone, ale bicia serca. I może właśnie dlatego chciał jeszcze raz przemówić i wierność tamtym towarzyszom broni — poległym — zamanifestować.

G. H.-G.: — Kwestia ewakuacji z ZSSR. W argumentach za, używanych między innymi przez Generała, mówi się przeważnie o względach technicznych i wojskowych: zmniejszenie racji żywnościowych, trudności z uzbrojeniem i szkoleniem, groźba rozparcelowania jednostek polskich (co, rzecz jasna, musiałoby za sobą na dalszą metę pociągnąć łatwe do przewidzenia następstwa polityczne); Anders w ostatnim swoim wywiadzie[1] na drugi jakby plan odsuwa opory psychiczne i moralne armii więźniów, przekonany że można je było pokonać lub przynajmniej utrzymać pod kontrolą. Argumentacja przeciw, najpełniej reprezentowana przez profesora Kota, sprowadza cały problem do ambicji personalnych Generała: „To co się stało jest winą grupy wyższych oficerów, a od pewnego momentu główną winą Andersa, który zapłonął, czy też dał w sobie rozpalić, ambicję rywalizacji z generałem Sikorskim i wycofania wojska polskiego z Rosji pod pozorem ratowania ludzi. Masa żołnierska w Rosji, wpatrzona w Sikorskiego, nie miała żadnych ambicji personalnych i byłaby poszła na każdy rozkaz i na każdy front. Masa ta, mimo krzywd doznanych od Rosji, wciąż pamiętała że pierwszą przyczyną nieszczęść był Hitler i najazd niemiecki... Straszenie później żołnierzy, co by się z nimi stało, gdyby poszli na front po stronie rosyjskiej, było dorabiane dla uspokojenia własnego sumienia".

Według mnie i Anders i Kot mówią tylko część prawdy. Co do pierwszego: przeszkody techniczne i wojskowe nie były najważniejsze; istotne były obawy polityczne, więcej niż uzasadnione w świetle doświadczeń, oraz opory psychiczne i moralne które Anders przed śmiercią niepotrzebnie zepchnął jakby w cień; podejrzewam też że nie był w swoim ostatnim wywiadzie zupełnie szczery, gdy zapewniał że w okresie formowania dywizji polskich w ZSSR jego ocena militarnych możliwości Rosji w starciu z Niemcami nie była skrajnie pesymistyczna; w rzeczywistości liczył się z klęską Rosji. Co do drugiego: jako należący do „masy żołnierskiej w Rosji" gotów jestem bez wahania przytaknąć Kotowi, że nie mieliśmy żadnych ambicji personalnych (?), że poszlibyśmy na każdy rozkaz i na każdy front, że pamiętaliśmy wciąż co było główną przyczyną nieszczęść; ale nie takie to proste z tym „mimo krzywd doznanych od Rosji"; milczeliśmy na ogół (i z poczucia dyscypliny i z lęku przed wszechobecnymi agentami bądź donosicielami NKWD), przeżuwaliśmy jednak nieustannie w milczeniu te doznane krzywdy, czuliśmy się „na nieludzkiej ziemi" w fałszywej moralnie sytuacji; nie mogło być inaczej w armii złożonej z ofiar podboju i ucisku, na dodatek w większości z mieszkańców dalej przez Stalina kwestionowanej części pań-

1. Przeprowadzonym przez Benedykta Heydenkorna.

stwa polskiego, toteż trudno przewidzieć jak wojsko zachowałoby się u boku wczorajszego prześladowcy, przemienionego w ciągu jednej czerwcowej nocy 1941 roku w „sojusznika naszych sojuszników"; zresztą „gdybaniem" nie pisze się historii, wystarczy powiedzieć że jeśli obowiązkiem dobrego dowódcy jest stawiać podległe mu wojsko w optymalnie znośnej sytuacji moralnej i psychologicznej, to Anders spełnił swój obowiązek wyprowadzając nas z Rosji. Nawiasem mówiąc, kiedy w latach pięćdziesiątych spotkałem w Londynie profesora Kota, nie był po wysłuchaniu moich opowiadań stuprocentowo pewien słuszności swego stanowiska.

Pozostaje pytanie co Anders wniósł do podstawowej sprawy stosunków polsko-sowieckich. Nic. Wolno wątpić czy przy dobrych chęciach wniósł do niej więcej Sikorski, poza miotaniem się które w momencie krótkotrwałej koniunktury dało jeden konkretny owoc: umożliwiło wydarcie z więzień, łagrów i zesłania stu tysięcy ludzi, wyprowadzonych potem przez Andersa do Persji. Przy lepszych jeszcze od Sikorskiego chęciach nie wniósł nic do stosunków czechosłowacko-sowieckich Benesz, poza odroczeniem wyroku na trzy lata. To nasze wspólne „nic" było konsekwencją sowieckiego „wszystko". Rosyjski etap Andersa da się więc moim zdaniem podsumować tak: odpowiedzialny dowódca, nie polityk w warunkach które nawet urzędową politykę polską zbliżały coraz bardziej ku kwadraturze koła.

J. Cz.: — Poruszasz tu sprawy najbardziej kontrowersyjne: kwestię wyprowadzenia wojska z ZSSR i pobudek, które do tej decyzji doprowadziły, szeregu posunięć Generała, które nie zawsze szły po linii politycznych planów Sikorskiego i najbardziej mu oddanego przedstawiciela, ambasadora Kota w Kujbyszewie. Nie ma dla mnie wątpliwości, że u podstawy tarć, które już wówczas miały miejsce, była inna ocena sytuacji Sikorskiego i Andersa. Ten ostatni od pierwszej chwili był bardziej sceptyczny, gdy chodziło o możliwość lojalnej współpracy władz sowieckich z armią polską, ale ta nieufność dopiero po paru miesiącach wykrystalizowała u Andersa przekonanie, że stworzyć wojsko polskie bitne i zdolne do walki jest w warunkach sowieckich niemożliwe. A przecie Anders właśnie to wojsko bez broni, niedożywione, otoczone chmarą szpiclów, realizować rzetelnie próbował. Zdaje mi się, że nie doceniasz argumentu pierwszoplanowego, techniczno-wojskowego, ten argument był naturalnie nie wyłączny, ale ogromny.

Tu zacytuję spisane w swoim czasie rozmowy Andersa z rtm. Klimkowskim w maju, czy czerwcu 1942 roku, w mojej obec-

ności. Klimkowski nagle wystąpił, przy rannym śniadaniu, z tezą że wojsko polskie powinno przecie w Rosji pozostać.

„Nie gadaj mi głupstw — wybuchnął Anders — co za wojsko być może z 18 % ludzi chorych na kurzą ślepotę z powodu awitaminozy, bez broni, czy możesz sobie wyobrazić to wojsko inaczej jak wyłącznie 'mięso armatnie' dla bolszewików?".

Wyczucie nastrojów armii, *instynkt* dowódcy, który cechował Andersa, ustawiał go do ówczesnych zamierzeń „wielkiej" polityki wobec Rosji zawsze bardziej konkretnie; polityki, która tak często — w rzeczywistości — okazywała się nierealną fikcją.

Argumentacja prof. Kota, zresztą dopiero po latach tak drastycznie sformułowana, sprowadzająca wszystko do ambicji personalnych Andersa i jego z Sikorskim rywalizacji, nie wytrzymuje krytyki. Wysiłek Andersa w pierwszym etapie ku współpracy z Rosją, pomimo dzikich warunków, w których tę armię musiał tworzyć, był — zdaje się — szczery i całkowity. Przekonanie, że wyprowadzenie wojska z Rosji jest jedynym wyjściem, przeszło u niego przez długą inkubację, ale z chwilą, gdy to rozwiązanie zdało mu się jedynym, podjął je na całego, gotów się narazić Moskwie, Anglikom w Persji i rządowi naszemu w Londynie, stwarzając coraz to fakty dokonane. Dziś — patrząc z perspektywy lat — rosyjskie, jak mówisz, „wszystko" musiało przekreślić próby polityki wymagającej pozostawienia wojska w Rosji, tej polityki, którą ambasador Kot, wbrew wszystkiemu, chciał i do końca próbował realizować.

G. H.-G.: — Byłem na Środkowym Wschodzie zwykłym żołnierzem, nie wiem więc nic pewnego o tarciach czy spięciach między Andersem a Sikorskim. Może ty znasz te rzeczy dokładniej. Cały okres przed wyjazdem do Włoch układa mi się od strony „masy żołnierskiej" tak, jak pisałem na marginesie obchodu dwudziestopięciolecia Monte Cassino: „Chcieliśmy bitwy, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski". Brzmi to patetycznie, ale jest prawdą. Kiedy dziś zadaje się pytanie czy w pięć miesięcy po Teheranie nasz udział w bitwie był wskazany, wzruszam ramionami. W tej bitwie było coś z pędu do oczyszczenia: z klęski, z poniewierki i cierpień, z niewoli w jakiej żył kraj, z długiego pustynnego oczekiwania. Zaraz po przyjeździe z Egiptu do Włoch zachorowałem ciężko, po wypisaniu ze szpitala brytyjskiego pod Salerno gnałem nieprzytomnie do oddziału żeby zdążyć, bardzo jeszcze osłabiony. *A propos:* pamiętasz może, że właśnie wtedy poznaliśmy się w Campobasso... Tak, to była i będzie dla mnie zawsze wielka bitwa, biliśmy się w niej pod komendą dobrego dowódcy. Ale pomińmy nastroje żołnierskie. Nawet politycznie

Monte Cassino miało jeszcze swój sens, jako ostatnia próba realizacji churchillowskiego planu „bałkańskiego". Kiedy po zdobyciu Rzymu całkowite i szybkie zwycięstwo w kampanii włoskiej znalazło się w naszym bezpośrednim zasięgu, kiedy dwadzieścia osiem dywizji Alexandra ścigało dwadzieścia jeden nadłamanych dywizji Kesselringa i mogliśmy spacerem prawie dojść do Alp stając u granic Środkowej Europy, wycofano na żądanie Eisenhowera i Marshalla siedem dywizji z Włoch do inwazji południowej Francji. Ostry pościg zamienił się w powolny marsz z przeszkodami, front włoski ostygł i nabrał drugorzędnego znaczenia. Dopiero wtedy stało się jasne, że plan „bałkański" wziął definitywnie w łeb. I dopiero wtedy wolno było zastanawiać się, czy nasz dalszy udział w ślamazarnej z konieczności kampanii włoskiej ma sens.

Nie wiem, czy zastanawiał się nad tym na serio Anders. Wiem tylko, że odtąd „nasza wojna trojańska" na jej odcinku zachodnim ograniczyła się wyłącznie do symbolu i że wobec tego należało do końca symbolu pilnować. Po Jałcie nie pozostawało nam nic innego jak odmówić oddania broni Anglikom i zmusić ich, by nas na oczach świata internowali. Takie było założenie „buntu" 5 Dywizji, w którym maczałem palce. Anders był, jak pamiętasz, oburzony. Myślę, że z dwóch powodów. Po pierwsze (co zresztą powiedział wprost dowódcy 5 Dywizji, generałowi Sulikowi), spodziewał się rychłego wybuchu nowej wojny. Po drugie (co się jakoś wiąże z pierwszym), dbał mimo Jałty o niezadrażnianie stosunków z Anglikami. W moim przekonaniu zawiódł tu jako nasz dowódca, wykazał też słabe rozeznanie polityczne sytuacji międzynarodowej. Osobiście uważam za dość prawdopodobny wywiad w szwajcarskim dzienniku *Die Tat*. Można go wytłumaczyć właśnie tą dezorientacją polityczną (chyba, dodajmy sprawiedliwie, raczej nagminną wśród emigrantów) po zakończeniu drugiej wojny światowej.

O Londynie wolę nie mówić, chociaż mieszkałem tam pięć lat, od roku 1947 do 1952. Wydaje mi się, że i wtedy i potem Anders powinien był trzymać się na uboczu od „potępieńczych swarów". Był jedynie wybitnym i bohaterskim dowódcą, po wojnie jego rola nie mogła się nie skończyć ustępując miejsca legendzie.

J. Cz.: — Mówiąc o nastrojach masy żołnierskiej „chcieliśmy bitwy, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie" — wspominasz o ówczesnych tarciach i spięciach między Andersem i Sikorskim, zaznaczając, że muszę więcej niż ty wiedzieć. Z natury rzeczy tak było. Ówczesne napięcie stosunków między Sikorskim i Andersem było całe oparte na nagminnej i gwałtownej

w Korpusie krytyce polityki Sikorskiego wobec Rosji. Zarzucano mu miękkość, ustępliwość, każdemu, kto z Rosji wyszedł, zdawało się, że polityka sowiecka w stosunku do Polski wymagała reakcji zdecydowanych i gwałtownych. A tu jeszcze uderzył grom Katynia. Korpus, włącznie z Andersem, był nie tylko daleki geograficznie od Londynu; naciski rządu angielskiego na rząd polski, sytuacja rządu wobec polityki aliantów, dla których już wówczas *niezadrażnianie* Rosji było dogmatem, te elementy na Bliskim Wschodzie były niedoceniane. Klimkowski, wówczas adiutant Andersa, krystalizował prąd skrajnie antyrządowy w armii i tworzyć próbował wśród młodych oficerów ośrodek konspiracyjny, gwałtownie Sikorskiemu wrogi. Anders przez dłuższy czas tę akcję tolerował, uważając prawdopodobnie tę gorączkę młodych oficerów za pewnego rodzaju argument, atut w grze z Sikorskim. Cała jednak siła Klimkowskiego w armii była na tym oparta, że uważano go za tubę myśli i wskazań dowódcy. Gdy w pewnej chwili Klimkowski został z dnia na dzień z bliskiego otoczenia Andersa usunięty, przestał właściwie istnieć i konspiracja rozeszła się po kościach.

Dziś zdaje mi się, że był jeden tylko moment groźny, gdy sam Anders był zdecydowany powiedzieć naczelnemu wodzowi „nie", i z tego wyciągnąć konsekwencje. W okresie gdy Sikorski zjechał na Bliski Wschód i na wielkiej odprawie oficerskiej, nie uprzedzając słowem Andersa, mówiąc o bliskim wyruszeniu armii do Włoch do walki, powiedział że Generał Anders będzie mógł wybrać — albo zachowanie nadal dowództwa nad wszystkimi siłami na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, pozostając sam w Palestynie, lub zrzec się swego stanowiska i dowodzić wojskiem na polu walki. Tego rodzaju propozycja podziału i wyboru była kompletnym dla Andersa zaskoczeniem. Od tej chwili — do dnia gdy Sikorski w Bagdadzie z wojskiem się żegnał — przerwał z nim właściwie wszelkie rozmowy. „Mówiłem z nim o klimacie, o pejzażu, o kobietach" — powiedział mi Anders.

W Bagdadzie miała zapaść ostatnia decyzja, ale Sikorski wiedział, że Anders z dowództwa całością wojsk na wschodzie nie ustąpi dobrowolnie i że nie wyrzeknie się bezpośredniego dowodzenia akcją na froncie. Sikorski wtedy ustąpił. Kto znał Andersa, wiedział dobrze, że wolę władzy miał namiętną, nie był on podwładnym wygodnym i władzy, którą posiadał, nie był gotów stracić bez walki. Wówczas, na Bliskim Wschodzie, Sikorski był już człowiekiem zmęczonym, przeżartym odpowiedzialnością za całość sprawy polskiej, przejętym pragnieniem jedności wszystkich Polaków — pod jego dowództwem naturalnie, jego przy tym odruchy próżności, prawie dziecinne, nie zyskiwały mu zwo-

lenników. Anders był u szczytu sił, ambicji i wiedział, że na wojsko na Bliskim Wschodzie może absolutnie liczyć. W Bagdadzie Sikorski to odczuł, wola Andersa zwyciężyła. Wódz Naczelny musiał wówczas docenić sytuację i on uratował wojsko od grożącej rozgrywki. Mimo woli przypomina mi się późniejsze moje, ostatnie z nim spotkanie w Kairze, tuż przed Gibraltarem. Powiedział mi wówczas:

„Niech Pan przyzna, że zrobiłem dobrze, że przyjechałem do was, wiele nieporozumień, wiele trudności udało mi się wyrównać. Trzeba koniecznie pracować razem, trzeba łagodzić rozdźwięki".

Cóż ja mogę dodać o Monte Cassino, chyba jedno tylko: ataki prasy komunistycznej i nawet niekomunistycznej, że Anders rozrzutnie szafował krwią żołnierza dla swojej jedynie sławy, są głęboko krzywdzące. Nie zapomnę rozmowy z nim, parę tygodni przed bitwą, gdy wezwał mnie z Campobasso. Nie wiedziałem jeszcze nic o przyjęciu przez niego propozycji dowództwa angielskiego, że właśnie polskie oddziały miały przypuścić atak frontowy na Monte Cassino. Był małomówny, zamyślony i jakby zupełnie samotny. Widzę go jeszcze przed namiotem, wśród oliwek — czy dobrze pamiętam, że na horyzoncie widniał profil klasztoru? Powiedział mi tylko „wiesz, wziąłem na siebie wielką odpowiedzialność" i nagle wydał mi się, w tej chwili, najgłębiej sobą: dowódcą, którego cała myśl była ustawiona w jednym kierunku — jak tę odpowiedzialność unieść, jak zadanie spełnić.

Widziałem go szereg razy podczas toczącej się bitwy pod Monte Cassino. Jego zadziwiający spokój w tym ogólnym, niesłychanym napięciu uderzał nas wszystkich.

O tym co nazywasz „buntem" 5 Dywizji nie będę mówił, po prostu dlatego, że mam tu luki w pamięci. Przypominam sobie tylko, że w rozmowie mojej z Andersem wówczas wyczułem jego skrajnie negatywną reakcję na wszelkie próby manifestacji antyangielskiej, czy antyalianckiej. Był absolutnie przekonany, że lojalność naszą musimy zachować, bo wojna nie jest skończona, bo narastały dopiero decyzje polityczne, gdzie każdy bunt wojska mógł nam tylko zaszkodzić w oczach świata.

G. H.-G.: — Któregoś dnia podwoziliśmy przed bitwą na mułach zaopatrzenie, nagle z boku wyskoczył łazik, siedział w nim Anders. Zasalutował nam, szybko i rzeczowo zadał kilka pytań. Było to moje jedyne zetknięcie z nim podczas wojny, jeśli nie liczyć dekoracji oficerów i żołnierzy w Anconie w której asystował Sosnkowskiemu. Niewiele już z tego magnetycznego spojrzenia zostało, kiedy poznałem go w Londynie w roku 1968 i kiedy w rok później rozmawiałem z nim krótko na obchodzie

dwudziestopięciolecia bitwy. Zachował świetną pamięć, ale były to jak gdyby przebłyski w rozszerzającej swój cień nieobecności. Widziałem umieranie mojego dawnego dowódcy.

Trzeba się cofnąć do punktu wyjścia, do felietonu Kijowskiego o majowym poranku warszawskim. „Wszystkie poważne między nami konflikty wzbudzają echa tej wojny już dawno minionej, jakbyśmy z niej, niby z ukrytej siłowni, wciąż pobierali prądy, wstrząsy, bodźce". Jeżeli istotnie „siłownia", to tylko w legendzie. Nie mogę nie zacytować końcowego fragmentu mojej noty z zeszłorocznej, październikowej *Kultury:* „Obchód montecassiński był ostatnim rozdziałem emigracji wojennej. Czytam w jednym z artykułów rocznicowych, że Polacy odczuwają „dreszcz dumy" na dźwięk nazwy Monte Cassino, bo jako „naród rycerski" wyżej stawiają „walkę z otwartą przyłbicą" od „walki skrytej i podziemnej", a „laur zwycięskich wodzów" wolą od „męczeństwa Trauguttów". Nie znam się na niezmiennej psychologii narodów (zwłaszcza *ex definitione* „rycerskich"), wiem jednak że Polakom pozostaje odtąd tylko droga walki mniej lub więcej skrytej i podziemnej. 15 sierpnia pożegnano na Monte Cassino pewną zamkniętą definitywnie epokę".

23 maja tego roku położono na niej kamień grobowy z napisem: Władysław Anders, Generał Broni, ur. 11. 8. 1892 w Błoniu, zm. 12. 5. 1970 w Londynie.

J. Cz.: — Ten kamień grobowy zamyka, jak mówisz, ostatni rozdział emigracji wojennej. Ale dziś właśnie należy przypomnieć, że Anders był również głównym budowniczym tej „małej Polski", która powstała w Iraku i we Włoszech, jej ramy, jej sens głęboki przerastały czysto militarne zadanie wojska. Cóż to było ta „mała Polska" na Wschodzie?

Żołnierz z Rosji po latach sowieckich obozów, żołnierze z Tobruku, już z piękną kartą wojenną, kobiety-żołnierze, które odegrały taką rolę w służbie pomocniczej na wojnie, żołnierze-dzieci prawie, wśród których niejeden stał się w kołchozach powrotnym analfabetą.

Dzięki Andersowi powstaje w wojsku szeroko rozbudowana praca oświatowa: gimnazja, szkoły techniczne, w Palestynie, Egipcie, Libanie, potem we Włoszech. Pod koniec wojny koło 4.000 młodzieży przebywa w gimnazjach i na uniwersytetach w Bejrucie, Rzymie, Mediolanie, Turynie. Jednocześnie Korpus tworzy, rozbudowuje dział wydawniczy: od setek pozycji podręczników szkolnych po literaturę klasyczną i nowoczesną, tomiki poetów Korpusu, albumy, aż po wydanie „Pana Tadeusza", który rozchodzi się w 10.000 egzemplarzy.

Przed dowódcą stają jednocześnie problemy, związane z tak

różnolitym składem narodowym wojska. To było wojsko w ogromnym procencie złożone z mniejszości narodowych, obok Litwinów — Ukraińcy, obok Białorusinów — Żydzi. W porozumieniu z Biskupem Gawliną, Anders każe drukować modlitewniki greko-katolickie, dopuszcza do wojska kapelanów ukraińskich, Ukraińcom, którzy w ZSSR, ze strachu przed NKWD i szowinistycznie nastawionymi oficerami, podali się za Polaków rzymsko-katolików, zezwala na poprawki i zmiany ewidencyjne. A sprawa żydowska w tym wojsku? Od Buzułuka dowódca w przemówieniach z całym naciskiem podkreśla, że wśród obywateli polskich, żołnierzy Rzeczypospolitej, nie ma i nie może być różnicy w traktowaniu. Czy więc nie było przejawów antysemityzmu, nawet krzywd drastycznych? Były, ale fałszem jest obciążać nimi Andersa, ileż razy byłem świadkiem gdy właśnie Anders różne krzywdy tego rodzaju wyrównywał, czy przekreślał. Zakaz Andersa, dany nie tylko żandarmerii polskiej, ale i angielskiej, ścigania licznych żołnierzy-Żydów, którzy zdezertowali z naszego wojska w Palestynie, jest charakterystyczny. „Oni mają podwójną lojalność: wobec Polski i wobec walki o Izrael — ich sprawą jest wybrać". Ci, którzy w szeregach wojska zostali, walczyli z nami razem i niejeden leży dziś na cmentarzu Monte Cassino obok Polaków, Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów.

Anders, ten oficer zawodowy, umiał — gdy to było potrzebne — przełamywać rutynę, przekreślać dystans między oficerem a żołnierzem, dystans który niejeden oficer pragnął pogłębiać i usztywniać. Nadanie np. szeregowym, pracownikom propagandy i oświaty, rang P.R.O. *(Public Relations Officer)* szło wbrew wszystkim tradycjom nie tylko polskiego, ale i angielskiego wojska.

W czasie kiedy w Polsce nie było ani jednego jawnego uniwersytetu, ani jednej jawnej szkoły średniej, ani jednego wydawnictwa, kiedy panowała maksymalna segregacja narodowa z wytępianiem fizycznym całego narodu żydowskiego na naszej ziemi — ta próba Generała Andersa stworzenia, w ramach wojska na obczyźnie, struktury społecznej żywej, mocnej i giętkiej zarazem w tradycji liberalnej, społeczności wielonarodowej, wielowyznaniowej, powinno zostać w naszej pamięci jako jego testament na przyszłość.

Józef CZAPSKI

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Rozmowa z Generałem Andersem

w dniu 31 lipca 1967 roku

Wiosną 1967 roku w warszawskiej prasie ukazały się wyjątki wspomnień Zygmunta Berlinga z okresu 1939-1942. Redaktor Giedroyc wystąpił z inicjatywą zorganizowania wywiadu z gen. Andersem na tematy poruszone w pamiętnikach Berlinga i uzyskał zasadniczą zgodę Generała na przeprowadzenie rozmowy ze mną.

Po pisemnym zgłoszeniu się do adiutantury gen. Andersa zostałem zawiadomiony, iż mam się stawić w Instytucie gen. Sikorskiego w poniedziałek 31 lipca 1967 r. o godz. 12.00 w południe. Wobec tego 24 lipca przesłałem na ręce Generała listę proponowanych dwudziestu kilku pytań, które pokrywały o wiele szerszy zakres niż drukowane wyjątki pamiętników Berlinga. Rozmowa nie została przeprowadzona ściśle w kolejności proponowanych pytań i niektóre problemy poruszone w pytaniach zostały opuszczone ze względu na ograniczony czas jaki Generał mógł poświęcić na tę rozmowę.

Zgłosiłem się w adiutanturze w wyznaczonym terminie i wkrótce po 12-ej zostałem zameldowany przez adiutanta gen. Andersowi. Generał przyjął mnie w swoim gabinecie na parterze budynku Instytutu gen. Sikorskiego. Rozmowa odbyła się bez świadków.

W czasie rozmowy notatek nie robiłem, gdyż z jednej strony uważnie słuchałem wypowiedzi Generała, a z drugiej spoglądałem na listę pytań w celu ułożenia dalszego biegu rozmowy. Notatki z rozmowy spisałem jak najdokładniej w ciągu następnych kilku dni i, o tyle o ile można polegać na pamięci, są one wiernym odtworzeniem wypowiedzi gen. Andersa, natomiast nie są one autoryzowane przez Generała.

Gen. Anders: — Redaktor Giedroyc prosił mnie o udzielenie Panu wywiadu. Otóż muszę stwierdzić, iż, jak Pan chyba zauważył, żadnych wywiadów już od lat nie udzielam, a to po prostu dlatego, że gdybym zaczął udzielać wywiady, to nic innego bym nie robił jedynie udzielał wywiadów. Natomiast wiem, że interesuje się Pan sprawami drugiej wojny światowej, więc możemy na te tematy porozmawiać.

— Przeczytałem pytania które Pan nadesłał. Wiele z tych spraw poruszam w swojej książce „Bez ostatniego rozdziału". Między innymi zapytuje Pan, czy prawdą jest to, co obecnie twierdzi się w kraju, iż gen. Sikorski był zdecydowanie prorosyjski i jedynie z powodu swojej słabości nie zdołał przeprowadzić polityki ugody z ZSSR? Otóż gen. Sikorski nie był zwolennikiem ugody z ZSSR. Początkowo miał on nadzieję, że uda się ułożyć stosunki z ZSSR. Nie znał Rosji i dlatego ulegał przynajmniej częściowo tym, którzy namawiali go do zaufania w stosunku do ZSSR. Przy każdej okazji tłumaczyłem mu, że Rosji ufać nie można i dawałem na to dowody. W czasie wizyty gen. Sikorskiego w ZSSR w grudniu 1941 r. rozmawialiśmy na ten temat po raz pierwszy i już wówczas gen. Sikorski oburzony był sposobem wykonania paktu lipcowego ze strony ZSSR. Jednak istniał między nami pewien rozdźwięk na temat stosunku do Sowietów, który został ostatecznie załatwiony w czasie wizyty gen. Sikorskiego w Iraku w lipcu 1943 r. Wówczas gen. Sikorski był już zdecydowanym zwolennikiem sztywnego stanowiska wobec ZSSR i jego wizyta w Iraku odbyła się w atmosferze pełnego zrozumienia. Gen. Sikorski był dobrym Polakiem i patriotą i na pewno nie zgodziłby się na oddanie ZSSR Lwowa i Wilna.

Siemaszko: — Jakie zdaniem Pana Generała były intencje Stalina przy zawieraniu układu lipcowego? Czy liczył się on z tym, że Armia Polska w ZSSR, chociaż formalnie podległa Rządowi Polskiemu w Londynie, stanie się podobnie do oddziałów czeskich dowodzonych przez płk. Svobodę, wewnętrznie skomunizowana i będzie narzędziem Stalina w stosunku do Polski?

Gen. Anders: — Wątpię żeby Stalin liczył się z tym, że oddziały polskie zorganizowane w ZSSR w 1941 r. da się skomunizować. Musiał on zdawać sobie sprawę z nastrojów panujących wśród Polaków. O ile chodzi o te nastroje, to warto nadmienić, że wśród grupy oficerów znajdujących się latem 1941 r. w Griazowcu i wśród podoficerów, którzy pracowali przy budowie dróg na Ukrainie i zostali ewakuowani przed Niemcami na piechotę, nastroje antysowieckie nie były jeszcze tak silne jak wśród tych, którzy zaczęli napływać do wojska z więzień i łagrów. Losy grupy

podoficerów znam dość dobrze z opowiadań mego późniejszego ordynansa Koguta. W czasie ewakuacji przed nacierającymi Niemcami wszyscy, którzy na skutek wyczerpania nie mogli dotrzymać tempa marszu, zostali zastrzeleni przez bolszewików.

Siemaszko: — O ile wiadomo w początkowym okresie stosunek Stalina do Pana Generała osobiście był raczej pozytywny. Był Pan Generał przyjmowany przez Stalina, dostał Pan Generał od niego w prezencie dwa wierzchowce i limuzynę. Czy gesty te należy uważać za próbę pozyskania Pana Generała dla polityki sowieckiej?

Gen. Anders: — O ile chodzi o stosunek do mnie osobiście, to Stalina spotkałem po raz pierwszy w czasie wizyty gen. Sikorskiego w grudniu 1941 r. Wówczas Stalin powiedział mi na uboczu, żebym zgłaszał się do niego kiedykolwiek będę miał coś do załatwienia. Od siebie dodałem, że stawię się na każde wezwanie. Przy późniejszych spotkaniach był względnie uprzejmy. Wątpię, żeby te drobne gesty, dwa wierzchowce i stary Packard, były próbą pozyskania mnie dla celów polityki sowieckiej. Zresztą miałem o wiele bardziej eleganckiego Buicka, ale musiałem używać, przynajmniej od czasu do czasu starego Packarda, żeby nie okazać pogardy dla prezentu Stalina.

Siemaszko: — Czy kiedykolwiek oficjalnie lub prywatnie składano Panu Generałowi propozycje przejścia razem z wojskiem na orientację sowiecką?

Gen. Anders (po chwili zastanowienia się): — Nie. Propozycje przejścia na orientację sowiecką nie zostały mi nigdy złożone, ani przez Stalina, ani też przez żadnego z przedstawicieli sowieckich, z którymi byłem w kontakcie. W prywatnych rozmowach też takich sugestii nie było. Nastawienie tych przedstawicieli w stosunku do nas było rozmaite. Chyba najbardziej przyjaźnie ustosunkował się do nas gen. NKWD Żukow[1]. Gdybym wiedział że jeszcze żyje i oczywiście gdyby nie miało mu to zaszkodzić, to nadałbym mu order Polonia Restituta.

Siemaszko: — Dlaczego, Panie Generale?

Gen. Anders: — Przyczynił się on wyraźnie do ratowania Pola-

1. Siergiej Aleksiejewicz (lub Aleksandrowicz) Żukow, Major gosudarstwiennoj biezopasnosti (równoważny stopień wojskowy — generał), Upołnomoczennyj Sowieta Narodnych Komissarow po polskim dielam. Spełniał tę funkcję zarówno w okresie 1941-1942 jak i później w czasie tworzenia Dywizji Kościuszkowskiej.

ków z łagrów. Poznałem go dobrze, nawet do pewnego stopnia zaprzyjaźniłem się z nim. Wiedziałem, że lubi dobre jedzenie i trunki, towarzystwo pań, muzykę, więc urządzaliśmy wieczorki, orkiestra grała, Zosia Terne śpiewała. Kiedy nastrój był już odpowiedni podsuwałem mu listę kilkuset Polaków, którzy przebywali jeszcze w łagrach w celu podpisania przez niego nakazu ich zwolnienia. Trzymając listę w ręku i patrząc na mnie z ukosa mówił:

— Władisław Albiertowicz, *Wy nastaiwatie na maju szeju. Nie mogu.*

Perswadowałem mu, iż przecie ma upoważnienie i nakaz samego Stalina podpisywania zwolnień Polaków, których administracja NKWD przetrzymuje w łagrach. Spoglądał na mnie z ukosa, jakby drwiąco. Wreszcie przecinał ręką listę łagierników na dwoje i mówił:

— *Nu choroszo, wot tak, połowinu.*

Przekreślał tych na dole i podpisywał zwolnienie górnej połowy. Ci szczęśliwcy zostawali zwolnieni. Tych przekreślonych razem z innymi o których w międzyczasie dowiedzieliśmy się przedstawiałem Żukowowi na następnym wieczorku towarzyskim. To była walka o dusze.

Gen. Żukow przyczynił się również do tego, że ewakuację Armii Polskiej z ZSSR przeprowadzono tak sprawnie. Kierował ewakuacją z całą bezwzględnością typową dla wyższego oficera NKWD stosując wobec kolejarzy sowieckich, którzy nie zdołali dostarczyć pociągów w wyznaczonym czasie najwyższe kary z rozstrzelaniem włącznie.

Siemaszko: — Czy mógłby Pan Generał naświetlić w jaki sposób władze sowieckie wyeliminowały grupę oficerów osadzoną w willi w Małachowce pod Moskwą?

Gen. Anders: — Jak Panu chyba wiadomo oficerowie polscy wzięci do niewoli przez bolszewików we wrześniu 1939 r. w liczbie kilkunastu tysięcy zostali zgrupowani w trzech obozach Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk. Jak dowiedziałem się znacznie później, wśród oficerów tych przeprowadzono ankietę, w której jedno z pytań dotyczyło kwestii, gdzie dany oficer chciałby przebywać do zakończenia wojny. Były przewidziane trzy możliwe odpowiedzi: — powrót do kraju, pobyt w kraju neutralnym i pozostanie w ZSSR. Znaczna większość oficerów napisała, że chcieliby przebywać do zakończenia wojny w kraju neutralnym. Zaledwie niewielu napisało, że chcieliby pozostać w ZSSR. Spośród tych, kilkunastu zabrano z obozów do więzienia w Moskwie, gdzie zresztą mieli całkiem znośne warunki i wkrótce przenie-

siono do willi w Małachowce. Tam mieli względną swobodę i jak później dowiedziałem się studiowali możliwości utworzenia polskiej dywizji, która byłaby zorganizowana według przepisów sowieckich. Opiekował się tam nimi płk NKWD Kondratik, ten sam, który badał Polaków na Łubiance i był jednym z moich *sledowatielej*.

— Spośród kilkunastu tysięcy oficerów wziętych do niewoli przez bolszewików przeżyła jedynie ta mała grupa pod Moskwą i około 400 oficerów w stosunku do których egzekucję zawieszono z nieznanych bliżej powodów. Resztę rozstrzelano wiosną 1940 roku. Oficerowie z Kozielska leżą w lasku katyńskim, a masowe groby Ostaszkowa i Starobielska nie są znane.

Siemaszko: — Jaką Pan Generał ma opinię o Berlingu?

Gen. Anders: — Już w 1939 r., pomimo że był on oficerem Pierwszej Brygady[2], znajdował się poza nawiasem i był wyznaczony do zwolnienia z wojska. Dwukrotnie dawano mu dowództwo pułku i oba razy musiano zabrać mu pułk. Były też jakieś awantury z jego żoną Węgierką. Doszło do tego że ambasada węgierska interweniowała w tej sprawie u władz polskich. Ppłk Berling był jednym z pierwszych polskich oficerów, z którymi skontaktował mnie płk Kondratik w parę dni po zwolnieniu mnie z Łubianki. Nie wiedziałem wówczas jak on się zachował w niewoli. Nie wiedziałem też, że zgłaszał się na ochotnika jako szeregowy do Czerwonej Armii jeszcze przed atakiem Niemców na ZSSR. Berling to „śmiecie", nie mam wcale zamiaru wdawać się w dyskusję z nim i z jego pamiętnikami.

Siemaszko: — Jak oficerowie z Małachowki zachowali się w czasie tworzenia AP w ZSSR? Czy któryś z nich pozostał razem z ppłk. Berlingiem w Rosji?

Gen. Anders: — Berling wraz z całą grupą z Małachowki zgłosili się do wojska. Nie mogłem odmówić przyjęcia ich ze względu na władze sowieckie i ze względu na to, że już w początkowym okresie zarysował się brak oficerów. Miałem do dyspozycji zaledwie dwóch generałów nadających się na dowódców dywizji, gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego i gen. Borutę-Spiechowicza, chociaż w stosunku do ostatniego miałem pewne zastrzeżenia. Dałem im po dywizji, Borucie Piątą, a Tokarzewskiemu Szóstą. Na jednej z konferencji z oficerami sowieckimi w sprawach organizacji

2. Nie jest to ścisłe. Berling służył w 4 pułku piechoty Drugiej Brygady Legionów, natomiast jego współtowarzysz ppłk. Bukojemski wywodził się z Pierwszej Brygady.

Armii gen. Boruta-Spiechowicz zażądał ppłk. Berlinga na swego szefa sztabu i pomimo, że nie uzgodnił tego uprzednio ani ze mną ani z moim szefem sztabu, upierał się przy Berlingu. W obecności oficerów sowieckich nie mogłem odmówić. Boruta był z Berlinga zadowolony. Całkiem niespodziewanie, w czasie przejazdu z Buzułuku do Jangi-Julu dostałem depeszę (miałem radiostację) od gen. Boruty, w której oskarżał on ppłk. Berlinga o nietaktowne zachowanie się w stosunku do swego dowódcy. Prosił o zabranie Berlinga i ukaranie go. W parę dni później udałem się do Piątej Dywizji. Stwierdziłem, iż fakty podane przez gen. Borutę były prawdziwe. Ppłk Berling zwymyślał Borutę publicznie od ostatnich. Poszło im o Pestkę, do której obaj zalecali się. Ukarałem Berlinga aresztem domowym i zabrałem go z Piątej Dywizji. Dałem mu dowództwo bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku. Nie była to funkcja zbyt odpowiedzialna. Właśnie kończyła się już pierwsza ewakuacja i dużo roboty on tam nie miał. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że nastąpi druga ewakuacja. A zresztą ewakuowaniem Wojska Polskiego z ZSSR i tak kierowało NKWD. Nie było dowodów nielojalnego zachowania się ppłk. Berlinga od chwili jego wstąpienia do AP w ZSSR aż do jego pozostania w ZSSR.

Siemaszko: — Czy istnieją podstawy do przypuszczeń, że została zawarta cicha umowa pomiędzy sztabem Pana Generała i ppłk. Berlingiem w myśl zasady: — „My tu już nic nie zrobimy, więc wyjeżdżamy, a ty zostań, jeżeli chcesz, może coś jeszcze zdołasz osiągnąć"?

Gen. Anders: — W ZSSR ppłk Berling pozostał samowolnie i na pewno nie było w tej sprawie żadnego cichego porozumienia pomiędzy moim sztabem i Berlingiem. Jak pisze w pamiętnikach pozostały z nim zaledwie trzy osoby. Nie wiem kto to był. Chyba jedną z osób była ta pani o którą pokłócili się z Borutą. Podobno ona wybrała jednak Berlinga[3].

Siemaszko: — Jak wiadomo, w końcowej fazie Powstania Warszawskiego niewielki oddział armii Berlinga przekroczył Wisłę i połączył się z AK. Czy mogę prosić Pana Generała o komentarze na ten temat?

Gen. Anders: — Nie znam okoliczności towarzyszących temu wydarzeniu, ale możliwe, że tragiczna sytuacja Warszawy wywołała u Berlinga jakieś patriotyczne reakcje.

Siemaszko: — Wśród ochotników przybywających z łagrów, z więź-

3. Dwie pozostałe osoby to najprawdopodobniej ppłk artylerii Leon Bukojemski i por. lotnictwa Wicherkiewicz.

zień i z tzw. wolnej zsyłki do Wojska Polskiego znajdowali się agenci NKWD działający z przekonania lub częściej pod przymusem. Czy w czasie pobytu w Iraku lub we Włoszech istniały jakieś objawy ich działalności?

Gen. Anders: — Właściwie objawów takich nie było. Chyba jedynym przykładem był kpt. Rozen-Zawadzki, który był sądzony i skazany na degradację i więzienie. Po wojnie został reżymowym attaché wojskowym w Rzymie. Ale on chyba szpiegował w pierwszym rzędzie Anglików. Znaleziono u niego dokumenty, które na to wskazywały.

Siemaszko: — Czy rtm. Klimkowskiego należy uważać za agenta NKWD, czy też za człowieka, który na skutek wybujałej ambicji uległ mistyfikacji i zatracił poczucie proporcji?

Gen. Anders: — Z Klimkowskim to inna sprawa, to była właściwie moja wina, zanadto do niego przyzwyczaiłem się i za długo trzymałem go jako adiutanta. Przewróciło mu się w głowie. Zawsze miałem tę trudność, że skoro przyzwyczaiłem się do człowieka, to potem nie mogłem łatwo z nim się rozstać, a jeżeli zaczęto wysuwać przeciwko niemu oskarżenia, to nie usuwałem go z miejsca, lecz żądałem dowodów jego winy, mówiłem: — „Dawajcie dowody", a to zabierało czas. Tak właśnie było z Klimkowskim. Wątpię, żeby Klimkowski był agentem NKWD, chociaż niektórzy to sugerowali. Przypuszczam, że raczej, tak jak Pan to ujął, zatracił on poczucie proporcji i przebrał miarę. Zresztą został on łagodnie ukarany, o ile pamiętam dostał półtora roku więzienia. Po zwolnieniu przebywał w Palestynie i pisał do Włoch do jednego z byłych kolegów, że głoduje. Zameldowano mi o tym. Zasugerowałem więc płk. Bąkiewiczowi, żeby zaangażował go jako agenta II Oddziału. Został płatnym agentem. Mamy w archiwum kwity przez niego podpisane. Jedno mnie tylko zastanawia, kto napisał książkę, podpisaną jego nazwiskiem, w której jest zresztą masę bzdur. Klimkowski nie miał talentu do pisania, czasami miał trudności ze zredagowaniem prostego rozkazu. Tymczasem książka napisana jest stylem dość płynnym[4].

Siemaszko: — Wiadomo, że w 1941 r. Rosjanie byli zainteresowani otrzymywaniem bezpośrednio z Polski informacji o ruchach wojsk niemieckich, które miały być przekazywane z AK do sztabu Pana Generała. Istniały również zamiary zacieśnienia kontaktów pomiędzy AK i AP w ZSSR (utworzenie batalionu specjalnego, misja płk. Spychalskiego). Kto sprzeciwił się tym przedsięwzięciom, gen. Sikorski, Pan Generał, czy też gen. Grot-Rowecki?

4. Generał miał tu na myśli książkę Klimkowskiego pt. „Byłem adiutantem gen. Andersa".

Gen. Anders: — W ZSSR było masę różnych spraw. Działalnością wywiadu AK na korzyść ZSSR specjalnie nie interesowałem się. W czasie pobytu w Rosji gen. Sikorski rozmawiał na ten temat z gen. Żukowym. Ja byłem świadkiem tylko części tej rozmowy i właściwie udziału w niej nie brałem. W czasie tej rozmowy nastąpiło jakieś nieporozumienie, gen. Sikorski rosyjskiego nie znał, a gen. Żukow mówił jedynie łamaną polszczyzną. Wkrótce po powrocie gen. Sikorskiego do Londynu dostałem rozkaz, że wszelkie wiadomości z kraju będą przechodzić przez Londyn. Na tym cała sprawa bezpośredniego kontaktu z AK skończyła się. Ale ja jej dobrze nie znałem.

Siemaszko: — Czy mógłby Pan Generał naświetlić przybycie z Warszawy do Buzułuku delegatów organizacji krajowej Muszkieterowie, czy też Pług i Miecz, to nie jest zbyt jasne. Czy celem ich misji było namawianie Pana Generała do postawy antysowieckiej? Czy byli oni agentami niemieckimi? Jaki los spotkał ich po przybyciu do ZSSR? Czy pozostali w wojsku, czy też byli sądzeni i skazani?

Gen. Anders: — O, to była niebezpieczna historia. NKWD zawiadomiło nas, że trzej oficerowie przybyli do mnie przez front z Warszawy i że nic podejrzanego przy nich nie znaleziono. Wobec tego chcą nam ich oddać. Wysłałem płk. Bąkiewicza, żeby odebrał tych trzech oficerów z więzienia NKWD.

Siemaszko: — Poznałem płk. Bąkiewicza parę lat temu, sprawia bardzo pozytywne wrażenie.

Gen. Anders: — Cieszę się, że ma Pan takie zdanie o płk. Bąkiewiczu, to bardzo dobry oficer. Otóż z chwilą kiedy NKWD skontaktowało płk. Bąkiewicza z tymi oficerami, jeszcze na terenie więzienia, powiedzieli mu oni, iż w mydle mają kartkę do mnie. Płk Bąkiewicz przeczytał tę kartkę i zdębiał. Treść jej mogła w oczach NKWD być dostatecznym dowodem współpracy naszego sztabu z Niemcami. Tylko przytomności umysłu płk. Bąkiewicza można zawdzięczać, że nie wynikła z tego grubsza awantura. Dziwne, że kartki tej NKWD nie znalazło w czasie rewidowania przybyszów z Warszawy. Płk Bąkiewicz przywiózł ich do Buzułuku, gdzie zostali oni włączeni do oddziałów i mieliśmy nadzieję, że na tym sprawa się skończy. Ale przywódca, nie pamiętam jak się nazywał, rotmistrz, lub może porucznik, robił dużo zamieszania i miał długi język. Wynikła obawa, że NKWD może zainteresować się tą sprawą. Należało więc ich uprzedzić. Oficer

ten został aresztowany, sądzony za zdradę i skazany na karę śmierci. Ma się rozumieć z góry było wiadome, że wyrok nie zostanie wykonany. Wyjechał razem z nami na Środkowy Wschód. Co się z nim potem stało nie wiem. Dwaj pozostali oficerowie, którzy, o ile wiem nie byli wtajemniczeni w rzeczywisty sens swej misji, służyli normalnie w wojsku. To była wyraźna prowokacja niemiecka.

Siemaszko: — Jednym z oficerów w sztabie Pana Generała w ZSSR był płk dypl. Leopold Okulicki, który później odegrał dominującą rolę w decyzji rozpoczęcia powstania Warszawskiego. Jaką Pan Generał miał o nim opinię?

Gen. Anders: — Był to dobry oficer liniowy. Wobec wielkiego braku oficerów dyplomowanych, pomimo, że nie znałem go przedtem, za czyjąś radą, już nie pamiętam czyją, wyznaczyłem go Szefem sztabu AP w ZSSR. Na, stanowisku tym wywiązywał się ze swych zadań bez zarzutu. Później musiałem go jednak zmienić. Gen. Szyszko-Bohusz został Szefem sztabu, a płk Okulicki objął dowództwo dywizji. Powodem było zbyt silne antysowieckie nastawienie płk. Okulickiego, co utrudniało jego pozycję jako Szefa sztabu. Trudno zresztą mu się dziwić, gdyż był bity i katowany w czasie śledztwa.

— Zdecydowane stanowisko płk. Okulickiego w lipcu 1944 roku w sprawie Powstania Warszawskiego jest dla mnie niezrozumiałe.

— Na początku 1945 r., kiedy byłem w Londynie pełniącym obowiązki Naczelnego Wodza, nadeszła depesza zawiadamiająca, iż władze krajowe i gen. Okulicki, jako dowódca AK, mają zamiar ujawnić się przed władzami sowieckimi. Wysłałem do Okulickiego depeszę zakazującą mu ujawnienia się. A jednak Okulicki ujawnił się razem z władzami krajowymi. Przez kilka lat nie dawała mi spokoju myśl, że mój zakaz nie dotarł na czas, albo że Tatar nie wysłał go do kraju. Dopiero w pięćdziesiątych latach na jednym z zebrań w Instytucie Sikorskiego pani, nie pamiętam nazwiska[5], łączniczka gen. Okulickiego w tamtych czasach, stwierdziła, że moją zakazującą depeszę wręczyła osobiście gen. Okulickiemu już w stanie odszyfrowanym. Kamień mi spadł z serca. Wiem, że Okulicki wahał się, ale nie potrafię wyjaśnić, dlaczego ostatecznie zdecydował się na ujawnienie się przed władzami sowieckimi wbrew memu rozkazowi, który jednak otrzymał.

Siemaszko: — W szeregach AP w ZSSR panowały silne nastroje antysowieckie, które dowódcy starali się tłumić namawiając do zapomnienia krzywd. Czy w tej sytuacji sądził Pan Generał, że dywizje stworzone w ZSSR były zdolne do walki obok Armii Czerwonej? Czy te ogólnie panujące nastroje nie były jednym z powodów, obok braku wyżywienia i uzbrojenia, decyzji Pana Generała wyewakuowania całości wojsk na Środkowy Wschód?

5. Generał miał z pewnością na myśli panią Janinę Pronaszko-Konopacką.

Gen. Anders: — To był problem nad którym poważnie zastanawiałem się. Nie miałem na ten temat jasnej odpowiedzi wówczas i właściwie dotychczas nie wiem czy oddziały stworzone w ZSSR były zdolne walczyć obok Armii Czerwonej. W każdym razie, gdyby wojsko zostało uzbrojone i odpowiednio przeszkolone i gdybym dostał rozkaz od władz polskich, to poprowadziłbym stworzone dywizje do walki na wschodnim froncie. Ale uzbrojenia nie było (poza częściowym i przestarzałym uzbrojeniem dla niepełnej jednej dywizji). A rozkazu od władz polskich też nie dostałem.

— Z tymi nastrojami wojska to działy się czasami dziwne rzeczy. W czasie jakiegoś bankietu w Londynie, wkrótce po ewakuacji Armii do Iraku, zwrócił się do mnie gen. Sikorski z zapytaniem na temat nastrojów wojska, bo właśnie Szef sztabu imperialnego gen. Sir Allan Brooke stwierdził, iż zawiadomiono go, że Wojsko Polskie, które opuściło ZSSR jest w poważnym stopniu skomunizowane. Odpowiedziałem, iż nie odpowiada to absolutnie prawdzie i zasugerowałem, iż Sir Allan Brook został mylnie poinformowany. Sztab imperialny zwrócił się w tej sprawie do gen. Auchinleck'a na Środkowym Wschodzie i w ciągu paru dni dostał odpowiedź, iż jego służba informacyjna stwierdziła silne nastroje antysowieckie w oddziałach polskich przybyłych z ZSSR.

Siemaszko: — Pragnę zadać hipotetyczne pytanie: Czy teraz z perspektywy czasu, przypuszcza Pan Generał, że gdyby Pan Generał poszedł na pełną współpracę z ZSSR przyjmując zmiany terytorialne narzucone przez Stalina i gdyby Pan Generał miał pod swym dowództwem około 10 dywizji stworzonych w Rosji, które wzięłyby udział w walce na froncie wschodnim, czy udałoby się stworzyć niekomunistyczny rząd i uniknąć strat jakie poniósł naród polski w okresie 1944-1956?

Gen. Anders: — Taka możliwość nie istniała. Stalin był zdecydowany na wyniszczenie najwartościowszych elementów narodu polskiego i na sowietyzację Polski. Stalin nie dotrzymywał żadnych umów, które z jego punktu widzenia miały jedynie cel doraźny i prowadziły do osłabienia woli oporu i stworzenia pozorów pozytywnego załatwienia polskiej sprawy.

Siemaszko: — W szeregach 2 Korpusu był wyjątkowo wysoki procent

mniejszości narodowych, chyba o wiele wyższy niż przeciętny procent w oddziałach Wojska Polskiego przed wojną. Czy mogę prosić Pana Generała o komentarze na ten temat?

Gen. Anders: — Faktycznie 2 Korpus był zróżnicowany pod względem narodowościowym i wyznaniowym. Mimo to przedstawiał on jednolitą całość i rozdźwięków pod tym względem nie było. Było to po prostu Wojsko Polskie. Jedynie można by wspomnieć, że paru Ukraińców poddało się Niemcom na skutek nawoływania radiostacji niemieckiej „Wanda". Nie wiem co się z nimi później stało ale to był epizod bardzo drobny.

Siemaszko: — Wiadomo, że pewien procent żołnierzy-Żydów opuścił samowolnie szeregi Wojska Polskiego z chwilą znalezienia się w Palestynie. W Wielkiej Brytanii powstało wiele szkodliwego zamieszania z powodu dezercji 6 czy 7 żołnierzy-Żydów, natomiast na Środkowym Wschodzie, gdzie kilka setek opuściło szeregi, wszystko odbyło się bez większego skandalu.

Gen. Anders: — Jeszcze w ZSSR zwracali się do mnie przywódcy żydowscy z prośbą o utworzenie osobnych oddziałów żydowskich. Odmówiłem, gdyż konsekwentnie musiałbym stworzyć osobne oddziały ukraińskie i białoruskie, co było w sytuacji istniejącej w ZSSR jak najbardziej niepożądane. Tego rodzaju postępowanie udowodniłoby obecność w Wojsku Polskim w ZSSR Żydów, Ukraińców i Białorusinów do czego władze sowieckie starały się nie dopuścić. Natomiast o ile chodzi o Żydów, to uważałem, iż mają oni dwie lojalności, jedną w stosunku do Palestyny, a drugą w stosunku do Polski i dlatego nie miałem zamiaru zatrzymywać siłą Żydów w Wojsku Polskim. Wydałem ścisłe dyrektywy nie ścigania tych żołnierzy-Żydów, którzy po przybyciu do Palestyny opuszczali szeregi. Uważałem, że ci Żydzi, którzy za swój pierwszy obowiązek uważają walkę o niepodległość Palestyny mają do tego prawo. Wielu żołnierzy-Żydów, którzy w pierwszym rzędzie czuli się Polakami pozostało w oddziałach. Walczyli oni we Włoszech tak samo dzielnie jak wszyscy inni żołnierze, a po wojnie stworzyli swój związek kombatantów-Żydów. Dziwię się, że tu, na Wyspach Brytyjskich powstało tyle niepotrzebnego zamieszania dookoła dezercji kilku żołnierzy-Żydów.

Siemaszko: — Przerzućmy się do lipca 1944 r., kiedy to pod Anconą ówczesny Naczelny Wódz gen. Sosnkowski wizytował 2 Korpus. Z pewnością miał wówczas Pan Generał wiele rozmów z gen. Sosnkowskim na tematy ewentualnej akcji powstańczej w kraju. Jakie opinie na ten temat wyrażał gen. Sosnkowski? Czy zgodziłby się Pan Generał z twierdzeniem, że gen. Sosnkowski był przeciwny powstańczej akcji AK, która prowadziłaby do ujawnienia się wobec ZSSR, ale z drugiej strony uważał, że nie zdoła akcji powstańczej powstrzymać z powodu odmiennego stanowiska Rządu i dowództwa AK?

Gen. Anders: — W lipcu 1944 r. pod Anconą odbywały się „nocne rozmowy Polaków", w których oprócz Naczelnego Wodza i mnie brał udział gen. Szyszko-Bohusz, płk Wiśniowski i inni. Gen. Sosnkowski był przeciwny akcji AK, która prowadziła do ujawniania się wobec ZSSR. Starałem się utwierdzić go w tym przekonaniu. Jak Panu chyba wiadomo telegramy gen. Sosnkowskiego spod Ancony do Warszawy i do Londynu stawały się coraz bardziej stanowcze. Namawiałem go, żeby dał formalny rozkaz zakazujący powstania. Odpowiadał: — „Oni mnie nie posłuchają, oni posłuchają Mikołajczyka". Namawiałem gen. Sosnkowskiego, żeby nakazał ewakuację na Zachód ludzi najbardziej zagrożonych, chociażby nawet poprzez organizację Todt'a. Widzi Pan, gen. Sosnkowski był wielkim mężem stanu o rozległych horyzontach, ale miał tę trudność, że nie dowodził ani batalionem ani pułkiem, ani dywizją z wyjątkiem krótkich okresów dowodzenia Armią Rezerwową na wiosnę 1920 r., czy też obroną Lwowa w 1939 r. Naczelny Wódz powinien mieć za sobą cały zasób doświadczenia dowódczego od najniższego szczebla do najwyższego. Pod tym względem gen. Sikorski był w lepszej sytuacji niż gen. Sosnkowski.

Siemaszko: — Podobno opóźnienie wyjazdu gen. Sosnkowskiego z Włoch było spowodowane zamiarem wypowiedzenia przez Naczelnego Wodza posłuszeństwa Rządowi. Co Panu Generałowi było wówczas wiadome na ten temat?

Gen. Anders: — Owszem były jakieś zamiary wypowiedzenia posłuszeństwa. W każdym razie ja nie poszedłbym na powtórzenie Szczypiorny i Beniaminowa. To nie miałoby żadnego sensu i do niczego nie prowadziło. Po wyjeździe gen. Sosnkowskiego zwołałem odprawę dowódców, na której postawiłem sprawę jasno, żadnych buntów, żadnego odmawiania walki, Niemcy są naszym wrogiem, z którym zaczęliśmy walczyć w 1939 r. i musimy tu na Zachodzie kontynuować tę walkę aż do końca[6].

Siemaszko: — Przed wyjazdem z Włoch gen. Sosnkowski widział się z gen. Wilsonem. W czasie tego spotkania gen. Wilson zaproponował

6. Problem ten nie został wyczerpany. Należało zadać następujące pytanie: — „Jakby się Pan Generał zachował, jeśliby Nacz. Wódz wypowiedział posłuszeństwo Rządowi w wypadku gdyby Mikołajczyk poszedł na ustępstwa terytorialne i ustrojowe w czasie swej wizyty w Moskwie?". Tego rodzaju protest niekoniecznie musiałby prowadzić do wycofania się z walki.

przerzucenie 2 Korpusu na teren Polski. Czy gen. Sosnkowski zawiadomił Pana Generała o tej propozycji i co Pan Generał o niej sądzi?

Gen. Anders: — Gen. Sosnkowski nie poinformował mnie o tej propozycji. Dowiedziałem się o niej dopiero w latach 50-tych w czasie jednej z wizyt gen. Sosnkowskiego w Londynie kiedy po raz pierwszy wspomniał o tym w swoim przemówieniu i nie chce mi się wierzyć, żeby taka propozycja została złożona przez gen. Wilsona. Sądzę, że gen. Sosnkowski popełnił zasadniczy błąd rozmawiając z gen. Wilsonem bez świadków. Z aliantami należało unikać rozmów w cztery oczy. Zawsze stosowałem się do tej zasady.

Siemaszko: — *Nie dogoworiliś?*

Gen. Anders: — Chyba *nie poniali*[7].

Siemaszko: — Chciałbym jeszcze zadać jedno pytanie?

Gen. Anders: — Proszę.

Siemaszko: — Pan Generał był jednym z niewielu, którzy ocenili negatywnie decyzję rozpoczęcia powstania w Warszawie natychmiast po otrzymaniu wiadomości. Czy mógłby Pan Generał wyjaśnić przesłanki, którymi wówczas kierował się Pan Generał?

Gen. Anders: — Począwszy od carskiej podchorążówki kawalerii, a skończywszy na francuskiej wyższej szkole wojennej uczono mnie, iż akcję bez nadziei zwycięstwa trzeba odwołać. Nie należy podejmować takich akcji, które nie mają szans powodzenia. Sto-

7. W liście do Aleksandra Bregmana z sierpnia 1957 r. (późniejszy marszałek polny) Sir Henry Maitland Wilson ówczesny głównodowodzący frontu śródziemnomorskiego, stwierdził: — „Nie pamiętam *(I have no recollection)* rozmowy, która odbyła się jak to pisze gen. Sosnkowski w pałacyku myśliwskim koło Caserty, gdy przybył on udekorować mnie orderem Virtuti Militari. Podczas jego pobytu we Włoszech była dyskutowana sprawa wysłania samolotami wojsk polskich celem dopomożenia ruchowi oporu w Warszawie, ale stwierdzono, że jest to w praktyce nie do przeprowadzenia. Przesunięcie Korpusu Polskiego do Północnej Europy było — sądzę — poruszone, ale nie w taki sposób jak podaje generał, jako że takie decyzje leżały całkiem poza kompetencjami *(as such decisions were quite outside my authority)*. Obawiam się, że gen. Sosnkowski pomieszał różne rozmowy". *(Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza,* 28 sierpnia 1957 r.). Z powyższego listu wynika, że gen. Wilson pomieszał dwa spotkania z gen. Sosnkowskim, jedno z 14 lipca 1944 r. w czasie którego gen. Wilson został udekorowany orderem Virtuti Militari i drugie z 3 sierpnia 1944 r. w czasie którego gen. Wilson poruszył możliwość przesunięcia 2 Korpusu. Ta druga rozmowa odbyła się bez świadków.

suje się to szczególnie w wypadkach kiedy duża ilość osób cywilnych może być wciągnięta w taką akcję. Gdyby nawet udało się wyrzucić Niemców z Warszawy, co w sprzyjających warunkach może i było wykonalne, to co dalej? Walczyć z Sowietami bez żadnych szans zwycięstwa?

Siemaszko: — Jestem niezmiernie wdzięczny Panu Generałowi za tę rozmowę, ale już chyba trzeba kończyć.

Gen. Anders: — Tak, trzeba kończyć, bo gen. Kopański czeka. (Adiutant już dwukrotnie meldował gen. Kopańskiego).

Siemaszko: — Szkoda jednak, że Pan Generał nie zgadza się na potraktowanie tej rozmowy jako wywiadu. Może jednak ze względu na wartość historyczną wypowiedzi Pana Generała dałoby się tę rozmowę w jakiś sposób upamiętnić?

Gen. Anders: — Niestety, na wywiad nie mogę się zgodzić, bo jakbym zaczął udzielać wywiady, to obsiedliby mnie tu jak kruki. Na jedno natomiast wyrażam zgodę, a mianowicie, gdyby Pan pisał na któryś z tematów dziś poruszonych, to może Pan powiedzieć: — „O ile mi wiadomo gen. Anders ma na ten temat takie a takie zdanie". Poza tym, ta dzisiejsza rozmowa była bardzo ogólna. Jeżeli kiedyś w przyszłości interesowałoby Pana jakieś konkretne zagadnienie, to proszę się zgłosić, sprowadzilibyśmy płk. Bąkiewicza, a może jeszcze kogoś spośród tych którzy pamiętają i rozgryźlibyśmy daną sprawę szczegółowo.

Siemaszko: — Dziękuję bardzo Panu Generałowi. Na zakończenie chciałem podkreślić, iż uważam tę dzisiejszą rozmowę za zaszczyt.

◆

Niestety, już nie zdążyłem skorzystać z możliwości dalszych rozmów.

Sądzę, iż z chwilą odejścia Generała z tego świata wolno mi opublikować notatki z rozmowy która się odbyła, gdyż już nikt nie będzie napastował Generała o dalsze wywiady.

Mam nadzieję, że publikacja tych notatek przyczyni się chociaż w małym stopniu do uczczenia pamięci gen. Andersa.

Z. S. SIEMASZKO

Londyn, czerwiec 1970 r.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowo-europejskich, wychodzą regularnie od 8-miu lat, dwa razy do roku. Napływ materiałów oraz zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby przekształcić *Zeszyty Historyczne* z początkiem 1971 roku na kwartalnik. Ażeby to zrealizować trzeba nam 1500 *nowych* prenumeratorów.

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* jako kwartalnika wynosiłaby: F. 60 (dol. 12; £. 5.00.00). Prenumeratorzy *Kultury* nadal będą korzystali z 25 % zniżki.

O tym czy projekt nasz będzie mógł być zrealizowany i czy *Zeszyty Historyczne* od przyszłego roku ukazywać się będą jako kwartalnik — poinformujemy Czytelników na łamach *Kultury* w numerze grudniowym.

ANTOLOGIA «KULTURY»

w języku angielskim

TOM I. — EXPLORATIONS IN FREEDOM

Prose, Narrative and poetry from *Kultura:* J. Wittlin, St. Vincenz, K. Wierzyński, G. Herling-Grudziński, W. Gombrowicz, W. Iwaniuk, A. Iwańska, A. Bobkowski, Z. Haupt, J. Łobodowski, Cz. Miłosz, J. Czapski, A. Remizow, I. Iwanow, A. Siniawski, J. Daniel, I. Zwieriew, J. Brodski, L. Lipski, J. Mackiewicz, A. Czerniawski, T. Nowakowski, I. Örkeny, B. Czaykowski, P. Guzy, T. Staliński, L. Tyrmand.

Str. 472. Cena dol. 8,95.

TOM II. — KULTURA ESSAYS

P. Hostowiec (J. Stempowski), Al. Hertz, Vl. Slikova, A. Stawar, Al. Wat, B. Miedziński, Zb. Jordan, G. Gömöri, G. Herling-Grudziński, J. Ławrynenko, K. A. Jeleński, J. Czapski, G. I. Flemming, J. Mieroszewski.

Str. 368. Cena dol. 9,95.

Wydana przez The Free Press (A Division of The Macmillan Comp.) New York — in Cooperation with the State University of New York at Albany.

NAJLEPSZY PREZENT DLA WASZYCH PRZYJACIÓŁ ANGLOSASKICH. PROSIMY O DOPILNOWANIE BY ANTOLOGIA BYŁA W BIBLIOTECE UNIWERSYTECKIEJ CZY MIEJSKIEJ NA WASZYM TERENIE.

Kim jest Gombrowicz?

Wieszcz

Malownicze a jednak przykre widowisko ukazało się naszym oczom po śmierci Gombrowicza. Wszechwładna Forma obyczajowa uniosła jego niecielesne resztki, zakręciła nimi i porwała w tę dal, którą zamieszkują geniusze niegdysiejszych czasów. Jeżeli i ja, pisząc o nim nieco liryczny nekrolog, przyczyniłem się do tego, czym prędzej muszę niewoli Formy przeciwdziałać. Rodzime tradycje święciły bowiem tutaj zbyt już jawny tryumf. Za życia błazen, po śmierci król-duch, jako że ogromne na królów-duchów zapotrzebowanie. Za życia wariatuńcio, pyszałek, snob, arogant, po śmierci natomiast rozlega się głos profesora Pimko, przewodnika chóru: „Dlaczego powinniśmy kochać Witolda Gombrowicza?" i pada chóralna odpowiedź: „Bo wieszczem był". Ta wyśmiana niegdyś przez Gombrowicza gra w wieszcza narzuca swoje niezmienne, od dawna ustalone, prawa. Zdawałoby się, że jeżeli ktoś zostawi po sobie wybitne dzieło, to dosyć, ale gdzież tam. Wieszcz musi być postacią świetlaną, wspaniałą, heroiczną, a jeżeli miał krzywą łopatkę, to się ją umiejętnie ukryje wznosząc pomnik. I na odwrót, ci co próbują podać w wątpliwość jego pozycję wieszcza, nie dziełem się zajmą, ale szczegółami biografii. Boy kiedyś prowadził kampanię przeciwko „brązownikom", o tyle pouczającą, że zupełnie bezskuteczną. Gdyby żył dłużej, przekonałby się, że brązownicza działalność zyskała na sile, jeżeli nie na uroku, kiedy przyłączyły się do niej rządy państw. Gdyż kilka lat temu w Polsce świeżo wydrukowaną książkę oddano na przemiał dlatego, że zawierała pewien niebohaterski dokument dotyczący wieszcza Adama. Następne wydanie ukazało się już bez tego dokumentu, który zapewne pozostanie zawodowym sekretem przekazywanym młodemu mickiewiczologowi przez starego mickiewiczologa na łożu śmierci. Czyż, pamiętając o sile

tego obyczaju, trzeba się dziwić, jeżeli, chcąc pomniejszyć niewygodnego pisarza Witolda, zagląda się w jego prywatne listy?

Szacunek dla Gombrowicza, dla wielkiej śmiałości jego ducha, nakazuje wyrwać go z tych zaiste żałosnych pośmiertnych tarapatów. Można to zrobić tylko przypominając jak bardzo jego pisma są niepokojące, wyzywające, enigmatyczne, jak wiele w nich zagadek niemożliwych do rozwikłania, jak mało w nich brązu na własny pomnik autora, który przecie otwarcie tyle razy mówił, że buduje na własnej słabości. Kto wie, czy nie wypadnie przy tym opowiedzieć się chwilami raczej po stronie tych, co zawsze przyznawali się, że Gombrowicza nie rozumieją, niż po stronie pojętnych, zapewniających, że wszystko u niego jasne. Bo Gombrowicz dotknął spraw dla nas, w tym stuleciu, a może w ogóle, niezrozumiałych.

Dygresja

Nie jest dzisiaj popularna ocena dzieł literackich w zależności od tego czy są pożyteczne czy szkodliwe dla duszy. A jednak odpowiedzialność za ten kurs polskiej literatury współczesnej, wyjątkowo, trzeba przyznać, jadowitej, jakoś mnie gnębiła. Albowiem lektura utworów Witkacego, Gombrowicza, Mrożka, Borowskiego, Andrzejewskiego, Różewicza nie może młodych ludzi usposobić przychylnie do świata. Dlatego też, przyszedłszy w Berkeley pewnego marcowego poranka 1970 na egzamin, doradziłem studentom, zanim rozdałem tematy, że powinni przeczytać, jako antidotum, książkę wiedeńskiego psychiatry Wiktora Frankla *Man's search for meaning*. Wyjaśniłem im też krótko, że w pierwszej części znajdą opis przeżyć autora jako więźnia w Oświęcimiu, potwierdzający to co znają z Borowskiego, w drugiej wykład podstaw tzw. logoterapii. Po czym studenci pisali przez trzy godziny (wszystkie egzaminy są piśmienne), głównie o Gombrowiczu[1]. Bardzo pojętni są ci młodzi Amerykanie, czytający go tylko w przekładzie (byli to prawie wyłącznie studenci anglistyki i CompLit czyli komparatystyki). Za oknem słońce kalifornijskiej wiosny. Ogromne bose stopy młodzieńca w pierwszym rzędzie czerniały zdeptaną i zrogowaciałą skórą. Długowłose dziewczyny w portkach drapały się, pisząc, w tyłki i w pięty. Ludzie różnie wyobrażają sobie tzw. uczenie literatury. Ale Dostojewskiego pod koniec życia obchodziło tylko jedno: czy „prawda jest za mną". Na dobry ład posiedzenia ze studentami nie powinny być niczym innym niż sesjami logoterapii czyli poszukiwaniem sensu. Ten

1. Tejże wiosny wykładał o Gombrowiczu w San Francisco State College wybitny poeta grecki Nanos Valoritis, emigrant z Grecji pułkowników.

sens nie może być przekazany i wmuszony, musi być odnajdywany przez każdego na własny, zgodny z własnym losem, użytek i wprowadzający zachowuje dużą wstrzemięźliwość, tyleż biorąc, co dając. „Gombrowicz był dla mnie największym odkryciem od czasu przeczytania Henry Millera i Annaïs Ninn", pisze studentka — to dobrze, nie znaczy to, że muszę być wielbicielem Millera. Dziewiętnastolatek pisze o „politycznych implikacjach *Kosmosu* Gombrowicza", widząc, zwłaszcza w postaci pana Leona, szaleństwo wyobraźni, na jaką skazuje dziś pojedynczego człowieka strukturalna sztywność technicznych społeczeństw. „Ze zgrozą zabieram się do obnażenia intelektualnych treści dzieła, które jest tańcem", pisze inny. Od dawna spotykam się z takimi różnymi interpretacjami. W sprzedawanym niegdyś na kiermaszach sennika egipskim pod „Szkołę śnić" stało: „śmiertelne nudy i strata zdrowia". Ale niekiedy, z rzadka (przy zbiegu pomyślnych warunków) sala szkolna bywa też miejscem gdzie wzajemnie wpływają na siebie kształcący i kształcony, odsłaniającej się obecności, dobrowolnie przyjętych obrzędów „między-ludzkiego kościoła". Ta dygresja o kalifornijskim poranku nie będzie bezużyteczna. Powróci też nazwisko wiedeńskiego doktora Frankla.

We dworze

Gombrowicz był paniczem z polskiego dworu w okresie historycznym obracającym „normalność" tej instytucji we wstyd i śmieszność. Zresztą można podziwiać jak długo w Polsce dwór zachował czcigodnie-rzewny koloryt najbardziej zakorzenionego w rodzimych tradycjach środowiska. Przecie to u progu dwudziestego wieku Sienkiewicz pisze *Rodzinę Połanieckich*, w dwudziestym wieku powstają powieści Weyssenhoffa i innych piewców szlacheckiego gniazda. Lewicowe ataki na klasę posiadaczy, właścicieli majątków, nie trafiały w sedno. Bo przecie nie chodziło tylko o to, że fabryki rolne, wiodące byt nieprzerwany w ciągu wieków, od czasu powstania gospodarki folwarcznej, ciągnęły zyski z ludzkiej pracy. Wyzysk człowieka, zależność słabych od silnych, mają twardy żywot i nie nam dzisiaj przemawiać w imieniu społeczeństwa sprawiedliwego. Ale dwór celebrował co dzień podział na ludzi gromadzących się w swojej sali jadalnej czy bawialnej z widokiem na gazon, i podludzi, Kalibanów uwijających się na polach i w kuchni, a ten podział był przez bukoliczną tkliwość polskiej kultury przesłonięty. Duch historii długo obchodził się co prawda dobrze z tym układem. Dotychczas nie zastanawiamy się nad istotami, dzięki pracy których odbywały się tak urocze uczty w Soplicowie. Była też chyba szczególna przy-

czyna tego przesłonięcia, symbolicznie wyrażonego przez trawnik, sad, ogród warzywny, za którym dopiero kryły się pomieszkania służby. Oto dwór odtwarzał na najniższym szczeblu ogólny wzór obowiązujący na wszystkich szczeblach. Gdyż służba nie tylko musiała na panów pracować, jej zależność zmuszała ją do czapkowań, szczerzenia zębów w udanej życzliwości, a dziewki do chętliwych chichotów za uszczypnięciem przez władcę. Nieco wyżej szlachetka czapkował i podlizywał się panu na wielu włókach, ten znów pochlebstwami zabiegał o względy magnata. Wzór ten zdaje się być niezniszczalny, jako że został przekazany biurokracji, o czym mogli się przekonać petenci polskich urzędów zarówno przed wojną jak po wojnie: mizdrzenie się wobec tych, od których się zależy, obojętność dla losu tych, co zależą od nas.

Przygoda Gombrowicza tak, w skrócie, wyglądała: ja, Witold Gombrowicz, jestem człowiekiem i sobą, ale nie pozwalają mi być człowiekiem i sobą, bo zostałem zaklasyfikowany. Jestem panicz Witold, należę do wyższych i niżsi nie traktują mnie jako mnie samego, ale jako panicza. W wyznaniach o zabawach z fornalskimi dziećmi i o urzeczeniu izbą czeladną jest klucz do całej gombrowiczowskiej filozofii. Nie on jeden oczywiście wyniósł z dzieciństwa ten wstyd narzuconego stroju, gestu i obyczaju. Inni jednak wybierali po prostu ucieczkę ze dworu i zatarcie śladów. Gombrowicz miał umysł niepodległy i wcześnie doszedł do wniosku, że jeżeli ktoś jest garbaty, na nic nie zda się udawać, że garbu nie ma, że, przeciwnie, mówiąc o sobie jako garbatym odzyskuje swoje niegarbate człowieczeństwo. Tę metodę przeniósł później na rozprawę z innym (czy tym samym?) garbem polskości. Wszystkie jego książki poruszają się na tej osi jaka łączy niższość i wyższość we wzajemnie warunkującą się całość. Chłopi stojący z odkrytymi głowami na deszczu przed gankiem dworu „pompują" wyższością pana, który przemawia do nich stojąc w kapeluszu i pod parasolem. Pan jest tak długo panem, jak długo dzieli go od chama fizyczny dystans. Dotknięty przez chama, traci swoją pańskość, błękitną krew, która nagle z niego wycieka. To przeciwstawienie Gombrowicz wzbogacił następnie innymi parami przeciwieństw: dojrzałość — niedojrzałość, brzydota starości i uroda młodości, ojczyzna-synczyzna, oraz grą pomiędzy nimi. Bo wyższe, przygniecione przez swój fałsz, fałsz Formy, tęskni do niższego, tak jak niższe chce stać się wyższym, dojrzałe marzy o tym żeby odnowić się przez niedojrzałość, tak jak niedojrzałe, nieświadomie, pragnie dojrzałemu się poddać, młodzieniec naśladuje gesty dorosłego ale dorosły, świadomy swoich zmarszczek, uwielbia młodzieńca. Panicz w sali bawialnej wśród dorosłych, brzydkich, dojrzałych i reprezentujących ojczyznę myśli o chłopcach z izby czeladnej i czworaków, o niższości, o synczyźnie.

A nawet artysta, świadomy, że Forma usztywnia go i wydziedicza z nieokreślonej możliwości (bo jest wyborem) czuje tęsknotę do tandety, do szmiry, do wszystkiego co „nieartystyczne", głupkowate ale żywe.

Przypowieści filozoficzne Gombrowicza (a tym jest cała jego twórczość) mają za teren akcji dwór i karczmę, czy też dwór zagrożony przez burdę karczemną, która go obnaża i weryfikuje. Dowiedzie tego krótki przegląd.

Ferdydurke. Szkoła i mieszkanie państwa Młodziaków są niejako wstępem do ucieczki w prawdziwą Polskę, z jej podziałem na gnębioną wieś i wzgardliwe miasto, tudzież z jej dworem czyli podziałem na panów i służbę.

Iwona, księżniczka Burgunda. Dwór pod postacią bajkowego dworu królewskiego.

Ślub. Henryk widzi we śnie swój rodzinny dwór przekształcony w karczmę, swoją narzeczoną w dziewkę do wszystkiego. Metafora Polski w ogóle? Albo dwór albo karczma?

Trans-Atlantyk. Poselstwo jako dwór. Pyckal, Baron, Ciumkała jako postacie z karczmy. Estancia Gonzaleza jako dokładny odpowiednik polskiego dworu. Kulig.

Pornografia. Polski dwór podczas niemieckiej okupacji. Ci, co twierdzą, że tło jest „nierealistyczne" (nie mówię o wątkach akcji, te mają inny cel) składają dowód, że na wsi w latach wojny nigdy nie bywali.

Kosmos. Pensjonat w Zakopanem, ale przecie zasadnicze znaczenie ma piknik, jak najbardziej majówka towarzystwa ze dworu.

Operetka. Pałac Himalaj w przede dniu i podczas rewolucji, ale jest to rewolucja lokai. Czyli rewolucja tak jak ją widzą panowie we dworze, tj. bunt służby, chamów. W pierwszym akcie lokaje liżą (nie przenośnie!) buty panom.

Do tego trzeba dodać opowiadania, przede wszystkim *Ucztę u hrabiny Kotłubaj,* gdzie wytworne towarzystwo spożywa ciało Kalafiora, dziecka bezrolnych chłopów.

Między-ludzkie

Gombrowicz żył w epoce która ani ilościowo ani jakościowo nie przypomina żadnej z dotychczasowych i wyróżnia się przez powszechność wypadków „zarażania się" i masowym i indywidualnym obłędem. Jego polski posag mógłby był być, jak był dla wielu, obciążeniem, ponieważ jednak, zamiast przyjmować go nieświadomie, na nim zogniskował uwagę, ten posag stał się najcenniejszym jego atutem. Porównanie Gombrowicza z autorami

zachodnimi, np. z Sartre'm, ujawniłoby u tych ostatnich ubóstwo historycznie-obyczajowych doświadczeń, ubóstwo nadrabiane teorią. Polski szlachcic był tu lepiej przygotowany. Wysiłek Gombrowicza zmierzał do uleczenia siebie, a bywa to bardziej skuteczne niż uleczyć świat-abstrakcję. Dzieło jego, zestawione z prawie wszystkimi książkami jego zachodnich współzawodników, uderza trzeźwością, klasyczną powściągliwością i ładem języka. Tenże zresztą Sartre, w wywiadzie udzielonym pismu *The New Left Review*, wyraził przypuszczenie, że powieść „naiwna" jest już niemożliwa (znamy to) i że model przyszłej powieści „analitycznej" dał Gombrowicz, układając swoje powieści jako samoniszczące się „machiny piekielne".

Tzw. „wartości estetyczne" nie powinny nas tutaj zbytnio obchodzić. Oczywiście, że artysta-rzemieślnik musi umieć kłaść farby jak należy, ale o tym, czym sam jest, przesądza co innego: czy „prawda jest za nim". Zapewne, sprowadzanie utworów Gombrowicza do ich myślowego szkieletu byłoby nieprzystojne, skoro umysł jego, jak umysł każdego prawdziwego pisarza, i prowadził i był prowadzony przez to, co samo tworzyło się pod jego piórem. Niemniej dzieło jego wysuwa pod adresem współczesnych pewne propozycje i niektóre z nich można wyłowić, pamiętając ciągle, że „rozumienie" wielu tego dzieła składników, dla autora też niezbyt jasnych, będzie zawsze niekompletne.

Ja, urodzony choć o to nie prosiłem, rzucony w świat, nie mam żadnych podstaw do tego żeby orzekać, że cokolwiek poza moim „ja" istnieje. Dostępne mi są tylko dane mego umysłu (Gombrowicz zawsze uparcie powtarzał: Descartes, Kant, Husserl). Nie mam też żadnych podstaw aby orzekać o istnieniu jakiejkolwiek obiektywnej zasady kosmosu, jakichkolwiek „praw", nawet prawa przyczynowości. Ale to co, zdawałoby się, jest naprawdę moje, nie jest moje, bo jestem wplątany w ludzi, przez nich urabiany bez ustanku, jedyną rzeczywistością jest rzeczywistość między-ludzka, ludzie ciągle tworzą siebie wzajemnie, tylko człowiek może być człowiekowi bogiem. Ja, Gombrowicz, panicz i polski literat, staram się być „sobą" przeciwko maskom jakie nakłada na mnie moja pańskość i polska historyczna tradycja, ale i przez to już, pokonując zastaną Formę, nie jestem całkowicie „sobą", bo każdy akt rebelii rodzi nową Formę.

Ze swoich utworów Gombrowicz najwyżej cenił *Ślub*. W tej nowej wersji *Hamleta* wszystko dzieje się we śnie, a cóż jest bardziej „wewnątrz umysłu" niż sen? Henryk cały czas ma świadomość, że śni, ale świadomość jest zupełnie bezsilna, nie może niczemu zapobiec, Henryk uczestniczy w działaniach czy raczej jest działany przez innych i cokolwiek ma się dopełnić, dopełnia się. Ta świadomość, że cokolwiek robię jest nonsensem a jednak nie mogę postępować inaczej, bo zmusza mnie do tego rzeczywistość między-ludzka w jakiej się znalazłem (co gorsza, rezydująca w mojej głowie) — oto sama treść dwudziestowiecznego rozdwojenia, wspólna codziennemu życiu w cywilizacji technicznej, udziałowi w ruchach masowych i ustanawianiu terroru. Bo ilość sadystów wśród strażników więzień i obozów koncentracyjnych jest ograniczona, większość to po prostu biurokraci. Również *Kosmos* można interpretować jako stopniowe zejście w sen. Umysł trzymający się jawy broni się: budować system poszlak ponieważ zobaczyło się wróbla wiszącego na drucie, cóż za absurd. Ale wystarczy postawić pierwszy krok w tym kierunku, a poszlaki mnożą się i układają się w system niepozbawiony swoistej logiki, powodujący dotykalne następstwa. Tak na przykład skierowawszy raz uwagę ku Żydom czy trockistom znajdzie się mnóstwo poszlak wskazujących, że to oni są przyczyną wszelkiego zła. „Poszlakowa" skłonność umysłu zmienia prawo przyczyn i skutków w kpinę, i narzuca sen, z którego nie można się obudzić.

Propozycje Gombrowicza są więc na miarę niebywałego dotąd w historii ludzkiego zagęszczenia, ciągłego nacisku ludzi na ludzi, rzeklibyśmy, incestu, skoro ten oznacza niemożność innych stosunków niż z bliskimi krewnymi. Gdzież więc jakiekolwiek sam na sam z poza-ludzkim światem a choćby ze sobą? Religia? Ale człowiek jeżeli nie wierzy w Boga, to p r z e c i w k o tym, co w niego wierzą, natomiast, jeżeli wierzy w Boga, to p r z e c i w k o tym, co w niego nie wierzą. Katolicka matrona w *Pornografii* umierając patrzy nie na krzyż, ale na ateistę Fryderyka, j e m u chcąc dowieść, że można wierzyć, o n jest jej bogiem. Zwracając się ku niedostępnej nam „rzeczywistości" nosimy bowiem zawsze w głowie jedynie obrazy ludzkich twarzy.

Słusznie jeden z moich studentów napisał, że w pesymizmie Gombrowicz poszedł dalej niż Witkacy. U Witkacego są przynajmniej Istnienia Poszczególne, monady porażone zdumieniem wobec samego faktu, jaki określa czasownik „istnieć", i każda z tych monad zawiera nienaruszalne „ja". Niwelacja społeczna, jakiej Witkacy się obawiał (wziął to chyba od Leontjewa, choć wolał powoływać się na znacznie późniejszego Spenglera) stanowiła zagrożenie niejako zewnętrzne, nie tak jak u Gombrowicza, gdzie człowiek wszczepia się w człowieka z samej natury społecznego obcowania, przez co „ja" staje się nieosiągalne i iluzoryczne.

Wiek dwudziesty Gombrowicza potwierdza. Nic bardziej przygnębiającego, niż widok ludzi, którym wydaje się, że idą za zbiorowymi maniami z samych siebie, że nawiedzeni zostali przez ich własną, najwłaśniejszą rewelację, podczas kiedy zupełna ich, małpia, zależność od propagandy i reklamy dałaby się obliczyć przy pomocy udoskonalonych komputerów. Zgęszczający ludzkość

obóz koncetracyjny jest wzorcem i sprawdzianem naszej pięknej epoki. Tam też odbywa się w ostatecznej i granicznej postaci gra wzajemnej zależności pana i niewolnika, jaka ciągle powtarza się u Gombrowicza. Ale jeżeli wiek dwudziesty potwierdza autora *Ślubu,* to nie całkowicie. Dr Wiktor Frankl, psychiatra, który przeszedł przez Oświęcim, nie pomija bynajmniej straszliwego rytuału, jakiemu podlegali, zdawałoby się bez reszty, kaci i ofiary. A jednak, jego zdaniem, wolność i tam była możliwa, a polegała na tym, że niektórzy umieli nadać sens swemu cierpieniu. Dla niego, psychiatry, moment zwrotny nastąpił wtedy, kiedy dostawszy pasiaki po współwięźniu który poszedł do komina, znalazł w kieszeni stronicę wyrwaną z hebrajskiego modlitewnika, z modlitwą *Szema Izrael.* Jest to modlitwa pełnej zgody na wszystko co dostaje się z ręki Boga. Gdzie tu sens? Jak to już zdarzyło się Hiobowi, jest on przesunięty: ja sensu nie znam, dlatego że boskich wyroków nie mogę pojąć, ale ten sens istnieje p o z a moją świadomością. Powstaje tu pytanie, czy więzień do końca był tak przez ludzi w swoim umyśle owładnięty, że p r z e c i w k o n i m hebrajską stronicę zachował, czy nastąpiło tu jakieś prawdziwe sam na sam? Dr Frankl jest przekonany, że to drugie. Jeżeli natomiast przyjmiemy założenie Gombrowicza i będziemy dociskać je do skrajnych konsekwencji, sam Gombrowicz-twórca przestaje być zrozumiały, bo jego dążenie do autentyczności, jego walka z Formą ukażą się jako „nie więcej niż" wypadkowa nacisków ludzi na ludzi. Tę sprzeczność Gombrowicz w *Rozmowach z Dominikiem de Roux* przyznaje, zarazem mówiąc z naciskiem: „Sztuka rodzi się ze sprzeczności".

B e z d o t y k u

Dzieło Gombrowicza, jak na wiek dwudziesty, jest unikatem, bo nie ma w nim ani jednego opisu kopulacji. Przypisać to należy jego gustom wybrednym, klasycznym, i pogardzie dla mody. Zauważmy jednak, że nie ma w nim też d o t y k u. Ludzie dotykają ludzi wyłącznie żeby siebie władzą napompować, dotkniętych umniejszyć („dutknięcie" palcem, „wrzepienie" ostrogi, włożenie palca w usta wisielca, cios nożem). O „byciu dotkniętą" marzy Albertynka w *Operetce,* ale to złodziejaszek dotknął ją dobierając się do jej sakiewki. Tak więc bez ustanku w tłumie, bez ustanku wystawieni jedni na drugich, ludzie są pozbawieni kontaktu ze sobą, poza kontaktem dominowania. Stosuje się to zarówno do ich ciał, jak dusz. Otóż Gombrowicz, podając w wątpliwość istnienie czegokolwiek poza danymi naszej świadomości, nie wątpił o jednym: o bólu, i ten c u d z y ból przywracał

światu realność. Cóż jednak, jaką pociechę, może mieć człowiek zamknięty w swoim bólu, jeżeli jego bliźni albo go dominuje albo jest przez niego dominowany a s p o t k a n i e s i ę nigdy nie następuje? Ani pomiędzy postaciami w obrębie powieści czy dramatu, ani pomiędzy postaciami i autorem. Przez spotkanie się rozumiem np. sposób w jaki Sołżenicyn odnosi się do starej kobiety w *Domu Matriony.* Czytając niektóre stronice Sołżenicyna (i nie przeceniając jego roli, skoro reprezentuje w swoim kraju znikomą, bezsilną mniejszość) porównywałem go z dzisiejszymi pisarzami francuskimi. Nie wiadomo dlaczego przypomniało mi się wtedy powiedzenie sowieckiego żołnierzyka: *Francuzy w szełkach, no wojnu proigrali* — Francuzi w jedwabiach ale wojnę przegrali. Bo jeżeli dehumanizacja literatury i sztuki jest dzisiaj przedmiotem wyścigu, Francuzi, w jedwabiach stylu (czyli zajęci tym jak się mówi, nie co się mówi) są niedalecy palmy pierwszeństwa. Smętna to palma i pojawienie się nawet jednego takiego pisarza jak Sołżenicyn okrywa ich hańbą. Gombrowicz jest od nich inny, a swoją odrębność przypisywał wrażliwości na ból, co chroniło go od szałów pisarstwa poczętego ze strukturalistycznej teorii. Był to jednak użytek niejako negatywny, bo z tą swoją wrażliwością, poza niektórymi stronicami *Dziennika,* nic artystycznie nie umiał zrobić. U Dostojewskiego przekleństwem i męką Stawrogina jest jego zupełna samotność i, zaiste, coś ze Stawrogina musiało być w Witkacym, jeżeli wszystkie postacie jego powieści i dramatów są monadami bez okien. Trykają się zaciekle, ale w tym ich panseksualizmie brak Erosa i *agapè.* Pod tym względem Gombrowicz jest do Witkacego podobny, z tą różnicą, że sex, u tamtego naładowany kosmiczną grozą, jest u autora *Ślubu* metaforą związków feudalnego władztwa i poddaństwa, niszczących samoistność ludzkiej monady. Być może nie zasługujemy na innych pisarzy niż kalekich. Kalectwo zawsze jednak powinno być nazwane kalectwem.

It's all in your mind

Gombrowicza nie jest tak znów trudno wyjaśniać młodym Amerykanom, bo jedną z najczęściej powtarzanych przez nich sentencji jest: *It's all in your mind* czyli: „Wszystko to jest tworem twego umysłu". Tak oto kilkowiekowe kłopoty filozofów dowodzących, że nie możemy nic orzec o istnieniu obiektywnego świata, trafiły wreszcie pod strzechy czy raczej obfito-włose grzywy. Tu zresztą jest powód dzisiejszych sukcesów hinduizmu i buddyzmu, religii a-teistycznych, w których brak przeciwstawienia Stwórca-wszechświat, a także przeciwstawienia podmiot-przed-

miot. Gdyż ogniwa łączące tę filozofię, jakiej hołdował też Gombrowicz, z podatnością na wpływy Wschodu istnieją, choć bardzo by się oburzył, on, tak uparty w swoim przywiązaniu do Zachodniej Europy. Jakkolwiek przykro jest wymądrzać się, trzeba tu, niestety, zacytować C. G. Junga, choć język jego uczony a więc niełądny: „Psychiczna egzystencja jest jedyną kategorią egzystencji o jakiej posiadamy *bezpośrednią* wiedzę, bo nic nie jest nam znane zanim nie pojawi się najpierw jako psychiczny obraz. Tylko psychiczna egzystencja jest bezpośrednio sprawdzalna. W tej mierze w jakiej świat nie przybiera postaci psychicznego obrazu, jest właściwie nie-istniejący. Jest to fakt, którego, z rzadkimi wyjątkami — jak na przykład filozofia Schopenhauera — Zachód jeszcze w pełni sobie nie uświadomił. Ale na Schopenhauera wpłynął buddyzm i Upaniszady".

Przyznaję się, że mądrość Wschodu nie jest dla mnie dostępna, a na swoją obronę mogę powołać się na tegoż Junga, który zapewnia, że umysł zachodni, próbując sedno tej mądrości uchwycić, natyka się na niepokonalne trudności i jeżeli wydaje mu się, że już uchwycił, łudzi się. Stąd też tylu młodych Amerykanów pada ofiarą mętnego synkretyzmu. Wprowadzenie Wschodu jest tutaj o tyle celowe, że ciągła jego obecność, zwłaszcza w Kalifornii, podkreśla pewne cechy Gombrowicza, mocą kontrastu.

Wnętrze umysłu... Wiadomą jest rzeczą, że ludzie cierpiący na manię prześladowczą najniewinniejsze gesty, słowa, spojrzenia odczytują jako dowody wymierzonego przeciwko nim spisku. Potocznie mówimy wtedy o zakłóceniu poczucia rzeczywistości, zakładając, że jest jakaś rzeczywistość, którą ich umysł odbiera fałszywie. Ale jeżeli wysunie się podejrzenie, że różnica pomiędzy człowiekiem „normalnym" i paranoikiem jest różnicą stopnia czy kierunku, że umysł jest zawsze sobie tylko zostawiony (to stanowi istotę *Kosmosu*), co wtedy? Lekarstwem jakie stosował Gombrowicz było jak największe wyostrzenie świadomości i spotęgowanie e g o. *„Ja* myślę, więc jestem". Umysł jego jest tak skrajnie zachodni jak to tylko można sobie życzyć. Otóż buddysta, wychodząc z podobnych założeń — dla niego tzw. rzeczywistość jak i bogowie to projekcje umysłu — orzeknie, że kto chce uratować siebie wyostrzając świadomość i potęgując e g o, jest szaleńcem, bo skazuje siebie na złudzenia fabrykowane przez e g o i wplata się w koło udręki. Wyzwolenie do jakiego dąży buddysta nie ma nic wspólnego ze świadomością wyostrzoną i właśnie ten „inny wymiar", w który wkracza się przez zabicie e g o, jest nam, wychowanym w innej tradycji, po prostu zabroniony — chyba że udajemy wiedzę o czymś, o czym nie mamy pojęcia.

Tyle tu wątków, że muszę się ograniczyć, bo nie piszę żadnego specjalistycznego traktatu, wymagającego suchych terminów i długich zdań, tam tylko pożytecznych, gdzie płacą od wiersza. Chcę jedynie zwrócić uwagę na złożoność jaka kryje się pod pozornie oczywistymi przypowieściami Gombrowicza.

W tradycji judeo-chrześcijańskiej „ja myślące" znajdowało sposoby żeby zwracać się przeciw sobie i zgłaszać wobec siebie votum nieufności. Pojęcie grzechu jest tożsame z pojęciem *self-love*, ta miłość do siebie jest naszą naturą, stąd przeciwstawienie Natury i Łaski. Nowoczesna literatura kontynuuje niekiedy tę tradycję, żeby wziąć za przykład *Upadek* Camusa. Innym niż pojęcie grzechu sposobem jest podrywanie sobie gruntu pod nogami przez atak na rzekomą samodzielność „ja myślącego". Mnie się wydaje, że to co czuję i myślę jest moje ale naprawdę to wcale nie moje, bo jestem rządzony, determinowany (przez podświadomość, przynależność klasową etc.). Zabieg Gombrowicza jest podobny do zabiegu freudystów i marksistów, tym się różni, że oni ustalają związki przyczynowe sięgające w przeszłość (historia choroby, historia społeczeństw), natomiast on specjalizuje się w t e r a z tzn. w tej fantasmagorii, jaka tworzy się w umyśle przez jego wystawienie na między-ludzkie, przez ciągłe aktorstwo. Tutaj, obawiam się, jest punkt w którym przestaję Gombrowicza rozumieć. Kto wybija klin klinem czyli używa świadomości żeby odkryć co ją samą określa, szuka pewnego rodzaju „zbawienia". Ale jakie „zbawienie" (prawda, autentyczność) tam gdzie, jak u Gombrowicza, fantasmagoria jest nie do uniknięcia i Forma bez ustanku zalęga Formę? Kim jest np. demoniczny Fryderyk w *Pornografii?* Duchem, rzeklibyśmy, bezcielesnym, gdyby nie to, że jego brzydota dojrzałego mężczyzny, jego cierpienie z powodu b r a k u c i a ł a, narzucają mu rolę sprawcy, rajfura, który (przy pomocy poszlak) kojarzy parę szczeniaków, Karola i Henię, organizuje w wyobraźni cały spektakl i ten spektakl, z żądzy impotenta poczęty, z żądzy feudalnej władzy nad innymi zastępującej sex, usamodzielnia się, dyktuje swoje prawa, aż po trupy dodawane „dla smaku", dla symetrii, jak trup młodego Skuziaka.

Nie jest zadaniem literatury udzielać odpowiedzi, wystarczy jeżeli stawia ona pytania. Zapewne. Ale szuka odpowiedzi autor, bo gdyby nie szukał, nie zadawałby pytań, szuka też czytelnik. Książka leży między nimi jako dowód rzeczowy. Drwiąco-kaznodziejski zapał Gombrowicza, który nieraz występował jako nauczyciel mający ważne prawdy do obwieszczenia, upoważnia nas do wzięcia go za słowo. Z pisarzy najczęściej chyba wymieniał nazwiska Szekspira i Dostojewskiego. Otóż bardzo żałuję, że nie rozmawiałem z nim o Dostojewskim i nigdy już nie dowiem się, jak zachowałby się, gdyby usłyszał, że jest wiele zbieżności pomiędzy jego techniką pisarską, tudzież jego centralnym problemem i *Zapiskami z podziemia*. Bohater-narrator Dostojewskiego bun-

tuje się przeciwko swemu poddaństwu wobec ludzkich „rozsądnych" działań i celów, które zaprzeczają jego wolnej woli. Wybiera swoją nędzę istoty zdeptanej — ale niech to będzie nędza całkowicie siebie świadoma. I wyostrza swoją świadomość — ale ta ujawnia tylko jego beznadziejną zależność od ludzi, czyli dokładnie to, przeciwko czemu się buntował, zależność nawet od czytelnika, któremu wymyśla, którego kokietuje, wobec którego się puszy. *Zapiski z podziemia* pokazują oszalałe e g o, są dowodem negatywnym, przez *reductio ad absurdum*. Dla Dostojewskiego był to etap na drodze do postaci mnicha Zosimy i Aljoszy Karamazowa.

Możliwe jest jednak inne rozwiązanie: akt twórczy. Gombrowicz-twórca występuje jako świadomość do drugiej potęgi, jako rodzaj nad-Fryderyka, organizującego spektakle swoich utworów, „machin piekielnych". I niewątpliwie to mu się udało. Konstruowane przez niego dzieło służyło mu za gwiazdę przewodnią, jego samego konstruowało i skończył życie jako pan na swoich włościach. Tylko że niedaleko tu jesteśmy od manifestu Przybyszewskiego i „kapłaństwa sztuki". Czy sztuka „zbawia", nie podejmuję się orzekać. Dużo argumentów przemawia przeciwko niej, zwłaszcza teraz, kiedy samo jej pojęcie zdaje się rozwiewać. W każdym razie jej zbawcza moc ukazuje się tylko kiedy sztuka nie jest samej-sobie-wystarczająca, o czym zresztą Gombrowicz doskonale wiedział. „W literaturze, która na szczęście nie jest czystą sztuką, na szczęście jest więcej niż sztuką..." — powiada w *Rozmowach z Dominikiem de Roux*.

Aforyzm *It's all in your mind* wydaje mi się wątpliwy. Świat obiektywny ma prawdopodobnie swój własny ciężar i swoje prawa, do których należy też prawo współ-tworzenia się ludzi poprzez Formę. Nawet jeżeli dosięga nas ona zawsze od wewnątrz, zapalając fantasmagorie w naszym umyśle. Gombrowicz dawał pewne zalecenia pozytywne i nad nimi trzeba się zastanowić.

NAGOŚĆ

Odrzucam wszelki ład, wszelką ideę
Nie ufam żadnej abstrakcji, doktrynie
Nie wierzę ani w Boga, ani w Rozum!
Dość już tych Bogów! Dajcie mi człowieka!
Niech będzie, jak ja, mętny, niedojrzały
Nieukończony, ciemny i niejasny
Abym z nim tańczył! Bawił się! Z nim walczył
Przed nim udawał! Do niego się wdzięczył!
I jego gwałcił, w nim się kochał, na nim

Stwarzał się wciąż na nowo, nim rósł i tak rosnąc
Sam sobie dawał ślub w kościele ludzkim!
(Ślub)

Nagości wiecznie młoda witaj!
Młodości wiecznie naga witaj!
(Operetka)

Każdy akt wiary napotyka w nas na ciepły odzew, bo chcemy wierzyć. Kiedy jednak w zakończeniu *Nieboskiej Komedii* Krasińskiego ateista i rewolucjonista Pankracy widzi krzyż na niebie, woła: *Galileae, vicisti!* i umiera, wygląda to nie tyle na dialektykę, ile na dość rozpaczliwy chwyt literacki, mający podreperować z gruntu pesymistyczną treść dramatu. Przytoczone cytaty z Gombrowicza mają uzasadnienie w energii jaka promieniuje z jego dzieła. Pochwała człowieka nagiego i młodego jest zresztą zapewne najbardziej dostępnym dzisiaj aspektem jego twórczości, skoro modny znów stał się *noble sauvage* Rousseau. Przypuszczalnie ta pochwała spotkałaby się też z uznaniem owego psychiatry z Los Angeles, który do basenu z ciepłą wodą wpuszcza gromadę nagich mężczyzn i kobiet, zalecając żeby gładzili się, dotykali, obejmowali, tudzież zwracali się do siebie w języku niemowląt, przez co odzyskają niewinność (i seksualną potencję). Jednakże w utworach Gombrowicza nie można znaleźć przesłanek z których wynikałby optymistyczny wniosek o tryumfie młodości wiecznie nagiej. Zstąpienie w niedojrzałość, do jakiego zmusza trzydziestoletniego bohatera profesor Pimko w *Ferdydurke*, równa się odkryciu, że młodzieniaszkowie są całkowicie manipulowani przez dorosłych i to zarówno w swoim posłuszeństwie jak rebelii. Dwa stronnictwa w szkole, idealisty Syfona i sprośnika Miętusa wypełniają niejako przepisane z góry prawidło zachowania się podrostków. Racją bytu niegrzecznych brudasów są ulizani cnotliwcy i odwrotnie, tak jak w powiastce o filozofach syntetyk Filidor i analityk anty-Filidor są złączeni ze sobą nierozerwalnie i nie mogliby istnieć osobno, tak jak w ogóle u Gombrowicza wierzący w cośkolwiek potrzebują niewierzących, a niewierzący zawiśliby w pustce, gdyby nie było wierzących. Młodzi są tak samo uwięzieni przez prawo Formy jak dorośli i jedyne co da się powiedzieć na ich korzyść, to ich miękkość, plastyczność, tak że, w przeciwieństwie do starszych, są zawsze obietnicą — ale ich niewinne niespełnienie właśnie kusi starszych, którzy chcą nimi owładnąć, jak Henia i Karol kuszą Fryderyka w *Pornografii*.

Czymże jest więc Człowiek — wyzwolony z abstrakcji, doktryn, idei, młody, niedojrzały, na wszystko otwarty? W tej chwili przypomniało mi się, że przecież dawno, wiosną 1956 roku, sam

napisałem *Traktat poetycki,* w którym jest dość szczególny pomysł. Oto Miasto, Społeczeństwo, Stolica są tam pokonane przez widok dziewczyny w oknie jednej z ponurych czynszowych kamienic (dotychczas ją widzę z okna pociągu, w dymach koło dworca St. Lazare, jak w lustrze zakłada sobie papiloty), czyli ludzkiej istoty poszczególnej. I stąd konkluzja:

Ze ścian i luster, szkieł i malowideł,
Zasłony drąc ze srebra i bawełny,
Wychodzi człowiek, nagi i śmiertelny,
Gotów do prawdy, do mowy i skrzydeł.

Płacz Republiko! Wołaj: na kolana!
Megafonami próbuj swoich czarów.
Słuchaj — to idzie w tykaniu zegarów
Śmierć, jego ręką tobie już zadana.

Niestety, może w tych papilotach (małpiej zależności od mody) kryje się ziarenko ironii? Człowiek wyzwolony ze wszelkich więzów jest albo nigdy nie zrealizowanym projektem albo nicością, anty-człowiekiem. Dr Henryk Skolimowski w szkicu „Antynomie formy w sztuce współczesnej"[2] przeprowadza analogię pomiędzy (wyzwalającą) postawą błazna u Gombrowicza i (wyzwalającą) postawą błazna u Leszka Kołakowskiego. Zwróćmy jednak uwagę, że błazen Kołakowskiego jest nie mniej spleciony z kapłanem niż Filidor Gombrowicza z anty-Filidorem. Gdyby nie było kapłana, nie byłoby i błazna. Tak samo w swoim monumentalnym tomie o chrześcijaństwie XVII wieku Kołakowski świadomość religijną przeciwstawia więzi kościelnej, ale ta świadomość żywi się niejako, negatywnie, więzią kościelną i w niej z kolei zastyga, po to żeby znów przeciw niej się zwrócić.

Albertynka w *Operetce* (dziewczyna-chłopiec, patrz Albertine u Marcela Prousta) marzy o nagości, natomiast Szarm i Firulet (dorośli, społeczeństwo) zaciekle okrywają jej ciało kosztownymi strojami. Po rewolucji, kiedy wszystko jest chaosem i przebieraniem się w mizerne resztki dawnych kostiumów, Albertynka, choć podobno umarła, wychodzi z trumny zwycięska, radosna. „Młodości wiecznie naga witaj!". Hehe, powiada na to diabeł, przeglądając inne książki Gombrowicza. Z jego miny należy wnioskować, że zaraz ubiorą ją, oj ubiorą, i to znacznie skuteczniej niż umiały to zrobić dwa głuptasy, hrabia Szarm i baron Firulet.

Wolno zaryzykować tezę, że powodem rozgłosu kilku polskich autorów na Zachodzie jest nieporozumienie. Nie znaczy to, że na

2. „Tematy" Nr 31-32, 1969.

rozgłos nie zasługują, ale za co innego ich się ceni, niż cenić się powinno. Rozbierać można tylko osobę ubraną, błaznem można być tylko wobec kapłana. Ale świat zachodni rozebrał się z Boga, z ojczyzny, z moralności wiktoriańskiej, z Rozumu, nawet ze zwyczajnych zasad przyzwoitości. Jest to rodzina Stomilów z *Tanga* Mrożka. Kiedy jednak dokona się już tej pięknej operacji, zostaje nagość życia, zaiste niemiła do oglądania, bo imię jej jest nic, *nada.* Dlatego też świat zachodni przeżywa teraz tęsknotę do szat, do rytuału, do nowego kapłaństwa czyli do zasad, które by upoważniały do zabijania innych w przekonaniu, że czyni się dobrze. Co do intelektualistów francuskich z jakimi stykał się Gombrowicz, to są oni w sytuacji o tyle dla nich pomyślnej, że od pokoleń mają wprawę w rozbieraniu się bez rozbierania, w jakobińsko-śniadaniowym rytuale. Czyż Gombrowicz nie notuje w *Dzienniku,* że kiedy raz na paryskim *dîner* zaczął zdejmować spodnie, uciekali drzwiami i oknami?

Nie rozprawa z nimi jednak przesądziła o dziele Gombrowicza. Przesądził opór wobec polskiego obyczaju, wobec tradycji i przez tę tradycję uświęconych absolutów. Potęga ich, ich zakorzenienie w historii, ich zdolność do odradzania się w doktrynach i abstrakcjach, pozostaną czymś niepojętym dla cudzoziemca. I oto Gombrowicz, rozluźniając te więzy, anty-Filidor, którego racją bytu jest polski Filidor, przychodzi do cudzoziemskiego czytelnika cierpiącego na brak więzów i gotowego uwielbić to, co nas zbyt już udręczyło. Ów czytelnik, jak podejrzewam, starając się Gombrowicza zaklasyfikować, zauważa w nim tylko „dalszy ciąg" prucia i niszczenia wszelkich szat, „dalszy ciąg" o tyle nowy i ciągle jeszcze podniecający, że Gombrowicz jest bardziej intelektualnie ostry, bardziej złożony i uładzony, niż jego zachodni rywale. Ale to chyba pomyłka: dalszym ciągiem jest Gombrowicz nie w ogóle, ale wobec polskiej literatury, przez opór i sprzeciw. Nawet przez pochwałę hreczkosieja i hreczkosieja w samym sobie. Chciał być anty-hreczkosiejem, ale nie intelektualistą, nie Brzozowskim rzucającym na hreczkosieja gromy. Hreczkosiej był mu potrzebny. Nigdzie Gombrowicz nie ucztuje z takim smakiem jak w swoich kaznodziejskich harcach-zabawach z polskimi czytelnikami.

Na zakończenie

Mój wewnętrzny spór z Gombrowiczem trwał długo i teraz doskwiera mi moja jakby nielojalność, bo piszę o tym, kiedy przecie tak niedawno jeszcze mogłem z nim rozmawiać. Ten spór sprowadzał się ostatecznie do różnicy temperamentów. Ujmując to jak

najkrócej, co mnie fascynuje, to jabłko: zasada jabłka, prawidło jabłka, jabłkowatość sama w sobie. Natomiast u Gombrowicza nacisk jest położony na jabłko jako na „fakt psychiczny", na odbicie jabłka w świadomości. Prawdopodobnie te dwa usposobienia wyznaczają zasadniczy podział w dziejach ludzkiej myśli. Ale u Gombrowicza było też ciągłe wyrywanie się poza świadomość — samoczynną pułapkę. Energia jego („nowe niech zabrzmią tony") potępiała dzisiejszą literaturę apokaliptyczno-demonicznej rozpaczy, a francuskiemu *le nouveau roman* zarzucał n i e l o j a l n o ś ć w o b e c r z e c z y w i s t o ś c i. I właśnie jego stronice najbardziej ożywcze, najbardziej gwałtowne, o sprawdzającym bólu, zwierząt i ludzi, zdają się przywracać istnienie obiektywnej zasady — jabłka i świata.

Tylko tak mogę być lojalny: pokazując ile w Gombrowiczu jeszcze do zrozumienia. Oby tym zajęli się krytycy, zamiast grzebać się w szczegółach jego biografii. Macie pisarza, to cieszcie się. Szlachetne biografie zostawcie autorom których rachityczne dzieło wymaga podpory w legendzie.

Czesław MIŁOSZ

LISTY W. GOMBROWICZA

W korespondencji W. Gombrowicza z J. Iwaszkiewiczem, ogłoszonej w *Twórczości* nr 12 z 1969, znajduje się ustęp stwierdzający, że fragment „Dziennika", publikowany przez *Kulturę*, był ocenzurowany przez Redakcję. W odpowiedzi zamieściliśmy w nrze 3/270 fotokopię maszynopisu, z którego wynikało jasno, że żadne zmiany nie były wprowadzone. Porządkując obecnie korespondencję W. Gombrowicza, w związku z projektowanym wydaniem jej w ramach „Dzieł Zebranych", natrafiliśmy na wymianę listów Gombrowicza z Redakcją, z której wynika, że Gombrowicz wprowadził zmiany *w korekcie autorskiej*. Zmiany te nie mogły być, uwzględnione ze względu na to, że na skutek ówczesnych strajków pocztowych korekta przyszła grubo po wydrukowaniu numeru. Gombrowicz wyjaśnienia Redakcji przyjął do wiadomości i nigdy później nie przysłał sprostowania.

Korekty w Redakcji nie są przechowywane, tak że niesposób dziś ustalić jakie poprawki chciał Gombrowicz wprowadzić.

List do Iwaszkiewicza był niewątpliwie napisany przed wyjaśnieniem tego nieporozumienia.

Listy Gombrowicza dotyczące tej sprawy będą zamieszczone w tomie jego korespondencji.

Redaktor

O jedności i wielości kultury narodowej

I

Czy amerykański tygiel narodów przestał istnieć? I czy w ogóle istniał kiedykolwiek? — Pytania te w Stanach Zjednoczonych są coraz częściej stawiane przez socjologów, publicystów i polityków. Przez długie dziesięciolecia aksjomatem było, że Ameryka to *melting pot,* wielki tygiel, w którym w jedno stapiają się wychodźcy ze wszystkich zakątków naszego globu, przedstawiciele wszelkich jego kultur lokalnych. Było to uznawane jako fakt obiektywny, niezbity, ujawniający się na każdym kroku. I nie tylko jako fakt. Było także traktowane jako postulat czy program. Przybysze powinni byli wejść w tygiel, powinni byli stać się elementami nowego stopu. Nieżyczliwie odnoszono się do *hyphenated Americans,* do Amerykanów „z myślnikiem", w rodzaju Polako-Amerykanów, Włocho-Amerykanów, Niemco-Amerykanów, itd. itd. Może być tylko jedna lojalność — głoszono jeszcze niezbyt dawno. Trzeba być Amerykaninem i basta. Takie pojmowanie narodowości wciąż obowiązuje w krajach europejskich, by tylko wymienić Polskę, gdzie zasada narodowego albo-albo ma dziś wcale nie błahe następstwa praktyczne.

Stapianie się w tyglu wyrażało się w przyjmowaniu przez przybyszów pewnego wzoru kulturowego, uznawanego za amerykański. Był to proces asymilowania się do kultury nowej i odmiennej od kultur krajów, z których przychodzili kandydaci na Amerykanów. Zasadniczo wzór ten był pochodzenia angielskiego. Podwaliny pod przyszłość narodową Stanów Zjednoczonych były położone przede wszystkim przez przybyszów z wysp Brytyjskich, pierwotnie głównie przez Anglików, Szkotów, Walijczyków i protestantów z Ulster. We wczesnych okresach uboczną tylko w tym

rolę odgrywali Holendrzy i Szwedzi. W okresie kolonialnym Virginia i Nowa Anglia tradycyjnie i kulturalnie były kontynuacją Anglii.

Niewątpliwie amerykański wzór kulturowy bardzo szybko zaczął wykazywać coraz większe odchylenia od swych anglosaskich początków. Warunki życia w młodym kraju były bardzo różne od warunków życia w ustabilizowanej ówczesnej Anglii, kraju, w którym — przy wszystkich jego zdobyczach wolnościowych — tradycje feudalne były tak potężne. Walka o podbój i udomowienie wielkiego kontynentu, Pogranicze, brak — pomijając plantatorskie Południe — urządzeń feudalnych czy przypominających feudalne, plebejski charakter życia zbiorowego, jego niezwykła dynamika, ruchliwość przestrzenna i społeczna jednostki oraz cała masa innych okoliczności — wszystko to warunkowało wyłanianie się nowej kultury, odbiegającej od tradycyjnej kultury wysp Brytyjskich.

Ale pewne wartości — i to bardzo ważne — miały swe korzenie po drugiej stronie oceanu. Przede wszystkim — język. Z biegiem czasu wytworzyły się w nim pewne odrębności, ale były to rzeczy podrzędne wobec faktu jedności języka angielskiego po obu stronach Wielkiej Wody. Zachowały się religijne tradycje protestantyzmu, zwłaszcza w jego sekciarskich i nonkonformistycznych postaciach. W Ameryce protestantyzm ten i jego sekciarstwo przeszły przez dalsze ewolucje, uwarunkowane przez zmienioną i wciąż zmieniającą się rzeczywistość Nowego Świata. Ale amerykański kościół episkopalny jest bratem anglikanizmu, i tak samo prezbiterianizm, i metodyzm, i unitaryzm (ma on tradycje Arian polskich), i wiele innych kierunków religijnych.

Korzenie angielskie ma też amerykańskie „Wyznanie Wiary" *(American Creed)*, tak wspaniale wyrażone w Deklaracji Niepodległości i w Bill of Rights. Wielkie te dokumenty są stopem doświadczeń nowego kraju i wielkich tradycji kraju starego.

Amerykanizm do naszych czasów to było WASP *(White, Anglo-Saxon, Protestant)* — Białe, Anglosaskie, Protestanckie. „Prawdziwy" Amerykanin to był WASP. Jego dziełem była kultura amerykańska, jego dziełem było wszystko to, czemu Stany Zjednoczone zawdzięczały swą wielkość. I choć Amerykańskie Wyznanie Wiary głosiło jako naczelne swe przykazanie równość każdej jednostki ludzkiej, to w praktyce WASP był bardziej równy od innych.

Zmiany, jakie w tym zachodziły, polegały na stopniowym przyjmowaniu do WASP ludzi o innym rodowodzie. Byli to ci, którzy zarówno asymilowali się do wzoru WASP, jak i osiągnięciami swymi — gospodarczymi, kulturalnymi, całym stylem życia

— budzili uczucia szacunku i uznania. Choć pochodzeniowo nie byli to Anglosasi, faktycznie zaczynali być zaliczani do Anglosasów. Musieli jednak czynić zadość dwum bardzo istotnym warunkom: musieli być biali i być protestantami. Tak było z Holendrami, Skandynawami, z czasem — z Niemcami. Nikt się nie przejmował holenderskimi początkami rodu Rooseveltów, ani szwajcarskimi Eisenhowera. To byli bezsporni Anglosasi. Zresztą w ciągu tych paru stuleci nastąpiły tu dzięki małżeństwom takie przemieszania etniczne, że każdy z tych Anglosasów mógł się powołać na masę rodowodów narodowych.

Ale WASP rozszerzało się dalej. Od początku wieku XX zaczęli do niego wchodzić Żydzi — we wczesnym stadium sefardyjscy i niemieccy. Do wschodnioeuropejskich długo odnoszono się nieufnie — jak do całej Wschodniej Europy. Nieufności te jednak słabły i Żydzi wschodnioeuropejscy coraz częściej zaczęli znajdować dla siebie miejsce w obrębie amerykańskiego *establishment*. Nie bez znaczenia była tu rola, jaką przywódcy żydowscy odgrywali w ruchu zawodowym. A od epoki Roosevelta związki zawodowe zdobyły sobie ogromne znaczenie w całokształcie życia narodu Stanów Zjednoczonych.

Żydzi nie byli protestantami, ale byli łatwiejsi do strawienia niż katolicy. Rzecz znamienna, że ambitni włoscy Amerykanie, chcąc odegrać role polityczne czy gospodarcze, chętniej zmieniali wyznanie niż nazwiska. Tak np. pierwszy nieanglosaski potentat bankowy Giannini przeszedł na protestantyzm.

Skomplikowana była sytuacja z Irlandczykami. Byliby Anglosasami, gdyby nie byli gorącymi katolikami. Bardzo szybko zabrali się do politykowania i zaczęli odgrywać coraz poważniejszą rolę w życiu partyjnym Stanów Zjednoczonych. Ale we wcześniejszych okresach politykowanie w oczach *establishment* WASP nie było zajęciem zbyt zaszczytnym i — z wyjątkiem szczebli najwyższych — mogło być zostawione „papistom". Irlandcy politykierzy byli tolerowani, ale niezbyt szanowani.

Przełomem był rok 1960 i wyborcze zwycięstwo Kennedy'ego. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych stanowisko Prezydenta naród powierzył katolickiemu Irlandczykowi! Było to niejako przyznanie katolikom prawa wstępowania w szeregi WASP.

Nastąpił więc zasadniczy przełom w stosunku do pochodzenia etnicznego i zaczęła padać bariera wyznaniowa. Zostało się jedno — kolor skóry. Ale i tu pojawiły się pewne wyłomy. Przede wszystkim wobec skóry koloru żółtego.

Kolor skóry przybyszów z żółtego Orientu w oczach białej Ameryki nie przedstawiał się tak rażąco jak kolor czarnych Ame-

rykanów. Nie kojarzył się on z tradycjami plantacji i niewolnictwa. Oczywiście i tu były zastrzeżenia i nieufności. W czasie Drugiej Wojny masowo internowano Amerykanów japońskiego pochodzenia. Ale Stany Zjednoczone były w wojnie z Japonią i Pearl Harbor był wstrząsem bardzo potężnym. Były to jednak nieufności przejściowe. Później internowanie japońskich Amerykanów zostało powszechnie uznane za rzecz haniebną i oburzającą.

Trzeba mocno podkreślić, że w Stanach Zjednoczonych Chińczycy a zwłaszcza Japończycy bardzo szybko osiągali awans kulturalny i gospodarczy. I szybko przejmowali wartości amerykańskie. Mieroszewski pisał kiedyś, że Chińczycy nie asymilują się. Możliwe że tak jest w Anglii. Ale nie w Ameryce. W każdym razie wśród czołowych postaci dzisiejszego amerykańskiego *establishment* mamy ludzi o takich nazwiskach, jak Inouye, Hayakawa, Feng, Pei i cała masa innych.

Od roku 1954 i w stosunku do czarnych dawne przegrody zaczęły słabnąć, choć oczywiście daleko im do zupełnego zniknięcia. Ale w obrębie *establishment* znalazł się cały szereg ludzi o czarnym kolorze skóry. Czarny zasiada w Sądzie Najwyższym, czarny zasiada w Senacie, czarny jest *mayor*'em stolicy Stanów Zjednoczonych, czarni zostawali członkami gabinetów, ambasadorami itd. Zastępcą dowódcy amerykańskich sił zbrojnych na Pacyfiku jest czarny generał. Jako j e d n o s t k i czarni zostawali uznawani za przynależnych do WASP. Ale nie jako całość. Co zresztą da się odnieść i do wielu białych grup etnicznych.

Przyjmowanie przez WASP nowych elementów etnicznych, wyznaniowo i nawet rasowo różnych od pierwotnego zespołu, było wskaźnikiem szerokich procesów amerykanizacji mas przybyszów z całego świata. Asymilowały się one do nowej, wciąż burzliwie rozwijającej się kultury amerykańskiej, przejmowały jej język, jej formy bytowania, jej wartości i ideały. W taki sposób powstawał nowy naród. Procesy te były dobrze znane i wielokrotnie opisywane, włączając w to autora tych rozważań. Przejmowanie nowej kultury zachodziło początkowo powoli i opornie. Nowi przybysze usiłowali w nowym świecie zachować jakąś ciągłość z przeszłością. Prawdziwa asymilacja następowała dopiero w następnych pokoleniach, już urodzonych w Ameryce. Nie były to rzeczy proste. Dochodziło do ostrych konfliktów między dawnymi tradycjami rodziców i nowymi wartościami młodych pokoleń. Ale w ostatecznym wyniku zwyciężali młodzi. Odrzucali oni język rodziców i dziadów, odrzucali ich sposoby bytowania, tradycje i całe systemy wartości. Chcieli być Amerykanami i nimi zostawali.

II

Generacje urodzone w Stanach Zjednoczonych stawały się coraz różniejsze od pierwszych emigrantów. A i ci stopniowo też ulegali zasadniczym przeobrażeniom. Następstwa tych zmian są dziś wyraźniejsze niż przed półwiekiem. Wyraziły się one przede wszystkim w rozkładzie tych swoistych instytucji, jakie usiłowali stworzyć pierwsi przybysze i które miały na celu zachować jakąś ich więź z przeszłością.

Instytucje te szybko zanikają. Do wspomnień przechodzą „domy narodowe" — ogniska życia danych zbiorowości emigracyjnych, do wspomnień przechodzą takie instytucje kulturalne, jak prasa obcojęzyczna, teatr obcojęzyczny, szkoły obcojęzyczne itp.

Prasa obcojęzyczna była kiedyś żywa i bogata. Dziś jest w stanie wyraźnego upadku. Wyjątkiem jest prasa hiszpańska. Ale dopływ ludzi mówiących po hiszpańsku zachodzi w Ameryce nieprzerwanie. Wciąż napływają portorykańczycy i przedstawiciele krajów Ameryki Łacińskiej. Od przewrotu na Kubie nie ustaje dopływ Kubańczyków. Ale prasa w innych językach umiera. Resztki jej ledwie wegetują.

Weźmy jako przykład Żydów, jedną z kulturalnie najaktywniejszych w Stanach Zjednoczonych zbiorowości etnicznych. New York — największe na świecie miejskie skupisko żydowskie — był przed laty największym ośrodkiem kultury idyszowskiej i — w mniejszym stopniu — hebrajskiej. Wychodził tu szereg pism codziennych z potężnym *Forwerts* na czele. Było wiele periodyków. Rozwijał się teatr w idysz. Były centra wydawnicze, biblioteki itd. W New Yorku mieszkali i działali tak wybitni pisarze, jak Szolom Asz i Józef Opatoszu. Pod względem bujności żydowskiego życia kulturalnego tylko dawna Warszawa mogła się była mierzyć w New Yorkiem.

Jakże niewiele z tego dziś pozostało! Do minimum skurczyła się prasa w idysz. Dawny *Forwerts* ledwo dziś wegetuje, nakład jego zmniejsza się z każdym rokiem. Przestał istnieć teatr żydowski. Jego reaktywizacja w postaci przybyłego z Polski teatru Idy Kamińskiej jest egzotyczną oazą, obliczoną na ogólną publiczność, bynajmniej nie tylko żydowską. Zniknęły biblioteki, księgarnie, publikacje w idysz. Albowiem wymarło czy wymiera stare pokolenie. Młodsza generacja nie zna już języka ojców i dziadów.

To jest przykład szczególnie jaskrawy, albowiem chodzi tu o grupę o wyjątkowo silnej dynamice kulturalnej i o wielkich tradycjach kulturalnych. W tym większym stopniu da się to wszystko powiedzieć o grupach o słabych aspiracjach i tradycjach kulturalnych. Że grupy te wywodziły się z krajów o wielkich kul-

turach i wielkich tradycjach, istotnego znaczenia nie miało. Przybysz z Sycylii mało co wiedział o wielkości kultury włoskiej i nie był spadkobiercą jej tradycji. Był to *paisano*, prostak, ciemny chłopek. I tak samo był nim przybysz Polak, Litwin, Węgier, Czech, Ukrainiec itd.

Próby tworzenia żywych ośrodków narodowej kultury, będących kontynuacją wielkich tradycji przeszłości, były podejmowane przez nowe, powojenne emigracje, reprezentowane przez ludzi wykształconych. Miało to bardzo mało wspólnego z wysiłkami dawnych emigracji, i w praktyce nie okazuje się trwałym. Nowe emigracje szybko wchodzą w koryto wielkich prądów amerykanizacyjnych. Zwłaszcza gdy chodzi o młodą generację.

Jakże więc można kwestionować istnienie *melting pot*, amerykańskiego tygla narodów? Jak można pod znakiem zapytania stawiać jego istnienie w przeszłości? Czyżby przestał on działać? Są to pytania zaskakujące obserwatora. A jednak pytań tych i wątpliwości, jakie w nich się kryją, nie można lekceważyć. Albowiem w Stanach Zjednoczonych zachodzą nowe fakty, które zmuszają do zrewidowania dawnych poglądów na tygiel narodów. A raczej — nie zrewidowania, ale spojrzenia na całe zagadnienie od nowej strony. Sądzę bowiem, że tygiel narodów nadal istnieje, ale że zachodzą w nim zmiany, wprowadzające do życia amerykańskiego coś nowego. Dynamika tego życia, jego bujność i wielostronność — oto co stale zmusza nas do wielkiej ostrożności w stosunku do koncepcji, których prawdziwość dotąd wydawała się niezbitą.

III

Konflikt między tradycjami kulturalnymi pokolenia imigracyjnego a nowymi wartościami młodych był zasadniczym składnikiem procesów asymilacyjnych. Młodzi nie tylko odrzucali tradycje starszych. Wstydzili się ich, uważali je za świadectwo niższości. W czym zresztą byli zgodni z ocenami WASP. Stąd młodzi gardzili mową rodziców, gardzili ich obyczajami, próbowali — jeżeli mogli — zacierać ślady swej przeszłości.

Przyjaciółka moja, Prof. Celia S. Heller, specjalistka od kultury Meksyko-Amerykanów, przytacza w jednej ze swoich prac, że młodzież meksyko-amerykańska w Kalifornii nieraz próbowała uchodzić za staro-hiszpańską. Chodzi tu o wczesnych kolonizatorów Kalifornii, ludzi przybyłych z Hiszpanii drogą przez Meksyk. W Kalifornii zachowała się pewna ilość takich rodzin, bardzo arystokratycznych, raczej izolujących się i o skłonościach do zachowywania dawnych tradycji. Choć nie-anglosaskie i katolickie, rodziny te są wysoko cenione i szanowane przez WASP. W praktyce są one traktowane za równorzędne w stosunku do anglosaskich protestantów. Młodzi Meksyko-Amerykanie, jeżeli tylko nie przeszkadzały im zbyt wyraźne indiańskie cechy rasowe, starali się uchodzić za Staro-Hiszpanów i z tej racji nie wstydzili się znajomości języka hiszpańskiego. Nie była to zresztą znajomość zbyt głęboka i w rzeczywistości mową tej młodzieży stawał się język angielski.

Ostatnio jednak zaczęły tu zachodzić wyraźne zmiany. Młodzi Meksyko-Amerykanie przestają się wstydzić swego pochodzenia i — co więcej — zaczynają je podkreślać. Kilka okoliczności uwarunkowało tę zmianę w postawach i ocenach.

Przede wszystkim wybitnie podniósł się poziom wykształcenia tej młodzieży. Jest to wykształcenie amerykańskie, zgodne z wartościami i regułami cywilizacji amerykańskiej. Młoda inteligencja meksyko-amerykańska jest zamerykanizowana, uważa się za część integralną narodu Stanów Zjednoczonych. Weszła też ona do tej wielkiej całości, jaką stanowi amerykańska *middle class* i czuje się pewna i bezpieczna w swej amerykańskości. Skoro stała się amerykańską i skoro jest za taką uznawana przez otoczenie, nie musi się wstydzić swej przeszłości. Zwłaszcza że w przeszłości tej znajduje wartości, które i przez nią i przez szersze otoczenie są stawiane bardzo wysoko.

To znów jest połączone z Meksykiem. W Stanach Zjednoczonych związki z Meksykiem są bardzo silne. Meksyk jest sąsiadem i rokrocznie jest odwiedzany przez masy Amerykanów. Z Kalifornii, z New Mexico, z Arizony wycieczka do Meksyku jest rzeczą bardzo łatwą. A Meksyk jest krajem fascynującym. Jest krajem starożytnej kultury, która pociąga i imponuje. I to nie tylko Meksyko-Amerykanów. To nie jest kraj, którego można by się wstydzić. I młodzież meksyko-amerykańska zaczyna się nim żywo interesować.

Nie oznacza to odejścia od amerykanizmu. Ta młodzież jest nadal amerykańska. Jej językiem jest angielski. Jeżeli mówi po hiszpańsku, to zwykle słabo. A trzeba pamiętać, że w Stanach Zjednoczonych hiszpański jest językiem dość popularnym, że jest nauczany w szkołach na całej przestrzeni olbrzymiego kraju i że nie brak mu pilnych uczniów. Młodzi Meksyko-Amerykanie, nie przestając być Amerykanami, odnajdują swoją przeszłość, wracają do jej tradycji i znajdują w niej legitymację swego znaczenia na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Nie jest to przykład odosobniony. Z podobnymi tendencjami można się spotkać właśnie w środowiskach najmocniej tkwiących w cywilizacji amerykańskiej, wybitnie zamerykanizowanych, ale jednocześnie o tradycjach bardzo bogatych i pociągających kultur narodowych.

Jaskrawym przykładem są tu Żydzi. Jest to jedna z najbardziej wykształconych grup etnicznych Stanów Zjednoczonych. Zdobywanie wiedzy — wszelkiej wiedzy — zawsze było zasadniczym postulatem etosu Żydów na całym świecie. Niewiele jest kultur, w których by wykształcenie było cenione tak wysoko jak wśród Żydów. W świecie inteligencji amerykańskiej udział Żydów jest szczególnie znaczny. Jest to jedna z ważnych okoliczności, wpływających na uznanie, jakim w Ameryce cieszy się środowisko żydowskie. Tak dobrze znane w pewnych krajach Europy wołanie o „kulturalnym zażydzeniu" byłoby w Ameryce uznane za objaw głupoty i barbarzyństwa.

Dawne tradycje kulturalne, szczególnie tradycje religijne, wyraźnie zamierały wśród młodzieży żydowsko-amerykańskiej. Zanikała znajomość idysz, słabły zainteresowania dla świata, z którego wyszli rodzice. I tu zachodził konflikt kulturalny pokoleń. Jednakże wśród młodzieży żydowskiej poczucie wstydu za rodziców było słabsze niż w innych środowiskach młodzieżowych. Rodzice nie byli *paisano,* jak u innych. I na nowej ziemi wykazywali się bardzo dobrze. Było jednak wśród młodych stale rosnące zobojętnienie w stosunku do tradycyjnych wartości ludzi starszych.

To dziś wybitnie się zmienia. W jeszcze większym stopniu działają tu momenty, o których mówiliśmy przy Meksyko-Amerykanach: wysoki stopień wykształcenia, poczucie pewności w osiągnięciu amerykanizacji i odkrycie starego kraju, z którego można być dumnym. Tym starym — czy raczej staro-nowym — krajem jest oczywiście Izrael. Kraj ten cieszy się w Ameryce wielką popularnością. I to bynajmniej nie tylko wśród Żydów. Amerykanie w Izraelu widzą niejako spadkobiercę Ameryki i jej ideałów. Istnieje tu poczucie bliskich związków duchowych i materialnych.

Młode pokolenie żydowsko-amerykańskie zaczęło odkrywać swoją żydowską przeszłość kulturalną. Poczuło ono, że jest nie tylko spadkobiercą kultury amerykańskiej, ale i żydowskiej, co obejmuje zarówno kulturę proroków jak i kulturę Diaspory — owego *sztetl* Polski, Ukrainy, Słowacczyzny itd. Wyrazem tego jest wyłonienie się nowej literatury żydowsko-amerykańskiej. Jej językiem jest oczywiście angielski, z ducha, z charakteru jest ona częścią literatury amerykańskiej. Ale zarazem wnosi ona wartości specyficzne, wyrosłe z całej tradycji żydowskiej. Są tu tacy pisarze jak Bellow, Roth, Potok czy Malamud. Nikt — włączając ich samych — nie kwestionuje, że są pisarzami amerykańskimi, że ich dorobek literacki jest częścią piśmiennictwa Stanów Zjednoczonych. Ale zarazem uznaje się i ceni ich odrębność, odrębność ich tematów, swoistość, oryginalność. I to szczególnie pociąga masy czytelnicze tych autorów. Masy czytelnicze wszelkiego pochodzenia. Tu należy wspomnieć o Isaacu B. Singerze, który pisze w idysz, jest ogółowi znany z tłumaczeń, co nie zmienia faktu, że jest traktowany jako pisarz amerykański.

Niedawno czytałem interesujące studium o amerykańskich Ormianach. Stanowią oni grupę niezbyt liczną, ale budzącą szacunek. I u nich zachodzą podobne procesy i wśród ich młodzieży występują podobne tendencje. Ba, tworzy się tu nawet nowa literatura ormiańsko-amerykańska, której najwybitniejszym przedstawicielem jest William Saroyan.

Tendencje analogiczne występują i w innych środowiskach etnicznych, choć nie wszędzie z jednakową intensywnością. Są one słabe wśród grup „starych", które już dawno stały się częścią WASP. By wymienić Holendrów i Skandynawów. Ale dają się zauważyć wśród Szkotów i Walijczyków. Są stosunkowo wciąż słabe wśród Włochów, ale zaznaczają się wśród Irlandczyków. W każdym razie nawrót do tradycji przeszłości nie da się w Ameryce sprowadzić do pewnych tylko grup. W stopniu większym czy mniejszym zdaje się on być tendencją powszechną i wszędzie jest podobnie uwarunkowany.

I ze szczególną siłą występuje on w świecie Czarnej Ameryki. Tu jednak zdają się zachodzić wyraźne odstępstwa od ogólnego wzoru. I dlatego to sprawę Czarnej Ameryki i jej aspiracji kulturalnych należy omówić osobno.

IV

Rasizm jest głęboko zakorzeniony w cywilizacji amerykańskiej. Jest on sprzeczny z Amerykańskim Wyznaniem Wiary i tak jest odczuwany przez liberałów i wielu konserwatystów. Wynika on nie tylko z tradycji Południa i systemu plantatorskiego. Wypływa on z kalwinizmu, z tradycji purytańskich, które ciążą na kulturze Stanów Zjednoczonych. Jest on najsilniejszy wśród fundamentalistycznych protestantów, słabszy u katolików (gdzie jednak miejsce racji teologicznych zajmują racje społeczne i gospodarcze) i najsłabszy u Żydów, którzy zachowali pamięć dyskryminacji pod własnym adresem. Ale w jakimś stopniu, w jakiejś postaci da się on wszędzie zauważyć.

Od roku 1954 rozpoczyna się okres usuwania prawnych dyskryminacji wobec czarnych Amerykanów. Sąd Warrena przejdzie do historii jako symbol zwycięstwa amerykańskiego liberalizmu nad bezsensem rasizmu. W parze z tym szły zasadnicze zdobycze dla Czarnej Ameryki we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego. Wybitnie podniosła się stopa wykształcenia. Czołowi przedstawiciele czarnych osiągnęli najwyższe szczeble drabiny państwowej

Stanów Zjednoczonych. Poszczególni przywódcy Czarnej Ameryki stali się przywódcami ogólnonarodowymi, najwyższymi autorytetami moralnymi. Dr Martin Luther King wyrósł na postać heroiczną, pociągającą za sobą masy młodej Ameryki bez różnicy koloru skóry.

Ważnym zjawiskiem czasów najnowszych było wytwarzanie się czarnej *middle class*. Było to związane z ogromnymi postępami w dziedzinie zdobywania wykształcenia. Pojawili się bardzo wybitni czarni intelektualiści — uczeni, pisarze, artyści. Coraz więcej czarnych zaczęło wybijać się w dziedzinie życia gospodarczego. Coraz większa ilość czarnych zostawała objęta przez *economy of plenty* i *affluent society*. Ta nowa czarna *middle class* szybko zaczęła przejmować etos swego białego odpowiednika. Zaczęła nawet przenikać do suburbia czy tworzyć własne czarne suburbia.

Ale to ostatnie oznaczało zachowanie dawnego Getta na wyższym poziomie. I oznaczało, że dyskryminacje, wyparte z dziedziny przepisów prawnych, nie zniknęły w życiu praktycznym.

I to jest nadal zasadniczym faktem życia amerykańskiego. Jako całość, czarni nadal zajmują najniższe szczeble gospodarcze. Mimo osiągnięcia indywidualne, przygotowanie zawodowe czarnych jest wciąż niższe od przygotowania białych. Albowiem ich wykształcenie wciąż nie dorównywuje wykształceniu białych. I wciąż zachowują się Getta wielkomiejskie, z których tylko jednostki mogą się wyrwać.

Jest rzeczą bezsporną, że obecny bunt Czarnej Ameryki nie nastąpiłby, gdyby nie miały miejsca przemiany lat ostatnich, przemiany prawne, kulturalne, gospodarcze i społeczne. One to sprawiły, że czarny Amerykanin przełamał w sobie tradycyjne kompleksy niższości, wyniesione z epoki systemu plantatorskiego. Czarny zaczął porównywać siebie z białym. Ośmielił się porównywać siebie z białym. I szybko doszedł do przekonania, że ma też prawo do korzystania z tych dobrodziejstw, jakie przypadły białemu.

Prowadzi to do jawnego protestu, co całkowicie jest zgodne z tradycją amerykańską. Protest ten najostrzejsze formy przybiera wśród młodzieży. W wyższych uczelniach Stanów Zjednoczonych liczba studiujących czarnych jest już bardzo znaczna i stale rośnie. Bunt czarnej studenterii staje się tu osobnym nurtem w obrębie buntu całej amerykańskiej studenterii.

Protest ten znajduje poparcie i wśród białych. Biały liberalizm amerykański z przerażeniem myśli o dwóch różnych Amerykach — białej i czarnej. Buntująca się biała młodzież do swoich postulatów zalicza i postulaty swych czarnych kolegów.

Wszystko to, co da się powiedzieć o proteście czarnych, nie różni się zasadniczo od pokrewnych prądów w innych grupach etnicznych, ani od buntu młodych. Różnice są w formach, nie w treściach. Albowiem protest i bunt czarnych jest częścią składową ogólnych przeobrażeń rewolucjonizujących dzisiejszą Amerykę.

Nie jest prawdą, że powstanie państw afrykańskich było zasadniczą przyczyną buntu Czarnej Ameryki. Ten bunt powstał całkowicie w ramach amerykańskiej rzeczywistości i jest dzieckiem całego rozwoju Stanów Zjednoczonych. Ale wytworzenie się nowych państw afrykańskich miało wpływ na kształtowanie się postaw czarnej młodzieży, zwracało w określonym kierunku koncepcje ideologiczne czarnej inteligencji. Nasuwają się tu analogie z rolą odgrywaną przez Izrael w stosunku do żydowskich Amerykanów, czy z rolą odgrywaną przez Meksyk w stosunku do Meksyko-Amerykanów, czy z rolą odgrywaną przez Irlandię w stosunku do irlandzkich Amerykanów.

Nowa Afryka ułatwiła Czarnej Ameryce odnalezienie własnej tożsamości w całokształcie świata Stanów Zjednoczonych. Czarny Amerykanin zaczął szukać własnej przeszłości, własnych tradycji i własnych wartości kulturalnych. Było to coś znacznie większego niż tradycje plantatorskie.

Integracja, stopienie się z resztą, była dotąd zasadniczym programem zarówno czarnych Amerykanów jak i białych liberałów. Było to zgodne ze wzorem tygla narodów.

Jest pewne, że do tej pory ogromna część Czarnej Ameryki nadal trzyma się programu integracji. Jest to przede wszystkim program czarnej *middle class*. Ale programowi temu sprzeciwia się zbuntowana czarna młodzież. Nie wierzy ona w możliwość integracji. Nie chce zatracać swoich cech, chce odnaleźć swoją tożsamość w poszukiwaniu czarnej kultury.

Stale trzeba podkreślać, że ta rewolta czarnej młodzieży jest organicznie związana z buntem Młodej Ameryki. Przeszłość Czarnej Ameryki, jej obecna pozycja, ciągłe istnienie dyskryminacji obyczajowej — wszystko to są okoliczności dodatkowe, wpływające na zaostrzenie stanu rzeczy.

Czarna Ameryka zaczyna też tworzyć własną literaturę, analogiczną do literatur żydowsko-amerykańskiej czy ormiańsko-amerykańskiej. Są tu tacy pisarze jak Richard Wright, Ralph Ellison, James Baldwin, John A. Williams i cała masa innych. Oczywiście sprawa murzyńska jest częstym tematem pisarzy białych, dla niektórych — tematem zasadniczym i bolesnym ich twórczości. Wystarczy tu wskazać na Lillian Smith.

Jak daleko sięgną te separatystyczne tendencje zbuntowanych czarnych? O tym trudno jest dziś powiedzieć. Zwłaszcza że rasizm

białych — choć słabnący, choć coraz powszechniej potępiany — nie przestaje być faktem życia Stanów Zjednoczonych. Ale czy jednak dojdzie do rozbicia Ameryki na dwa światy — biały i czarny?

To wydaje mi się wątpliwe. Nie wątpię, że czarna młodzież amerykańska w poszukiwaniu swej afrykańskości odkryje jakieś cenne treści kulturalne, które dadzą jej jakąś nową legitymację wobec Ameryki, dadzą jej poczucie dumy i pewności siebie. Ale nie sprawi to, by przestała być amerykańską. Albowiem jest ona stale cząstką tej wielkiej zbiorowości kulturalnej, jaką jest Ameryka. To jest podnoszone przez wybitne postacie starszej Czarnej Ameryki i to jest podnoszone przez przywódców nowej Afryki — by tu powołać się na myśli tragicznie zamordowanego Toma Mboya, jednej z najciekawszych osobistości Czarnego Lądu. Ta buntująca się czarna młodzież, choć szuka swej afrykańskiej puścizny, nie jest afrykańska, ale jest amerykańska.

Bardzo nieliczne jednostki emigrują do Afryki. I jest wątpliwe, by mogły tam znaleźć miejsce dla siebie. Nie ma tu analogii ze syjonizmem. Żydzi, tworząc Izrael, przenieśli ze sobą kulturę euroamerykańską i wartości moralne judeochrześcijańskie. Oczywiście szukali oparcia w wielkich tradycjach żydowskiej przeszłości. Z tradycji tych umieli zrobić imponujący użytek. Ale Izrael jest kontynuacją Zachodu, jest jego dzieckiem. I to jest arcyważny aspekt antagonizmu Arabów do Izraela. Kulturalnie, politycznie jest to obce ciało. Nie dlatego że jest żydowskie, ale że jest zachodnie.

Czarny Amerykanin, udając się do Afryki, nie natrafia tu na próżnię kulturalną, jaką w znacznym stopniu była część Palestyny, z której powstał Izrael. Afryka ma swoją kulturę, która jest bardziej daleka od euroamerykańskiej niż kultura arabska od zachodniej. Ci czarni Amerykanie nie są Afrykanami i tak są przez Afrykanów odczuwani. Są uważani za Amerykanów, albowiem są nimi. I dlatego koncepcje czarnego syjonizmu nie wydają mi się zasługującymi na poważne traktowanie. W takim ich ocenianiu bynajmniej nie jestem osamotniony.

Przypuszczam, że Czarna Ameryka stanie się częścią Ameryki, albowiem jest nią i obecnie. Nie zaniknie ona w tym tyglu narodów, ale zachowa w nim swoją indywidualność. Już tworzy własną literaturę, która jest równie amerykańska jak literatura Malamuda czy Saroyana. Zachowa swoje oblicze duchowe, swoje swoiste treści, w których znajdzie się miejsce na rzeczywiste czy urojone tradycje afrykańskie. Będzie swoista, ale będzie amerykańska. Zasadnicza tendencja zdaje się być zgodna z ogólnym wzorem poszukiwania tożsamości przez inne amerykańskie środowiska etniczne.

V

Nie godzę się z tymi, którzy tak sceptycznie oceniają fakt istnienia amerykańskiego tygla narodów. Sądzę, że działał on w przeszłości i że działa nadal. Przyjmuję jednak, że w mechanizmie jego działania zachodzą zasadnicze zmiany i że stop, który stąd wychodzi, nie jest bryłą jednolitą. Jest to jakaś mozaika, jakaś kombinacja wielu składników różnokolorowych. Nie mniej jednak jest to stop, jest to całość. Jest to naród amerykański i amerykańska kultura.

E pluribus unum jest symbolem federacji Stanów Zjednoczonych. Pięćdziesiąt oddzielnych stanów tworzy jedność narodowo-państwową. Ale *e pluribus unum* w jeszcze większym stopniu odnosi się do amerykańskiego stopu kulturalnego. Jest to jedność wytworzona i stale wytwarzająca się przez autonomiczne wartości kulturowe. I w tym sensie mówi się dziś w Stanach Zjednoczonych o pluralizmie kultury amerykańskiej.

W ocenianiu tego pluralizmu zachodzą zasadnicze zmiany. Wyraźnie kończą się czasy, kiedy ideałem były wartości WASP i kiedy potępiano *hyphenated Americans*. Ciekawe, że pierwsze próby rewidowania takiego stanowiska nastąpiły w okresie Drugiej Wojny Światowej. Okazało się wtedy, że Ameryka odczuwa szalony brak ludzi dobrze znających obce języki, dobrze obeznanych z historią i kulturami innych narodów. Tygiel zawiódł tu całkowicie, albowiem działał zbyt sprawnie. Amerykanie bez względu na pochodzenie źle władali językami przodków, mieli fatalnie błędne wyobrażenia o przeszłości i kulturze swych „starych krajów". Na tym tle zaczęło rozwijać się przekonanie o konieczności powrotu do przeszłości choćby jednostek z grup emigracyjnych. Środowiska, które dawniej były przeciwko *hyphenated Americans,* teraz zaczęły nawoływać do interesowania się przeszłością, ba, nawet do kultywowania jej tradycji. Zadecydował tu moment amerykańskiego pragmatyzmu.

Pamiętajmy jednak, że działania tygla były wtedy już tak posunięte, iż były wszelkie dane dla sukcesu takiej akcji. Proces amerykanizacji posunął się bardzo daleko. Dzieci i wnuki emigrantów nie miały dawnych otamowań i zaczynały interesować się przeszłością. Zresztą początkowo na bardzo skromną skalę.

Dziś pluralizm jest pojmowany zarówno jako fakt rzeczywistości jak i postulat. Kultura amerykańska — mówi się — nie jest monolitem, jest pluralistyczna, wyrasta z różnych gleb, skupia i reprezentuje różne wartości. Jest to rzeczą słuszną i dla Ameryki bardzo szczęśliwą. I w tym kierunku iść powinna twórczość kul-

turalna Stanów Zjednoczonych. Koncepcje „czystości" kulturalno-narodowej są uważane za groźny idiotyzm.

Wciąż się wylicza, ile Ameryka, ile kultura amerykańska zawdzięczają wkładom z innych krajów. Z uznaniem podnosi się swoistość podgrup kulturowych. Wzywa się je do szanowania swych tradycji, do odnajdywania ich.

Ten pluralizm kulturalny jest czymś nowym i bardzo różnym od pojęć i ocen Starego Świata. Miłosz niezmiernie trafnie uchwycił te zasadnicze różnice między pluralizmem amerykańskim i monolityzmem starej Europy. We Francji stale był uważany za obcego. „Mój akcent — pisze Miłosz — naznaczał mnie piętnem obcości... Ten akcent był jednak mój, stanowił moją własność, i nie usiłowałem wcale go się pozbyć, tak jak nie usiłowałem pozbyć się żadnych swoich dawnych przywiązań i lojalności. Co było najzupełniej dozwolone, ale dlatego, że wszelkie dziwactwa wybacza się cudzoziemcom". Ale w Ameryce wszystko było odwrotne: „akcent słowiański, przybycie z odległego kraju, niezniszczalne przyzwyczajenia i odruchy, które tam mnie wyłączały na stałe, tutaj przyczyniały się do mojej normalności, tak że byłem jednym z wielu w tłumie złożonym z przybyszów, przez to właśnie „amerykański", że nie musiałem się niczego wyrzekać".

Jest to znakomite ujęcie amerykańskiego pluralizmu kulturalnego i jego odrębności od monolityzmu europejskiego.

W Starym Świecie była próba stworzenia takiego pluralizmu. Miał nią być sowiecki „nowy naród stu narodów". Nie była to jednak próba udana. Albowiem brakło jej tych zasadniczych założeń, z których mógł wyrosnąć amerykański pluralizm.

Koncepcja sowiecka przyjmowała wspólną i nadrzędną kulturę socjalistyczną, ogarniającą autonomiczne kultury lokalne. Te kultury należało popierać, rozwijać, nawet wskrzeszać. Ale musiały one przyjmować naczelne wartości kultury socjalistycznej i jej służyć.

W praktyce wypadło to mniej szczęśliwie niż w koncepcji. Przede wszystkim kultura socjalistyczna została utożsamiona z kulturą rosyjską, uznawaną za najbogatszą i najlepiej odpowiadającą potrzebom nowej rzeczywistości. Prowadziło to do polityki rusyfikatorskiej, co zresztą było zgodne z tradycjami Rosji przedrewolucyjnej. Ponadto jako socjalistyczne zostały uznane sztywne postulaty ideologiczne, którym kultury lokalne musiały się rygorystycznie podporządkować. Do tego doszły racje polityki ogólnopaństwowej, w czym znów dominowały treści rosyjskie. Rozwój kultur autonomicznych był stale krępowany i narzucane im były wzory rosyjskie. Od czasów Stalina tępione też były wszelkie ślady separatyzmu, zarówno kulturalnego jak i politycznego. Nie bez słuszności uważano też, że pierwszy pociąga za sobą drugi. Rzezie

„nacjonalistów" były dominantą tej polityki i bynajmniej nie sprzyjały rozwojowi autonomicznych kultur lokalnych. W ostatecznym wyniku prowadziło to do programowo stosowanej rusyfikacji. Starano się też odseparować pewne kultury lokalne od kultur pobratymczych poza granicami Sowietów. Jako przykład może posłużyć narzucenie cyrylicy ludom turkskim.

Próbie sowieckiej obce było to, co stanowi sens i kierunek rozwojowy pluralizmu amerykańskiego. W Stanach Zjednoczonych jest to rozwój swobodny, nie narzucony, nie krępujący nikogo. Cały proces odbywa się w sposób żywiołowy. Można by powiedzieć, że Ameryka została zaskoczona tym co nastąpiło. I przyjmuje to jako fakt dokonany, z którym trzeba się pogodzić. A równocześnie przyjmuje to jako fakt oceniany wysoce pozytywnie. Pluralizm kultury amerykańskiej jest nierozdzielnie związany z ideą wolności i filozofią pragmatyzmu. To wszystko było absolutnie obce doświadczeniu sowieckiemu. I — jak przypuszczam — to sprawia, że owo doświadczenie sowieckie nie jest udane.

Amerykański pluralizm narodowo-kulturalny ma swoje daleko sięgające konsekwencje praktyczne. Kennedy'owie są Irlandczykami. Mocno podkreślają fakt swego irlandzkiego pochodzenia i starają się utrzymać jakieś więzi ze Szmaragdową Wyspą. Ale zarazem są Amerykanami, są uczestnikami wielkiej zbiorowości narodowo-kulturalnej Stanów Zjednoczonych. I nikomu w Stanach Zjednoczonych nie przyjdzie na myśl kwestionować amerykańskość rodziny Kennedy'ch.

Goldberg czy Javits są Żydami. Bardzo stanowczo podkreślają swoją żydowskość, jej tradycje kulturalne i historyczne. I swe sympatie dla Izraela. Ale są Amerykanami i nikomu w Stanach Zjednoczonych nie przyjdzie na myśl kwestionować ich amerykańskość.

Prawdopodobieństwo konfliktu Stanów Zjednoczonych z Irlandią czy Izraelem jest oczywiście arcyminimalne. Stąd ewentualność konfliktu między lojalnością amerykańską a irlandzką Kennedy'ch, czy amerykańską a izraelską Goldberga i Javitsa jest wybitnie teoretyczna. Ale dwa razy Ameryka była w konflikcie zbrojnym z Niemcami i była w konflikcie z Włochami i Japonią. I tu sprawa lojalności nie była czymś teoretycznym.

W czasie Pierwszej Wojny Światowej konflikt lojalności istniał w masach Niemców amerykańskich. Były sytuacje tragiczne i były wypadki zdrady. Niemcy ówcześni byli przeważnie świeżymi emigrantami i silne związki wciąż ich łączyły z dawną ojczyzną.

Ale konflikty tego rodzaju były już nadzwyczaj słabe w czasie Drugiej Wojny Światowej. Obawy zdrady z tej strony — jak były one silne, o tym świadczy idiotyczne internowanie Japończyków — okazały się nieuzasadnionymi. Amerykanie pochodze-

nia niemieckiego, włoskiego czy japońskiego lojalnie spełnili swe obowiązki wobec Stanów Zjednoczonych. Jednym z bohaterów tej wojny był przecież obecny Senator z Hawai Inouye, pochodzenia japońskiego (Nisei), który w wojnie tej stracił rękę. Najjaskrawszym chyba przykładem zdrady był Ezra Pound. A wielki ten poeta całkowicie wyszedł z WASP.

I nie przypuszczam, by w przyszłości pluralizm amerykański mógł prowadzić do poważnych konfliktów lojalności. Sądzę, że nadrzędność amerykańskości jest tu powszechnie przyjęta jako coś oczywistego i nie podlegającego dyskusji. Mogą być sporadyczne wypadki wahań, sporadyczne tragedie indywidualne, ale jako całość jedność amerykańska wytrzyma próbę historii.

VI

Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że amerykański pluralizm kulturalny jest czymś niesłychanie trudnym do zrozumienia dla mieszkańców starej Europy. I jest nawet pytaniem, czy może być przez nich zrozumiany. W zasadzie pluralizm ten mógłby być bliższy wielojęzycznym i wielokulturowym narodom Azji i Afryki. Ale i tu zdaje się istnieć tendencja ulegania tradycyjnym wzorom europejskim i dążenie do osiągnięcia całości monolitarnej. Już teraz konsekwencje tych tendencji wyrażają się w przelewie krwi. Zresztą analogie z Azją i Afryką są czymś ryzykownym. Plemienna organizacja i plemienne kultury są bardzo dalekie od rzeczywistości Stanów Zjednoczonych.

A przecież i w samej Europie są jakieś tendencje pluralistyczne. Zachodzą one na terenie brytyjskim z aspiracjami Szkotów czy Walijczyków. Są one bardzo wyraźne w Hiszpanii z potężnie rozwiniętymi aspiracjami Katalończyków i Basków. Nie są one obce Francji, gdzie ujawniają się one szczególnie w Bretanii. Ujawniają się w Belgii, gdzie istnieje stały antagonizm walońsko-flamandzki. I przykładów takich można przytoczyć więcej.

Rozważna Anglia sprawy te traktuje bardzo spokojnie i bez histerii. Mniej rozważna Hiszpania prowadzi tu politykę, która już przynosiła przelew krwi i nie gwarantuje, że się on nie powtórzy.

W każdym jednak razie na ogromnym obszarze Europy obowiązuje filozofia narodowa, którą tak świetnie i zwięźle przedstawił nam Czesław Miłosz. Filozofia ta jest owocem całej historii Starego Świata, sięgając od czasów rzymskich. Walka o jedność narodowo-państwową była dominantą europejskiej historii przez wiele wieków. Filozofia ta da się sprowadzić do prostej formuły: albo-albo. Albo się jest Francuzem, albo się nim nie jest. Albo się

jest Polakiem, albo się nim nie jest. Musi obowiązywać jedna jedyna lojalność, zarówno polityczna jak i kulturalna. Inaczej jest się zdrajcą. W sposób uderzający wystąpiło to ostatnio w Polsce w stosunku do szczątków zbiorowości żydowskiej.

Stale trzeba podkreślać, że rozwój historyczny narodu Stanów Zjednoczonych był zupełnie inny niż rozwój historyczny narodów Europy. Pluralizm amerykański był całkowicie uwarunkowany przez swoisty rozwój dziejów amerykańskich, jak monolityzm europejski był całkowicie uwarunkowany przez swoisty rozwój dziejów Europy. To są rzeczy oczywiste i nie wymagające dyskusji. Nie mniej jednak porównanie obu filozofii jest sprawą niebłahą, choćby z racji wzajemnego rozumienia się ludzi po obu stronach oceanu. Weźmy za podstawę koncepcję polską, która zresztą w niczym istotnym nie różni się od koncepcji francuskiej, niemieckiej, włoskiej czy wszelkiej innej.

Definicja Polaka i polskości jest wysoce rygorystyczna. By być uznanym za Polaka, trzeba czynić zadość szeregowi wymagań. Przede wszystkim trzeba mieć język polski za mowę macierzystą. Nie musi to być język literacki i dopuszczalne są w nim odcienie dialektyczne. Ale w pewnych granicach! Np. tzw. akcent żydowski („żydłaczenie") dyskwalifikował polskość mówiącego. Dalej musiała być przyjęta jednorodność pochodzeniowa, obojętne — rzeczywista czy fikcyjna („Polak z dziada pradziada"). Musiała być stwierdzona jednolitość wyznaniowa. Polskość nie-katolika była kwestionowana, a nawet negowana. Musiała być sprawdzona jednolitość w przyjmowaniu pewnych wartości, nieraz sięgająca do szczegółów stylu życia codziennego. Podejrzany był Polak, który nie podziwiał „Trylogii" albo „Grunwaldu" Matejki. Nieufność budziła polskość jednostki, której nie odpowiadały takie potrawy jak flaki, bigos czy czernina. Polskość wyrażała się w lojalności wobec całego szeregu tradycji, haseł politycznych, stereotypów moralnych. Oczywiście w praktyce mogły tu zachodzić pewne odchylenia, ale zasadniczy wzór był traktowany bardzo poważnie, jako wyznaczający polskość.

Tak rozumianą polskością można było udowodnić, że nie za darmo je się polski chleb. Albowiem jedzenie tego chleba do czegoś zobowiązywało. I nadal zobowiązuje. W roku 1968 w czasie protestów polskiej studenterii podnoszono, że buntująca się młodzież zapomina, czyj je chleb. Skoro „polski chleb je", powinna z racji wdzięczności zachowywać się tak a nie inaczej. I „polski chleb" wypominano „syjonistom". Polski chleb jedzą, a sympatyzują z Izraelem. Tu dochodziło nowe kryterium polskości — obowiązek miłości do Arabów i wrogości do Izraela.

Polski chleb! Coś żałośnie niedojrzałego wyraża się w tym bzdurnym frazesie.

„... gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
dla darów nieba..."

Tak pisał kiedyś Norwid. W społeczności rolniczej, na bardzo niskim szczeblu rozwoju gospodarczo-społecznego, chleb jest „darem nieba", jest wyrazem jedynie prawdziwej pracy, pracy rolnika. Nie jest on tylko środkiem zaspokojenia głodu, nie jest dobrem gospodarczym. Zawarły się w nim wartości mistyczne, czy prościej — magiczne. To jest chleb p o l s k i, wynik potu i znoju polskiego rolnika. Słowem, dobro gospodarcze, środek zaspokojenia głodu, zostało unarodowione i uduchowione. I stało się podstawą określonych obowiązków narodowych i określonej lojalności.

Do tej pory w Polsce wyrzuca się Żydom, że przez tyle stuleci jedli polski chleb, który im tak hojnie ofiarowano dając schronienie. Zapomina się przy tym, że polscy monarchowie, wzywając Żydów, nie kierowali się względami humanitarnymi. Że — rozumnie — kierowali się względami gospodarczymi i politycznymi. Zapomina się, że Żydzi chleb ten jedli nie za darmo ale za cenę spełniania ważnych funkcji gospodarczych i społecznych. I kulturalnych... W prymitywnej społeczności rolniczej funkcje te mogły być niedostrzegane czy lekceważone. Dziś jednak można było oczekiwać, że będą one widziane nieco inaczej. Zwłaszcza w kraju który uważa się za socjalistyczny.

Postulat wdzięczności za jedzenie polskiego chleba jako jednego z elementów definicji polskości musi budzić niewesołe refleksje. W stosunku do buntujących się studentów czy inteligentów nakłada on obowiązek podporządkowania się przyjętym regułom, zakłada obowiązek zupełnego konformizmu. Byłoby straszne, gdyby taki postulat mógł przemówić do młodej generacji Polaków.

W Stanach Zjednoczonych idea „amerykańskiego chleba" byłaby trudna do zrozumienia, a gdyby została zrozumiana, byłaby uznana za zupełny bezsens. I to zarówno w dzisiejszej arcyindustrialnej Ameryce, jak i w Ameryce farmerskiej przeszłości. Albowiem chleb nie jest tu wartością narodową, jest pozbawiony właściwości magicznych. Chleb, który jem, jest moim, albowiem jest wynikiem mojej pracy. Nie dostałem go za darmo. Z tego że go jem, nie wynikają moje zobowiązania wobec społeczności i fakt mojego jedzenia nie implikuje mojej lojalności. Ani nie określa mnie narodowościowo.

W tych rzeczach Polska nie jest gorsza ani lepsza od wielu innych krajów Starego Świata. I nie w jednej Polsce ta bezmyślna frazeologia jest traktowana poważnie. Zabawne jest jednak, że jest ona traktowana poważnie w krajach, w których całe życie gospodarcze — włączając w to rolnictwo — ulega takim przeobrażeniom. Ale operowanie „polskim chlebem" jest wygodnym — bo zgodnym z wciąż żywą tradycją — środkiem rozprawiania się z dysydentami. Obojętne czy są nimi „syjoniści" czy buntująca się młodzież.

Amerykański pluralizm narodowo-kulturalny jest więc pod każdym względem zaprzeczeniem tradycyjnego monolityzmu kultur krajów starej Europy. Stale trzeba przypominać, że amerykański pluralizm i europejski monolityzm są owocami zupełnie różnych procesów historycznych. Bardzo niewiele narodów powstawało w warunkach tak niezwykle pomyślnych jak naród Stanów Zjednoczonych. Celem narodów europejskich było osiągnięcie jedności narodowo-kulturalnej i politycznej, stworzenie scentralizowanej całości. Przed takim samym zagadnieniem stoją dziś narody afrykańskie, usiłujące przełamać tradycyjny separatyzm plemienny. W krajach o tak bogatych kulturach lokalnych jak Indie, osiągnięcie monolityzmu narodowo-kulturalnego wydaje się mało prawdopodobne. Zapewne na szczęście dla Indii. Tu doświadczenie amerykańskie powinno dać wiele do przemyślenia. Ale w większości krajów europejskich proces scalania został już dawno zakończony. Polska narodowościowo jest bardzo jednolita. Odrębności regionalne, jeżeli gdzieś się zachowały, należą do dziedziny folkloru i nie naruszają monolityzmu.

Istnieją jednak możliwości pluralizmu kulturalno-narodowego w wielu innych krajach. I są tendencje w tym kierunku. Są one bardzo wyraźne w Kanadzie, która ma tyle wspólnego ze Stanami Zjednoczonymi. Zaczynają się one zaznaczać w Brazylii i Argentynie. I mają one szanse rozwojowe w Indiach, Indonezji, w Afryce. W Europie oazą pluralizmu jest Szwajcaria. Są możliwości w Belgii i Hiszpanii. Są tendencje w Wielkiej Brytanii. I oczywiście jest teoretyczna szansa w Sowietach.

VII

Wszystkie wielkie kultury powstawały jako stopy, rozwijały się i utrzymywały się przez stałe przenikanie wartości z różnych stron. Tak było z cywilizacjami Wschodu, z Grecją i Rzymem, z Europą. Idee „czystości" narodowo-kulturalnej są zupełną brednią. „Czystość" taka nigdy nie istniała jako fakt historyczny, a jako postulat i program musiała by doprowadzić do zupełnego wyjałowienia i upadku. Szacowanie wpływów kulturalnych w kategoriach wpływów „twórczych" i „destrukcyjnych" jest pozostałością magicznego podziału na „czyste" i „nieczyste" i nie ma nic wspólnego z racjonalnym myśleniem i obiektywnymi faktami historii kultury.

To magiczne myślenie utrzymało się w całej mocy w konserwatywnym komunizmie. I oczywiście nie ma nic wspólnego z Marksem. Jest to przyjęty schemat podziału na kultury „socjalistyczne" i „burżuazyjne", na „socjalistyczną" naukę, sztukę i literaturę, i na „burżuazyjną" naukę, sztukę i literaturę. „Burżuazyjne" zanieczyszcza „socjalistyczne". Stąd należy separować jedno od drugiego, walczyć z zanieczyszczającymi wpływami „burżuazyjnymi". W praktyce ta manicheistyczna magia stała się potężnym narzędziem politycznej — by nie mówić o kulturalnej — separacji świata. Jej praktyczne następstwa dla kultury są coraz wyraźniejsze. Jeżeli kultura krajów „socjalistycznych" nie wyjałowiała dotąd całkowicie, to dzięki szczęśliwej niemożliwości całkowitego odgrodzenia się od wpływów „burżuazyjnych". Sowieckie osiągnięcia naukowe i technologiczne wyglądałyby inaczej, gdyby ideologom partyjnym powiodło się zupełne zabarykadowanie przed szkodliwymi wpływami świata „burżuazyjnego".

Melting pot nie jest wynalazkiem amerykańskim. Całe dzieje kultury ludzkiej przechodzą w wielkim tyglu narodów i ich kultur. Tyle że w Stanach Zjednoczonych tygiel ten stał się bardziej wyraźnym, bardziej pokazowym, a szybkość procesów w nim zachodzących stworzyła coś w rodzaju warunków laboratoryjnego eksperymentowania. Trudno zaprzeczyć, że eksperyment ten nie był nieudany.

W czasach dzisiejszych mamy inny przykład podobnego tygla i podobnego eksperymentu. Jest nim Izrael. Jak Stany Zjednoczone, Izrael jest produktem emigracji z różnych zakątków świata. Są to również emigracje pionierskie, szukające nowej ojczyzny. Niewątpliwie bardzo wiele różni je od emigracji zmierzających do Ameryki. Łączy je przekonanie o jednorodności pochodzeniowej. Łączy je jednorodność tradycji religijnych i historycznych, od dawna żywo odczuwanych czy na nowo odkrywanych. Ale każda z tych emigrujących grup wyszła z innego kraju i z innego środowiska kulturalnego. I każda niesie ze sobą jakąś część puścizny kulturalnej tych krajów. Żydzi niemieccy byli organicznie związani z kulturą niemiecką, polscy — z polską, rosyjscy — z rosyjską, arabscy — z arabską. Nie zrozumie się myśli Martina Bubera bez uwzględnienia jej korzeni niemieckich i — w pewnej mierze — polskich. Abe Eban jest wspaniałym produktem brytyjskości, jak to on nim powiedział James Reston. Nie można oderwać Goldy Meir od Milwaukee, gdzie kształtowała się jej młodość. I tak dalej, bez końca.

Myślę, że nie jest to bez wpływu na dynamikę tego małego narodu, dynamikę, która przejawia się zarówno na polu bitwy jak w pracy archeologów, w rozkwicie nauki i sztuki. Byłoby bardzo niepokojące, gdyby Izrael miał się zamknąć w „czystości" i usiłował odrzucić te „obce" wpływy kulturalne.

W każdym razie już dziś daje się zauważyć kształtowanie się dwóch sprzecznych typów kulturalnych. Jeden z nich to typ kultury pluralistycznej, najpełniej uosobiony w Stanach Zjednoczonych. I drugi — tradycyjnych monolitycznych kultur narodowych, przeważających w krajach starej Europy. Rozwój historyczny tych krajów sprawił, że obiektywne warunki sprzyjające tworzeniu się typu pluralistycznego są tam bardzo słabe.

Nie mniej jednak i tam istnieje możliwość amalgamacji starych kultur narodowych w ogólną kulturę europejską. W rzeczywistości procesy takie już tam od dawna zachodzą. I zawsze w jakiejś mierze zachodziły. Na przeszkodzie stoją partykularyzmy lokalne, zacietrzewiony prowincjonalizm, ciasny nacjonalizm. Słowem, krótkowzroczność ideologiczna. To co stoi na przeszkodzie integracji politycznej i ekonomicznej starej Europy.

W istocie rzeczy kultura europejska jest jedna, jak jedna jest kultura euroamerykańska, jak jedna jest kultura olbrzymiej części naszego globu. Przy wszystkich istniejących przeszkodach, przy całej hamującej roli tradycji historycznych, istnieje jakaś możliwość wytworzenia się kulturalnego pluralizmu światowego. Nie będzie on oznaczał zaniku lokalnych kultur narodowych, zaniku odrębności językowych czy obyczajowych. Właśnie te odrębności powinny stać się czynnikiem wzbogacania całości. Zagadnieniem jest p r z y j ę c i e faktu istnienia tej całości, uznanie jej za coś nadrzędnego i łączącego. Bo przecież ile jest obiektywnie istniejących wspólnych elementów, nadrzędnych i powszechnie uznawanych!

Istotą pluralizmu amerykańskiego jest jedność z wielości. Faktem jest jedność i faktem jest wielość. Razem tworzą one całość. Mam w sobie poczucie, że jestem spadkobiercą wielu kultur i że jestem uczestnikiem każdej z nich. I z tego jestem dumny i szczęśliwy. I nie sądzę, bym w takim odczuwaniu był wyjątkiem. Przyszłość kultury ludzkiej zależeć będzie od tego, czy takie tendencje pluralistyczne w niej się utrwalą i czy zwyciężą. Wszelkie próby stosowania magii kulturalnej, manicheizmu kulturalnego, próby bronienia monolityzmu i „czystości", próby separowania kultur lokalnych — prowadzą do katastrofy.

Aleksander HERTZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY"

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń" systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.

Str. 128 Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

◆

TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY"

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej

(Antologia)

Str. 384 Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

◆

TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa; St. Kirkora: „Korespondencje" J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star" oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240 Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)

◆

TOM 186 — WITOLD GOMBROWICZ

TRANS-ATLANTYK

TOM II-gi „DZIEŁ ZBIOROWYCH"

Str. 132. Cena F. 14 (dol. 3; 25 sh.)

"Nowa lewica" a lewica antykomunistyczna (1)

Tematem niniejszej pracy będzie porównanie dwóch współcześnie występujących zjawisk. Pierwszym — jest działalność „Nowej Lewicy", będącej w rozwiniętych krajach kapitalistycznych jedyną rewolucyjną siłą dążącą do obalenia istniejącego ustroju. Drugim zjawiskiem jest ruch rewolucyjny intelektualistów i studentów skierowany przeciwko komunistycznemu *establishment*, a ściślej przeciwko komunistycznej biurokracji. W szczególności, celem artykułu będzie porównanie gruntu społecznego, ciężaru gatunkowego w masie społeczeństwa oraz perspektyw politycznych obydwu ruchów.

Struktura ekonomiczno-społeczna państw kapitalistycznych oraz generalnie mówiąc, warunki życia na tle szybko postępujących procesów cywilizacyjnych, uległa, zwłaszcza w okresie ostatniego 15-lecia, gruntownym przemianom, przy jednoczesnym im-

1. Nazwy „Nowa Lewica" wziętej w cudzysłów, używam zgodnie z przyjętą obecnie polityczną nomenklaturą. Natomiast rewolucjonistów antykomunistycznych zaliczam do kategorii lewicy społecznej bez cudzysłowu, z uwagi na ponad stuletnie tradycje podziału na Lewicę i Prawicę. Do Lewicy należały zawsze ugrupowania, które walczyły o swobody polityczne, obalenie starych porządków społecznych przeciw warstwom, które podtrzymywały je dla zachowania swych przywilejów kosztem nędzy mas, zahamowania sił wytwórczych i rozwoju kultury. Do Lewicy w XIX i początkach wieku XX należeli socjaliści Zachodu. Do Lewicy należeli rosyjscy socjaldemokraci z frakcją bolszewicką w okresie przedrewolucyjnym. Do Lewicy należeli antyfaszyści, walczący z reżymem generała Franco i Mussoliniego. Do Lewicy należą liberalni rewolucjoniści, uderzający w dyktatorskie i półfeudalne reżymy w Południowej Ameryce i Grecji. Ale do Lewicy nie ma powodu zaliczać sowieckich komunistów ani na Zachodzie ani na Wschodzie. Gdziekolwiek działają, są oni strażnikami komunistycznego *establishment*, jednego z najbardziej reakcyjnych tworów historii. Zgodnie z tradycyjnym znaczeniem tego słowa do Lewicy należą i należeli komuniści wspierający reformy Dubczeka i do nich należą rewolucjoniści, starający się podważyć rządy komunistycznej biurokracji.

pasie ekonomicznym i skostnieniu politycznej nadbudowy, dających się zauważyć w państwach komunistycznych. W obydwu tych zjawiskach należy szukać, z jednej strony, źródeł ukształtowania się „Nowej Lewicy" na Zachodzie ze wszystkimi jej dalszymi implikacjami społecznymi, z drugiej zaś, poza innymi również przyczynami — rozwijającego się z trudem i w zgoła odmiennych warunkach nurtu opozycyjnego w państwach komunistycznych.

Ruchy, które stawiają sobie za cel obalenie istniejącego *establishment*, bez względu na jego kapitalistyczną, komunistyczną, feudalną czy jakąkolwiek inną treść społeczną, łączy zawsze jedna wspólna cecha — buntu. Można wprawdzie uważać, że tego typu więź w ogóle, a w szczególności, jeśli dotyczy ona porównania „Nowej Lewicy" z opozycją intelektualistów w Bloku Sowieckim, jest czysto formalna; że o prawdziwym pokrewieństwie ruchów rewolucyjnych świadczy wspólnota celów. W istocie jednak, w charakterystyce wszelkich zjawisk nie należy traktować politycznych motywacji jako wyłącznych kryteriów porównawczych. Patrząc z perspektywy historycznej, można bez trudu odnaleźć w obydwu nurtach wspólne pierwiastki, które leżą u podstaw wszelkich prądów uważających się za postępowe i humanitarne[2]. Są to zawsze te same, choć w rozmaitych historycznych wersjach, występujące hasła, swobody i wyzwolenia człowieka od wszelkiego typu ucisku. W poszczególnych wypadkach nosiciele tego typu idei wyzwoleńczych mogą uważać, że przyczyną zła i degradacji człowieka, bez względu na jej społeczną genealogię, jest sama cywilizacja. Poglądy te, niemal równie stare jak dzieje ludzkie, znajdowały zawsze grono licznych zwolenników.

Nie należy, jak sądzę, przy całym uznaniu dynamiki „Nowej Lewicy" i skutków społecznych jej działalności, ani przeceniać jej roli historycznej — typowego stanowiska jej zwolenników i entuzjastów, którzy po prostu identyfikują swe równie niesprecyzowane co wzniosłe hasła z przyszłością świata, ani też nie sprowadzać całego problemu do zagadnienia odwiecznie powtarzającego się „buntu młodych". Dlaczegoż bowiem bunt młodych nie dojrzał w takiej agresywnej politycznej formie ani 20 ani 15 lat temu? Dlaczego w wielu krajach kapitalistycznych w latach trzydziestych, w tej liczbie we Włoszech, Niemczech i w Polsce młodzież inteligencka stanowiła potężną siłę napędową faszyzmu mimo, że komunizm nie stanął jeszcze wówczas w obliczu takiego bankructwa jak obecnie? Dlaczego właśnie u schyłku lat sześćdziesiątych kiedy jedyne praktyczne wcielenie marksizmu, po osiągnięciu pełnej dojrzałości, okazało się fiaskiem ekonomicznym, politycznym i moralnym, w zaawansowanych państwach kapitalistycznych Zachodu niektóre hasła marksizmu przeżywają swoistego rodzaju renesans? Czy świadczy to o jego żywotności jako siły destrukcyjnej czy też wciąż mimo gorzkich doświadczeń, szeregi jego świeżych wyznawców wiążą z nim nowe nadzieje? Jeśli funkcja jego ograniczać się ma tylko do rozsadzania starych ustrojów, to dlaczego historia wskrzesza marksizm-leninizm, a nie nihilizm społeczny, który najbardziej odpowiadałby temperamentowi przedstawicieli „Nowej Lewicy"? Jeśli zaś marksizm ma wystąpić ponownie z wizją nowej rzeczywistości — inną od tej, którą ukazują Sowiety, a którą odrzuca „Nowa Lewica", to dlaczego *leader*'zy jej nie tworzą programu, będącego wyrazem nowej ulepszonej i dostosowanej do współczesności i przyszłości koncepcji socjalizmu? Dlaczego obecna amerykańska generacja dwudziestolatków jest tak aktywna, a poprzednia dała się skuć biernie obręczą maccartyzmu lat pięćdziesiątych? Dlaczego nikt z młodych Amerykanów, Niemców Zachodnich lub Włochów nie występował przeciwko udziałowi Stanów Zjednoczonych w konflikcie koreańskim, a młodzi ludzie, którzy w latach 1950-52 nie osiągnęli 10-go roku życia, drą obecnie karty powołania? Na pewno przecież nie chodzi o dość formalną w podobnych wojnach definicję: kto jest według prawa międzynarodowego agresorem, a kto — nie.

Na wszystkie te pytania politycy i socjologowie nie dają albo żadnych odpowiedzi albo dają wysoce niezadawalające, które nie tłumaczą gwałtownego skoku od względnej stabilizacji politycznej, w jakiej żyły zaawansowane państwa kapitalistyczne w ciągu pierwszego powojennego dwudziestolecia do okresu ostatnich lat. Wzrost, a w niektórych wypadkach gwałtowna erupcja tych fermentów poprzedzona być musiała jakimiś długotrwałymi nawarstwiającymi się procesami, które dojrzały i osiągnęły swe apogeum w końcowych latach 6-ej dekady naszego stulecia, obejmując zupełnie wyraźne określone środowiska i izolując od ich nurtu inne. Elementami, wzmacniającymi i katalizującymi ferment, mogły być w poszczególnych krajach zachodnich czynniki bardzo ważne jak np. w Ameryce problem mniejszości etnicznych lub wojna w Wietnamie, niemniej nie są one głównym źródłem nurtu, który zasięgiem swym obejmuje właściwie cały kapitalistyczny Zachód. Wielu obserwatorów wydarzeń, socjologów i polityków, nie mogąc ukazać głębszego podłoża rozwijających się fermentów, szuka wygodnego schronienia w „konflikcie pokoleń", manifestującym się w rozmaitych czasach i w rozmaitych formach rebelią „młodych" przeciw „starym". Choć w tym wypadku młodzi są w rzeczywistości nieco „przemieszani" ze starymi, z których najbardziej sędziwi są ideologami ruchu „Nowej Lewicy", nie podobna oczywiście czynnika konfliktu pokoleń pomijać. Tyle tylko, że nie on stanowi *differentia specifica* „Nowej Lewicy" i zrodzonego przez nią fermentu.

Na tle tych złożonych zagadnień wiele uwagi poświęca się pochodzeniu społecznemu, sytuacji materialnej, a zwłaszcza obyczajowości przedstawicieli „Nowej Lewicy". Ta ostatnia, w postaci pewnych zewnętrznych akcesoriów promieniuje zresztą na znacz-

2. Żadną miarą nie można rozciągać tej charakterystyki na programy rasistowskie czy faszystowskie. Hitleryzm nie uważał się nigdy za ruch humanitarno-demokratyczny. Przeciwnie, odgradzał się demonstracyjnie od tych ideałów, traktując je jako produkt degeneracyjnego działania wpływów liberalno-żydowskich. W przeciwieństwie do tej postawy, komunizm we wszystkich jego postaciach, bez względu na jego późniejsze losy i ewolucję, nieodmiennie do tych ideałów nawiązywał i nawiązuje.

nie szersze środowiska, wykraczając daleko poza kręgi ludzi zainteresowanych zniweczeniem kapitalistycznego *establishment*[3] Skierowanie uwagi na obyczaje i sposób życia przedstawicieli „Nowej Lewicy" jak również obserwacje, dotyczące porównania metod i warunków jej walki z metodami i tłem socjalnym walki antykomunistycznych dysydentów w państwach Wschodu jest jak najbardziej celowe, ponieważ powinny zbliżyć obserwatorów do genealogii społecznych obydwu ruchów. Metodologicznie, odpowiada to badaniu w oparciu o symptomy wszelkich zjawisk niełatwych do wytłumaczenia. W badaniach tych trzeba wydzielić objawy bardziej istotne od mniej charakterystycznych. Przy takiej postawie grozi zawsze niebezpieczeństwo uwypuklenia spraw błahych — w tym wypadku mających rzekomo świadczyć o słabości ruchu. Przykładowo zaliczyć można do nich nadmierne eksponowanie pochodzenia społecznego reprezentantów Nowej Lewicy w USA[4], we Francji i w Niemczech Zachodnich. Zamożność ich środowiska, z którego nie zawsze, choć często się wywodzą, ma ukazywać tu rzekomy paradoks pomiędzy celami, którym pragną służyć, a mianowicie — wyzwoleniu mas spod kapitalistycznego ucisku a ich własną pozycją społeczną. Ten rzekomy paradoks ma dowodzić słabości „Nowej Lewicy" i jej społecznej izolacji. Argument tego rodzaju, mogący służyć jako chwyt agitatorski, nie ma w istocie żadnego znaczenia. Nowa Lewica jest rzeczywiście ruchem działającym w społecznej próżni i pozbawionym poparcia mas w państwach kapitalistycznych Zachodu, o czym będzie mowa w dalszej części artykułu, ale aktualny skład czy ewentualna genealogia społeczna jej przywódców i zwolenników w wielu krajach nie świadczy ani o popularności ani o niepopularności jej celów. Z punktu widzenia określenia diagnozy samego ruchu jest ona elementem zgoła obojętnym. Znacznie donioślejsze znaczenie ma natomiast charakterystyka jej działania i metod walki. Również próby wskazania genezy fermentu jako kryzysu moralności i rozluźnienia obyczajów, którego objawy mogą zresztą powstać na peryferiach każdego ruchu, są tradycyjnym argumentem strażników każdego *establishment* — w tej liczbie frankistowskiego i sowieckiego, zainteresowanych jedynie w petryfikacji i utrzymaniu maksymalnej stabilności ustrojów. Niebezpieczeństwa, które nad tymi ustrojami wiszą, rzadko kiedy starali i starają się zrozumieć. Łatwiej i prościej jest i było je napiętnować.

W USA i w krajach Zachodniej Europy głosy tego typu, przypisujące powstanie „Nowej Lewicy" demoralizacji pewnej części młodzieży, należą zresztą do rzadkości. Przytłaczająca większość

3. Sposób bycia najbardziej wybijającej się grupy społecznej, mający zresztą zawsze dość złożoną genealogię, udziela się zwykle innym środowiskom, stając się czymś w rodzaju mody. Czynnik snobizmu może, ale nie musi odgrywać tutaj szczególnej roli. Akceptowanie kanonów mody bywa bowiem często aktem półświadomym.

4. Terror polityczny — histeria Lewicy. Irwing Howe. *New York Times Magazine*, 12 kwietnia 1970 r.

opinii amerykańskiej, jeśli ocenia negatywnie wystąpienia SDS *(Students for Democratic Society)* i innych grup ekstremistycznych, przyznaje im motyw ideowego działania, charakteryzując wystąpienia „Nowej Lewicy" jako impulsywną reakcję na wyimaginowaną lub rzeczywistą krzywdę społeczną.

Inaczej — w krajach komunistycznych, które, uwzględniając, nie bez racji, absolutne skostnienie partii komunistycznych Zachodu, oceniają „Nową Lewicę" znacznie surowiej mimo, że dla neoekstremistów głównym przeciwnikiem nie jest bynajmniej komunizm sowiecki lecz kapitalizm. Prasa komunistyczna Bloku Wschodniego stosuje tu zresztą kryteria sowieckiej racji stanu. Jeśli np. SDS wespół z „Czarnymi Panterami" okupuje amerykański uniwersytet, zyska pochw:ałę moskiewskiej *Prawdy* i warszawskiej *Trybuny Ludu*, ponieważ ukazywanie antagonizmów rasowych w Stanach ma osłodzić gorzki los mieszkańców krajów Bloku Komunistycznego. Gdy jednak studenci w Nanterre, nie pytając o radę KPF, doprowadzili w r. 1968 niemal do rewolty we Francji, o mały włos nie obaliwszy wówczas de Gaulle'a, którego nadmierne poczucie misji narodowej doskonale służyło interesom Moskwy, „Nowa Lewica" francuska została oskarżona przez prasę sowiecką i satelicką o kontrrewolucję, zaś francuskich ekstremistów sklasyfikowano jak rozpasanych synków burżuazyjnych rodzin, w pewnych zaś wypadkach oskarżono o syjonizm[5]. Jest to zgodne z „demaskatorskimi" tradycjami leninowsko-stalinowsko-breżniewowskimi. „Jeśli Lenin nie zgodzi się ze mną w jakiejkolwiek kwestii politycznej — cytuję tu słynne powiedzenie Aleksandry Kołłontaj, zasłużonej działaczki rewolucyjnej — muszę być przygotowana na to, że któregoś dnia oskarży się mnie o kradzież srebrnej łyżeczki z kremlowskiego serwisu". Była to w istocie dość eufemiczna forma oskarżeń stosowanych wobec przeciwników politycznych od wczesnych lat rewolucyjnych do ostatnich czasów.

Obyczajom, stylowi życia, a zwłaszcza ostatnio stosowanym metodom walki „Nowej Lewicy", należy poświęcić sporo uwagi, ponieważ jest to jeden z wielu kluczy do zrozumienia charakteru nurtu.

Nie jest pewne czy Trocki, syn zamożnego młynarza, zawsze żył w niedostatku, choć niewątpliwie cierpiał on w długotrwałych okresach swego życia biedę. Była to oczywiście bieda dobrowolna, która stała się udziałem wielu ideologów rewolucji. Ideolodzy ci, mogąc zostać zamożnymi adwokatami lub dobrze prosperującymi *businessmen*'ami poświęcali swe talenty i wiedzę tak niewdzięcznemu i niedochodowemu zajęciu jakim było przygotowanie rewolucji i przebudowa świata w duchu ideałów socjalistycznych, w okresie gdy były one tępione przez wszystkie rządy starego świata. Powszechnie wiadomo, że w toku całej historii, teoretykami i organizatorami społeczno-wyzwoleńczych

5. Artykuł w warszawskiej *Kulturze* z sierpnia 1968 roku.

nurtów nie bywali na ogół prawie nigdy przedstawiciele tych klas społecznych, które miały być wyzwalane.

Skądinąd jest to zjawisko zrozumiałe. Teoretycy i ideolodzy rzadko kiedy mogli wywodzić się z szybów kopalnianych, z hal fabrycznych lub zagród chłopskich, gdzie praca — zwłaszcza w ubiegłych dziesiątkach lat — bywała ciężka i nie pozostawiała wiele czasu nawet samoukom na myślenie i studia. Kadra rewolucyjna rozszerzała się zwykle o ludzi proletariackiego pochodzenia później; zwykle w okresie już politycznego *prosperity* ideologii. Jest i było regułą, że ci, którzy wytyczali szlaki rewolucyjne, pochodzili albo ze średnio zamożnej inteligencji lub mieszczaństwa — w Polsce i Rosji często ze szlachty, z nierzadko trafiającymi się nazwiskami arystokratycznych rodów. Tak było z Dekabrystami, tak było z członkami Narodnej Woli i tak było z rosyjskimi Socjaldemokratami, zanim ruch tych ostatnich nie wyszedł z fazy embrionalnej, przeradzając się w potężną organizację masową. Wówczas dopiero następowała stopniowa przemiana struktury społecznej kadry rewolucyjnej z tym, że trzon kierowniczy pozostawał zwykle w dawnym niezmienionym składzie. Dlatego sytuacja, w której aktywni organizatorzy i działacze „Nowej Lewicy" nie rekrutują się na ogół z klasy społecznej, o której wyzwolenie walczą, nie stanowi żadnej historycznej osobliwości. To co jest osobliwością i niewątpliwym *novum* w sytuacji tego nurtu jest fakt, *że klasy społecznej, która w zaawansowanych państwach kapitalistycznych mogłaby być obiektem „wyzwolenia", do którego dążą ekstremiści, w ogóle nie ma i że w ten sposób cele „Nowej Lewicy" stały się politycznym mitem.*

Zarzuca się im ponadto, że z braku autentyku „Nowa Lewica" uprawia coś w rodzaju stylizacji, imitując obyczaje proletariatu.

Ale i to nie jest żadną szczególną cechą odróżniającą amerykańskich rebeliantów z roku 1970 od autentycznych rewolucjonistów, którzy przewodzili w końcu XIX i w pierwszych dekadach XX stulecia ruchowi marksistowskiemu, zanim nie obrośli oni do tego stopnia w pierze, że odechciało im się nawet stylizacji. Przywódcy partii rewolucyjnych, dążący do przebudowania porządku społecznego w oparciu o jakąś warstwę społeczną i w imię jej rzekomych czy prawdziwych interesów, starają się zawsze z jednej strony przysposobić jej świadomość do założonych celów rewolucji — innymi słowy, podciągnąć ją w górę do własnego politycznego poziomu (wbrew temu co twierdził Lenin, że Partia wlecze się zawsze w ogonie mas, co nawiasem mówiąc, nie było niczym innym jak schlebianiem masom), z drugiej zaś strony — czynili wszystko, aby się z tą warstwą społeczną, mającą być obiektem wyzwolenia, a co ważniejsze, siłą napędową rewolucji — zidentyfikować. Oczywiście, identyfikacja musiała mieć z natury rzeczy charakter nie tyle duchowy ile powierzchowny lub zgoła akcesoryjny, przy czym stosunkowo najprostszą drogą do tego było zaadaptowanie pewnych obyczajów i ubioru klasy wyzwolonej, przy jednoczesnym demonstracyjnym odrzuceniu i napiętnowaniu obyczajów klas panujących. Było to szczególnie ważne

w czasie poprzedzającym rewolucję i nawet później, gdy zdobycze rewolucji należycie jeszcze nie okrzepły. Stąd robociarsko-wojskowe bluzy przywódców rewolucji rosyjskiej i pewna przesadna prostota w ubiorze. Lenin i kilku innych twórców Rewolucji opierali się temu przez jakiś czas zwycięsko, pokazując się masom w zwykłych inteligenckich tużurkach, ale i oni w końcowych latach skapitulowali[6].

Cały schemat był dość prosty i miał stworzyć przekonanie, że „przywódcy są krew — z krwi, kość — z kości mas robotniczych", choćby w swym rodowodzie mieli wyłącznie drobnych kupców, zabitych inteligentów, fabrykantów lub herbowych dziadków z siedmiopałkowymi koronami. Ci ostatni zresztą — na zasadzie pewnego prawa paradoksu, byli bardziej tolerowani od innych. Najgorszy był drobny sklepikarz czyli kołtun — uosobienie antycnót mieszczaństwa. Niestety, „kołtun" okazał się niezniszczalny. Przetrwał rewolucję i znalazł swe ucieleśnienie w osobie miejskiego lub powiatowego sekretarza.

Z kolei obowiązywać zaczęły pewne maniery językowe, mające ułatwiać kontakt z masami. Po zwycięskiej rewolucji i petryfikacji lub jak kto woli degeneracji rewolucyjnych celów, język ten w trybie dość zagadkowego procesu przeistoczył się w jakiś straszliwy żargon biurokratyczno-propagandowy, w swoistego rodzaju orwellowską nowo-mowę, z tą chyba zasadniczą różnicą, że nowomowa miała oznaczać doprowadzoną do absurdu zwięzłość, zaś jedną z cech, którą polscy czy rosyjscy przywódcy komunistyczni zaliczają zapewne do swych politycznych osiągnięć, jest sztuka mówienia w kółko o tym samym przy użyciu maksymalnej ilości słów o mętnym znaczeniu.

Proces własnej pozornej identyfikacji ze społecznym obiektem wyzwolenia, o które się walczy, jest ważnym elementem wychowania i kształtowania osobowości przywódcy. Niewątpliwie niektórzy członkowie amerykańskiej elity intelektualnej młodego

6. Stosunkowo najdalej posunięty proces identyfikacji przy pomocy środków odzieżowo-konfekcyjnych osiągnięto w Chinach. Mao Tse-tung i kierownictwo partyjne ubrało całą ludność miejską w szare lub niebieskie kurteczki na podobieństwo własne. W krajach Wschodu, gdzie proces cywilizacyjny nie upowszechnił i częściowo nie upodobnił do siebie ubiorów wielu warstw i gdzie nędza i bogactwo symbolizowały łachmany nędzarzy i jedwabie bogaczy, wymowa tego schematu jest równie prosta jak i kłamliwa. „Ponieważ ubieramy się z jednakowo spartańską prostotą, jesteśmy równi".

Związek Sowiecki, który już raczej nawykowo, bez przekonania pozuje obecnie na „międzynarodową ojczyznę proletariatu", za punkt honoru stawia pozór zrównania wszystkich warstw — nie w purytański dół, którym chlubią się Chińczycy, ale rzekomo w górę, tworząc fikcje powszechnego dostatku i zrównania klas. Z tego powodu ani pół-wojskowa bluza Stalina z lat trzydziestych ani ceratowa czapka sekretarza jako symbole prostoty rewolucyjnej nie są już potrzebne. Chruszczow, który w okresie deportacji setek tysięcy chłopów ukraińskich i czystek stalinowskich nosił rubaszkę dla podkreślenia więzi łączących go z klasą robotniczą i pracującym chłopstwem, w ostatnim okresie swej władzy chodził w garniturze i w krawacie. Modę tę kontynuują dalej obecni przywódcy Breżniew i Kosygin.

pokolenia, do której w znacznym procencie zaliczają się przedstawiciele „Nowej Lewicy", przyjęliby zewnętrzne cechy ubioru typowego dla robotnika amerykańskiego gdyby nie to, a co ma u swego źródła bynajmniej nie błahe przyczyny, że ubioru takiego już nie ma. Z tego powodu, nie mogąc zaadaptować zewnętrznego wyglądu amerykańskiego proletariusza, aktywiści SDS okazują pogardę dla wszelkiej garderoby w ogóle, podkreślając maksymalne zaniedbanie w ubiorze.

Zjawisko to jest skądinąd zrozumiałe. Nie mogąc skutecznie podważyć ani bazy ekonomicznej kapitalizmu ani jego politycznej nadbudowy w postaci państwa i stojących na jego straży organizacji, chroniących porządku społecznego, młodzi rewolucjoniści atakują tę część superstruktury, która wyraża się w obyczajowości. W ten sposób następuje skanalizowanie walki z niedostępnym kapitalistycznym *establishment* w znacznie łatwiejsze łożysko — wyzwania rzuconego mieszczańskim obyczajom i mieszczańskiemu stylowi życia.

Niemożliwość prób idenfikacji z klasą robotniczą Ameryki dla „Nowej Lewicy" amerykańskiej — ten sam problem, wobec którego stanęła, i stoi „Nowa Lewica" zachodnioniemiecka czy francuska, nie wynika oczywiście z zewnętrznej nierozpoznawalności proletariatu w masie społeczeństwa.

Nie chodzi rzecz jasna w tym wypadku o odrębność wyglądu, obyczajów i stylu życia robotników, które mogły, ale nie musiały, różnić się w pierwszych dekadach bieżącego stulecia od analogicznych cech warstw średnich. Jeszcze w okresie międzywojennym robotnik niemiecki czy francuski, który nosił się jak każdy średni berliński czy marsylski burżua, miał w swoim sposobie bycia, wyrażania się, gestach i reakcjach coś co różniło go od przedstawicieli innych warstw społecznych. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie proletariatu wielkoprzemysłowego. Ale to były lata, które w stosunku do gwałtownego skoku cywilizacyjnego późnych lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stanowią już odległą epokę. Proletariat okresu międzywojennego nie był wprawdzie już od dawna proletariatem, który odpowiadał schematom Marksa i Engelsa, niemniej zachował on pewną odrębność, wynikającą z charakteru pracy w wielkich zakładach; z poczucia dysproporcji między wagą społeczną wykonywanej pracy a jego pozycją socjalną. Stare hasło o awangardowej roli robotników i ich misji dziejowej przekształcenia starego społeczeństwa na nowe — bez wyzysku, przy stosowanych wówczas wobec nich bezwzględnych metodach eksploatacji, pozostawało nadal rezerwuarem nasycającym świadomość klasową i solidarność robotniczą.

W jakimś sensie marksiści sami podcięli korzenie swej rozwijającej się w końcu XIX i w pierwszych dziesiątkach lat XX stulecia potęgi. Uczynili to dwutorowo. Pierwszym czynnikiem, stępiającym stopniowo ostrze antagonizmów klasowych był fakt, że nawet najradykalniejsze partie robotnicze walczące o ostateczny cel — obalenie kapitalizmu musiały mobilizować i zjednywać masy czymś bliższym i praktyczniejszym od socjalistycznego panaceum mianowicie: poprawą bytu ekonomicznego w kapitalizmie. W rezultacie, w pierwszych okresach marksiści, a zwłaszcza, należący do skrzydła komunistycznego działacze, okazali się znacznie bardziej aktywni w osiąganiu tego drugiego celu niż przedstawiciele partii reformistycznych, dla których polepszenie doli klasy robotniczej w warunkach kapitalistycznych miało być celem głównym. W miarę więc jak popularność partii komunistycznych, jako bezkompromisowo walczących o poprawę interesów robotniczych w kapitalizmie, rosła, przyczyniając się do rozszerzenia jej szeregów, zwiększał się dobrobyt proletariatu, a ostateczny cel — obalenie kapitalizmu, stawał się coraz bardziej abstrakcyjny, nabierając po trosze cech obrzędowych. Przysłowiowy wróbel w garści w formie stopniowej poprawy losu stał się realną rzeczywistością.

Zaostrzenie konfliktów społecznych i wzrost popularności celów politycznych partii komunistycznych przyniósł międzywojenny kryzys. Ale był to okres krótki. Kres nadziejom rewolucyjnego przewrotu położył z jednej strony faszyzm, z drugiej zaś — przykład i wzór Związku Sowieckiego. Straszliwa łaźnia stalinowska, masowy terror doprowadził do pierwszego kryzysu w partiach komunistycznych i załamanie się wiary w to, że alternatywa komunizmu może być czymś lepszym od ewolucyjnego kapitalizmu. Dzieje wczesnych lat powojennych aż do momentu ustabilizowania się kapitalizmu na Zachodzie przyniosły dalsze stopniowe rozcieńczenie się klasy robotniczej w średnich warstwach rozwiniętych państw kapitalistycznych. Ostateczna jednak faza zatracenia oblicza społecznego proletariatu nastąpiła na Zachodzie od połowy lat pięćdziesiątych. Przyniosła ją w istocie nowa rewolucja technologiczna w postaci wzmożonej mechanizacji przemysłu, który nastąpił wraz z szybkim rozwojem cybernetyki i postępów przemysłu elektronicznego. Funkcja robotnika, tak jak ją ukazał Chaplin w „Naszych Czasach" z lat dwudziestych, a polegająca na męczącym, monotonnym powtarzaniu czynności fizycznych, stała się reliktem przeszłości. Przemiana dawnych robotników w pracowników obsługujących maksymalnie zautomatyzowane urządzenia, co nie wymaga bynajmniej długotrwałego zdobywania kwalifikacji, przekształciła całkowicie tradycyjne, już nie XIX-wieczne, ale pochodzące z pierwszej połowy XX wieku pojęcie klasy robotniczej. Wraz z tym nastąpił dalszy wzrost upowszechnienia dobrobytu. Obecnie, średnio zarabiający robotnik na Zachodzie, korzystający ze wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych, prowadzi żywot wygodny, niczym się nie różniący od stylu życia drobnych przedsiębiorców i kupców.

Dodatkowym czynnikiem, który przyniósł ze sobą wzrost mechanizacji i urządzeń samokierujących w wyniku rozwoju cybernetyki, było zmniejszenie liczby personelu zatrudnionego bezpośrednio w produkcji, przy wzroście liczby osób pracujących w usługach. Warstwa społeczna znana pod nazwą „klasy robotniczej" uległa nie tylko gruntownym jakościowym przeobrażeniom, ale faktycznemu rozproszeniu w nowoczesnym społeczeństwie kapita-

listycznym. Marksistowska definicja „proletariatu", jeśli chodzi o jej cechy formalne, określające funkcję robotników w procesie produkcji, obowiązuje nadal. W tym sensie, z punktu widzenia kryteriów terminologicznych, proletariat na Zachodzie istnieje. Niestety, dla rzeczników obalenia kapitalizmu utrzymanie niezmienionej sytuacji w świecie czysto konwencjonalnie i abstrakcyjnie ustalonych pojęć jest niewielką pociechą.

Do zniszczenia „kapitalistycznego *establishment*" nie brak chętnych. Można ich znaleźć w salach wykładowych, na seminariach, a nawet w szkołach średnich. Można ich też odnaleźć pośród tych, którzy w Stanach Zjednoczonych stanowią osobliwą, nowego rodzaju warstwę „lumpenproletariatu" — to jest ludzi, nie chcących, bo nie muszących pracować, ponieważ program rozbudowanej społecznej pomocy daje im całkowicie gratis utrzymanie i dom, włączając takie udogodnienie jak telewizor. Lenin — który sformułował kiedyś krótki slogan „kto nie pracuje, ten niech nie je" — mając na myśli kapitalistycznych eksploatatorów, nie przeczuwał, że rozwinięte formy kapitalizmu w blisko 50 lat po jego śmierci, umożliwią zgoła dostatni, choć próżniaczy żywot lumpom, wyhodowanym na kapitalistycznym łonie.

Istnienie elementów dążących do obalenia systemu kapitalistycznego na Zachodzie jest faktem bezspornym, choć kadra wyselekcjonowanych rebeliantów pod względem ilościowym przedstawia się niezmiernie ubogo, a w krajach Europy Zachodniej wykazuje nawet tendencje malejące. *Leader'*zy Nowej Lewicy nie są w stanie znaleźć tego, co według wyznawanych przez nich, a w tym wypadku słusznych kryteriów marksistowskich jest warunkiem każdej rewolucji — jej sił napędowych. Czy przywódcy „Nowej Lewicy" zdają sobie sprawę ze swej izolacji i z tego, że ich hasła rewolucyjne nie znajdują z braku klasy robotniczej społecznego adresu[7]? Trudno na to odpowiedzieć, ponieważ krańcowo opozycyjne ugrupowania bywają często wspierane przez ludzi nie podzielających ich ekstremistycznych zamierzeń, ale przyłączających się do nich w imię pewnych określonych, ograniczonych celów. W Stanach Zjednoczonych jest nim

7. Natomiast zdają sobie z tego w pełni sprawę światlejsi działacze komunistyczni w partiach komunistycznych Zachodu. Powszechnie znane było stanowisko byłego członka Politbiura KPF Garaudy'ego, który sformułował w sposób ultra ostrożny pogląd, że „klasa robotnicza" Francji, na tle eskalacyjnie rosnącego postępu technicznego, pod względem socjalnym nie odpowiada już dawnym definicjom i wymaga odpowiednich zmian w programie Partii. Stanowisko Garaudy'ego zostało odrzucone przez plenum KC Francji, składające się przeważnie z ludzi młodych, a on sam usunięty z władz. W istocie, pod zewnętrzną fasadą doktrynalnego sporu, gra toczyła się o zupełnie inną stawkę — o to czy KPF ma być nadal posłusznym narzędziem archaicznego systemu pod nazwą „komunizm sowiecki".

Nieco inny przebieg, który doprowadził do frondy, miał miejsce we Włoskiej Partii Komunistycznej (por. *Kultura*, styczeń-luty 1970) z tym, że istotny sens opozycji, przeciwko z lekka tylko oponującemu Moskwie kierownictwu, był lepiej wyeksponowany gwałtowną dyskusją jaka toczyła się w sprawie inwazji Czechosłowacji.

np. niepopularna wojna wietnamska. Pod tym hasłem „Nowa Lewica" może inicjować marsze i protesty, licząc zawsze na dużą frekwencję uczestników. W salach wykładowych, stanowiąc nawet wśród studentów mniejszość, „Nowa Lewica" panuje niepodzielnie, ponieważ do jej szeregów zalicza się niewątpliwie największa liczba inteligentnych, aktywnych i wyczulonych na społeczne zło młodych ludzi.

Ruchy rewolucyjne zawsze przechodzą okresy embrionalne, tworząc przez jakiś czas wąskie grupy elitarne, ale „Nowa Lewica", jak starałem się to wykazać, jest posiewem rzuconym na jałową glebę nowej kapitalistycznej rzeczywistości, którą procesy cywilizacyjne doprowadziły do tego co w języku burzycieli wszelkich starych porządków nazywa się „filistrzeniem mas".

Niektórzy zwolennicy ruchu zdają sobie sprawę, że największy opór, na który napotykają, nie pochodzi ze strony władz, które w istocie traktują opozycję z daleko idącą kurtuazją, ale ze strony samej opinii publicznej. Ściśle biorąc, nie jest to opór, ale coś znacznie gorszego — bierność i absolutna obojętność wobec wzniośle, a nawet porywająco brzmiących haseł. Dlatego spora liczba aktywistów „Nowej Lewicy", jeśli nie wie, to w jakiś sposób odczuwa fakt, że w próbie zrewolucjonizowania mas stoi przed nieprzeniknionym murem. Co czynią niektórzy fanatycy opanowani poczuciem misji, która nie znajduje żadnego odźwięku w narodzie? Uderzają głowy o mur. W ten sposób rodzi się terror.

Szerszym, mniej sfanatyzowanym rzeszom zwolenników „Nowej Lewicy", odczuwającym swą izolację, wystarcza manifestowanie lekceważenia dla sfilistrzałego społeczeństwa mieszczuchów w postaci najrozmaitszego typu ekstrawagancji. Rodzą się one czasem, jak w wypadku ruchu hippisów, z pogardy dla cywilizacji, bez względu na jej społeczną firmę. Są to reakcje stosunkowo niewinne. Zdarzają się natomiast indywidualności, które z faktem politycznej izolacji i niepopularności swych celów, które wydają się im tak proste i oczywiste, nie mogą pogodzić się w żaden sposób. Akty terroru, których widownią stały się ostatnio miasta amerykańskie, są tego symptomem a zarazem dowodem desperacji i poczucia bezsilności w jakiej znalazła się najbardziej sfanatyzowana część „Nowej Lewicy". Abstrahując od moralnych implikacji terroru, politycznie i faktycznie nie znajduje on w Stanach Zjednoczonych żadnego usprawiedliwienia. Terror w ogóle — czyli jakakolwiek forma akcji militarnej przeciw rządowi, jest czasem jedyną formą walki, gdy reżym policyjny lub władza okupacyjna knebluje ludziom usta, zamykając opozycji wszelki kontakt z opinią publiczną. Terror indywidualny w Rosji carskiej w roku 1905 i w krajach okupowanych przez nazistów pełnił funkcje samoobrony społeczeństwa przeciw najbardziej barbarzyńskim metodom walki z ruchem podziemnym[8]. Żadna z tych

8. Wydaje się, że w pierwszym okresie dziejów Rosji porewolucyjnej terror indywidualny mógł stanowić jedyną skuteczną broń. Mam na myśli okres masowych egzekucji w latach 1937-38. Byłby to jak najbardziej usprawiedli-

przesłanek nie istnieje w wypadku „Nowej Lewicy". Ma ona swobodne warunki, aby dotrzeć do społeczeństwa. W tym wypadku podkładanie bomb pod gmachy nawet przy humanitarnym oszczędzaniu ich mieszkańców, politycznie — jest deklaracją bankructwa, psychologicznie zaś daje się ująć w krótkiej formule: „skoro nie znajdują posłuchu nasze hasła, posłuchajcie eksplozji bomb". Bez względu na to, że ekstremiści wybierają szczególne obiekty do dokonania zniszczeń — a dokonują, jak się wydaje, selekcji pod kątem widzenia typowania znanych firm kapitalistycznych, przepaść między nimi a resztą społeczeństwa nie może maleć a rosnąć. Terrorem można ludzi nastraszyć, ale nie można przemienić ich w swoich zwolenników.

Nie należy jednak obawiać się, tak jak sądzą niektórzy obserwatorzy wydarzeń, aby sporadyczne akty terroru skrajnych grup „Nowej Lewicy" mościły drogę do władzy prawicowych elementów, czekających na swoje faszystowskie szanse, aby zniszczyć demokrację amerykańską pod pretekstem jej ochrony przed rządami gwałtu i anarchii. W istocie, kapitalistycznej demokracji amerykańskiej nie grozi żadne szczególne niebezpieczeństwo. Oparta jest ona na trwalszych podstawach niż demokratyczne tradycje, Konstytucja oraz Deklaracja Niepodległości. Tradycje można ludziom szybko wybić z głowy. Konstytucje i Deklaracje oprawić w ramki i odstawić do lamusa. Natomiast struktur społecznych, będących produktem długotrwałego historyczno-cywilizacyjnego rozwoju, jeśli w nich tkwi zabezpieczenie swobód, zmienić łatwo nie można. Stanowią one lepszą gwarancję demokracji niż wszelkie pisane dokumenty.

Inteligent przybyły z krajów Bloku Komunistycznego, który znajduje się jako przymusowy wygnaniec lub dobrowolny emigrant, nie może w warunkach kapitalistycznej demokracji zająć wobec nowych lewicowych ekstremistów stanowiska emocjonalnie zbliżonego do poglądów członka miejscowej społeczności żyjącego tu od dawna. Dla tego ostatniego „Nowa Lewica" jest co najwyżej grupą sfanatyzowanych, ekstrawaganckich młodzików, żyjących w świecie złudzeń i nieziszczalnych ideałów. Tak myśli przeciętny, kierujący się rozsądkiem człowiek zachodniej społeczności, przynajmniej tak długo, póki fanatyzm ekstremistów nie przekracza pewnych granic i nie wkracza na drogi terroru...

Człowiek, przybyły ze Wschodu, nie może nie porównywać. Przy normalnej, z punktu widzenia reakcji ludzkich, emocjonalnej postawie, porównania narzucają się same. Dla niego neo-lewi-

wiony akt samoobrony przeciwko gangowi morderców jaki wówczas srożył się pod władzą Stalina. Łatwo zrozumieć dlaczego do tej formy samoobrony nie doszło. Tego rodzaju masowy terror doprowadził do całkowitego paraliżu społeczeństwo, którego dominującą postawą były strach i fatalistyczne poddanie się losowi. Do tego dochodziła jeszcze jedna okoliczność. W państwie komunistycznym, gdzie obywatele znajdują się zawsze pod kontrolą państwa a poddani szczególnej inwigilacji w czasie kolejnych czystek lat trzydziestych, zorganizowanie spisku i wyposażenie spiskowców w broń lub materiały wybuchowe było w ogóle niepodobieństwem.

cowcy Zachodu — to bynajmniej nie niewinni szaleńcy, cierpiący na młodzieńczą chorobę wywracania świata. To groźni szaleńcy opanowani rządzą zniszczenia rzekomo-skorumpowanej, rzekomo-zakłamanej, rzekomo-bezideowej, oszukańczej i skomercjalizowanej do szpiku kości amerykańskiej czy zachodnioeuropejskiej demokracji. A przecież odczucia przybysza ze Wschodu nie oddają bynajmniej ani istoty sprawy ani nie pomagają w zrozumieniu genezy ruchu, który objął swym zasięgiem trzy kontynenty.

Nie chodzi o obiektywną treść porównań, które mogą wyrażać prawdę, bo przecież swoboda w głoszeniu poglądów i poszanowanie praw ludzkich są nieporównywalne z tyranią komunistyczną i upodleniem człowieka. Jeśli nawet przybysz ze Wschodu nie popada drogą kontrastu w cielęcą i bezwarunkową afirmację zachodnich demokracji; jeśli nawet widzi w kapitalizmie Zachodu, a w szczególności w jego najklasyczniejszym przedstawicielu, kapitalizmie amerykańskim, poważne wady, ogranicza się wówczas co najwyżej do zasugerowania starej, cieszącej się patentem zdrowego rozsądku, zasady, że w „polityce wybiera się nie między złem i dobrem, ale między złym i gorszym".

W polityce — tak. Ale nie w rewolucji. „Nowej Lewicy" nie można natchnąć zasadą, która jest regułą postępowania pragmatyków i która, z historycznego punktu widzenia, posiada wątpliwą wartość. Postawy wszelkiego typu rebeliantów i rewolucjonistów nie mogą polegać na dokonywaniu wyboru spośród istniejących alternatyw, ale na ukazywaniu nowych wariantów rzeczywistości. Gdyby ludzie wybierali zawsze między złym a gorszym, szlaki historii zamieniłyby się w zatęchłą koleinę. Ideowe cele, przyświecające wielu ruchom rewolucyjnym, były prawie zawsze nieziszczalne, niemniej stanowiły w pewnych okresach potężne motory dziejowego postępu. Dramat „Nowej Lewicy" nie polega na tym, że chce ona pchnąć świat zachodni na tory nieosiągalnych celów, które mimo wszystko posunęłyby historię naprzód. Nie polega również wyłącznie na tym, że nie znajduje ona w opinii publicznej posłuchu, bo słuszne, a zwłaszcza rewolucyjne idee, nie zawsze bywają popularne, ale na tym, że konsekwencje jej haseł, w wypadku wcielenia ich w życie, stałyby się z miejsca hamulcem historycznego postępu[9].

9. Dla uniknięcia nieporozumień znaczeniowych, wiążących się z tym popularnym określeniem, wyjaśniam, że przez „postęp historyczny" rozumiem nieskrępowany rozwój nauk, kultury oraz sił wytwórczych, przynoszących wzrost i upowszechnienie dobrobytu, poszanowanie praw ludzkich w formie zapewniającej wszystkim ludziom swobodne głoszenie poglądów, nieskrępowane prawo do opuszczania i powrotu do swego kraju oraz elementarne zachowanie praworządności. To ostatnie nie wymaga definicji.

Nie zaliczam do „postępu historycznego" jako koniecznego atrybutu zasady pełnego ludowładztwa, ponieważ we współczesnym rozwiniętym państwie przemysłowym sprawowanie pełnej władzy przez ludność na podstawie równego współudziału wszystkich obywateli jest nonsensem i niemożliwością. Nie zaliczam również do „postępu historycznego" postulatu „równości wszystkich ludzi", jeśli ma to oznaczać coś więcej niż równość wobec prawa. „Rów-

To czego chce „Nowa Lewica" i jak ma wyglądać wizja społeczności dostosowanej do jej ideałów, nie było przedstawione nigdy i nigdzie w jasnej postaci. Znacznie natomiast łatwiej jest ukazać to czego „Nowa Lewica" nie chce, z czym walczy, a co chce pozostawić w ogólnym inwentarzu masy kapitalistycznej upadłości.

Wiadomo więc, że neo-ekstremiści nie chcą oficjalnie pozbawiać obecnego społeczeństwa żadnych dobrodziejstw współczesnej cywilizacji. Odwrotnie — chcą je tak upowszechnić, aby objęły w równej mierze najszersze kręgi społeczeństwa. Nie chcą zniszczyć swobód politycznych, z których korzystają obywatele kapitalistycznych demokracji. Przeciwnie — niezadawalający w tej dziedzinie stan rzeczy chcą polepszyć przez rozszerzenie i wypełnienie ideałów wolności pełniejszą treścią, krępowaną obecnie komercyjnymi pętami ustroju kapitalistycznego. Jak to osiągnąć i jakie wnioski należy wyciągnąć z historii, a zwłaszcza doświadczeń rewolucyjnych poprzednich generacji — tym „Nowa Lewica" się nie frasuje.

Fałszywe czy słuszne poglądy, o ile zasięgiem swym ogarniają szersze środowiska ludzkie, zwłaszcza w wielu krajach i kontynentach, są napewno zjawiskiem mającym swą genealogię społeczną. Tę słuszną, choć marksistowską zasadę należy zastosować przy próbie odnalezienia socjalnych źródeł zjawiska pod nazwą „Nowa Lewica".

Zespół poglądów przedstawicieli tego nurtu nie jest bynajmniej zwarty. Ponadto, głoszony jest w formie sloganów, co nie ułatwia ich rozszyfrowania. Niemniej, najważniejsze idee, można streścić w dość skondensowanej formie. Brzmią one następująco: współczesny kapitalizm zachodni jest systemem oszukańczej demokracji, wyzysku i zakłamania. Jednostka ludzka staje się w nim obiektem demoralizacji i poniżenia na skutek eksploatacji i agresywnych wojen. W wyniku tego kapitalizm przyniósł degradację człowieka, manifestującą się całkowitą komercjalizacją społeczeństwa, będącego antytezą humanizmu. Masy ludowe nie mają wpływu na rządy, które zmonopolizowane są w rękach oligarchii finansowej, kontrolującej całość społeczeństwa przy zastosowaniu wszelkich form presji z pominięciem zasad Konstytucji i Deklaracji Niepodległości. Warstwami najbardziej upośledzonymi i narażonymi na ucisk są mniejszości etniczne czyli ludność kolorowa Ameryki. Dlatego kapitalizm jako największe zło ludzkości powinien zostać zniszczony.

Już pobieżny przegląd poszczególnych oskarżeń, wymierzonych w kapitalistyczny *establishment*, prowadzi do niewątpliwego wniosku, że każde z tych zarzutów zawiera poważne ziarno prawdy — a może nawet więcej niż ziarno. Tyle tylko, że wnioski jakie

---

ność" jest terminem tak niejasnym, że można chyba wskazać kilkadziesiąt jej znaczeń. Innymi słowy, przestała być dawno pojęciem stwarzającym jakiś sprecyzowany sens. Stała się natomiast najbardziej oszukańczym i najbardziej nadużywanym przez geszefciarzy politycznych sloganem.

z tej krytyki należy wyciągnąć są zgoła odmienne od tych, które proponuje „Nowa Lewica".

Jest prawdą, że Kongres i ciała ustawodawcze Ameryki przestały być organami ludowładztwa i że lud amerykański bynajmniej poprzez nie nie rządzi, choć opinia publiczna ma za pośrednictwem tych instytucji poważny wpływ na kształtowanie się losów kraju, czemu lewica w swym ekstremistycznym zacietrzewieniu przeczy. Jest prawdą, że system kapitalistyczny jest skorumpowany i że za kulisami życia publicznego odbywają się przetargi i kompromitujące z punktu widzenia elementarnej moralności praktyki — z tym, że fakty te bardzo często wychodzą na światło dzienne, a sprawcy bywają karani — do czego ekstremiści nie przywiązują żadnej wagi. Jest również prawdą, na co „Nowa Lewica", odnosząca się z pogardą do „wolności amerykańskiej", kładzie mniejszy nacisk, że w postępowaniu rządów amerykańskich inne kryteria obowiązywały w stosunku do własnego kraju, a inne do reszty świata. Nie chodzi w tym wypadku o priorytet interesów amerykańskich nad obcymi, który wynikać może z samych realiów patriotyzmu, nakazujących w pierwszej kolejności troskę o własny kraj, a w drugiej — o resztę świata. Chodzi o to, że zasady polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych bywają często odwróceniem zasad polityki utrzymywania swobód we własnym państwie. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że poza granicami Stanów Zjednoczonych każdorazowy rząd amerykański stosował politykę, której jedynym kryterium był „antykomunizm". W pewnym sensie stanowiło to jakąś ponurą analogię z polityką międzynarodową Kremla. Niemal w całym trzecim świecie i w krajach gospodarczo zacofanych Moskwa wspierała każdą dyktaturę komunistyczną lub prokomunistyczną. Waszyngton zaś odwrotnie — wspierał wszelkie dyktatury z wyjątkiem komunistycznych. Dotyczyło to i dotyczy nie tylko Ameryki Łacińskiej, gdzie lokalne dyktatury często nie przetrwałyby kilku tygodni bez amerykańskiej pomocy, ale takich krajów jak Grecja, gdzie alternatywą dyktatury wojskowej nie musi bynajmniej być komunizm. Taka polityka była niczym innym jak wspieraniem w imię walki z komunizmem reżymów feudalnych lub półfeudalnych, hamujących rozwój gospodarczy i postęp kulturalny tych krajów, utrzymujących w zamian za to kraje tej sfery w zależności ekonomicznej i politycznej od USA. Jeśli chodzi o tego typu zarzuty, stawiane Ameryce, nie są one zresztą monopolem „Nowej Lewicy". Podziela je większość kół lewicowo-liberalnych na całym świecie.

Jest również niezaprzeczalną prawdą, że w kapitalizmie istniał i istnieje wyzysk człowieka związany ściśle z nierównym podziałem dochodu narodowego, ale również jest prawdą, co negliżują ekstremiści, że po pierwsze, motyw zysku jest, jak dotychczas, jedynym skutecznym motorem sił wytwórczych, przyśpieszającym tempo rozwoju cywilizacyjnego i że po drugie — eksploatacja nie zapobiegła upowszechnieniu dobrobytu. Przeciwnie — w jej wyniku nastąpił ogólny wzrost dobrobytu, w efekcie czego doszło

w zaawansowanych krajach kapitalistycznych do zaniku tej klasy wyzyskiwanych, która miała być potencjalnym czynnikiem rozsadzającym stary ustrój. Nie będzie więc paradoksem wniosek, że pewne formy eksploatacji kapitalistycznej w łańcuchu skutków przyczyniły się jako najważniejszy motor sił wytwórczych do takiego podniesienia stopy życiowej wyzyskiwanych, że przestali odczuwać na sobie ciężar eksploatacji. Zabezpieczając się przeciwko łatwej próbie skarykaturowania poniższej konkluzji, należy oczywiście podkreślić, że tylko *niektóre* formy wyzysku nacechowanego rozumem czy jak kto woli instynktem ekonomicznym, doprowadziły do opisanych wyżej skutków. Eksploatacja w krajach kapitalistycznych gospodarczo zacofanych lub feudalnych, podobnie jak eksploatacja praktykowana przez biurokracje komunistyczne, nie jest bodźcem, ale hamulcem wytwórczości i postępu cywilizacyjnego.

„Nowa Lewica", która w dosyć chaotycznej formie przyswaja sobie idee walki klasowej, nie wysuwa właściwie żadnej określonej alternatywy, która ma zastąpić kapitalizm po jego obaleniu[10]. Jest to jej słabością, a zarazem puklerzem. Słabością, ponieważ od ruchów, *sensu stricto* politycznych, wymaga się nie tylko negacji, ale programu i strategii, dających wizję jak wcielać w życie głoszone ideały. Puklerzem — dlatego, że nie ukazując żadnego określonego wariantu ustroju, który by zastąpił kapitalizm, „Nowa Lewica" chroni się przed krytyką. Nie sądzę jednak, aby postawa ta była wynikiem kalkulacji politycznych. Jest raczej wynikiem tego, że żadną wizją nowego ustroju, opartego na lepszym współżyciu ludzi, przywódcy „Nowej Lewicy" po prostu nie dysponują.

Postulat rozwoju sił wytwórczych — naczelne założenie marksizmu, któremu rozwój społeczny winien być podporządkowany, jest przez „Nową Lewicę" uznawany tylko w minimalnym stopniu. Nie może on mieć w żadnym wypadku priorytetu, ponieważ kapitalizm mimo, iż w wyścigu produkcyjnym z komunizmem wyszedł zwycięsko, czemu „Nowa Lewica" nie przeczy, doprowadził do schorzenia i komercyjnego upodlenia społeczeństwa. Dlatego marksizm klasyków i jego leninowska czy stalinowska wykładnia, stawiająca sobie za cel nieskrępowany rozwój sił wytwórczych, nie może być dla przedstawicieli nowego nurtu żadną Ewangelią. Głównym celem „Nowej Lewicy" jest uzdrowienie *psychiczne* społeczeństwa, do czego pierwszym krokiem musi być

10. Zarówno w USA, a jeszcze w większym stopniu na Zachodzie, do „Nowej Lewicy" wlicza się również grupy o zdecydowanej orientacji marksistowskiej, wywodzące się z rozmaitych odłamów opozycji antystalinowskiej, stojących konsekwentnie na gruncie leninizmu. Do najbardziej znanych należą Trockiści. Oczywiście nie ma powodu nazywać ich *nową lewicą*. Jest to stara marksistowska-leninowska lewica tyle tylko, że reprezentowana obecnie w swej większości przez młodych ludzi. Zadaniem moim m.in. jest próba uchwycenia specyfiki tej prawdziwej „Nowej Lewicy", będącej produktem zmian społecznych w kapitalizmie w ciągu ostatnich lat.

obalenie ustroju, który jest przyczyną degradacji społeczeństwa i jego antyhumanistycznego schorzenia.

Jeśli kubańska czy chińska wersja komunizmu znajduje u „Nowej Lewicy" więcej sympatii niż sowiecka, to bynajmniej nie z uwagi na jej konkretne zdobycze materialne, ale głównie z tego powodu, że w porównaniu z Sowietami obydwa te kraje są bardziej bezkompromisowymi przeciwnikami międzynarodowego kapitalizmu, a w szczególności jego głównego bastionu Stanów Zjednoczonych. Ponadto na wyobraźnię neo-lewicowców działa „purytanizm" nowej fali rewolucyjnej w Chinach oraz karykaturalnych rozmiarów zdyscyplinowanie Chińczyków, o którym „Nowa Lewica" nic nie wie, ale która, w jej pojęciu, jest antytezą dekadencji skomercjalizowanego Zachodu. Kuba — wciąż jeszcze uchodzi za kraj romantycznych partyzantów, do których wielu lewicowców stara się zewnętrznie upodobnić. Ponadto, była ona przybraną ojczyzną Che Guevary — postaci niewątpliwie bohaterskiej, prawdopodobnie w swym bohaterstwie tragicznej — który u kresu swego życia szukał bardziej śmierci niż zwycięstwa. Kult jego osoby jest ważnym elementem popularności jaką wciąż jeszcze cieszy się wśród zwolenników „Nowej Lewicy" Republika Kubańska.

Choć „Nowa Lewica" nie stawia sobie w przeciwieństwie do marksistów rozwoju sił wytwórczych jako głównego celu, któremu stosunki międzyludzkie winny być podporządkowane, niemniej osiągnięcia cywilizacyjne pragnie zachować z tym tylko zastrzeżeniem, że chce uwolnić świat od ujemnych społecznych skutków jaki nosi ze sobą kapitalizm ze swym systemem produkcji i dystrybucji.

Ruchy, które stawiały sobie w dziejach cele uzdrowienia nadmiernie zmaterializowanych społeczeństw, nie bywały często w ogóle ruchami politycznymi. Jeśli dążyły do utorowania drogi nowej moralności jak to miało miejsce np. w epoce rodzącego się chrześcijaństwa, to wady społeczeństwa przypisywano pogaństwu. Ponieważ ludzkość znajdowała się wówczas w zbyt wczesnym okresie rozwoju sił produkcyjnych, aby tworzyć koncepcje nowych struktur społeczno-gospodarczych[11], potępienie pogaństwa, które pierwsi chrześcijanie utożsamiali z materialistycznym kultem doczesności, w konsekwencji pociągało za sobą kult innego życia — pośmiertnego.

„Nowa Lewica" nie odrzuca doczesności i nie zaleca wyrzeczeń. A ponieważ źródło zła, jakim jest zdemoralizowane i skomercjalizowane społeczeństwo, upatruje w kapitalizmie, stawia się w rzę-

11. Chociaż dzieje pierwszego okresu chrześcijaństwa okryła legenda pracowicie tworzona w ciągu pokoleń przez Kościół, wiadomo, że pierwsi chrześcijanie nie mieli żadnych ambicji usunięcia niesprawiedliwości społecznych. W szczególności, nie występowali przeciw niewolnictwu, co na tle ówczesnych stosunków wytwórczych było jak najbardziej zrozumiałe. Prawdę tę rozumie **każdy** wychowany na analizie społecznej marksista, natomiast dziwne jest, że pretensji z tego powodu nie wnosili do pierwszych chrześcijan niemarksiści.

dzie ruchów politycznych w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Z tej racji jak również i z tego powodu, że nie jest w stanie stworzyć własnej oryginalnej ideologii ani programu działania, sięgnęła w swej bezradności do starego arsenału myśli marksistowskiej. Niestety, nie zaczerpnęła z niego niczego co zachowało w nim trwałą wartość, a mianowicie metody analizy społecznej, z tej prostej przyczyny, że ta obróciłaby się przeciw niej samej. Wzięła z niego natomiast najbardziej archaiczne i bezwartościowe relikty: tezy o walce klasowej i dyktaturze proletariatu.

Hippisi — stanowiąc równolegle i niemal współczesne zjawisko z „Nową Lewicą", są od tej ostatniej bardziej konsekwentni. Przypisują oni ułomności społeczeństwa nie kapitalizmowi, ale cywilizacji w ogóle, odwracając się od niej plecami i starając się żyć jak ptaki boże, albo jak autentyczni cynicy z epoki Antystenesa i Diogenesa. Spora wprawdzie liczba hippisów swój antycywilizacyjny eskapizm łączy z potępieniem kapitalizmu, czynią to jednak marginesowo, bez militanckiej pasji zaangażowanych politycznie ekstremistów. Hippisi traktują po prostu kapitalistyczny lub komunistyczny *establishment* również jako jeden z produktów cywilizacji, którą gardzą pryncypialnie. Oczywiście do zamanifestowania swego stosunku do komunizmu nie mają okazji, ponieważ ten ostatni nie okazałby najmniejszej tolerancji wobec ich ekstrawagancji, podobnie zresztą jak dość konserwatywnie w sprawach obyczajowych usposobione społeczeństwo sowieckie.

Ponieważ w przeciwieństwie do hippisów „Nowa Lewica" pragnąc zachować dobrodziejstwa cywilizacji, nie wskazuje żadnej określonej alternatywy społeczno-produkcyjnej, mającej zastąpić dotychczasowy ustrój, tylko dwa postulaty postawione są jasno: obalenie kapitalizmu i władza dla mas. O tym co będzie dalej — zadecydują masy, ponieważ tylko masy z ich zdrowym instynktem społecznym wskażą właściwe drogi. To, że przy nieustannie podkreślanej wierze w masy, nie wiadomo gdzie ich właściwie szukać, skoro jak zauważył Rogers Williams w swym liście do *New York Time's Magazine* (List Rogera Williams'a dezertera z Armii Amerykańskiej, korzystającego z azylu politycznego w Kanadzie ukazał się 8. III. 1970) całe społeczeństwo kapitalistyne jest skomercjalizowane, nie trapi nadmiernie „Nowej Lewicy", a przynajmniej strapienia tego nie okazuje na zewnątrz. A przecież tu tkwi sedno problemu, bo choć diagnoza „Nowej Lewicy", jeśli chodzi o oblicze i obyczaje współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego może być trafna, „Nowa Lewica" stawia się w fałszywej sytuacji. Nie przez to, że chce uzdrowić społeczeństwo, bo można je uzdrowić nawet wbrew jego woli, ale przez to, że apeluje do eks-proletariuszy, żyjących w dobrobycie, mających własne domki lub dobrze urządzone mieszkania, spędzających popołudnia przy telewizorach z rodzinami lub w najlepszym razie (z punktu widzenia „Nowej Lewicy") — w knajpach, aby wywracali do góry nogami kapitalistyczny *establishment*, którego sami stali się cząstką.

„Nowa Lewica" musi sobie uświadomić, że jej „rewolucja" w krajach Zachodu musi być rewolucją nie dla mas, ale przeciw masom, które ducha rewolucyjnego straciły i to zapewne straciły, jeśli nie bezpowrotnie, to na najbliższą epokę. Świat Zachodni zorganizowany został w 95 % na zasadach „mieszczucha". Obraz tego życia od najniższych warstw aż do tych, które w Ameryce nazywa się *middle upper class* zamyka się w pogoni za zwiększeniem osobistych dochodów, wygodą życia, turystyką, obowiązkami rodzinnymi i łatwą rozrywką.

Ten styl życia może wywołać odrazę u zwolenników „Nowej Lewicy", ale odraza ta ma jedną zasadniczą słabość: nie ma u swych podstaw motywacji społecznej, ponieważ, żyjącego w dostatku ex-proletariusza nie można na zasadzie kontrastu przeciwstawić masie obdartych nędzarzy tak jak to ukazywał 45 lat temu w swych rysunkach radykalny niemiecki artysta Georg Grosz. Innymi słowy, nie ma społecznych kryteriów potępienia „mieszczucha". Pozostają więc chyba tylko — estetyczne. Nie lekceważę tych ostatnich, ale jak dotychczas, estetyka, która ma rosnący wpływ na życie społeczności kapitalistycznych, nie jest czynnikiem, który zdolny byłby poruszyć masy. Była ona i jest jedynie elementem regulującym życie wszelkiego rodzaju cyganerii[12]. Obecne społeczeństwo nie jest w stanie dostarczyć materiału palnego w skali masowej do jego zniszczenia. Jeśli zaś rebeliancka mniejszość szukać będzie dróg do swych celów na drodze terroru, „mieszczańskie" społeczeństwa zmobilizują samoobronę przy pomocy coraz surowszych środków represyjnych. Mieszczanin — ex-proletariusz, w obronie swego rodzinnego *establishment*, które jest cząstką tego większego — kapitalistycznego, potrafi być czasem równie zdeterminowany jak terroryści, wyrabiający metodami chałupniczymi bomby, aby podłożyć je w hallu nowojorskiego banku lub japońscy członkowie „Czerwonej Armii", którzy w północnokoreańskim policyjnym reżymie Kim Ir Sena szukają światła Wszechświatowej Rewolucji.

Czy wszystko to razem oznacza, że obecne „sfilistrzałe", w pojęciu rewolucjonistów, zachodnie społeczeństwo kapitalistyczne jest niewzruszalne? Na pewno nie. Dalszy eskalacyjny postęp cywilizacyjny może w istocie doprowadzić do przełomu w psychice ludzkiej i skierowania historii na jakieś nowe nieprzewidziane szlaki. Rozważania na temat czy i kiedy to nastąpi miałyby charakter czysto spekulacyjny lub wkraczałyby w dziedzinę tego co

12. Cyganerie — środowiska literacko-artystyczne, zjawisko, które stworzył wiek XIX wraz z ukształtowaniem się kapitalizmu i burżuazji, odnosiły się z pogardą do obyczajowości mieszczańskiej, głównie w oparciu o własne wysoce subiektywne poglądy estetyczne, bez politycznego zaangażowania się w walkę przeciwko ówczesnemu XIX-wiecznemu *establishment*. Przedstawiciele cyganerii ciążyli wprawdzie na ogół zawsze w kierunku Lewicy, ale ich sympatie polityczne stanowiły raczej wąski margines ich zainteresowań. W pewien sposób potrafili oni oddziałać na górne warstwy ówczesnego głęboko zróżnicowanego społeczeństwa kapitalistycznego. Część burżuazji uznała kryteria cyganerii, akceptując walor jej sądów w dziedzinie estetyki. W ten sposób „gust mieszczański", „mieszczański smak" stały się określeniami pejoratywnymi.

w Ameryce nazywa się *science fiction*. W tym wypadku byłoby to raczej *social fiction*, a więc temat który wykracza poza ramy niniejszej pracy. Jedno wydaje się w każdym razie prawdopodobne. Jeśli społeczeństwo burżuazyjne podniesie żagiew buntu, a może to zdarzyć się w przyszłości, to nie przeciw żadnej władzy, żadnemu *establishment*, ale przeciw samemu sobie. Nie będą wówczas potrzebne spleśniałe relikty rewolucyjne XIX-wiecznych wizjonerów, ani ich XX-wiecznych epigonów.

Jeśli więc obecnie przywódcy „Nowej Lewicy" rzucają hasło: „Władza dla mas", może to wzbudzić podejrzenie, że nie oznacza to nic innego jak „władza dla nas". Osobiście jednak tych podejrzeń nie podzielam. Nowemu ruchowi nie można zarzucić cynicznej kalkulacji. W Ameryce „Nowa Lewica" nie wyhodowała jeszcze sprytnego przywódcy, poza niektórymi czarnymi *leader*'ami, których apele, w przeciwieństwie do ich białych i znacznie naiwniejszych współtowarzyszy, znajdują szerszy adres społeczny ze względu na wciąż jeszcze istniejące upośledzenie ludności kolorowej[13]. Fakt ten stwarza osobliwą sytuację, w której biali aktywiści „Nowej Lewicy" starają się ze wszystkich sił o ściślejsze zbliżenie z czarnym skrzydłem ruchu nie tyle w poczuciu solidarności z upośledzoną mniejszością murzyńską, która coraz agresywniej i skuteczniej walczy o swe prawa, ile w poczuciu własnej słabości. Biali ekstremiści zabiegają w Stanach Zjednoczonych o spółkę z czarnymi sprzymierzeńcami po prostu dlatego, ponieważ ci drudzy mają polityczną klientelę, a ci pierwsi działają w coraz większym osamotnieniu.

Obraz tych rozbieżności ukaże nam jednocześnie odwróconą sytuację ruchu dysydenckiego w krajach Europy Wschodniej i ZSSR, w których postęp gospodarczy, społeczny i kulturalny oraz rozwój szeregu gałęzi nauki hamowany jest scentralizowaną władzą ekonomiczno-polityczną państwa.

W nieco lapidarnym skrócie można to ująć następująco: rozwój ekonomiczny, w szczególności jego skutki społeczne czynią ostatnio rozmaite instytucje władzy politycznej na całym świecie w mniejszym lub większym stopniu anachronicznymi w stosunku do historycznego tempa rozwoju, którego źródło tkwi w eskalacyjnym rozwoju technologii. Jeśli instytucje władzy politycznej, nie mające charakteru totalitarnego, są zbyt słabe, by móc lub nawet dążyć do kontroli lub zahamowania trendów ekonomicznych, rozbieżności między jednymi a drugimi nie wpływają paraliżująco na postęp społeczny. Jeśli jednak władza ta, jak to ma miejsce w państwach komunistycznych, jest monopolistyczna, wówczas superstruktura polityczna działa z punktu widzenia historycznego hamująco ponieważ reguluje ona wszelkie procesy rozwojowe zgodnie z interesami socjalnymi rządzącej biurokracji. W efekcie konflikty społeczne muszą nabrzmiewać, ponieważ znajdują swój grunt w niezaspokojonych potrzebach i aspiracjach narodów.

Amerykańska konstytucja podpisana została przez twórców Stanów Zjednoczonych blisko 190 lat temu. Było to społeczeństwo złożone z farmerów, plantatorów, myśliwych, rzemieślników i kupców. Konstytucja i Deklaracja Niepodległości, jedne z najbardziej postępowych jak na owe czasy dokumentów, stanowiły akty prawne odpowiadające fundamentalnym potrzebom ówczesnej społeczności. W szczególności, zasada ludowładztwa mogła znaleźć pełne zastosowanie w tej farmersko-rzemieślniczo-myśliwskiej wspólnocie. Od tego czasu poza wyzwoleniem Murzynów, oznaczającym likwidację feudalno-niewolniczego systemu na Południu, mimo licznych poprawek nic w Konstytucji amerykańskiej nie zostało zmienione co by formalnie naruszało układ stosunków społecznych sprzed 180 laty.

Że ówczesna sielankowa społeczność nie ma prawie nic wspólnego ze współczesną kapitalistyczną Ameryką — nie może być żadnej kwestii. Że zachowanie pełnej zasady ludowładztwa poprzez Kongres czy Senat i legislatywy stanowe w społecznie skomplikowanym organizmie państwowym Stanów Zjednoczonych jest nie do utrzymania — nie pozostawia również złudzeń. Że zasada równości wszystkich ludzi, jeśli nie ograniczy się do postulatu równości wobec prawa albo oznacza coś bardzo niejasnego albo jest zwykłą nieprawdą, bo ludzie nie tylko rodzą się nierówni, nierówno żyją i w nierówności umierają nie pozostawia również żadnych wątpliwości. Przy tym wszystkim, choć konstytucje i fundamentalne ustawy rozwiniętych krajów kapitalistycznych Zachodu różnią się od siebie w rozmaitych istotnych punktach, wydaje się, że zasady struktur politycznej władzy są wszędzie te same. Innymi słowy, we współczesnym państwie kapitalistycznym, przy wysoko rozwiniętej technologii i złożonych funkcjach rozmaitych grup ludności, które proporcjonalnie do ich społecznej wagi określają ich ciężar gatunkowy, zasada, że źródłem władzy jest na równych prawach cały naród, który sprawuje ją po przez wybrane ciała ustawodawcze i wyłonione z nich organy administracyjne, choć została wprawdzie nadal formalnie zachowana, w praktyce uległa jednak daleko idącym przeobrażeniom, redukując wydatnie jej zakres. W rezultacie, odbiega ona obecnie bardzo od XIX-wiecznej idei „ludowładztwa" bez względu na to czy „lud" identyfikuje się z narodem czy też najliczniejszymi w tym

13. Sprawa położenia ludności kolorowej w Stanach Zjednoczonych ma tak bogatą literaturę, że nie ma potrzeby poruszać jej w niniejszej pracy. Można tylko w pewnym skrócie nadmienić, że mimo istniejącej dyskryminacji Czarnych ich materialna sytuacja równolegle ze wszystkimi warstwami pracującymi uległa nie tylko znacznej poprawie, ale przez oficjalne lub nieoficjalne wprowadzenie w niektórych stanach systemu kwot oznaczających przymus przyjęcia pewnej ilości kolorowego personelu do niektórych wyższych szkół lub instytucji, tworzy się nowe źródło rozgoryczenia — wśród tych białych, którzy byli za zrównaniem czarnej rasy, ale nie za wymazywaniem dawnych krzywd tworzeniem nowych przywilejów. Cała ta sprawa jest problemem wysoce skomplikowanym, ponieważ poczucie upośledzenia wśród czarnej ludności znajduje nadal swe obiektywne i usprawiedliwione źródło w niektórych południowych stanach. Na tym bazują głównie czarni nacjonaliści, a ostatnio czarne skrzydło „Nowej Lewicy", będące w Stanach Zjednoczonych poważną dźwignią całego ruchu.

narodzie grupami tworzącymi tzw. świat pracy. Wszystko to jest następstwem dywersyfikującego społeczeństwo rozwoju cywilizacji w warunkach kapitalizmu, który pociągał za sobą wytworzenie wielorakich czynności rozmaitych grup ludności w przemyśle, komunikacji, łączności, usługach w setkach innych zespołów organizacyjnych, z których składa się współczesne państwo.

W pewnej mierze procesy te ograniczyły na Zachodzie nawet rolę przemysłowych *manager*'ów, którzy w słynnej pracy Burnhama (wydanej w r. 1941) przedstawieni zostali jako wysuwająca się na czoło warstwa, w rękach których spoczywają faktyczne rządy rozwijającego się państwa przemysłowego. Oczywiście kierownicy przymysłowi są nadal w krajach Zachodu grupą o wysokim społecznym ciężarze gatunkowym, niemniej dzięki rozwojowi usług i ograniczeniu liczby personelu zatrudnionego bezpośrednio w produkcji w wyniku przemian technologicznych wywołanych „rewolucją cybernetyczną", rola ich uległa pewnemu przyćmieniu.

Wbrew opinii wielu amerykańskich i brytyjskich „sowietologów", jest rzeczą bardzo wątpliwą czy przez etap „rewolucji *manager*'ów" przejdą kraje komunistyczne. Oczywiście obecna rola sowieckiego *manager*'a przymysłowego jest nieporównywalna z tym czym był on w okresie stalinizmu kiedy decyzją beriowskiego satrapy mógł znaleźć się poza kołem biegunowym na równi z pierwszym lepszym kołchoźnikiem lub profesorem uniwersytetu. Pod tym względem sytuacja jego uległa istotnemu polepszeniu na równi z przedstawicielami nauki. Niemniej, głos sowieckiego *manager*'a, jeśli w ogóle ma on ambicje zabierania głosu, jest takim samym głosem wołającego na puszczy jak głos sowieckiego ekonomisty lub naukowca.

Awans „warstwy *manager*'ów" może odbywać się w państwie, które w praktyce, bez względu na to co głosi, rozwija, a nie hamuje siły wytwórcze — a więc w żadnym z krajów Bloku Sowieckiego. Być może, że marzeniem polityków kremlowskich byłoby przeskoczenie etapów rozwoju przemysłowego i podróż w takie królestwo cybernetyki, w którym sekretarz partyjny uruchamiałby zakłady produkcyjne w całym kraju i regulował wytwórczość przez naciśnięcie guzików na tablicy rozdzielczej umieszczonej w gmachu Komitetu Centralnego Partii. Byłoby to idealne, bo absolutnie niekłopotliwe scentralizowanie władzy polityczno-ekonomicznej. Niestety, jest to na razie tematyka z zakresu powieści fantastyczno-naukowych i też chyba nie dla szerokiej publiczności, ale dla ubogich duchem działaczy partyjnych.

Mimo, iż w wyniku zmian socjalnych spowodowanych rozwijającą się szybko technologią, we współczesnym zaawansowanym państwie kapitalistycznym antagonistyczne klasy uległy faktycznemu zanikowi, społeczeństwo to zostało zróżnicowane według innych kryteriów niż podział klasowy na warstwy pracujące i burżuazję. Solidaryzm społeczny — ideologia przedstawiająca się niegdyś walce klasowej — nie mógł ani w przeszłości ani w teraźniejszości poszczycić się żadnymi sukcesami. W wieku XIX

i XX klasa robotnicza, wbrew hasłom solidaryzmu, walczyła tak długo i skutecznie o swoje przywileje i prawa, aż wreszcie przestała być klasą robotniczą. Ale zanik w kategoriach podziału klasowego nie oznaczał i nie oznacza harmonii społecznej wewnątrz systemu kapitalistycznego. Trwa w nim dalej walka poszczególnych grup zawodowych o dalsze podniesienie dość wysokiego standartu życiowego i przywilejów materialnych, na ogół bez stosowania haseł politycznych, a już w każdym razie bez korzystania z arsenału walki klasowej. Solidarność robotników z końca XIX wieku i pierwszych dziesiątków lat XX stulecia zastąpiono solidarnością branżową, przy której poszczególne grupy profesjonalne im bardziej są wyspecjalizowane i im donioślejszą funkcję pełnią w złożonej machinie współczesnego państwa, tym łatwiej i szybciej potrafią wymusić posłuch dla swych żądań. W tym tkwi jedna z wielu przyczyn osłabiających rolę „ludowładztwa", skoro sam lud, jeśli się nawet wydzieli z niego tradycyjnie odrębną warstwę rolników, nie reprezentuje już (jeśli w ogóle kiedykolwiek reprezentował) zwartej grupy przeciwstawiającej się interesom możnych. Oczywiście nie jest to główna, ani najważniejsza przyczyna podważająca zasadę władzy ludu. Obok bowiem zdywersyfikowanej i rozdzielonej partykularnymi interesami exklasy robotniczej istnieją takie niezmienne od wielu lat potęgi jak koła przemysłowo-finansowe, sztaby wojskowe i związane z nimi wywiady oraz szczególnie doniosłą rolę odgrywające, zwłaszcza w Ameryce, kościoły. Ograniczają one (choć nie likwidują) wpływy ludności w najszerszym tego słowa znaczeniu, na losy kraju, gwarantując za to swymi niezbieżnymi, a często konkurencyjnymi interesami rzecz wielokrotnie cenniejszą i potrzebniejszą — swobody polityczne i prawa jednostki, których pozbawiony jest mieszkaniec bloku państw komunistycznych. Zresztą idea „władzy dla ludu" straciła bardzo na atrakcyjności w porównaniu z epoką aspiracji ludowych okresu Rewolucji Francuskiej, „Wiosny Ludów", a nawet dni Października 1917 roku. Obecnie „lud" nie chce rządzić. Nie zależy mu na tym. Chce natomiast, aby rządzono nim w miarę mądrze, w miarę uczciwie, a przede wszystkim z poszanowaniem elementarnych praw ludzkich.

Funkcje więc parlamentów zachodnich, w tej liczbie amerykańskiego Kongresu, Senatu i wyłonionych władz wykonawczych, choć niezmiernie ważne i wyrażające w pewnej mierze[14] wpływ opinii publicznej, nie są i nie mogą być czynnikami decydującymi o losach i przyszłości krajów.

14. W pewnej mierze — ponieważ opinia publiczna w krajach kapitalistycznych w miarę rosnącego dobrobytu staje się coraz bardziej amorficzna, apolityczna i zainteresowana sprawami wiążącymi się najbardziej bezpośrednio z sytuacją osobistą lub rodzinną poszczególnego członka społeczeństwa. Dzięki temu łatwiej niż kiedykolwiek poddaje się ona wpływom masowych środków informacji jak prasa, radio, a przede wszystkim TV. W ten sposób ludzie kontrolujący te środki, uzyskują wpływ na opinię publiczną, oddziaływując pośrednio na skład parlamentów, legislatyw prowincjonalnych i niektórych wybieralnych organów sądownictwa.

Są tylko współczynnikami. Oczywiście bardzo trudno oszacować wagę i wpływ poszczególnych grup, który w rozmaitych okresach bywał różny, to jednak, że władza ta jest w istocie nie tyle podzielona (bo oficjalny konstytucyjny podział władzy stanowi zgoła odmienną materię), ale rozbita, reprezentuje jedyną realną, a zarazem najzupełniej wystarczającą gwarancję, że żadna z tych grup nie uzyska takiej przewagi, aby narzucić społeczeństwu swą niekontrolowaną wolę, co w konsekwencji doprowadziłoby do pozbawienia go swobód politycznych i zlikwidowania praworządności.

W sytuacji rozczłonkowanej władzy i konkurencyjnych wpływów, absolutnych rządów nad krajem nie może uzyskać administracja, która kontrolując kredyt, obieg pieniądza i szereg niektórych dziedzin, ma tylko ograniczony wpływ na życie gospodarcze. Nie mogą narzucić swej woli we współczesnym wysoko zorganizowanym społeczeństwie koła wojskowe. Gdyby generałowie amerykańscy — dowódcy najpotężniejszej armii świata, próbowali dokonać zamachu stanu i obezwładnić Kongres, Senat i objąć władzę, już następnego dnia okazaliby się kompletnie bezsilnymi na skutek strajków, które sparaliżowałyby przemysł, łączność i komunikację. Baza gospodarcza w rozwiniętym państwie kapitalistycznym jest zbyt potężna, żeby poddała się władzy armii, która, bez zaplecza ekonomicznego i funkcjonującej infrastruktury, przestałaby być jakimkolwiek instrumentem presji fizycznej[15]. Z podobnych powodów nie może narzucić swej absolutnej władzy ani finasjera ani przemysł, ponieważ Związki Zawodowe, prasa i Kościoły wystąpiłyby w zwartym szyku przeciwko tego rodzaju kandydatom do narzucenia społeczeństwu swego monopolu.

Struktura społeczna współczesnego rozwiniętego państwa kapitalistycznego dzięki dobrodziejstwu odmiennych interesów poszczególnych warstw i organizacji stwarza coś w rodzaju wewnętrznej równowagi sił, eliminującej niebezpieczeństwo absolutnej hegemonii ze strony nawet najbardziej wpływowych czynników społecznych. Ta właśnie struktura społeczna stanowi zdecydowanie pewniejszą gwarancję swobód demokratycznych od najbardziej demokratycznie pisanych dokumentów, określających zasady ustrojowe.

Postulat „ludowładztwa", który w państwach komunistycznych zamienił się w swą antytezę nie dlatego, że rządzi się ludem, ale przez to, że rządzi się wbrew jego materialnym interesom i aspiracjom, przeszedł w ciągu ostatniego stulecia kryzys nie tylko w krajach opanowanych przez komunizm, ale na całym świecie.

15. Z odmiennych przyczyn, tak długo jak centralne władze partyjne kontrolują ekonomię, armie w krajach komunistycznych nie mogą również narzucić swej woli Partii w drodze przewrotu. Sytuacja taka mogłaby jedynie powstać, gdyby na skutek rosnącego w kraju i Partii fermentu nastąpiłoby osłabienie jej kontroli. W takim wypadku generałowie sowieccy mogliby pod pozorem przywrócenia porządku i zapobieżeniu anarchii, wystąpić w roli „arbitrów" i podważyć wpływ Partii, co z kolei mogłoby doprowadzić do dalszych zgoła nieobliczalnych następstw.

Historycznie postulat pełnego ludowładztwa niemożliwy do uratowania we współczesnym państwie przemysłowym, praktycznie jest zbędny. To co jest potrzebne i zachowuje swój trwały i niezmienny walor i stanowi o ochronie jednostki przed niebezpieczną zawsze instytucją państwa — to nieskrępowane prawo do głoszenia i rozpowszechnienia wszelkich poglądów. Te swobody są stokroć więcej warte od „władzy mas". Mogą i powinny być zagwarantowane dla każdej mniejszości, żyjącej w jakiejkolwiek wspólnocie ludzkiej, choćby ta ostatnia głosiła najbardziej wsteczne, faszystowskie lub ultra radykalne społeczne idee.

Konflikt między zasadą rządów większości a postulatem swobód obywateli wynika między innymi z tego, że większość może scedować swe prerogatywy na rzecz władzy dyktatorskiej, która nie zawsze dochodzi do rządów w drodze przewrotów. To nie teoria, ale praktyka bynajmniej nie odległej przeszłości, kiedy Reichstag niemiecki wybrany legalnie w ramach Konstytucji weimarskiej zrzekł się władzy, udzielając w roku 1934 nieograniczonych pełnomocnictw Hitlerowi. Drugim, może mniej typowym przykładem, niemniej wysoce symptomatycznym, były dzieje policyjnych rządów Menderesa w Turcji, który tłumił wszelkie głosy krytyki, starając się skutecznie nałożyć kaganiec prasie i opozycji liberalnej. Rząd Menderesa został obalony w roku 1960 w drodze zamachu wojskowego. Tym razem, co rzadko się zdarza, w krajach gospodarczo-zacofanych, w obronie praw obywatelskich i wolności prasy stanęła armia reprezentowana przez generała Gursela. Menderes, usunięty od władzy, został w wyniku wytoczonego mu procesu, stracony. Gdy jednak po pewnym czasie generał Gursel rozpisał wybory, okazało się, że czołowe miejsce zajęła w parlamencie tzw. Partia Sprawiedliwych, reprezentująca konserwatywne i najliczniejsze w kraju włościaństwo tureckie, dla którego swobody demokratyczne były obojętne i któremu najwidoczniej odpowiadały rządy „silnej ręki". Innymi słowy, większość była za ograniczeniem praw mniejszości, do której zaliczała się turecka klasa robotnicza i postępowa inteligencja.

Socjalny kształt współczesnego zaawansowanego systemu kapitalistycznego, któremu zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu towarzyszył szybki rozwój technologii, upraszczający procesy produkcyjne i przynoszący rosnącą obfitość dóbr materialnych, nie zmniejszył swobód jednostki. Przeciwnie, są one, jak to starałem się przedstawić, w moich wywodach, koniecznością, wynikającą ze struktury społecznej samego systemu. To co w ciągu ostatniego 50-lecia uległo daleko idącemu ograniczeniu, to zasada ludowładztwa, która we współczesnym państwie przemysłowym jest po prostu niestosowalna.

Tej prostej historycznej prawdy albo nie pojmuje albo udaje, że nie jest w stanie pojąć „Nowa Lewica".

„Nowa Lewica", walcząc z bezosobowością społeczeństwa, które chce odrodzić poprzez zniszczenie kapitalizmu i pozostawienie decyzji masom, nie przychodzi z gotowym programem jak to czynili ponad pół wieku temu rosyjscy bolszewicy. Nie proponuje

żadnej alternatywy. Gdyby jednak do zdruzgotania kapitalizmu miało rzeczywiście dojść w drodze zbrojnego powstania, jak to widzą w swych marzeniach zachodnioeuropejscy i amerykańscy ekstremiści, alternatywa przyszłaby wówczas sama. I to nie z dołu, ale z góry. Zwłaszcza, jeśli jak twierdzą neo-lewicowcy, masy są bezosobowe i skomercjalizowane. Wiadomo nie od dzisiaj i nie od wczoraj, że najlepszą metodą obrony „zagrożonej wolności" są więzienia i rozbudowany aparat policyjny. Jest to historia niezmiernie stara, która w rozmaitych wersjach powtarza się co najmniej od 180 lat, choć wątpić należy czy francuscy jakobini byli pierwszymi, którzy ją wymyślili.

W świetle tej zdecydowanie mało atrakcyjnej alternatywy, którą przed światem zachodnim otwierają ekstremiści, „Nowa Lewica" ze swymi politycznie radykalnymi i ultra postępowo brzmiącymi hasłami (bo cóż może brzmieć bardziej postępowo jak „władza dla ludu") jest ruchem, który chce cofnąć historię wstecz.

Dlatego „Nową Lewicę" Zachodu dzieli od rewolucjonistów Bloku Komunistycznego przepaść. Jeśli mierzyć ją czasem, liczyć ją trzeba ponad setką lat, bo o tyle, jeśli chodzi o warunki polityczne i prawa jednostki, cofnęła swe kraje komunistyczne biurokracja. Czy podeptanie tych praw było ceną postępu cywilizacyjnego i dobrobytu mas? Nawet gdyby tak było, to sądzę, że największe rozkosze cywilizacji nie warte byłyby tej ceny, przynajmniej dla znacznej części ludności. Niemniej pytanie to ma charakter czysto retoryczny, ponieważ wie o tym zarówno „Nowa Lewica" jak i stara prawica, że komunizm ze swą tyranią i omnipotencjalną władzą nad ludnością nie usunął niedostatku, a w wielu wypadkach nędzy, choć przypuszczalnie w takich krajach jak Chiny zlikwidował głód, od którego w dawnych czasach corocznie ginęły setki tysięcy ludzi. W obecnej jednak epoce rozwoju cywilizacji materialnej zabezpieczająca przed głodem miska ryżu nie może być atrakcyjnym i mobilizującym masy celem.

Do kwestii zacofania ekonomicznego państw Bloku Komunistycznego, o której pisano wiele i którą ilustrowano licznymi przykładami i cyframi, nie zamierzam wracać. Uważam ją za sprawę dostatecznie udowodnioną, choć oczywiście nieakceptowaną przez licznych zwolenników sowieckiego komunizmu na Zachodzie[16].

16. Literatura, ilustrująca ekonomię zacofania krajów komunistycznych, jest obfita. Czytelników *Kultury* można odesłać do rzeczowych artykułów A. Gutowskiego, publikowanych ostatnio w tym piśmie, bądź do *Polskich Roczników Statystycznych* lub do *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej* PWN, tom 9, hasło: Polska — Gospodarka , s. 85, gdzie spośród wielu tablic jedna podaje średnią płacę miesięczną netto w roku 1965, a wynoszącą 1787 zł. Oczywiście żadna z tablic nie ilustruje siły nabywczej tej sumy. Dla kogoś jednak kto zna ceny artykułów pierwszej potrzeby w Polsce, łatwo ją obliczyć, nawet jeśli cyfrę tę uzna się za prawdziwą. Przy obowiązującym 48-godzinnym tygodniu pracy oznacza ona wynagrodzenie 9,2 zł za godzinę. Ponieważ 1 kg masła kosztuje w Polsce 70 zł, na jego kupno trzeba „przeciętnie" pracować około 7 godzin. Na 1 kg mięsa — od 2,5 do 4 godzin. Para kiepskiego obuwia, która kosztuje 300 zł, wymaga około 6 dni pracy. Garnitur lub płaszcz, jeśli ma przetrwać rok — co najmniej 1500-1800 złotych. O samochodach produkcji krajowej lub czechosłowackiej, których cena jest powyżej 100.000 zł, w ogóle nie wspominam. Opłaty za usługi, w szczególności za transport miejski, są bardzo niskie. Operuję tu cyframi polskimi. Lecznictwo nie kosztuje nic. Ceny lekarstw minimalne ale bardzo skromny asortyment, za to czynsz, który był kiedyś bardzo niski, podniósł się średnio w wielkich miastach do wysokości 300-350 zł przy równocześnie wysokich opłatach za telefony, prąd elektryczny i gaz. Jeśli jednak w Polsce jest tak niska stopa życiowa — zapyta ktoś — to skąd ludzie biorą na wódkę, która w takich kolosalnych ilościach jest wypijana w Polsce; skąd biorą się wkłady w PKO, które według oficjalnych danych dochodzą do sum miliardowych?

Pierwsze pytanie nie wymaga właściwie odpowiedzi. Pieniądze na wódkę znajdą się zawsze. W średnio wyposażonej rodzinie wydatki na żywność pochłaniają ponad 75 % budżetu. Co się tyczy wysokich wkładów w PKO, to należy powrócić do sprawy „przeciętnych" zarobków. Dochody chłopów polskich, którym dzięki indywidualnej gospodarce powodzi się znacznie lepiej niż kołchoźnikom Rosji, Ukrainy lub Węgier, są dość trudne do określenia. Natomiast w miastach istnieje co najmniej kilkusettysięczna rzesza arystokracji finansowej narodu. Należą do niej przedstawiciele aparatu partyjnego, pewna kategoria naukowców, oficerowie armii i bezpieczeństwa, dobrze prosperujący *business-men*'i podziemia gospodarczego, artyści filmowi, dziennikarze, dyrektorzy i kierownicy kilku tysięcy fabryk oraz funkcjonariusze central handlu zagranicznego. Ci wszyscy ludzie mają poważne nadwyżki w zarobkach, za które w miejscowej walucie nie mogą po prostu niczego na rynku kupić. Lokują oni pieniądze w PKO (nie mieszać z PeKaO) przeważnie na tzw. książeczkach nieoprocentowanych, będącymi niczym innym jak biletami na loterię, na której wygrywa się samochody. Około połowa wkładów w PKO umieszczona jest na tych książeczkach, z których państwo czerpie poważny dochód, ponieważ mało co na świecie jest tak dochodowe jak loteria. Do tego dochodzą również nieoprocentowane „książeczki mieszkaniowe".

Warto tylko zamknąć ją w niniejszej pracy pewną paradoksalną z punktu widzenia rozwoju historycznego konkluzją. Rozwój ekonomiczny i wzrost dobrobytu w rozwiniętych krajach kapitalistycznych doprowadził w efekcie do zaniku klasy robotniczej, która uległa społecznemu i ekonomicznemu rozcieńczeniu w warstwach średnich. Odwrotnie — w komunizmie hamulce produkcyjne, wynikające ze struktury socjalno-ekonomicznej, doprowadziły do zachowania tej klasy, która w socjalistycznym bezklasowym społeczeństwie miała zniknąć.

Nie zniknęła. Utrzymała się, a jeśli chodzi o jej standart ekonomiczny jest na tym samym relatywnie poziomie na jakim pozostawała w pierwszych dwóch dekadach naszego stulecia w krajach kapitalistycznych. Komunizm poszczycić się może tylko jednym „sukcesem". Dzięki totalitarnemu systemowi rządów, pozbawił ją możliwości walki zarówno o prawa ekonomiczne jak i polityczne, z których korzystała w kapitalizmie w ciągu minionego stulecia. Pod tym względem zrównał ją z innymi warstwami wśród pozostających pod rządami komunistycznymi narodów.

O tym, jak przeciwko monopolistycznemu *establishment* komunizmu próbuje działać wschodnioeuropejski rewolucjonista, pisano wielokrotnie. Akcja spiskowa, która w historii poprzedzała

każdy ruch zanim zdołał objąć szersze warstwy narodu, jest w komunizmie niemożliwa[17]. *Tres faciunt collegium* — głosi stare rzymskie przysłowie. Tak, trzech spiskowców może się spotkać w Warszawie, Moskwie czy Budapeszcie w prywatnym mieszkaniu, bo trójka ludzi, mających do siebie bezwzględne zaufanie znajdzie się niemal w każdym kraju świata. Jeśli jednak trójka dojdzie do dziewiątki albo jeśli siatka tych trójek przekroczy najskromniejszą liczbę, ta embrionalna organizacja, mająca być przedsionkiem do przyszłej rewolucji, znajdzie się pod czujnym okiem policji. W komunizmie, 95 % ludności miejskiej znajduje się w zasięgu kontroli państwa. Niemożliwa jest nielegalna literatura, bo wszystkie drukarnie są państwowe lub spółdzielcze, będąc zresztą pod szczególną kontrolą policji, niemożliwe jest powielanie odezw, bo powielacze są rejestrowane. Niemożliwy jest nawet w minimalnych rozmiarach publiczny protest lub strajk, ponieważ na widownię wkraczają od razu władze bezpieczeństwa z armią swych funkcjonariuszy — a „Wydział Gniewu Ludu" — jak kiedyś nazwała *Kultura* jedną z komórek MSW zorganizuje niezwłocznie przy pomocy armii konfidentów, aktywistów partyjnych i oddziałów Milicji „kontrdemonstrację" wspartą biciem pałkami, łamaniem kości i masowymi aresztowaniami. Możliwe jest tylko odbijanie pism ulotnych na maszynach w kilku egzemplarzach i rozsyłanie ich pocztą lub podrzucanie w klatkach schodowych, co oczywiście jest beznadziejną formą walki, przypominającą działalność antyhitlerowskiego bohatera z powieści Hansa Fallady: „Człowiek umiera samotnie".

17. Dlaczego możliwe jest w Polsce i w innych krajach Europy Wschodniej „podziemie gospodarcze", a niemożliwe jest podziemnie polityczne — jest to problem godny zastanowienia i wymagający osobnego omówienia. Można w każdym razie wskazać na dwa dość ważkie motywy, które umożliwiają w komunizmie gospodarczą formę nielegalnej działalności. Potrzeby materialne ludności, których nie zaspakaja państwo, są oczywiście znacznie bardziej dla przeciętnego członka komunistycznej społeczności dokuczliwe niż brak elementarnych swobód indywidualnych. Takie są realia ludzkiej natury. Oczywiście — te drugie — wynikają z pierwszego — czyli ze struktury władzy polityczno-ekonomicznej, z czego nie wszyscy obywatele Bloku komunistycznego jasno zdają sobie sprawę. Niemniej, łatwiej jest omijać przepisy gospodarcze niż występować przeciw władzy Państwa. Sytuację taką stwarzają zresztą same władze naczelne Partii, rozumiejąc, że w sferze ekonomicznej, przy nieustannej presji konsumentów na rynek towarowy, ustępstwa, po pierwsze, są nieodzowne, po drugie, nie działa w nich mechanizm eskalacyjny, mogący podważyć bazę ekonomiczną komunizmu. Dlatego nielegalna prywatna inicjatywa gospodarcza jest tolerowana, o ile nie przekracza pewnych granic i nie nabiera cech skandalu kompromitującego cały ustrój. Tak na ogół bywa, jeśli w kręgu obwinionych są wysocy funkcjonariusze państwowi (afera mięsna z roku 1964 zakończona wyrokiem śmierci w stosunku do jednego z pracowników KC, Stanisława Wawrzeckiego). W tym wypadku ilość przechodzi w jakość — jakby powiedzieli marksiści, a następstwa afery podobnie jak w aferze skórzanej z roku 1963, w której głównym oskarżonym był Stanisław Galicki, desygnowany na kilka dni przed aresztowaniem na stanowisko wiceministra, wkraczają w sferę polityczną, rzucając światło na cały system, w którym element ekonomiczny i polityczny stanowi organiczną całość.

Bezprecedensowa w historii omnipotencjalna kontrola państwa, którą wprowadził komunizm, wyklucza wśród opozycji wszelkie działania przygotowawcze — to co nazywało się i nazywa tradycyjnie „mobilizacją mas". Dlatego ferment w państwach komunistycznych jest zwykle niewidoczny, nierozpoznawalny tak długo, póki nie następuje złagodzenie presji organów bezpieczeństwa — innymi słowy, jeśli nie przychodzi tzw. „odwilż", która, jeśli przychodzi, to poprzedzona jest zmianami personalnymi w górze. Stosunek przyczynowo-skutkowy jest tu w pierwszej fazie odwrócony w stosunku do fermentów rewolucyjnych w innych krajach lub w minionych epokach. Czynniki opozycyjne skierowane przeciw machinie ucisku nie mogą spowodować zmian w kierownictwie. Odwrotnie — zmiany, które spowodowane są kryzysem władzy w górnych szczeblach, mogą wywołać pewne zliberalizowanie reżymu[18], co w następnej fazie wyzwolić może presję społeczeństwa w kierunku dalszych zmian w kierownictwie i usunięcie najwierniejszych i najbardziej zajadłych stróżów totalnej biurokracji. Proces ten w klasycznej formie miał miejsce w Czechosłowacji do momentu interwencji zbrojnej, po której rozpoczął się regres. W nieco mniej wyrazistej postaci przebiegał on w Polsce od wiosny 1956 roku do końca Października. Presję społeczeństwa w kierunku pogłębienia i rozwinięcia tego co wywalczyła w lecie i na jesieni 1956 roku klasa robotnicza i inteligencja polska skutecznie stłumił Gomułka. Ponieważ obyło się bez interwencji sowieckiej, proces regresu, który trwał w Czechosłowacji ponad rok, przeciągnął się w Polsce na lata. Końcowy jego etap zbiegł się z inwazją wojsk Paktu Warszawskiego przeciw Czechosłowacji.

Jak dotychczas wszelkie ruchy zarówno w kierunku zliberalizowania jak i surowszego zdogmatyzowania zasad rządzenia zapoczątkowane były w całym świecie komunistycznym walkami frakcyjnymi w górze. Najdonioślejszą w skutkach była z nich oczywiście walka o spuściznę Stalina, której konsekwencje w rozmaitych formach trwają do chwili obecnej.

Tak więc mechanizm zmian w dole, którego eskalacyjne tempo może się okresami wymykać spod kontroli czynników rządzących, ma swą praprzyczynę w zmianach na górze. Wynika z tego wniosek, że formuła niektórych grup rewolucyjnych, walczących w przeszłości i obecnie z rozmaitego typu reżymami dyktatorskimi, głoszącymi zasadę „im gorzej tym lepiej", w żadnym wypadku nie stosuje się do komunizmu. W systemach komunistycznych, przy wynikającym z elementarnej struktury komunizmu presji państwa, im sroższy i surowszy jest nacisk organów bezpieczeństwa, tym bardziej paraliżująco i obezwładniająco działa on na siły antykomunistyczne. Potencjalna opozycja może się zaktywidować, nawet przy minimalnym zliberalizowaniu reżymu. Niemniej, ten najlżejszy choćby zefirek wolności i rozluźnienie try-

18. Lub odwrotnie — jak to miało miejsce w Polsce w roku 1967/68 na tle walk frakcyjnych.

bów komunistycznej maszyny ucisku jest warunkiem wstępnym. Bez tego, w krajach komunistycznych panuje kompletna noc.

Czy cele tej walki i położenie antykomunistycznego rebelianta potrafi zrozumieć „Nowa Lewica"? Czy z drugiej strony rebelianci Wschodu mogą pojąć, jeśli nie cele, to przynajmniej motywy, którymi kierują się lewicowi ekstremiści Zachodu?

Teoretycznie tak, jeśli się zważy, że oficjalnym celem „Nowej Lewicy" nie jest przecież zniszczenie kapitalizmu po to, by zastąpić go komunistyczną niewolą. Taki cel w każdym razie nie jest ideą przewodnią masy jej zwolenników. Z drugiej strony, w opozycji przeciwko totalitaryzmowi komunistycznemu w Bloku Sowieckim wciąż jeszcze mimo gorzkich doświadczeń dominuje nurt socjalistyczny i wiara, że ideały, które przyświecały kilku pokoleniom rewolucjonistów, mogą znaleźć inne wcielenie niż to, które stworzyła komunistyczna biurokracja. Innymi słowy, rebelianci Wschodu (nie mówię o milionowej masie milczących oponentów, których uczucia są nieodgadnione) nie walczą o restytucję kapitalizmu, którego przywrócenie w formach istniejących na Zachodzie byłoby zresztą rzeczą całkowicie nierealną. Rebelianci Wschodu chcą zniszczyć tylko biurokracje komunistyczne i jej totalitarne rządy. Innymi słowy, chcą usunąć polityczną superstrukturę komunistycznego państwa, zachowując jego ekonomiczną bazę. Gdyby dysponowali tym szerokim marginesem swobody z jakiego korzysta „Nowa Lewica" w krajach kapitalistycznych, komunizm nie przetrwałby tygodni. Czy razem z superstrukturą nie rozleciałaby się przy tej okazji baza ekonomiczna? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Zależałoby to od tego jakie siły społeczne włączyłyby się w dalszym stadium rozprawy z komunistyczną biurokracją.

W tym miejscu dochodzę do kwestii: w jakim sensie położenie „Nowej Lewicy" na Zachodzie jest odwróceniem sytuacji rewolucjonistów antykomunistycznych na Wschodzie, skoro ich wzajemne cele, aczkolwiek nie zbieżne, przynajmniej w sferze ideologicznej, wzajemnie się nie wykluczają. Czy „milcząca większość" krajów komunistycznych nie jest tak samo zobojętniała na problemy polityczne swego społeczeństwa jak warstwy średnie zaawansowanych państw Zachodu? Czy manifestując w obronie swobód demokratycznych studenci na ulicach Warszawy i demonstranci na Placu Czerwonym nie są takim samym odpowiednikiem fanatyków „Nowej Lewicy" i ich wąskiego koła zwolenników izolowanego od reszty społeczeństwa? Dla człowieka znającego kraje Europy Wschodniej i rządy komunizmu samo pytanie brzmi nieprawdopodobnie naiwnie. Niemniej wymaga odpowiedzi, ponieważ oczywista odmienność tych sytuacji może uchodzić u wielu osób, nie znających krajów Bloku Komunistycznego, za czysto subiektywne odczucie ludzi, którzy zostali z tych społeczeństw wyobcowani.

W obecnej chwili — tzn. w maju 1970 roku — masy — czyli klasa robotnicza, drobni urzędnicy, chłopi-kołchoźnicy, a nawet inteligencja milczą. Milczą nie dlatego, że w ustrój komunistyczny wrośli i że się z nim pogodzili, stając się organiczną jego cząstką, ale dlatego, że muszą milczeć.

Mimo to klasa robotnicza krajów Europy Wschodniej we wspólnym sojuszu z inteligencją postawiła niektóre reżymy komunistyczne (Węgry, Polska i Czechosłowacja) w rozmaitych okresach czasu w sytuacji śmiertelnego zagrożenia. Przymierze tych dwóch warstw mimo terroru władz bezpieczeństwa, groźby czystek i wszystkich klęsk, którymi obywatelowi krajów Bloku Wschodniego może zagrozić biurokracja, okazało się w sprzyjających okolicznościach czymś w rodzaju mieszanki piorunującej, zdolnej rozsadzić nawet obręcz komunistycznego totalitaryzmu.

Dlatego kłamstwo, które jest narzędziem umacniania komunizmu od zarania jego dziejów, stało się ostatnio w rękach biurokracji coraz bardziej brutalną i oszczerczą bronią. Robotników krajów komunistycznych, którzy w porównaniu z najgorzej opłacanymi pracownikami USA, Niemiec Zachodnich i Francji mogą według standartu zachodniego uchodzić albo za nędzarzy albo ludzi żyjących w chronicznej biedzie (co w formie bardzo eufemicznej przyznają niektórzy przywódcy komunistyczni, w tej liczbie Breżniew, przypisując to nadmiernym potrzebom robotników), komunistyczna propaganda przedstawia jako niezachwianą opokę komunizmu; natomiast intelektualistów jako warchołów i mącicieli[19], którzy dla zdrowego rdzenia narodu — klasy pracującej mają jedynie pogardę i nienawiść. W tym ostatnim specjalizuje się szczególnie prasa polska. Gdyby tkwiło w tym ziarno prawdy, wystarczyłaby tylko mała cząstka tych swobód politycznych z jakiej korzysta wszelka opozycja w krajach Zachodu, aby ukazać rzekomą izolację intelektualistów — mącicieli.

Obecna pasywna postawa klasy robotniczej Bloku Wschodniego nie jest świadectwem „pogodzenia" się z reżymami komunistycznymi. Jest tylko następstwem klęski i zawodów, którymi, jak dotychczas, kończyła się każda konfrontacja z rządami państw komunistycznych. Gdyby przyjąć tezę przeciwną — akceptacji komunizmu — należałoby również uznać, że brak wszelkich przejawów walki ekonomicznej w formie strajków świadczy o tym, że potrzeby materialne klasy robotniczej Bloku Komunistycznego są całkowicie zaspokojone w przeciwieństwie do robotników amerykańskich, którzy bezustannie strajkują. Sądzą, że tym przykładem z gatunku dowodu *ad absurdum* dostarczyłem wystarczających argumentów świadczących o odwróceniu sytuacji politycznej „Nowej Lewicy" na Zachodzie w porównaniu z rebeliantami i nosicielami fermentu antykomunistycznego na Wschodzie.

19. Rzecz jasna, że w stosunku do intelektualistów używa się wygodnego kryptonimu „rewizjoniści", który jest odpowiednikiem „syjonisty" — określenia w Polsce najzupełniej jednoznacznego. Ta ostatnia kategoria jako instrument walki z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym przeżywa wyraźny zmierzch. Po pierwsze, „syjoniści" byli bardziej rozpoznawalnymi niż „rewizjoniści", wobec czego łatwiej można było ich wyeliminować, podczas gdy ci drudzy — zostali, przysparzając Partii sporo kłopotu z ich demaskowaniem.

Mimo odwrócenia tej sytuacji, pomost, który by mógł zbliżyć „Nową Lewicę" do rewolucjonistów Wschodu pozornie biorąc istnieje, ponieważ obydwu nurtów nie dzielą na razie żadne nieprzebyte różnice ideowe. Niestety, w praktyce próba takiego zbliżenia jest niemożliwa. Na przeszkodzie temu stoi poza wielu innymi czynnikami ignorancja — jeden z najważniejszych gwarantów komunistycznego *establishment*. Żeby przynajmniej okazać wzajemne zrozumienie i wzajemną tolerancję, bo nic innego w rachubę wchodzić nie może, należy poznać nie tylko systemy przeciw którym się występuje, ale i rozwiązania „konkurencyjne". Rebelianci krajów komunistycznych nie idealizują nadmiernie ustroju kapitalistycznego, ale wiedzą o nim znacznie więcej niż ich rewolucyjni kontrahenci z Zachodu. Rzecz pozornie dziwna, bo przecież komunistyczni dysydenci nie mogą już obecnie wcale albo prawie wcale wyjeżdżać poza granice Bloku Komunistycznego, podczas gdy przedstawiciele „Nowej Lewicy" poruszają się po świecie bez żadnych restrykcji przynajmniej ze strony ich macierzystych, kapitalistycznych władz. W istocie jednak rozległa wiedza rebeliantów antykomunistycznych o Zachodzie i bezgraniczna czasem w swej naiwności ignorancja zwolenników „Nowej Lewicy" o krajach Wschodu ma u swych źródeł dwie przyczyny: prasa zachodnia i audycje radiowe przedostają się mimo pewnych przeszkód w granice krajów komunistycznych[20]. Na ich podstawie można się dowiedzieć wszystkiego co dzieje się w zachodnim świecie. Natomiast z prasy czy radia chińskiego, sowieckiego, polskiego lub czechosłowackiego, jeśli chodzi o sprawy, które najbardziej go interesują, zwolennik „Nowej Lewicy" dowie się lub posłyszy w 90 % kłamstwa. Jeśli je przyjmie za dobrą monetę, wytworzy sobie o życiu w państwach komunistycznych kompletnie fałszywy obraz. Jeśli nie uwierzy, nie będzie o nich wiedział nic albo bardzo niewiele, ponieważ dziennikarze angielscy, francuscy czy amerykańscy, którzy doskonale znają wydarzenia w ich własnych krajach, są bardzo kiepskimi informatorami, jeśli chodzi o fakty i zrozumienie wielu zjawisk w krajach Europy Wschodniej. Zresztą zwolennik „Nowej Lewicy", który traktuje prasę zachodnią jako przekupny organ *establishment*, nie uwierzy jej również. W efekcie, pozostaje odcięty od wszelkich źródeł informacji o krajach Komunistycznego Bloku.

Ale czy w istocie przedstawiciel „Nowej Lewicy" tych informacji tak bardzo szuka? Chyba nie zanadto. Poszczególni przedstawiciele ruchu uprawiają coś w rodzaju turystyki politycznej. Czasami są przyjmowani w Hanoi lub Hawanie. Rzadziej w Pekinie. Członkowie japońskiej skrajnie lewicowej grupy „Czerwona Armia" po ryzykownej lecz udanej imprezie porwania samolotu wraz z pasażerami, wylądowali w Phenianie, gdzie miejscowe

20. W Polsce szereg periodyków zachodnich, w tej liczbie amerykańskich, angielskich i francuskich ma debit. Natomiast pełne embargo położone jest na wydawnictwa wychodzące za granicą w języku polskim, o ile nie są one publikacjami prosowieckich partii komunistycznych. Działające natomiast radiostacje zachodnie, jak Free Europe czy Liberation, masowo są słuchane.

władze koreańskie zatrzymały ich w areszcie. Zapewne z aresztu już wyszli albo wyjdą w najbliższym czasie, niemniej zamiarem ich było jak to sami stwierdzili nie poznanie świata komunistycznego, ale szukanie pomocy w organizowaniu powstania zbrojnego. Nawet niekoniecznie w Japonii. Celem ich była rewolucja wszechświatowa.

Fakty i rzeczywistość mało interesują ekstremistów „Nowej Lewicy". Można zaryzykować twierdzenie, że potrzeba wiedzy i rozszerzenie ich horyzontów jest odwrotnie proporcjonalne do potencjału ich rewolucyjnego entuzjazmu. Instynktownie czują, że refleksja i trzeźwa myśl, analizująca wszelkie aspekty rzeczywistości, jest śmiertelnym wrogiem decyzji walki ze złem, które identyfikują z jedynym złem z jakim w swym życiu się zetknęli.

Brodaci rewolucjoniści czasami groźni, czasami śmieszni, są odwiecznym twórczym fermentem świata. Ci z „Nowej Lewicy" są typowym antyproduktem kapitalistycznego ustroju i jego supercywilizacji. Eskalacyjne tempo rozwoju technologicznego nasuwa myśl o jakimś zakręcie historycznym, przed którym stanęła cywilizacja. Ci, którzy podnieśli bunt przeciwko kapitalizmowi, będącemu głównym motorem materialnego postępu, zostali umieszczeni w niewłaściwych szerokościach geograficznych, aby poza nielicznymi fanatykami zakończyć swój romantyczny żywot rewolucjonistów równie romantyczną śmiercią. Czeka ich prawdopodobnie znacznie tragiczniejszy koniec: wchłonie ich powoli system, przeciwko któremu z taką pasją walczą.

Być może, że po nich przyjdzie światlejsza, mniej żywiołowo działająca generacja burzycieli starych porządków i twórców nowego świata.

Zbigniew BYRSKI

Kwiecień 1970 roku.

Studenci jako "klasa"

Nixon powiedział czym są *bums*, włóczęgi oraz studenci stawiający czoła policji. Oświadczenie jego było jednak zbyt łatwą obrazą kolektywną; dlatego też, pod wpływem coraz większego zaniepokojenia z powodu rozmiarów mobilizacji mas studenckich, zrezygnował on w nocy z piątku na sobotę ze snu i udał się pod pomnik Lincolna, by podjąć dyskusję z przedstawicielami owych stu tysięcy manifestantów zebranych w Waszyngtonie. „Wiem" — powiedział Nixon — „iż chcecie ogłuszyć mnie waszymi protestami i sloganami. Nie mam zamiaru skarżyć się, możecie robić co chcecie, macie do tego prawo. Ale unikajcie przemocy...".

Skończyło się na tym, że dyskusja objęła nie tylko sprawę Wietnamu i Kambodży, ale także problem Murzynów i Meksykanów w Kalifornii, zagadnienie zanieczyszczenia powietrza i wody, kryzysu w ośrodkach miejskich i ochrony przyrody.

Studenci amerykańscy — jeśli idzie o poglądy na temat wojny w Wietnamie — zajmują punkt widzenia jednostronny, który nie bierze pod uwagę kontekstu historycznego i zagadnień związanych z równowagą światową. „Mam wrażenie — pisał już Robert Kennedy w „To Seek a Newer World" — że Wietnam jest dla naszej młodzieży znacznie większym wstrząsem niż dla nas. Młodzież nie zna ani drugiej wojny światowej ani Korei. Walki w Wietnamie otacza obecnie retoryka, której młodzież nie rozumie... W oczach młodzieży komunizm nie sprowadza się do „czystek", stalinowskich obozów stracenia, ani też do niesłychanych rewelacji ogłoszonych w czasie XX Zjazdu... Świat, jaki widzi, jest światem gdzie państwa komunistyczne stać się mogą dla siebie najbardziej zaciętymi wrogami, albo nawet przyjaciółmi Zachodu i gdzie komunizm nie jest lepszy, ale na pewno nie gorszy od licznych, okrutnych i bezwzględnych dyktatur, z którymi nawiązujemy sojusze, gdy leży to w naszym interesie... Młodzież

poszła tak daleko w swym romantycznym idealizowaniu naszych przeciwników, że grzeczny „wujaszek Ho" i komuniści z Wietnamu są dla niej niczym innym jak tylko stosunkowo niewinnym ugrupowaniem nacjonalistycznym... Ucisk reżymu w Północnym Wietnamie jest znacznie większy niż w Południowym, a rząd jego jest bardziej nieubłagany w swym dążeniu do skuteczności. Jego program „reformy rolnej" wysunięty w latach 1954 i 1955 prowadził do przymusowej kolektywizacji w typie chińskim i był wprowadzony w życie z taką bezwzględnością, iż wywołał bunt ludności chłopskiej, w czasie którego zginęło ponad sto tysięcy osób... Dla narzucenia swego programu Wietkong posługuje się w Południowym Wietnamie terrorem w pełnym tego słowa znaczeniu. Działalność jego okazała się bardziej skuteczna niż nasze bombardowania i nasze strzały armatnie, przede wszystkim dlatego, że zmierzała do wyraźnego celu; lecz nie jest to dostatecznym powodem by ją popierać moralnie, a jeszcze mniej by cieszyć się z powodu jej sukcesów".

Po Berkeley

Czy fakt, że jakiś Prezydent zdecydował się na przeprowadzenie wymiany zdań ze studentami może utrudnić obecnie dyskusję z krańcowymi moralistami nowego pokolenia? U podstaw protestów tego pokolenia tkwią nie tylko bezpośrednie impulsy, ale także zagadnienia, które wypływają z zasadniczych przemian społecznych.

W Stanach Zjednoczonych uniwersytet jest już przede wszystkim ogromnym „centrum przemysłowym produkującym wiedzę", i przerabiającym mózgi tak, jakby były one surowcem, a ruch studencki uważa siebie za nową klasę robotniczą wiedzy. Rewindykacje jego, poza żądaniami ekonomicznymi, które w bogatym społeczeństwie schodzą na plan drugi, związane są z pojęciem władzy: kontrola nad kierunkiem studiów, kontrola nad wpływami kapitału publicznego i prywatnego, nad zakresem autonomii w poszukiwaniach naukowych, nad ostatecznym celem rozwoju gospodarczego.

Bunt w Berkeley w 1964, pierwszy objaw radykalnego protestu podniesionego w imię *władzy studentów*, był w swym założeniu zjawiskiem wynikającym z przekształcenia się uniwersytetu, zjawiskiem, które opisał zarządca i rektor Clark Kerr w „The Uses of University": „Produkcja, rozdział i spożycie wiedzy stanowią 29 % produktu narodowego brutto... 'Produkcja wiedzy' wzrasta w tempie dwa razy szybszym od reszty działów działalności gospodarczej... To, czego dokonały koleje w drugiej połowie ubiegłego wieku, to co spowodowały samochody w pierwszej połowie naszego wieku, sprawić może w drugiej połowie XX wieku przemysł wytwarzający wiedzę; może on przyczynić się do rozwoju narodowego".

Młodzież

Uniwersytet-przedsiębiorstwo, który staje się bogaty i rozwiązuje swe problemy kwantytatywne ofiarowując usługi (w zamian za pomoc finansową) przemysłowi, rządowi i wspólnotom lokalnym, ów uniwersytet wielostronny, zorganizowany na zasadzie obliczeń ordynatorów, przeprowadzający selekcję wśród studentów na podstawie perforowanych kart *IBM* (współczynnik inteligencji i wydajności, grupa krwi, zdolności zawodowe itd.) zawiera w sobie jednak sporą dozę samowładztwa technokratycznego. „Przedsiębiorstwo", przyznaje Kerr, „jest w swym założeniu samowładne, gdyż zmuszone jest do pobierania decyzji i działania... Władza skupiać się musi w kilku zaledwie rękach... Jednostki korzystać będą z wolności tylko poza pracą...". Długa seria rozruchów w obozach studenckich, które wzrastać będą na sile wraz ze stopniowym zwiększaniem się liczby studiujących (nie długo będzie ich 10 milionów) jest dowodem istnienia pewnej siły społecznej o tyle, o ile dąży ona do przekształcenia biegu historii.

„Podobnie jak rozwój przemysłowy w swym pierwszym okresie prowadził do koncentracji sił roboczych i budził świadomość klasową — stwierdza historyk Theodore Roszak — tak dzisiaj te same skutki wywołują obozy studenckie, gdzie gromadzi się dwadzieścia pięć tysięcy, a czasami więcej młodzieży". Ale owa seria rozruchów jest jednocześnie dowodem istnienia ogólnego rozdźwięku politycznego związanego ze sprawą przekazywania hierarchii wartości z pokolenia na pokolenie.

„Pierwotną ilustracją postępu ludzkiego — pisze Robert Kennedy — jest historia Mojżesza, który doprowadza swój naród w pobliże ziemi obiecanej, po czym umiera, pozostawiając Jozuemu dowództwo nad przedsięwzięciem, którego cel ostateczny był kością niezgody między nimi. Wiek dwudziesty naruszył jednak ten porządek. Nowy etap, etap młodości dzieli obecnie dzieciństwo od dojrzałości. Zgodnie ze swą definicją młodość jest okresem życia ludzkiego gdzie nie podlega się już bezpośredniej kontroli rodziców, lecz nie zna się jeszcze odpowiedzialności jakie niesie wiek dojrzały; jest to etap, mówią nam, gdzie obowiązują najwyższe zasady i modele wysuwane przez współczesnych. Dlatego też łańcuch, który w swoim czasie służył do przekazywania hierarchii wartości z pokolenia na pokolenie, uległ dzisiaj zerwaniu. Powstała kultura, wsparta na sobie samej, wolna od więzów i wymagań, które określają wizję życia w reszcie społeczeństwa".

Kształcenie młodzieży aż do wieku dwudziestu trzech czy dwudziestu czterech lat przedłuża etap, w którym nastąpiło zerwanie. „Ameryka jest krajem gdzie młodzież posiada największy wpływ. Od czasu gdy nauka w szkołach średnich stała się obowiązkowa więcej niż połowa naszych dzieci uczęszcza na uniwersytet... W ten sposób sami stworzyliśmy przesłanki dla

powstania coraz większego rozdziału między pokoleniami, dla coraz szybszego burzenia hierarchii wartości".

W chwili obecnej rodzi się między innymi kultura, która czerpie swe natchnienie z zasady: „Możemy stworzyć świat taki jak go pragniemy". W 1967 stwierdzono na podstawie dokładnej analizy sytuacji, że zaledwie 12 % starszych studentów uniwersytetu pragnie poświęcić się działalności gospodarczo-handlowej i uważa, że tego rodzaju kariera jest godna szacunku i dostarczać będzie zadowolenie. W ostatnich czasach liczba wyznawców tego poglądu jeszcze się zmniejszyła.

Galbraith potwierdza te spostrzeżenia: „Ostatnio zarysowuje się nieustannie tendencja do krytykowania konwencjonalnych dążeń gospodarczych i społecznych, a w szczególności wartości ekonomicznych. Młodzież wyraźnie cierpi na poczucie obcości, które wyraża się w odmowie uznania konwencjonalnych poglądów na prace i karierę... Poczucie to manifestuje się jednak nie tylko wśród młodzieży; występuje ono także szeroko wśród docentów i naukowców, a nawet w niektórych fundacjach filantropijnych... Nastawienie to daje się odczuć szczególnie wyraźnie u docentów i naukowców. Uważają oni, że nadmierne zainteresowanie dobrami materialnymi jest rzeczą godną potępienia".

Ponieważ poglądy te wypowiadają elity, wcale nie ograniczone lecz liczne nawet w skali kontynentu, rośnie fala żądań nowych wartości odpowiadających dążeniu do wyjścia z ubogiej epoki historycznej i do zrewidowania tradycyjnych nastawień kolektywnych. Przedstawiciele owych kierunków ideowych zmierzają równocześnie do osiągnięcia *participatory democracy* (demokracji opartej na współudziale); pojęcie to, które jest nowoczesnym odpowiednikiem demokracji wspólnot Jeffersona, gdzie każdy okręg miał być „małą republiką", wysuwa jako cel rozciągnięcie samokontroli nad światem tak skomplikowanym jak Ameryka, nad buntem młodzieży i Murzynów, nad rewolucją technologiczną.

Wzrastający nacisk nowego pokolenia wynika z jego szerokiej i zapamiętałej zdolności do stawiania pytań. Najpierw zastanawia się ono nad tym dlaczego uniwersytety podlegają władzy zarządców, dlaczego wysyła się żołnierzy do odległego Wietnamu, dlaczego istnieją, mimo ogromnego dobrobytu gospodarczego, getta i nędza w ubogich dzielnicach miast, a potem roztrząsa pytania nad celowością działalności gospodarczo-handlowej, celowością państwa, o ile nie wszystkich rzeczy tego świata. Nie ma na to odpowiedzi prostych, a czasami nie ma w ogóle odpowiedzi.

W Europie

Narodziny „robotniczej klasy intelektualnej" w ramach uniwersytetu i w epoce uprzemysłowienia uniwersyteckiego prowadzą także w Europie do buntu młodego pokolenia. W zależności

jednak od studium rozwoju jaki osiągnął dany kraj, ruch ten przybiera różne oblicza.

Omawiając rozruchy francuskie w maju 1968 roku poseł komunistyczny Pierre Juquin pisze: „Wiedza staje się bezpośrednią siłą produkcyjną; fakt ten prowadzi do poważnych zmian w łonie społeczeństwa uprzemysłowionego, a w szczególności do wzrostu znaczenia studentów i intelektualistów wśród czynnej ludności". Ze swej strony Raymond Aron notuje: „W Paryżu skoncentrowało się 130 tysięcy studentów uniwersyteckich, którzy stanowią odpowiednik burżuazyjny mas robotniczych z XIX-go wieku". W czasie dyskusji zorganizowanych przez wolny uniwersytet berliński jeden z przywódców SDS, Wolfgang Lefèvre powiedział, że kontestacja jest buntem „naukowych sił produkcyjny".

Gdy jakaś grupa nabiera świadomości klasowej, staje się ona przede wszystkim anarchiczna, lub „ulega uczuciowemu ekstremizmowi, który nie posiada określonego celu, a często nie rozumie mechanizmu społecznego". Pierwsza CGT była anarchiczna, a ruch studencki w uprzemysłowionym Zachodzie, poszukujący ideologii i nowych metod działania, jest płynny w tym samym stopniu co ruch robotniczy w przeddzień Pierwszej Międzynarodówki. Tak jak pierwszy ruch robotniczy wysuwał idee kooperatyw i spółdzielni Proudhona, tak teraz mówi się o prowadzeniu „przeciw-wykładów", czy to w formie „przeciw-uniwersytetu" w Ameryce, czy „uniwersytetu krytycznego" w Berlinie. Na tym jednak kończą się podobieństwa między Stanami Zjednoczonymi a Europą; w porównaniu z wolnym uniwersytetem Berlina Zachodniego, z London School of Economics i z Sorboną, Berkeley i Columbia znajdują się już w prawdziwym społeczeństwie „postprzemysłowym"; pozostaje tylko do rozstrzygnięcia czy 20 % „zażartej" młodzieży wystarcza, by stworzyć groźną siłę przewrotu.

Alberto RONCHEY

La Stampa, 12 maja 1970

(Przełożył z włoskiego Paweł Zdziechowski)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO

RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

Lekcja indochińska i chińska

Dawniej za tak zwanych dobrych czasów — wojna to była wojna. Gdy Churchill mówił, że... będziemy bili się na plażach, na ulicach naszych miast i nie poddamy się nigdy — nie przemawiał w imieniu mniejszości, czy większości tylko dosłownie w imieniu wszystkich. Nikt bowiem nie miał żadnych wątpliwości, że należy bić Niemców i że wojna przeciwko Trzeciej Rzeszy musi być wygrana. Nie potrzeba było nikomu tego tłumaczyć, ponieważ każdy to wiedział i rozumiał.

Wojna w Indochinach, która trwa już niemal dwukrotnie dłużej od ostatniej wojny światowej — podobna jest do innych wojen tylko tym, że po obu stronach są zabici i ranni. Lecz na tym wszelkie analogie się kończą. Przede wszystkim nie wiadomo dokładnie kto przeciwko komu walczy. Oficjalnie jest to wojna Wietnamczyków przeciwko Wietnamczykom. Lecz można powiedzieć również, że jest to wojna Stanów Zjednoczonych przeciwko Rosji Sowieckiej i Chinom. Południowy Wietnam nie dałby sobie rady bez pomocy amerykańskiej — Północny Wietnam nie dałby sobie rady bez pomocy sowieckiej a częściowo i chińskiej.

Można również przyjąć pogląd, że wojna w Wietnamie jest wojną ideologiczną, której celem jest zatrzymanie pochodu komunistycznego w bardzo ważnym rejonie Azji. To jest teoria faworyzowana przez emigracyjnych publicystów. Nie wydaje mi się jednak by owa teoria odpowiadała prawdzie.

Wyobraźmy sobie, że Rosja i Chiny są absolutystycznymi monarchiami, które uprawiają imperialistyczne polityki. Gdyby w takiej sytuacji Północny Wietnam przy pomocy rosyjskiej podjął wojnę przeciwko Południowemu Wietnamowi — można uznać za prawdopodobne, że Amerykanie pospieszyli by z pomocą Południowemu Wietnamowi by nie dopuścić do poszerzania się rosyjskiej sfery wpływów w Azji.

Rosyjskie międzykontynentalne pociski atomowe stanowią zagrożenie dla Ameryki bez względu na to czy na Kremlu rządzi

Breżniew czy car. Być może rząd generałów i marszałków, który obaliłby komunizm — prowadziłby znacznie bardziej imperialistyczną i agresywną politykę niż Breżniew i Kosygin.

Komunizm nie jest groźny sam w sobie. Komunizm jest groźny ponieważ za komunizmem stoi Rosja. Gdyby Chiny i Rosja były cesarstwami nikt nie przejmowałby się komunizmem w Wietnamie, ponieważ w takiej sytuacji komunizm nie stanowiłby instrumentu imperialistycznej polityki Rosji i Chin.

W polityce wielkomocarstwowej prawie nigdy nie chodzi o ideologię. Zawsze chodzi o *balance of power* — to znaczy o korzystną równowagę sił, która zapewniałaby bezpieczeństwo. W tym konkretnym wypadku sprawa jest prosta. Jeżeli upadnie Wietnam — dlaczego nie miałaby upaść cała południowo-wschodnia Azja zaczynając od Syjamu a kończąc na Burmie. Wówczas era Pacyfiku zapoczątkowana w pierwszym dziesięcioleciu bieżącego stulecia dobiegłaby kresu. Drogi na Pacyfik i Ocean Indyjski stanęłaby dla Sowietów otworem. W takiej sytuacji Nowa Zelandia a nawet Australia byłyby *de facto* zagrożone. W sumie byłoby to coś znacznie więcej niż Pearl Harbour.

W Wietnamie Amerykanie bronią swojego bezpieczeństwa w znacznie bardziej dosłownym tego słowa znaczeniu niż Rosjanie bronili swojego bezpieczeństwa wkraczając do Czechosłowacji.

Czytelnik powie w tym miejscu, że bronię imperializmu. Nie bronię, tylko analizuję a poza tym zapytuję: jeżeli się jest imperium jaką politykę ma się prowadzić jeżeli nie imperialną? Imperium, które przestaje prowadzić politykę imperialną — przestaje być imperium. Nie leży w interesie wolnego świata by Stany Zjednoczone przekształciły się w izolowaną „Fortecę Amerykańską" i przestały być światowym imperium.

Zastrzeżenia budzą nie cele polityki amerykańskiej tylko metody.

Wszystko to wyglądałoby inaczej, gdyby ustrój demokratyczny w każdym aspekcie górował nad komunizmem i gdyby było to absolutnie oczywiste i jasne dla każdego. Niestety tak nie jest. Demokracja amerykańska przeżywa swój największy kryzys w dziejach.

Gdybym był komunistą rosyjskim, wietnamskim czy chińskim — pomyślałbym, że co komu z wolnej prasy w kraju w którym 200 wyższych zakładów naukowych jest zamkniętych na skutek rozruchów studenckich. Co komu z instytucji demokratycznych w kraju, w którym policja strzela do dziewiętnastoletnich smarkaczy — strzela i zabija. Co komu z demokracji, która wyraża się najwyższym na świecie procentem zbrodni. Czy wolny jest człowiek, który wieczorem nie może bezpiecznie chodzić po ulicach swojego miasta?

Amerykanie nie mają niczego „do sprzedania" w sensie ustrojowo-ideologicznym tzn. nie mają tytułu ani innych pouczać, ani innych wyzwalać, bo muszą wpierw wyzwolić siebie samych z kryzysu społecznego w jakim się znaleźli. Dopóki to się nie stanie,

nie mamy podstaw do reklamowania demokracji, bo *de facto* nie mamy czego reklamować.

W jednym z poprzednich moich artykułów przytoczyłem opinię światłego i wykształconego Murzyna, który powiedział, że Chrześcijaństwo traci wyznawców w Afryce i w Azji — ponieważ kolorowi ludzie przekonują się, że narody chrześcijańskie od stuleci nie są lepsze czy sprawiedliwsze od narodów nie-chrześcijańskich. Innymi słowy, my sami nie jesteśmy chrześcijanami, nie żyjemy jak chrześcijanie — jaki więc posiadamy tytuł do uczenia innych tego, czego sami nie nauczyliśmy się przez dwa tysiące lat.

Podobnie jest z demokracją. Największa demokracja świata, tzn. demokracja amerykańska musi być gruntownie zreformowana i dopiero wówczas, ale *dopiero wówczas* Amerykanie zdobędą moralne i faktyczne prawo uczyć demokracji polityków w Saigonie czy gdziekolwiek indziej.

Czytelnik, który pamięta moje uprzednie artykuły — zauważy, że podkreślałem kilkakrotnie, że polityka nie ma wiele wspólnego z moralnością. Na ogół tak jest istotnie. Lecz w tym konkretnym wypadku sprawa kształtuje się inaczej. Zwalczamy totalistyczny komunizm, ponieważ uważamy, że jest to system moralnie zły. Interwencja zbrojna Sowietów w Czechosłowacji i zdławienie wolnościowej rewolucji wywołały moralne oburzenie w całym świecie, a nawet w pewnych kołach społeczeństwa rosyjskiego. „Wydarzenia warszawskie", proces Taterników, codzienny potop kłamstw, fałszerstw i krzywd — to wszystko jest nie tylko totalitarną polityką lecz i gwałceniem podstawowych moralnych zasad, na których opierała się nasza cywilizacja bez względu na politykę i ustroje społeczne.

Gdyby komunizm okazał się był sukcesem, gdyby w Sowietach panował raj sprawiedliwości i wolności, gdyby nie było łagrów i cenzury lecz przeciwnie, kwitłyby literatura i sztuka — nikt nie chciałby zwalczać komunizmu, ponieważ zwalczanie tak szlachetnego ustroju byłoby czymś niemoralnym.

Konflikt pomiędzy Wschodem a Zachodem sprowadza się u dna do rywalizacji pomiędzy dwoma formami ustrojów społecznych z których każdy głosi wyższość moralną nad ustrojem konkurencyjnym. Z tych przyczyn, jeżeli w Ameryce policja zastrzeli kilku demonstrujących studentów — ów akt stanowi czysty zysk komunistów, a więc Sowietów.

Około dziesięciu lat temu C. Wright Mills w swoim „Letter to the New Left" wysunął pogląd, że klasa robotnicza przestała już być motorem postępu społecznego i obecnie klasami zdolnymi do powodowania przemian są intelektualiści, studenci i inteligencja.

Jednak obserwując poprzez prasę i telewizję akcję studentów, która jest zjawiskiem społecznym wielkiego kalibru, doszedłem do wniosku, że demonstracje nie prowadzą do niczego. Co innego jest strajk robotników produkujących bogactwo — a co innego jest marsz protestacyjny tysięcy studentów, którzy nie produkują niczego. Interwencja w Kambodży nastąpiła po latach demonstracji studenckich, po setkach przemówień za pokojem, po

publicznym paleniu kart powołania do armii itd. *Establishment* nie musi się liczyć z demonstracjami studentów i prezydent Nixon podejmując decyzję w sprawie Kambodży najwyraźniej nie liczył się ani ze studentami ani z lewicowymi intelektualistami.

Jednak, jak słusznie zauważył Malcolm Dean („Rebirth of the New Left"), nie jest wykluczone, że prezydentowi Nixonowi powiedzie się to — co 10 lat temu nie powiodło się Millsowi, to znaczy, że powiedzie mu się w końcu zjednoczyć Nową Lewicę.

Lecz nim podejmiemy dalsze rozważania, chciałbym jeszcze raz podkreślić, że z punktu widzenia politycznego i socjologicznego owa bezowocność demonstracji jest czymś wielce interesującym i pouczającym. Gigantyczne marsze anty-bombowe, które latami obserwowaliśmy w Anglii nie doprowadziły absolutnie do niczego. Wniosek jaki należy z owego fiaska demonstracji wysnuć sformułowałbym następująco: ustrój demokratyczny jak każdy ustrój można obalić. Jedyną klasą społeczną, która posiada te możliwości — nie są studenci, czy intelektualiści, tylko robotnicy. Strajk generalny — jeżeli trwa dostatecznie długo, musi w końcu położyć każdą demokrację na obie łopatki. Natomiast studenci i intelektualiści nie mają żadnej możliwości obalenia demokracji czy danego *establishment*. Studenci i intelektualiści mają natomiast ogromne możliwości zreformowania ustroju poprzez maszynerię demokratyczną. Mogą organizować i popierać kampanie wyborcze postępowych polityków, mogą wydawać pisma, książki, broszury — mogą wreszcie skonsolidować „Nową Lewicę" i zreformować amerykańską Partię Demokratyczną. Ten ostatni punkt jest zadaniem herkulesowym, lecz niemniej, wydaje się konieczny.

Część studentów i intelektualistów zrozumiała, że demokrację można zreformować tylko poprzez demokrację, a nie aktami, które demokracji są obce. Jeżeli kilka tysięcy studentów demonstruje przed Białym Domem to fakt ten bynajmniej nie oznacza, że wyborcy zmienią swoje poglądy i będą głosowali inaczej niż dotychczas. Studenci powinni nie demonstrować — co nie prowadzi do niczego — tylko powinni organizować *pressure groups*, które wywierałyby wpływ na senatorów i reprezentantów. Intelektualiści i studenci powinni jednym słowem uprawiać konkretną politykę, a nie bawić się w rewolucję, która *de facto* rewolucją nie jest i wskutek tego nie może osiągnąć żadnych rezultatów.

Jeżeli dziś Marcuse, a przed nim Mills i wielu innych socjologów stwierdzają, że większość robotników uległa „uburżuazyjnieniu" i nie jest zainteresowana w rewolucji — tym samym rewolucja w Ameryce musi być skreślona z rejestru rzeczy możliwych, bo tylko klasa robotnicza byłaby zdolna do przeprowadzenia rewolucji. Więc po co bawić się w rewolucję, która nie ma żadnej szansy sukcesu?

Wojna w Wietnamie jak żadne inne wydarzenie w ostatnich dekadach — przeorała głęboko umysły młodego pokolenia. Gdyby ów ruch buntu i rewizji zapoczątkował dzieło postępowych reform, gdyby z czasem uzdrowił demokrację amerykańską — wówczas przyszli historycy napisaliby, że młodzi żołnierze amerykańscy, którzy polegli w Wietnamie swoją śmiercią coś istotnego okupili.

◆

W połowie maja br. oglądaliśmy na ekranach telewizyjnych fotoreportaże z Kambodży. Olbrzymie, podziemne składy amunicji i zaopatrzenia, odkryte i zdobyte przez Amerykanów.

Prof. Pragier, w jednym ze swoich artykułów o Indochinach napisał, że do tej pory nikt nie powiedział Amerykanom, że walka w Wietnamie toczy się przeciwko Sowietom.

Nie jestem ani generałem ani strategiem — niemniej wydaje mi się, że likwidowanie baz zbrojeniowych w Kambodży czy bombardowanie dróg, którymi owo zaopatrzenie płynie to wszystko posiada tylko drugorzędne znaczenie. Gdyby komuniści byli odcięci od jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz — wówczas tego typu operacje przyniosłyby szybko rezultaty. Lecz jak wiemy, komuniści nie są odcięci od pomocy z zewnątrz i ich głównym źródłem zaopatrzenia jest Rosja sowiecka a nie podziemne magazyny w Kambodży. Trzeba by więc przeprowadzić blokadę Indochin i bombardować wszystkie statki sowieckie wiozące broń i zaopatrzenie dla komunistów. To byłoby rozwiązanie zarówno logiczne jak i niemożliwe i dlatego nie można powiedzieć społeczeństwu amerykańskiemu, że Stany Zjednoczone walczą w Wietnamie przeciwko Sowietom.

Wydaje mi się również, że nie jest rzeczą możliwą odniesienie pełnego militarnego zwycięstwa w Wietnamie — bez ryzykowania wojny z Rosją, a prawdopodobnie i z Chinami. Rosja, jak zajdzie potrzeba — będzie zaopatrywała komunistów w bronie i amunicję przez następne 30 lat. Gdyby komuniści wietnamscy zostali z czasem zdziesiątkowani — zastąpią ich stopniowo Chińczycy, którzy będą udawali Wietnamczyków. To nie Chiny będą walczyć przeciwko Amerykanom tylko komuniści wietnamscy... chińskiego pochodzenia.

Sądzę również, że należy przyjąć za podstawową zasadę, że nie można walczyć z Rosją i z Chinami równocześnie. Amerykanie swą polityką w Wietnamie dokonali cudu — stworzyli bowiem „semi-alians" rosyjsko-chiński przynajmniej w tym rejonie Azji. Istotą tego „aliansu" jest fakt, że zarówno Rosjanie jak i Chińczycy domagają się kategorycznie całkowitej ewakuacji Amerykanów z Indochin.

Nuklearny potencjał chiński budził zarówno w Rosji jak i w Ameryce niedowierzanie. Dopiero wystrzelenie w orbitę sputnika o imponującej wadze, przekonało rzeczoznawców, że Chiny przekształcają się w mocarstwo nuklearne w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Amerykanie nie lubią terminu „podwójna hegemonia" który ukuł gen. de Gaulle. Niemniej, termin ten definiował określoną polityczną rzeczywistość a mianowicie absolutną przewagę dwóch nuklearnych super-mocarstw. Jak powszechnie wiadomo dwóch partnerów może się łatwiej porozumieć niż trzech. Dwóch partne-

rów może na przykład ustalić w dwustronnych rozmowach ograniczenie wzajemne zbrojeń, czy rezygnację z kosztownych projektów jak np. budowa systemów *anti-ballistic-missiles*. Lecz dziś Rosja zagrożona jest nie ze strony Ameryki tylko ze strony Chin — jaki więc byłby cel dyskutowania z Amerykanami ograniczenia zbrojeń, skoro Chiny a nie Stany Zjednoczone decydują dziś o wysokości sowieckiego budżetu wojennego. „Podwójna hegemonia" stwarzała możliwości porozumienia w pewnych sprawach, ponieważ tak Rosjanie jak i Amerykanie starają się uniknąć trzeciej wojny światowej. Obecnie, wszelkie dyskusje na temat ograniczenia zbrojeń, utrwalenia pokoju itp. — bez udziału Chińczyków nie mają po prostu sensu.

Leży w interesie Ameryki uładzenie południowo-wschodniej Azji — podobnie jak leży w interesie Ameryki zapewnienie i utrzymanie przewagi Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Legitymizmu tych celów żaden przyjaciel Ameryki nie może poddawać w wątpliwość.

Wydaje mi się jednak za rzecz wręcz wykluczoną dokonanie czegokolwiek w Azji wbrew Chinom i wbrew Rosji. Nawet Stany Zjednoczone nie są dostatecznie potężne by pewnym narodom azjatyckim narzucić swoją wolę wbrew Chinom i wbrew Rosji. Oczywiście największym błędem jest podejmowanie inicjatyw, które zbliżają Chiny i Rosję przeciwko Ameryce.

Czytelnik — zwłaszcza zza Oceanu — zauważy w tym miejscu, że z Rosjanami można rozmawiać a w pewnych sprawach można się nawet z nimi porozumieć. Natomiast z Chińczykami nie ma ani rozmowy ani porozumienia.

Nie podzielam tej opinii. Nawet przy największym wysiłku imaginacji trudno sobie wyobrazić Hong Kong na ziemi sowieckiej. Chińczycy — na co wskazuje ich historia — potrafią być daleko bardziej elastyczni i skłonni do kompromisu niż Rosjanie.

Sądzę, że wcześniej lub później Amerykanie będą musieli szukać dróg do wyrównania stosunków z Chinami. Problem nie jest łatwy ponieważ Chiny pod adresem Ameryki wysuwają pretensje terytorialne.

Zamierzam wysunąć kontrowersyjną sugestię. Lecz niech mi wolno będzie wpierw powiedzieć kilka słów na temat kontrowersyjności. Gdybym napisał artykuł stwierdzający, że za 10 lat będziemy mieli Polskę od morza do morza, mocarstwową, niepodległą i demokratyczną — na emigracji nikt tego typu wypowiedzi nie uznałby za kontrowersyjną. „Pobożne życzenia" nigdy nie są kontrowersyjne, ponieważ znakomita większość z nimi się godzi. Kontrowersyjny najczęściej bywa realizm — ponieważ z realną oceną godzi się zwykle tylko mniejszość. Należy szanować opinię większości, lecz większość nie ma nigdzie monopolu na słuszność.

Chińczycy podkreślili ostatnio bardzo dobitnie, że nie mają żadnych planów zaborczych w Azji, lecz nie zrezygnują nigdy z Formozy. Taiwan (Formoza) była chińską wyspą od XIII wieku. Po zwycięstwie w roku 1945 — Taiwan zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i logiką oddano Chinom. Rządy Chang Kai-szeka i utworzenie tzw. Narodowej Republiki Chińskiej datują się dopiero od roku 1949.

Choć rząd pekiński nie budzi naszej sympatii — z punktu widzenia prawa i zdrowego rozsądku nie może ulegać wątpliwości, że nie Chiny należą się Formozie — tylko odwrotnie, Formoza należy się Chinom.

Należałoby bardzo skrupulatnie wyważyć co z punktu widzenia interesów Stanów Zjednoczonych opłacałoby się lepiej: czy oddać Formozę Chinom i otworzyć drogę do wyprostowania stosunków z Pekinem — czy zatrzymać Formozę w orbicie amerykańskiej, utrwalając *ad infinitum* stan ni to wojny ni pokoju pomiędzy Ameryką a Chinami.

W mojej ocenie komunizm w Chinach w takiej czy w innej formie — przetrwa. W tym poglądzie nie jestem bynajmniej odosobniony. Łatwiej jest sobie wyobrazić upadek komunizmu w Rosji niż w Chinach. Rosja jest nie tylko azjatyckim lecz i europejskim mocarstwem i kulturalnie przynależy do Europy, co w tym wypadku nie jest szczegółem bez znaczenia.

Formoza nacjonalistyczna posiada pewną wartość dopóki żywić można było nadzieję, że upadek komunizmu w Chinach jest sprawą najbliższej przyszłości. Owo duplikowanie państw, które podjęto po drugiej wojnie światowej (dwie republiki niemieckie i dwie republiki chińskie) utrudnia w znacznej mierze ułagodzenie tak Europy jak i Azji.

Nie wiem o czym rozmawiają w Warszawie reprezentanci Waszyngtonu i Pekinu. Kto wie czy nie należałoby spotkać żądania Pekinu w pół drogi i wysunąć propozycję przeprowadzenia na Formozie plebiscytu pod ścisłą kontrolą międzynarodową. Komisja winna składać się w połowie z reprezentantów państw komunistycznych i w połowie z reprezentantów państw niezaangażowanych jak Szwecja czy Norwegia. Nie wystarczy głosić, że ludność Formozy nie życzy sobie połączenia z Chinami. Trzeba to obiektywnie zbadać. Obecnie, ktokolwiek wypowiedziałby się na Formozie za przyłączeniem wyspy do chińskiej republiki ludowej wylądowałby w więzieniu. Z tej przyczyny zapewnienia pochodzące ze źródeł Chin nacjonalistycznych nie mają żadnej obiektywnej wartości.

Sowieccy przywódcy głoszą, że imperializm amerykański w Azji byłby dawno powstrzymany gdyby Chińczycy nie doprowadzili do rozłamu w świecie komunistycznym. To jest twierdzenie o tyle nieścisłe, że Amerykanie nie wykorzystują owego rozłamu w świecie komunistycznym. Traktują bowiem Chiny za nieistniejące.

W Europie Amerykanie opierają się na swym wczorajszym wrogu tzn. Niemcach. Nie można bowiem mieć żadnych wpływów w Europie Zachodniej i równocześnie uznawać niemiecką Republikę Federalną za nieistniejącą.

Podobnie — choć nie identycznie — przedstawia się sytuacja w Azji. Nie może być żadnego stałego układu na kontynencie azjatyckim bez udziału Chin. Amerykanie na to odpowiedzą, że porozumienie z Chinami nie jest możliwe. Lecz właśnie dlatego,

że porozumienie z Chinami w tej chwili nie jest możliwe — nie jest również możliwe układzenie stosunków w Azji. Każdy — choćby najmniejszy krok, w kierunku wyrównania stosunków amerykańsko-chińskich byłby milowym krokiem w kierunku normalizacji na kontynencie azjatyckim.

Chin nie można ani „wyminąć" ani ignorować. Nie jest również żadną polityką czekanie na upadek komunizmu w Chinach. To tylko pewni europejscy i amerykańscy sowietolodzy oddają się tego typu pobożnym życzeniom. Narody azjatyckie nie wierzą w upadek komunizmu w Chinach.

Polacy muszą w przyszłości porozumieć się z Rosją choć to porozumienie w tej chwili nie jest możliwe. Lecz na to by owo porozumienie było kiedyś możliwe — trzeba pracować w tym kierunku już dziś.

Sytuacja Amerykanów jest oczywiście różna od naszej. Lecz Azja i Pacyfik będą zawsze odgrywały niezmiernie istotną rolę w polityce amerykańskiej. Cele tej polityki nie zostaną nigdy osiągnięte dopóki Ameryka będzie miała Chiny (i Rosję) przeciwko sobie. Co Amerykanie robią by wyprostować swe stosunki z Chinami? Nie daleki od prawdy będzie sąd, że nie robią w tym kierunku niczego. Podtrzymywania na Formozie „Chin Narodowych" nie można uznać za pozytywną politykę chińską.

Rosja, jeżeli będzie szukać porozumienia z Niemcami to szukać go będzie w Bonn a nie w rezydencji p. Ulbrichta. Porozumienia z Chinami nie można szukać na Formozie tylko w Pekinie. To jest polityka trudna i obliczona na lata. Lecz amerykańska polityka w Wietnamie jest równie trudna, trwa dziesięć lat i jej wynik jest wielką niewiadomą. Wiadome są tylko straty i koszta.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Największy omlet w historii

To prawdziwie rozkoszna awantura pisywać z zagranicy dla *Kultury*. Czytelnicy, którzy się właśnie delektują lekturą tej rubryki, nie wyobrażają sobie jak kolosalną przygodę stanowi obrona tego maszynopisu przed nieubłaganym egzaminem czasu, przestrzeni i techniki.

Trudno przecież oprzeć się zadumie, kiedy się zważy, że od postawienia kropki pod kolejnym „Brukselczykiem", a chwilą dotarcia tej rubryki do Czytelnika, mija ok. 3 tygodni. W tym okresie przeciw osamotnionemu autorowi w Brukseli sprzysiężają się wydarzenia międzynarodowe oraz nieujarzmione siły

przyrody, to znaczy strajki pracowników poczty poszczególnych krajów Wspólnego Rynku i złośliwość rozmaitych rzeczy martwych (stąd np. korekta do jednej z poprzednich rubryk dotarła do redakcji w dniu wysyłki gotowego już numeru).

Pocieszam się — jak zwykle — potknięciami innych, dla których czas był znacznie okrutniejszym sędzią. Jesteśmy, jak wiadomo, skazani tu na Zachodzie na czerpanie wiedzy o Wschodzie z dzieł tzw. „sowietologów". Trudno bowiem opierać się wyłącznie o osiągnięcia badawcze ośrodków nauki politycznej krajów obozu socjalistycznego. Z ośrodków tych, w charakterze źródeł dokumentacyjnych, nadchodzą przeważnie głębokie studia nad dywersją „białą, szarą i czarną", kolejne przejrzane i poprawione wydania „Krótkiego Kursu WKP(b)", wspomnienia emerytowanych marszałków, przywracających spiżowe wymiary postaci Józefa Stalina, oraz Wielka Encyklopedia Sowiecka. Ta ostatnia przyprawia mnie o dreszcze na wspomnienie dziesiątków forteli, jakich musiałem użyć, aby podrzucić częściowo nieuświadomionym sąsiadom, a częściowo bibliotece zaprzyjaźnionego przedszkola, 40 tomów tego dzieła, którego naukową korektę i aktualizację zakończyłem na wymianie hasła „Beria" na „Behringa Cieśnina".

Wróćmy jednak do cudzych klęsk w zmaganiach z czasem. Przeczytałem właśnie książkę wydaną w Baltimore, w USA. Pewien profesor, oceniając współczesne trendy w polityce ZSSR, zauważa mianowicie, że „niewiele osób przewidywało z końcem lat 40, że tak szybko zacznie się cofać sowiecka kontrola nad Europą Wschodnią". Książka ukazała się w 1968 roku i jej spory sukces wydawniczy został nieco osłabiony przez inwazję Czechosłowacji, która nastąpiła w chwilę po ukazaniu się dzieła.

Pułapki czasu i niespodzianki w polityce sowieckiej są jednak wliczone niejako w koszta własne. Najgorsze jest gdzie indziej, dno rozpaczy jest zawsze przed autorem. Kto np. mógłby wyobrazić sobie jaki wpływ na losy „Brukselczyka" mogą mieć belgijskie jaja?! A jednak...

Największy omlet w historii dostał w prezencie minister Rolnictwa, kiedy z całej Belgii, od wszystkich hodowców kur otrzymał po 6 jajek nie na twardo, nie *à la russe*, ale zwyczajne, surowe. Hodowcy wymyślili ten sposób, aby dać wyraz niezadowoleniu z uruchomienia w Belgii za angielskie pieniądze ogromnej wylęgarni na nie wiem ile milionów kur i jaj. Ilość jaj na głowę ma poważnie wzrosnąć, hodowcy boją się o ceny drobiu itp., który i tak jest tu znacznie tańszy od mięsa. Obrzucając gabinet ministra jajkami, hodowcy zapomnieli (albo i nie zapomnieli), że jest to towar kruchy. Worki z pocztą, urzędy oraz listonosze zalani więc są białkiem i żółtkiem, co dodatkowo osłabiło i tak bez pośpiechu pracujących pocztowców belgijskich. Najpierw bowiem wyłączyli oni jajeczne przesyłki z obiegu rządowego, potem czyścili wszystko z plam, zawzięcie dyskutując czy mają prawo nie doręczać legalnie nadanych paczek. Tymczasem reszta listów spokojnie czekała. Najgorsze, że w tym gigan-

tycznym „koglu-moglu" może się także znajdować ten maszynopis.

Ministerski omlet jest tylko jednym z ostatnio tu zanotowanych belgijskich rekordów świata. Niedawno pewien Belg zajął pierwsze miejsce w konkursie wytrwałości gry na harmonijce ustnej, inny Belg wygrał turniej bilardowy. Pierwsze miejsce zajęli również Belgowie zbiorowo w konsumpcji szampana na głowę mieszkańca, no i co jest może nawet ważniejsze, zajęli również pierwsze miejsce na światowej liście eksporterów.

Mała Belgia mianowicie wywiozła w ubiegłym roku towarów za ponad 10 miliardów dolarów, co daje średnią 1.000 dolarów na Belga i zostawia daleko w tyle innych gigantów handlu zagranicznego. Warto będzie kiedyś poświęcić nieco miejsca analizie źródeł tej fantastycznej pozycji Belgii w statystykach handlu zagranicznego, zjawiska tym ciekawszego, że kraj ten jest pozbawiony w zasadzie bogactw mineralnych, nie ściąga milionów turystów, a wszystko uzyskuje wysiłkiem własnych rąk i mózgów. Przy okazji warto będzie przyjrzeć się zależności gospodarki i demokracji. Narzuca się ta korelacja sama, jakoże wspomniany rekord osiągnięty został bez odgórnych reform ekonomicznych i bez komisji planowania, ale za to w warunkach trwającej właśnie niesłychanie ostrej i antagonizującej całe społeczeństwo dyskusji na temat przyszłości Belgii jako sfederalizowanego kraju trzech wspólnot: walońskiej, flamandzkiej i brukselskiej. Dyskusji tak ostrej, że nawet decydujący mecz Belgów na mistrzostwach świata w piłce nożnej w Meksyku, nie potrafił wpłynąć na przerwanie ogromnej awantury w senacie.

Gorące lato

W Warszawie mówią, że cztery są powody klęsk w polskiej gospodarce: wiosna, lato, jesień i zima. W polityce zaczyna być podobnie. Tegoroczny kalendarz polityczny sprawia wrażenie, jakby był dziełem naczelnego redaktora pisma „Szaradzista". Rzeczywiście, wygląda jak wielki *puzzle*, czyli taka układanka z setek elementów, przeznaczona w zasadzie dla dzieci, ale naturalnie okupowana stale przez rodziców.

Proszę spojrzeć tylko na najważniejsze wydarzenia istotne dla aktualnej sytuacji w Europie i to w dziedzinie nas akurat interesującej.

Zacznijmy od powrotu podsekretarza stanu Bahra z Moskwy do Bonn. Zaczynamy od niego, i dlatego, bo od czegoś trzeba zacząć, ale przede wszystkim dlatego, że zakończył on (rzecz się okaże za chwilę istotna), ważny etap rozmów z Gromyką. Ważny bo oznacza gotowość ZSSR i NRF przystąpienia do właściwych negocjacji na temat układu o wyrzeczeniu się siły przy rozstrzyganiu spraw spornych.

Potem była już lawina. W ciągu kilku tygodni: Jędrychowski w Paryżu, sesja Rady Atlantyckiej w Rzymie, konferencja ministrów spraw zagranicznych państw Wspólnego Rynku w Viterbe pod Rzymem, Gromyko w Paryżu, sesja parlamentarzystów Unii Zachodnio-Europejskiej (Wspólny Rynek plus Wielka Brytania) w Paryżu, sesja rady ministrów tejże unii w Bonn, kolejne spotkanie ambasadorów czterech mocarstw w Berlinie, narada ministrów obrony Paktu Atlantyckiego w Brukseli, no i wreszcie wizyta Winiewicza w Bonn.

A nie jest to naturalnie wszystko, bo dla sprawy bezpieczeństwa Europy ważne są także „wizyty" Ceausescu i Maurera w Moskwie, ich podróże do Francji i do NRF, zapowiedziana wizyta Scheela w stolicy sowieckiej, wybory w Anglii...

Musimy jednak przerwać, bo i tak trzeba się dobrze nagimnastykować, aby z tego szalonego natłoku i pogmatwania faktów (że nie wspomnę o czytaniu gazet) wysnuć jakąś myśl przewodnią, jakieś elementy syntezy.

Politycy do tego zamieszania jeszcze się przyczyniają. Mamy, w związku z tym do czynienia już nie tylko z pirackimi, ale z zaplanowanymi i dyplomatycznymi, porwaniami samolotów. Zainaugurował ten system hiszpański minister spraw zagranicznych Lopez Bravo, lądując nagle, po drodze mu było z Madrytu do Manilli, na lotnisku w Moskwie, aby się móc bez większej kompromitacji wzajemnej, spotkać z przedstawicielem rządu sowieckiego. Zamyka na razie tę serię bułgarski minister Baszew, który wracając z Libanu do Sofii, postanowił wysiąść w Atenach. Stało się tak ku szalonej radości pułkowników greckich i przy pewnym zaskoczeniu bułgarskiej opinii publicznej, pamiętającej jeszcze lekcje wychowania obywatelskiego na temat puczu, dyktatury wojskowej, agentury NATO itp. Zresztą, następnego dnia przybył do Aten minister amerykański, więc wszystko jest w porządku.

Klapa na premierze

Bez żadnego natomiast zaskoczenia opinii i bez żadnych — wbrew niektórym komentarzom — rewelacji przetoczyła się przez Paryż pierwsza, prapremierowa na Zachodzie, wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych Jędrychowskiego. Nie odniósł on we Francji największego sukcesu w swej krótkiej karierze dyplomaty. Niektóre komentarze warszawskie, lekkomyślnie albo naiwnie podkreślały, że szef polskiego MSZ już pierwszego dnia pobytu został przyjęty przez premiera Chaban-Delmas, co miałoby świadczyć o specjalnej wadze, jaką gospodarze przywiązywali do tej wizyty. Trzeba na to odpowiedzieć, że chodziło tu raczej o technikę układania programu, bo premier francuski miał później inne zmartwienia. Taki np. Gromyko wcale nie był przyjęty pierwszego dnia przez premiera, co chyba nie dowodzi, iż jego wizyta miała dla Francuzów mniejsze od polskiej znaczenie. Fakt, że zamiast do premiera Francji, Gromykę posłano pierwszego dnia na zwiedzanie wystawy Lenina i Matisse'a, nie miał

przecież stanowić afrontu wobec sowieckiego gościa ani stanowić dowodu wyższości polskiej myśli dyplomatycznej nad sowiecką.

Właśnie z tą myślą nie było najlepiej. Prasa belgijska, jak zwykle zaprzedana NATO, dość ostro tę myśl odnotowała w korespondencjach z Paryża. Prasa francuska też nie była zachwycona. *Noblesse oblige*, więc uprzejmi gospodarze tylko dyskretnie komentowali poziom czytanych z kartki... odpowiedzi ministra na pytania dziennikarzy w czasie śniadania w klubie prasy dyplomatycznej.

Najgorsze wrażenie wywołało niepotrzebnie agresywne przedstawienie polskiej wersji wydarzeń czechosłowackich. Wrażenie tym gorsze, że pobyt Jędrychowskiego w Paryżu zbiegł się z wizytą przywódców sowieckich w Pradze i podpisaniem tam, owianego duchem doktryny Breżniewa, traktatu o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Ten zbieg okoliczności nadał postawie polskiego ministra zupełnie specjalne światło, zwłaszcza, że sporo było w tym okresie w prasie francuskiej reportaży z Pragi o nieco odmiennej treści.

Wątpliwą karierę zrobiły również odpowiedzi polskiego ministra na pytania dotyczące antysemickiej polityki w Warszawie, exodusu itp. Oficjalny repertuar „anty-syjonistyczny" my przecież znamy, więc na tych łamach odnotujmy tylko, że wyjaśnienia Jędrychowskiego, iż *a)* wyjeżdżali nie tylko Żydzi, ale i rdzenni Polacy, wyłącznie w celu poprawienia sobie sytuacji materialnej, i *b)* że usuwano urzędników pochodzenia żydowskiego, bo „można mieć tylko jedną ojczyznę", wywołały — cytuję — „mieszaną reakcję sali".

Coś tu nie gra. Odpowiedzi Jędrychowskiego obliczone były na opinię francuską, która — zdaniem strategów z Warszawy — już dojrzała do przyjęcia argumentacji Gomułki, Piaseckiego, Sidora w sprawie piątej kolumny, dwóch ojczyzn, syjonistycznej agentury itp. Jak jednak wynika z reakcji gazet, jeszcze tak nie jest. Odpowiednie instrukcje wydziału prasy KC PZPR jeszcze, widać, do francuskich redakcji nie dotarły.

Rzeczowe wyniki pobytu Jędrychowskiego są natomiast skromne. Główny sukces sprowadza się do potwierdzenia wizyty francuskiego premiera i jego ministra spraw zagranicznych jesienią w Warszawie. Prawie cała reszta albo już była (np. potwierdzenie doniosłego dla nas stanowiska Francji w sprawie Odry i Nysy czy zbliżone poglądy obu rządów na Bliski i Daleki Wschód), albo się skończyła klapą, jak np. w sprawie konferencji na temat bezpieczeństwa europejskiego.

Rzecz więc przebiegła podobnie jak ostatnia 24-ta sesja, RWPG w Warszawie. Jak wiadomo, z ważnych decyzji gospodarczych jednogłośnie uchwalono tam jedynie hołd dla Lenina i potępienie interwencji amerykańskiej w Kambodży. Natomiast, w zasadniczej sprawie, Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego, rozstano się raczej chłodno, jakoże Rumunia powiedziała, że się jeszcze zastanowi. W Paryżu, jak z bankiem w Warszawie,

w sprawie konferencji europejskiej stanowisk, delikatnie mówiąc, „nie uzgodniono", mimo najrozmaitszych eufemizmów czytanych z kartki przez min. Jędrychowskiego.

Po prostu — Polska w tej sprawie nie jest najważniejszym partnerem Francji. Dla Francji mianowicie taka konferencja mogłaby się odbyć po załatwieniu bardzo wielu otwartych spraw na starym kontynencie, przede wszystkim problemu Berlina. Polska w tej sprawie ma niewiele do powiedzenia. Z drugiej strony, sami Francuzi — acz niechętnie — przyznają, że priorytet mają w tej chwili rokowania NRF-ZSSR, i że wszelkie inne platformy komunikacji, choć ważne może, muszą im ustąpić miejsca na pierwszych stronach gazet.

Tak więc, jeżeli pominąć — ukryty z niewiadomych powodów przed opinią krajową — wykład polskiej myśli dyplomatycznej w przedmiocie kontrrewolucji w Czechosłowacji i agenturalnej roli syjonizmu, to Jędrychowski wywiózł z Paryża głębokie wrażenia z wycieczki po Sekwanie i do Wersalu oraz datę przyjazdu francuskich mężów stanu. Napięcie zresztą będzie tym razem mniejsze niż przy wizycie de Gaulle'a we wrześniu 1967 roku, nawet łóżka nie trzeba będzie w Wilanowie zmieniać. Natomiast, być może, wizyta ta umożliwi wreszcie podróż Władysława Gomułki do Paryża, podróż przewidzianą uprzednio na jesień 1968, ale odłożoną z uwagi na nie najbardziej serdeczny stosunek opinii francuskiej do udziału naszych chłopców w wyprawie na Pragę.

„Toże krasiwo..."

Skromne rezultaty paryskiej wizyty Jędrychowskiego, nie powinny nas martwić, jeżeli uwzględnimy fakt, iż jego następca w wycieczce do Francji, minister Gromyko też nie wiele załatwił. Jeżeli nawet odpowiada prawdzie, że dziś już w ogóle takie wizyty należą wyłącznie do protokołu i właściwie — poza przyjemnym spędzeniem czasu — niewiele mogą przynieść, to obie wspomniane podróże były wyjątkowo smutne. Przyczyniło się do tego zapewne znane w kraju i za granicą, poczucie humoru obu dyplomatów, ale przyznajmy, że i warunki nie były najlepsze.

Jędrychowski — niezależnie od odpowiedzi z kartki — jest traktowany jako polityk o ograniczonej suwerenności i możliwościach, tym bardziej, że specyficznie polskie problemy pozostają poza zasięgiem możliwości polityki francuskiej.

Twierdzenie to można by odwrócić w odniesieniu do Gromyki. Ten wie, że właściwy partner nie mieszka w Paryżu i trudno byłoby o bardziej pusty dokument niż komunikat końcowy po wizycie sowieckiego ministra. Od czasu błyskotliwych inicjatyw de Gaulle'a wiele się zmieniło na świecie, a i Rosjanie, po znormalizowaniu Czechosłowacji, przestali się krępować. Oczywiście, dla taktyki sowieckiej ważne jest stanowisko Francji w sprawie Bliskiego i Dalekiego Wschodu, embargo na Miraże,

niechęć Paryża do dominacji NRF w Europie, czy też ciągle możliwa obstrukcja Francji przy przyjmowaniu Anglii do Wspólnego Rynku. Ale tak naprawdę, to dla ZSSR istnieje na świecie (poza Chinami na razie mało rozmownymi), tylko jeden poważny partner, to znaczy USA. Oczywiście w skali Europy — i w skali gospodarki sowieckiej — liczy się także NRF, stąd zapowiedź podróży Scheela do Moskwy, gazowy rurociąg świeżej przyjaźni...

Te wszystkie elementy tłumaczą dlaczego, podobnie jak po rozmowach z Polską, komunikat końcowy o wizycie Gromyki, powtarza tylko rzeczy znane i potwierdza rozbieżności w jedynej ważnej sprawie, dotyczącej tego, co kto rozumie pod pojęciem bezpieczeństwa w Europie. I żeby już nie było żadnych złudzeń co do istotnej treści wizyty, to z komunikatu nie wynika jakoby rozmawiano także o obecności potężnej floty sowieckiej na kluczowym dla polityki Francji obszarze Morza Śródziemnego ani o utrwalającej się wojskowej obecności Rosjan w kilku krajach tej strefy.

Najbardziej widomym znakiem raczej turystycznego charakteru wizyty Gromyki jest fakt, iż komunikatowa dyskrecja objęła także problem Berlina, choć jest to dla Francuzów klucz do pokoju w Europie.

Jak wiadomo, co jakiś czas w ponurym gmachu w Berlinie zachodnim spotykają się ambasadorowie czterech wielkich i mniejszych mocarstw. Dla dyplomatów zachodnich z Bonn jest to nudny obowiązek, dla ambasadora sowieckiego jest to wyprawa na Zachód, pełna uroku, słodkiej niepewności i dreszczyków, zrozumiałych zwłaszcza na tle spisu perwersyjnych rozkoszy, jakie mu na co dzień ofiarować może stolica NRD.

Każdorazowa rozmowa kończy się w zasadzie kolacją i ustaleniem daty następnego spotkania (tylko ostatnie spotkanie amb. Abrasimow ożywił zaproszeniem swych kolegów na drugą stronę muru celem obejrzenia „muzeum kapitulacji III Rzeszy"). Jak dotąd trwają różnice poglądów na temat tego, co to jest Berlin. Dla ZSSR mianowicie, Berlin — ten do dyskusji — składa się tylko z zachodniej części miasta. Dla pozostałej trójki — chodzi o całość składającą się: z Berlina zachodniego czyli witryny wolności i wszelkiej pomyślności, z Berlina wschodniego, czyli stolicy pierwszego w dziejach socjalistycznego państwa niemieckiego a także z muru wraz z bramami, zamkniętymi dla wszystkich Niemców, z wyjątkiem delegacji oficjalnych, mających dyskutować nad otwarciem tychże bram.

Ten stan rzeczy tłumaczy dyskrecję komunikatu końcowego po wizycie Gromyki. Postęp w rozmowach berlińskich jest bowiem dla Francuzów — i nie tylko dla nich — jednym z warunków poprzedzających konferencję pan-europejską. Dla Rosjan zaś — wprost przeciwnie: konferencja miałaby ułatwić dalsze rozmowy, w tym także berlińskie. Tak było przed przyjazdem Gromyki do Paryża. Tak zostało po jego wyjeździe.

Pikantny, ale i znamienny komentarz do tej wizyty, nadszedł z najzupełniej niespodziewanej strony. Oto bowiem w chwili, gdy Gromyko składał swoje uszanowanie prezydentowi Pompidou i przekazywał mu zaproszenie Kremla do odwiedzenia ZSSR, w angielskim serwisie agencji „Novosti", znanej skąd inąd z powiązań z MSZ, ukazały się fragmenty nowego wydania książki wybitnego pisarza W. Iwanowa pt. „Uwaga, syjonizm"! Czysty traf chce jednak, iż właśnie opublikowany urywek demaskuje akurat źródła majątku domu Rotszyldów. Iwanow donosi mianowicie, że Rotszyldowie forsę zrobili w zasadzie dzięki Hitlerowi, że maczali palce w eksterminacji Żydów, że ostatnio finansowali zachodnioniemieckich neo-faszystów, czechosłowackich kontrrewolucjonistów i jeszcze w przerwach także Watykan. Nie trzeba dodawać, że Rotszyldowie są odpowiedzialni za zaborcze akty syjonizmu itd.

Trudno przypuszczać, aby odpowiedzialne koła w Moskwie, bez których zgody wspomniana praca naukowo-literacka nie mogłaby się ukazać, zwłaszcza w II wydaniu (poprawione), ani tym bardziej, aby mógł ów fragment zostać rozesłany zagranicznym dziennikarzom i dyplomatom, aby więc te właśnie koła nie były świadome dość bliskich w przeszłości związków obecnego gospodarza Pałacu Elizejskiego i przyszłego gościa Kremla z owym nieczystym rasowo domem bankowym. *Honni soit...*

„Ich weiss nicht was soll es bedeuten..."

... powtarzał sobie polski wiceminister spraw zagranicznych Winiewicz unosząc się w pobliżu Lorelei na falach Renu jako gość ministra spraw zagranicznych NRF, Scheela. Po to, aby polski wiceminister mógł obejrzeć pokojowy trud nadreńskiego chłopa i robotnika, trzeba było listu Brandta do Gomułki i nowych propozycji dotyczących treści projektowanego układu o normalizacji stosunków Polska-NRF. List ten został doręczony z końcem kwietnia, w trakcie trzeciej rundy rozmów i umożliwił podróż Winiewicza, który, bez utraty twarzy, mógł się udać do Bonn, jakoże przedtem „ważne względy prywatne nie pozwalały Winiewiczowi opuszczać Polski".

Mimo tradycyjnie już lakonicznego komunikatu, podobnie jak Bahr po Moskwie, tak Winiewicz po Bonn, może zakomunikować w Warszawie, że wstępny etap został zamknięty i że można przystąpić do właściwej fazy negocjacji o normalizacji stosunków między obu krajami. W ten sposób dialog zapoczątkowany przemówieniem Gomułki z 17 maja ub. roku, odbywający się dwoma niejako torami: rozmowami Winiewicz-Duckwitz i listami Brandta do Cyrankiewicza i do Gomułki, wejdzie w drugiej połowie lipca w następną i bardziej konkretną fazę.

Oczywiście fakt, iż emerytowany już Duckwitz opuścił swój ogródek aby poprowadzić rozmowy, czy przejażdżka z Scheelem po falach Renu, same przez się nie świadczą o postępie, podobnie jak o niczym nie świadczyło szybkie przyjęcie Jędrychowskiego przez Chaban-Delmasa. Gdyby więc któryś z naszych kolegów

chciał napisać, że butelka reńskiego wina wypita przez dwóch ministrów na pokładzie stateczku, świadczy o wielkim sukcesie polskiej dyplomacji, to zwracam uwagę, że nie świadczy o niczym, bo min. Scheel bardzo lubi wino, a na spacer wypływa często z rozmaitymi gośćmi NRF, jeżeli tylko pogoda sprzyja.

Natomiast pierwsza od Berchtesgaden rozmowa przedstawiciela polskiego rządu z kanclerzem niemieckim, mimo iż trwała tylko 15 minut i mimo dyskrecji, jaka ją otacza w kraju, ma poważne znaczenie.

Nie wiem jak i o czym rozmawiali obaj panowie (znają świetnie niemiecki i angielski), może np. Winiewicz przekazał Brandtowi odpowiedź Gomułki, a może nie... W każdym razie, wraz z pożegnalnym uściskiem dłoni, drugi człon tryptyku polityki wschodniej Brandta, wszedł na właściwą orbitę.

Ustalając datę następnego spotkania na II połowę lipca (w Warszawie — spacer po Wiśle zapewniony), obie strony wykazały sporo rozwagi i powagi. PP. Duckwitz i Winiewicz spotkają się mianowicie po uruchomieniu, prawdopodobnie z udziałem samego Sheela, właściwej fazy rokowań sowiecko-niemieckich. Według wszelkiego prawdopobieństwa do tego czasu wyjaśni się także sprawa kolejnego, trzeciego, spotkania dwóch niemieckich premierów.

Dzięki temu prostemu zabiegowi, rząd w Bonn podkreślił nadrzędność rokowań z ZSSR, a zarazem równoległość wszystkich trzech torów działania.

Nie zaskoczy nas więc fakt, iż w dniu przybycia Winiewicza, w przeddzień spotkania czterech w Berlinie, po uchwałach NATO i Rady Unii Zachodnio-Europejskiej, rzecznik rządu NRF, Konrad Ahlers, powiedział dziennikarzom, że stanowisko jego rządu w sprawie układu z ZSSR można sprowadzić do kilku punktów: generalne poparcie mocarstw zachodnich dla wschodniej polityki Brandta, opartej o nienaruszalność obecnych granic w Europie, swobodny dostęp do Berlina, prawo samostanowienia dla Niemców oraz utrzymanie w mocy obecnie obowiązujących traktatów wiążących Bonn z Zachodem.

Jeszcze dobitniej, a i krócej wyraził to stanowisko Scheel, mówiąc, że nie ma mowy o ratyfikacji traktatów wschodnich zanim problem Berlina nie zostanie pomyślnie rozwiązany. Najbardziej tu zainteresowany, burmistrz tego miasta, Schuetz dodał, iż chodzi tu przede wszystkim o „specjalne więzy" łączące Berlin zachodni z NRF i o warunki łączności technicznej i ludzkiej między obu częściami miasta. Schuetz ujawnił przy okazji, że pomiędzy obu częściami miasta funkcjonuje już automatyczny dalekopis (jakim by kolorem tę linię określić) oraz 150 linii telefonicznych.

Jak z tego wynika ani oddzielnie wzięte rokowania ze Wschodem nie stanowią *Ding an sich*, ani nawet cały tryptyk razem jeszcze wszystkiego nie załatwia. Trzeba, żeby ruszył Berlin, a i to niekoniecznie wszystkich zadowoli...

W ciszy starego uniwersytetu

Wynika to wyraźnie z wykładu, jaki amerykański ambasador przy NATO w Brukseli, p. Ellsworth, wygłosił w Heidelbergu przed ciałem i słuchaczami filii uniwersytetu bostońskiego. Tam, w ciszy starych murów, w słowach pełnych spokoju i powagi, niepodobnych do żargonu brutalnych polityków, p. Ellsworth, przy pomocy cytatów z Camusa, Kopernika, Ortegi y Gasseta i Roberta Mc Namary oraz inwencji własnej wykazał, że bez uwzględnienia w porządku dziennym doktryny Breżniewa, konferencja w sprawie bezpieczeństwa Europy byłaby właściwie bez sensu.

Streszczam może zbyt oschle uczone i nieco pogmatwane wywody amerykańskiego dyplomaty, ale tu, na miejscu, mieliśmy sporo czasu na dokopywanie się sensu tego długiego tekstu. Chociaż bowiem odczyt był przeznaczony dla Heidelbergu, to w Brukseli nie ukrywano, że w tzw. kołach miarodajnych przywiązuje się spore znaczenie do wypowiedzi ambasadora i chętnie służono odpowiednimi wyjaśnieniami. Poza gustowną propozycją przedyskutowania doktryny, która według Moskwy nie istnieje i jest wymysłem agentów imperializmu, z wykładu wynika jeszcze, że niejako testem prawdziwych intencji ZSSR w Europie, będzie ustosunkowanie się Kraju Rad do zaproponowanej znowu przez rzymską sesję NATO, redukcji sił zbrojnych po obu stronach Łaby. Dyplomata USA wyjaśnił, niby nawet logicznie, że bez takiej redukcji rozmowy na temat wyrzeczenia się siły są zwyczajnym gaworzeniem.

W celu uniknięcia nieporozumień, amerykański polityk wyjaśnia jeszcze, że konferencja powinna się zająć nie tylko stosunkami Wschód-Zachód, ale i stosunkami pomiędzy poszczególnymi państwami Wschodniej Europy, w strefie, jak by to powiedzieć, określonych wpływów ZSSR.

Nie można powiedzieć, są to propozycje realistyczne. Gdyby je potraktować poważnie, to wszelkie rozmowy, a nie tylko konferencję pan-europejską, można by przenieść w siną dal. ZSSR bowiem jest niebezpiecznie alergiczny na takie jak p. Ellswortha pomysły i samo ich sformułowanie odrzuca Rosjan w odległe rejony wiecznego zimna.

Na szczęście wykład został wygłoszony w murach uniwersytetu, a nie sali obrad konferencji międzynarodowej, nazywa się *commencement address*, a nie notą czy *aide-mémoire*. Ponieważ znamy wstrzemięźliwy szacunek polityków sowieckich dla teorii, więc cała nadzieja, że nie potraktują oni wykładu ambasadora USA jako wypowiedzi politycznej, a tylko jako esej naukowy i po prostu wyrzucą go do kosza (esej, a nie ambasadora). Podobnie, jak przy innych okazjach uczynili z naukowymi, a nie politycznymi, propozycjami akademików co prawda a nie ambasadorów, Sacharowa, Medwiediewa, itp. fantastów.

Różnica tylko taka, że ambasadora Ellswortha Rosjanie nie

mogą posłać ani do więzienia jak Amalrika, ani do szpitala dla wariatów jak Grigorenkę. Chociaż nie mają wątpliwości, że byłoby to rozwiązanie najtrafniejsze.

BRUKSELCZYK

Pisane dnia 12 czerwca 1970

Kronika angielska

DYSKUSJE Z CZYTELNIKAMI

I.

W poprzednim numerze *Kultury* w notatce pt. „Młodzi i Nieznani" omówiłem „Program działania dla Młodzieży Polskiej poza Granicami Kraju". Wyraziłem pogląd, że program jest wymoszczony dobrymi chęciami — jest grzeczny i uczesany lecz nie ma w nim żadnej myśli czy koncepcji.

P. Wiktor Moszczyński od którego ów „Program" otrzymałem — nadesłał obecnie list do Redakcji *Kultury* z którego wynika, że choć sam o tym nie wie, zgadza się niemal w całości z moją opinią.

P. W. Moszczyński pisze bowiem co następuje: „Ruch rewolucyjny zostawiamy Kuroniowi i Modzelewskiemu... Dyskusje ideologiczne zostawiamy ideologom, ewolucjonizm oddajemy p. Mieroszewskiemu, a rewizjonizm Schaffowi i Kołakowskiemu".

W ten sposób p. Moszczyński rozparcelował pomiędzy innych całą współczesną problematykę — nie pozostawiając dla siebie i dla młodych w Londynie dosłownie niczego. Tym samym p. Moszczyński potwierdza moją tezę, że program młodych w gruncie rzeczy nie ma żadnej treści. Lecz jaką treść może mieć program, który odrzuca, względnie celowo pomija główne i najistotniejsze zagadnienia polityczne i ideologiczne?

II.

P. Stanisław Zarzewski w liście do Redakcji *Kultury* (Nr 5/272) — wywodzi mi krzywdę, ponieważ nie stosuje właściwej terminologii. Pisze mianowicie: „... mówi on zawsze (Mieroszewski — przyp. mój) o porozumieniu z Sowietami".

To po prostu nie odpowiada prawdzie. Piszę zawsze o porozumieniu z Rosją, nigdy o porozumieniu z Sowietami. W *Kulturze* piszemy o konieczności porozumienia z przyszłą Rosją, z zeuropeizowaną Rosją, z Rosją rewolucyjną, budującą socjalizm o ludzkim obliczu — lecz nie piszemy nigdy o porozumieniu z Sowietami. Podkreślałem wielokrotnie na tych łamach, że ze stalinowską, totalistyczną Rosją (tj. z Sowietami) porozumienia nie ma i być nie może.

W Sowietach i w całej Europie Wschodniej w wyższych kołach partyjnych *Kultura* cieszy się opinią jednego z najbardziej antykomunistycznych pism świata. Czy p. Zarzewski uważa, że można ściągać na siebie ataki *Izwiestii* i równocześnie „mówić o porozumieniu z Sowietami?"

W tym samym liście p. Zarzewski zarzuca mi, że źle zrozumiałem wyniki ankiety *Wiadomości*, ponieważ opieram się tylko na dwóch liczbach — 90 % głosów, stwierdzających niemożliwość porozumienia się narodu Polskiego ze Związkiem Sowieckim i 92 % stwierdzających niemożliwość porozumienia się z Niemcami.

P. Zarzewski uważa, że analizę ankiety należy robić „w kontekście całokształtu jej danych".

W mojej skromnej opinii kontekst czy nie kontekst — niezbity fakt pozostaje niezbitym faktem, że 90 % respondentów jest przeciw porozumieniu z Rosją a 92 % przeciw porozumieniu z Niemcami. Tego faktu nie można zmienić żadną interpretacją czy analizą. Pewne nie bardzo uczciwe firmy „interpretują" swoje bilanse w ten sposób by zapłacić jak najmniejsze podatki. W języku angielskim nazywa się to *cooking the books*. Otóż ankiety, czy statystyki nie mogą być *cooked* bo wówczas tracą całą swoją wartość.

92 % — jeżeli ankieta jest prawidłowo przeprowadzona w co ani na chwilę nie wątpię — może oznaczać tylko i wyłącznie 92 %. Co tu jest do zrozumienia czy nie do zrozumienia?

III.

W londyńskim *Tygodniu Polskim* z 4 kwietnia br. p. St. Zarzewski ogłosił obszerny artykuł pt. „Proces Giedroycia w Warszawie". Wydaje mi się, że ten doskonale udokumentowany szkic nie powinien minąć bez echa.

Trzeba podkreślić, że p. Zarzewski opublikował na łamach naszego miesięcznika wiele prac, opracował dla nas kilka ankiet i jest człowiekiem życzliwym *Kulturze*. Niemniej, jego interpretacja polityki *Kultury* jest fałszywa. W tym wypadku nie mamy do czynienia ze złą wolą, tym mniej ze złośliwością, tylko z brakiem zrozumienia. P. Zarzewski wszystkie nasze koncepcje uważa tylko za taktykę. Innymi słowami poddaje w wątpliwość czy my sami wierzymy w to co głosimy. Oto fragment końcowy cytowanego artykułu p. Zarzewskiego:

> „Wreszcie rzecz naprawdę interesująca: jakie jest zasadnicze stanowisko *Kultury?* Można zrozumieć koncepcję osłabiania dogmatyzmu komunistycznego poprzez taktykę jaką *Kultura* uprawia. Ten proces dowodzi zresztą, że podobna taktyka okazała się celową z punktu widzenia *Kultury*. Ale co innego jest stosować taktykę prorewizjonistyczną dla osłabiania dogmatyzmu, a co innego wierzyć, że rewizjonizm może przerobić totalizm w demokrację. Czy *Kultura* w to rzeczywiście wierzy?".

W podobny sposób kwitują działalność *Kultury* pp. Namiotkiewicz, Filler, Kolczyński i dziesiątki innych krajowych „kulturologów". Pan Zarzewski robi to niepomiernie bardziej uprzejmie, lecz sens jest ten sam.

IV.

Dostałem list od Dra J. N. ze Stanów Zjednoczonych, który prosi by nie wymieniać jego nazwiska. Poglądy Dra J. N. pokrywają się w znacznej mierze z przytoczoną powyżej opinią p. Zarzewskiego. „*Kultura* prowadzi odkrywczy manewr taktyczny, na który nie wpadł żaden ze strategów zimnej wojny". Dr J. N. składa nam serdeczne gratulacje choć z jego listu jasno wynika, że nie rozumie polityki *Kultury*.

Niedawno ukazała się antologia *Kultury* po angielsku. Dwa duże tomy — pierwszy 430 stron — drugi 344 stron. Całość wydana nakładem „Free Press, New York" (Collier-Macmillan, London) przy współpracy Nowojorskiego Uniwersytetu w Albany. Jak wszystkie tego typu wydawnictwa — Antologia jest kosztowna. Niemniej, tych naszych Czytelników, których stać na taki wydatek — namawiam gorąco by owe dwa tomy kupili. Jest rzeczą niezmiernie interesującą i pouczającą spojrzeć na ćwierć wieku *Kultury* niejako z lotu ptaka. Jest również rzeczą interesującą spojrzeć na *Kulturę* odbitą w zwierciadle języka angielskiego.

Mnie osobiście może najwięcej zainteresowała przedmowa Paul F. Wheeler'a (Professor and Associate Dean, College of Arts & Sciences The State University of New York at Albany), to jest bowiem fachowa diagnoza wybitnego socjologa, który stara się dać odpowiedź na pytanie czym właściwie jest *Kultura*. Prof. Wheeler jako obcokrajowiec patrzy na *Kulturę* nie tylko obiektywnie lecz również bez żadnego zaangażowania. Naszego diagnostę nic z nami nie łączy. Zainteresował się *Kulturą* jako fenomenem społeczno-politycznym i to wszystko.

W opinii profesora Wheelera *Kultura* jest przede wszystkim ruchem społecznym *(social movement)*. Przyzwyczaiłem się od lat uważać *Kulturę* za ośrodek polityczny i instytucję wydawniczą lecz przyznaję, że nigdy nie myślałem o nas jako o ruchu społecznym. W przeciwieństwie do partii politycznej — ruch społeczny nigdy nie jest sformalizowany — niemniej, może, w określonych wypadkach, wywierać większy wpływ na opinię publiczną niż zorganizowane partie polityczne.

Przeprowadziwszy szczegółową analizę głównych elementów naszej działalności prof. Wheeler pisze w konkluzji:

> „*All of these things that I have touched upon reinforce my own feeling that „Kultura" is indeed a social movement of some importance*".

Każdy ruch społeczny składa się z ludzi przekonanych i zaangażowanych — ponieważ ruch, w przeciwieństwie do partii politycznej, nie obiecuje nikomu władzy, stanowiska, kariery.

To wszystko widzą obcy. Natomiast swoi posądzają nas o „taktykę" i niewiarę w głoszone przez nas idee i koncepcje.

V.

Z listu płka Leona Mitkiewicza wynika, że nie przeczytał obu moich artykułów pt. „Może zdarzyć się i tak". Napisał swój list do Redakcji *Kultury* w oparciu o pierwszy z tych artykułów.

W pierwszym artykule wychodzę z założenia, że Niemcy przestały być zagrożeniem dla Polski. Natomiast w drugim artykule analizuję możliwość porozumienia rosyjsko-niemieckiego — co stanowiłoby katastrofalne zagrożenie tak dla Polski jak i dla Europy.

W obu artykułach opieram się na przesłance, że w przyszłości dojdzie do konfliktu rosyjsko-chińskiego. Ów konflikt może mieć rozmaite konsekwencje, które starałem się przeanalizować. Gdyby Rosjanie odnieśli błyskawiczne zwycięstwo — prawdopodobnie nie szukaliby porozumienia z Niemcami. Natomiast gdyby konflikt przemienił się w super-Wietnam i trwał latami — Rosjanie prawdopodobnie szukaliby zbliżenia z Niemcami — co z kolei stanowiłoby dla Niemiec poważną szansę polityczną i gospodarczą.

Tego typu artykuły jak „Może zdarzyć się i tak" są „polityczną grą", w której niczego się nie twierdzi, tym mniej „nie zmienia się stanowiska o 180 stopni". Analizuje się natomiast warianty sytuacyjne, które mogą się od siebie całkowicie różnić.

Płk Mitkiewicz mylnie interpretuje naszą politykę w stosunku do Rosji. Mówiąc o *commonwealth* czy o prawdziwym związku federacyjnym w który — jak mamy nadzieję przekształci się przyszła Rosja — nie mieliśmy nigdy na myśli państw satelickich lecz wyłącznie republiki, które wchodzą w skład Związku Sowieckiego. Z tak unowocześnioną Rosją Polska powinna mieć przyjazne stosunki, oparte o zasadę równości i *partnership*'u.

Nie wysuwaliśmy również nigdy postulatu federacji polsko-ukraińskiej — pisaliśmy natomiast, że przyszła Polska winna popierać dążenia niepodległościowe Ukraińców i odzyskać ich zaufanie, choćby to miało oznaczać rezygnację ze Lwowa.

Sugerowaliśmy natomiast federację polsko-czesko-słowacką, która wydaje się, byłaby niezmiernie korzystna dla trzech zainteresowanych narodów. Podkreślaliśmy jednak równocześnie, że grunt w tej sprawie jest całkowicie nieprzygotowany.

Zgadzam się z płk. Mitkiewiczem, że idealnym rozwiązaniem byłoby porozumienie Polski z narodami, które oddzielają nas od rdzennej Rosji. Powyższy „idealny wariant" omówiłem szczegółowo w moim artykule w *Kulturze* (Nr 5/272, str. 67). Pisząc swój list do nas płk Mitkiewicz nie mógł jeszcze znać treści tego artykułu i stąd wypłynęło nieporozumienie.

Z ZAPISKÓW OFICERA CZASU WOJNY (IV)

Czytałem wiele pięknych opisów bitwy o Monte Cassino — nie czytałem natomiast ani jednego opisu żołnierskich demonstracji w Forli. Żołnierze szli bezładnym pochodem pod Komendę Placu, której broniła żandarmeria. Okrzyki, wyzwiska — maruderzy 2 Korpusu, który już dawno odpłynął do Anglii.

O co tym maruderom chodziło? O szczyptę ludzkości i sprawiedliwości. Ożenieni byli z Włoszkami lecz w przeciwieństwie do swych brytyjskich towarzyszy broni — nie mieli prawa zabrać swoich żon do Wielkiej Brytanii. Rozgoryczenie tych ludzi było straszliwe. Walczyli, zdobywali, otrzymywali odznaczenia bojowe, należeli do jednego z najświetniejszych korpusów

wojska polskiego — a pod koniec znaleźli się w obozie ze swymi żonami, w obozie, który przypominał uciekinierskie obozy na kontynencie — widmo o którym każdy z nas pragnął zapomnieć.

Koniec epopei to nie był PKPR w Anglii. Koniec epopei — bolesny, upakarzający, maruderski — to było Forli.

Czy musiało tak być? Były pierwsze miesiące 1947 roku. We Włoszech już właściwie nikogo nie było poza kilku biurami w stanie likwidacji. Nas przetrzymano w Rzymie, gdzie na wprost Watykanu wydawaliśmy uporczywie *Paradę* — ponieważ „na wyższym szczeblu" rozważano projekt przeniesienia *Parady* do Niemiec. Na szczęście nic z tego nie wyszło:

W moich wspomnieniach wszystkie nazwiska, które wymieniam są autentyczne. W epizodzie, który pragnę opisać — muszę jednak odstąpić od tej zasady. Czytelnicy zapoznawszy się z tokiem opowiadania przekonają się, że nawet po upływie 24 lat nie mogłem postąpić inaczej.

Mieszkałem w hotelu „Continentale". Była nas tylko garstka. Większość stanowili oficerowie brytyjscy. Wiadomy był również nas los. Albo powrót do satelickiej Polski, albo dwa lata służby w PRC w Anglii. Oficerowie brytyjscy byli w stosunku do nas poprawni lecz w owej poprawności wyczuwało się chłód wynikający z zażenowania. Polscy oficerowie tworzyli patetyczną grupę ludzi, którzy stracili swą użyteczność i reprezentowali przegraną. Drugi Korpus był zwycięską armią lecz owe zwycięstwa zainkasowali inni. Niemcy leżały w gruzach — nasze nadzieje również.

Podchorążego Igreckiego znałem bardzo mało. Byłem od niego znacznie starszy i tym sobie tłumaczę, że darzył mnie nie tylko przyjaźnią lecz i wielkim zaufaniem. Nigdy zresztą nie wiadomo dlaczego do jednych ludzi wyczuwamy instynktowne zaufanie a do drugich nie.

Pewnego dnia podchorąży przyszedł do mojego pokoju późnym popołudniem. Robił wrażenie człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowania i psychicznego napięcia. Oczy miał przekrwione, odpalał jednego papierosa od drugiego i mamrotał coś do siebie. Siedziałem na łóżku i czekałem. W pewnej chwili podchorąży stanął przede mną i powiedział bardzo spokojnie: „Trwało to 6 godzin ale pieniądze mam". Nim zdążyłem sformułować jakieś pytanie Igrecki wybuchnął z furią: „Pan mnie oczywiście potępi! Pan pojedzie do Anglii i przez dwa lata będzie Pan brał pensję w PRC. To jest kilkaset funtów! Za co? Dostanie pan kilkaset funtów jako nagrodę, że nie ożenił się pan z Włoszką!". W tym momencie podchorążemu dosłownie brakło tchu. Zaproponowałem mu by się napił trochę wody. Przypomniałem sobie również, że Igrecki przed kilkoma miesiącami ożenił się z młodą Włoszką z dobrej rodziny. Jego żona była piękna, wykształcona i biedna jak mysz kościelna.

Sprawa, która jest autentyczna — przedstawiała się następująco. Plutonowy, zaręczony z Włoszką, znajomy Igreckiego wraz ze swym przyjacielem kapralem — obrabowali z bronią w ręku samochód wojskowy, który nocą przewoził znaczną sumę pieniężną w lirach. Nikogo nie zabito ani nawet nie raniono. Eskortujący żołnierze byli zbyt zaskoczeni albo — jak zauważył Igrecki, nie chcieli użyć broni przeciwko swoim.

Byłem sam świadkiem rabunku dokonanego przez polskich żołnierzy, którzy jechali tym samym transportem kolejowym co *Parada* z Forli do Calais. To byli dezerterzy, którzy powinni byli być pod strażą. Pewnej nocy, gdy przejeżdżaliśmy przez Niemcy — kilku takich „wiarusów" wkroczyło do naszego wagonu i zaczęło z całym spokojem wyrzucać przez drzwi i okna walizki pp. pułkowników i majorów. Mój bagaż został bezbłędnie oceniony jako bezwartościowy i ocalał. Cała operacja trwała kilka minut i nikt nie stawiał oporu bandytom, którzy wyskoczyli z pociągu.

Lecz wróćmy do sprawy Igreckiego. Plutonowy z walizką lirów zjawił się w nocy w domu Igreckiego, wnioskował bowiem, że w prywatnym domu łatwiej będzie ukryć pieniądze. Igrecki nie powiedział mi ile było tych pieniędzy, określił je jednak jako „poważną sumę". Plutonowy przyznał się, że w walizce ma pieniądze i za pomoc w całej sprawie zaoferował Igreckiemu 10 %. Zaczęły się targi i po 6-ciu godzinach gróźb i wyzwisk Igrecki wymusił jedną trzecią sumy, którą dysponował plutonowy. Przez znajomych Włochów podchorąży natychmiast zamienił liry na „waluty".

Byłem tak zdumiony i nie taję — przerażony tą opowieścią, że po prostu milczałem. Igrecki zerwał się z krzesła i zaczął niemal krzyczeć: „Pan wie, panie poruczniku, że pańskim obowiązkiem jako oficera — jest podnieść słuchawkę i zatelefonować po żandarmerię. Przysięgam, że nie będę uciekał ani nie będę stawiał oporu. Lecz nim pan to zrobi niech mnie pan wysłucha!".

Słuchałem by zyskać na czasie i uporządkować jakoś własne myśli. Igrecki mówił z wypiekami na twarzy, rozdygotany, przejęty do ostatniego atomu swojej osobowości: „Byłem w łagrze, skończyłem szkołę podchorążych, pod Monte Cassino byłem ciężko ranny, dostałem Krzyż Walecznych. Nie zostałem nigdy oficerem — mam za sobą lata ciężkiej służby, poniewierki i walki. Wydawało mi się, że wypełniłem swój obowiązek uczciwie nie żałując ani trudu ani krwi. I co za to wszystko? Barak w Forli? Nie jestem godny jechać do Anglii bo ożeniłem się uczciwie i po katolicku. Nikt mi nie pomoże, nie będę brał poborów przez następne lata jak pan. Wtedy kiedy Korpus był uzbrojoną, zwartą jednostką nikomu nie chciało się stawiać żądań pod adresem Anglików. Dziś pozwoliliśmy się rozbroić jak barany i na jakiekolwiek żądania jest za późno. Polskie władze wojskowe skrzywdziły mnie bo nie stanęły w obronie moich podstawowych ludzkich praw. Czy pan wie, że moja żona, którą kocham nad wszystko — błaga mnie bym ją porzucił, bo we Włoszech nie znajdę pracy a na wyjazd nie mamy pieniędzy".

— Teraz pan ma pieniądze — wtrąciłem.

— „Tak. Teraz mam — bardzo małe pieniądze, ale mam. Sam wyrównałem częściowo krzywdę, którą mi zrobiono. Czy uważa pan to za zbrodnię? Czy mój czyn nie jest bardziej usprawiedliwiony moralnie niż dorabianie się na nielegalnym handlu „kasztanami"? Czy pan uważa, że jak inni za owe „kasztany" będą w Anglii kupować sobie domy — ja powinienem pójść do więzienia co złamałoby życie mojej żony, która o niczym nie wie?"

Igrecki wstał z krzesła, strzelił drzwiami i wyszedł. Nie ulega wątpliwości, że przeżywał dramat, który go przerastał i owym dramatem musiał się z kimś podzielić. Byłbym szczęśliwy gdyby za swojego powiernika wybrał kogoś innego a nie mnie.

Ludzie w sytuacji Igreckiego byli niewątpliwie skrzywdzeni. Demobilizując się we Włoszech dostawali odprawy. Lecz cóż mogła wynosić wypłacona w lirach odprawa podchorążego?

Igrecki dochodził swojej krzywdy na własną rękę w sposób nieuczciwy. Typowa polska prywata.

Mój obowiązek był jasny i oczywisty. Jako oficer służby czynnej powinienem był złożyć meldunek o całej sprawie. Fakt, że tego nie zrobiłem uważam za plamę na moim zachowaniu się jako oficera. Równocześnie wy-

znaję, że nigdy nie żałowałem, że tak postąpiłem jak postąpiłem. Igrecki nie był ani złodziejem ani bandytą. Był młodym człowiekiem dosłownie bezgranicznie zakochanym i zrozpaczonym. Okazał mi rozbrajające zaufanie. Powtarzam — biorę na siebie ową plamę na moim zachowaniu się jako oficer czynnej służby. Lecz są wypadki — niezmiernie rzadkie — kiedy człowiek musi wziąć górę nad oficerem.

Nie chciałbym by Czytelnicy sądzili, że w moich wspomnieniach oczerniam wojsko. Kocham wojsko polskie i lata przesłużone w wojsku uważam za najlepsze lata w moim życiu. Lecz właśnie dlatego, że 2 Korpus był wspaniałą jednostką — o niewiarygodnie niskim procencie przestępczości, co Anglicy wielokrotnie podkreślali — nie ma powodu niczego przemilczać czy tuszować.

Służyłem w wojsku polskim poza granicami kraju pełne 6 lat. Nie byłem nigdy w oddziale liniowym — choć często służyłem bardzo blisko linii. Robiłem najrozmaitsze rzeczy. Konwojowałem jeńców, woziłem węgiel, mam za sobą setki godzin służby wartowniczej, pracowałem w redakcjach pism a nawet przez kilka miesięcy byłem jedynym wojskowym członkiem polskiej rozgłośni radiowej w Jerozolimie. Byłem dowódcą dachu Brytyjskiego Ministerstwa Informacji w czasie rozruchów arabskich w Kairze. W małym obozie pomiędzy Jerozolimą a Bagdadem — na płacie czarnej pustyni zapomnianym przez Boga i ludzi — byłem czasowo przydzielony do kompanii brytyjskiej, gdzie byłem sam jak palec. Moja służba była barwna i różnorodna.

Jeżeli ktoś przez 6 lat jest kapucynem uważa się za kapucyna, — bo za kogo innego ma się uważać? Ów proces identyfikacji z armią nie u wszystkich przebiegał jednakowo. Lecz ponieważ uważałem się nie za cywila przebranego w mundur tylko za wojskowego — sceny jakie oglądałem w Forli i w pociągu, który nas wiózł do PKPR w Anglii — napełniały mnie goryczą i poniżeniem.

Nie ma kryształowej epopei. Każdej epopei towarzyszą męty.

Pierwsze zapytanie jakie skierowano do mnie po wylądowaniu na ziemi brytyjskiej brzmiało: „Ile przywiózł pan ze sobą zegarków?".

(c.d.n.)

LONDYŃCZYK

Apartheid w Afryce Południowej

O problemie rasowym napisano już tomy, ale temat jest nadal niewyczerpany, bo do doświadczenia ludzkiego dzień każdy dorzuca coś nowego. W rozeznaniu jego ludzkość przebiegła daleką drogę, od teorii rasistowskich Gobineau i Chamberlain'a, od proroków nazizmu do oficjalnej deklaracji UNESCO o równości wszystkich ras *hominis sapientis*.

Deklaracje jednak nie załatwiają problemów, tym bardziej tak

skomplikowanych jak problemy rasowe. Rozwiązuje je na co dzień każdy człowiek w zetknięciu z niepodobnym do siebie fizycznie człowiekiem, czy to w autobusie, na ławce szkolnej, czy też w łóżku, i z sumy tych doświadczeń powstają postawy, które w gotowej formie wracają na warsztat socjologa czy polityka, by umożliwić mu sformułowanie nowej deklaracji, ta zaś z kolei przyczynia się do modyfikacji istniejących już postaw. I tak w kółko.

Na przykład: Deklaracja UNESCO mówiąca o równości ras negowana jest codziennym doświadczeniem, jej błędność potwierdzana jest wszystkimi pięcioma zmysłami, a czemużby wierzyć deklaracjom a nie własnym zmysłom? Papier jest cierpliwy i wytrzyma każdy na nim gryzmoł, ale dziecko już wie, że równość chociażby tylko fizyczna pociąga za sobą przymus hierarchizacji, bez której nawet wybór byłby niemożliwy, a życie przecież polega na zdolności wyboru i doboru. Pan Bóg był biały i dopiero teraz, raczej wstydliwie, zawieszają w kościołach dla Murzynów wizerunki kędzierzawych Jezusów, ale kto by to brał poważnie, chyba płatny agent komunistyczny...

Takie mniej więcej raporty o „postawach rasowych" mieszkańców południowo-zachodniego Londynu piętrzą się na biurku Enoch Powell'a i z nich właśnie wyciąga on odpowiednie polityczne wnioski.

Nie uprzedzajmy jednak toku rozumowania i wróćmy do tematu. Przedmiotem literatury na tematy rasowe jest analiza istniejących pod różnymi szerokościami i w różnych warunkach postaw rasowych. Wyniki tych analiz różnią się skrajnie w zależności od autorów i ich osobistych predylekcji. Ci, ze szkoły marksistowskiej, obciążają kapitalizm wyłączną odpowiedzialnością za rozpętanie antagonizmów rasowych, a to w celu łatwiejszego zmontowania aparatury wyzysku. Inni, w oparciu o socjologię, antropologię i psycho-analizę dopatrują się przyczyn które początkową tolerancję cechującą pierwsze spotkania między Białymi a Kolorowymi zamieniły na dzisiejszą skłóconą i niezdolną do współżycia rasową wieżę Babel.

Krytyczna ocena tej literatury przekraczałaby oczywiście ramy tego eseju, ale pewne ogólne wnioski w oparciu o długoletnie doświadczenie południowoafrykańskie mogą zainteresować czytelnika, znającego to zagadnienie tylko z odległości „czystej" rasowo Europy.

Wśród krajów wielorasowych Południowa Afryka zajmuje stanowisko wyjątkowe, gdyż jest ojczyzną *apartheid*'u, filozofii po raz pierwszy w historii stosunków międzyrasowych sformułowanej. Określenie *apartheid*'u jako filozofii jest eufemistycznym wypaczeniem tego słowa. Bardziej nadawałoby się określenie *apartheid*'u jako doktryny, zmierzającej do fizycznego rozdziału ras w oparciu o dowolne i nieprawdopodobne założenie, że rozwojowi kultury i osobowości każdej rasy taka separacja najlepiej sprzyja.

Dowolność i arbitralność tego założenia są oczywiste dla każ-

dego, kto jest chociażby powierzchownie obznajomiony z socjoantropologią. Zaprzecza temu narzucająca się swą oczywistością atrakcja wywierana przez kulturę Zachodu na Kolorowych, wyrażająca się pędem do asymilacji, a więc gotowością przejęcia wszystkich form kulturalnych Zachodu.

Apartheid powołujący się na inspirację chrześcijańską jest w istocie jego zaprzeczeniem. Jest to doktryna totalna, regulująca do najdrobniejszych szczegółów sposób życia milionów w tym sensie, że każdy kolorowy[1] „obywatel" tego kraju jest jej ofiarą, tak jak każdy Biały ciągnie z niej korzyści. I jako system totalny nie dopuszcza do wyjątków. Nie istnieje tu warstwa uprzywilejowana wśród kolorowych. Nawet dyplomaci Czarni (skandal w oczach purystów) z murzyńskich krajów satelickich nie mają wstępu do restauracji czy klozetu *for Whites only*.

Lista opresyjnych ustaw, uchwalonych przez Parlament w ciągu ostatniego ćwierćwiecza rządów burskich nacjonalistów, byłaby lekturą zbyt monotonną, by ją tu przytaczać. Wystarczy powiedzieć, że stworzono całą aparaturę służącą do zrealizowania UTOPII, polegającej na wtłoczeniu 70 % ludności kraju (a więc 12 milionów Murzynów) w rezerwaty wynoszące 15 % powierzchni kraju. Po osiągnięciu tego celu w mglistej i nieokreślonej przyszłości, każda rasa z osobna cieszyć się będzie na swym terytorium pełną autonomią i realizować będzie cele kulturalne właściwe swojej odrębności. W międzyczasie jednak, czyli w okresie realizowania *apartheid*'u, z uwagi na niedojrzałość ideową Białego, niezdolnego na razie do obywania się bez służby domowej i niechętnego imania się pracy fizycznej, obecność Kolorowych w charakterze taniej i niewykwalifikowanej robocizny musi być tolerowana jako *malum necessarium*.

Po ćwierćwieczu rządów *apartheid*'owskich liczba sproletaryzowanego czarnego robotnika, otaczającego coraz ciaśniejszym pierścieniem białe miasta, rośnie jednak w niepokojącym tempie zadając kłam doktrynie. Tyle tylko że, by zadowolić postulat o czystości rasowej, odebrano Czarnemu w miastach i w reszcie kraju (z wyjątkiem rezerwatów) wszystkie prawa obywatelskie pod pozorem, że rezyduje on na terytorium Białego jedynie tymczasowo, jako imigrant z własnego szczepowego rezerwatu, w którym przecież przysługują mu wszystkie prawa obywatelskie.

Niezliczone przepisy administracyjne, mające na celu kontrolę poruszania się i osiedlania Czarnych w „Białym" kraju, regulujące z drobiazgową dokładnością dostępne im kategorie zatrudnienia (tylko praca niewykwalifikowana), ograniczające ich kontakty z Białymi (stosunek płciowy międzyrasowy karany jest

1. Ludność Południowej Afryki składa się z: 17 i pół miliona mieszkańców, z czego 12 milionów Murzynów (68 %), 2 i pół milionów Metysów i Hindusów (13 %) i 3 i 1/4 milionów Białych (19 %). Innymi słowy, co piąty obywatel tego kraju jest Kolorowy, czyli Nie-Biały.
Terminu Kolorowy autor używa w sensie zbiorowym dla określenia wszystkich nie-białych mieszkańców kraju.

więzieniem do lat pięciu w imię *Rasseschande)* stworzyły system mało różniący się od niewolnictwa w cesarskim Rzymie. W pewnych aspektach system ten jest nawet sroższy od rzymskiego, zwłaszcza dla swej bezapelacyjności. Zmiana statutu drogą wyzwolenia jest tu niemożliwa.

Widziany od zewnątrz system *apartheid*'u wydaje się wyzwaniem rzuconym sumieniu cywilizowanego świata. Niezliczone rezolucje potępiające go zapełniają szpalty wszystkich dzienników świata, ulice stolic wypełnione są protestującymi tłumami, szanujący się politycy grzmią przy każdej nadarzającej się sposobności. Nawet angielskie[2] gazety w Johannesburgu i Cape Town protestują dzień w dzień przeciw *apartheid*'owi wysuwając wszelkie możliwe argumenty, od ekonomicznych do humanitarnych, ale czytająca publiczność jest już do tego stopnia znieczulona ćwierćwieczem jałowego protestu, że od artykułów na temat pelagry i niedożywienia wśród Czarnych, ilustrowanego fotografiami dzieci murzyńskich niewiele różniącymi się od tych z Belsen, przerzuca się z westchnieniem ulgi na wiadomości o ostatnim meczu krikietowym między Australią a Republiką. Cała ta, zdawałoby się orkiestracja protestu, którego efekt na politykę Rządu jest równy zeru, wywołuje wrażenie maskarady, jakiegoś maratonu drętwej mowy.

Jakiż tego jest powód? Któż tu fałszuje grę? Cóż oznacza ta farsa?

Na arenie światowej, na której toczy się walka o emancypację Czarnego w Południowej Afryce, ustawione są (nieoficjalnie) następujące siły:

Za: Budzące się z letargu siły społeczne społeczności kolorowej, cieniutka, tzw. *the lunatic fringe* liberalnej opinii Białych w Republice wspomagana znacznie szerszymi kręgami podobnie myślącej opinii na Zachodzie, a na arenie międzynarodowej: OAS, czyli Organizacja Państw Afrykańskich (Niepodległych) i w końcu Rosja i Chiny.

Przeciw: Tradycyjna postawa Burów, reprezentowana przez aparat państwowy w oparciu o ogromną większość opinii Białych w kraju, wszystkie państwa Zachodu (z wyjątkiem Szwecji) broniące wielomiliardowych kapitałów zainwestowanych w gospodarkę Południowej Afryki, no i w końcu (wstyd przyznać) kościoły chrześcijańskie.

Siły nie bagatelne, ale Chiny daleko, a policja burska blisko, toteż ta enumeracja koalicji za i przeciw niewiele przyczyni się do rozeznania sytuacji. Należy więc w tym miejscu powiedzieć parę słów o ważkości poszczególnych elementów w obu koalicjach.

Biała ludność Południowej Afryki wywodzi się w swojej większości z potomków garstki Holendrów, którzy w służbie Kompanii Indyjskiej osadzeni zostali na Przylądku Dobrej Nadziei w celu zaopatrywania statków kompanijnych w świeże mięso i jarzyny.

2. W odróżnieniu od prasy w języku *afrikaans*, która politykę rządową *apartheid*'u entuzjastycznie popiera.

Następną falę kolonizacyjną stanowili francuscy Hugenoci, którzy poza skłonnością do gadulstwa, francuskimi nazwiskami i zapoczątkowaniem hodowli winorośli, nie pozostawili innych śladów. Obie te fale, kalwińskiego wyznania, zetknęły się natychmiast po wylądowaniu z czarnymi tubylcami (Hotentotami) i w oderwaniu od kościołów macierzystych musiały w Piśmie Świętym — jedynej dostępnej im lektury — szukać wytłumaczenia fenomenu istnienia ras — pozornie tylko — ludzkich. Pytanie: Czy Chrystus śmiercią swą odkupił Czarnych — które przez lata zaprzątało uwagę teologów hiszpańskich, w wyniku zetknięcia się odkrywców Nowego Świata z Amerindianami — nigdy tu nie pozostało postawione w takiej formie. Doktryna kalwińska o predestynacji znakomicie przystawała do pośledniej czarnej rasy, przy stwarzaniu której wypsnęła się Stwórcy niezręcznie tylko zakamuflowana intencja skazania Czarnych na wieczne potępienie. W konsekwencji tego stanowiska kościół kalwiński zrezygnował z proselityzmu wśród Czarnych i do dziś dnia *Dutch Reformed Church*, czyli oficjalny kościół kalwiński grupujący większość Burów, utrzymuje tylko znikomą ilość misji w rezerwatach.

Historia rozwoju postaw rasowych w społeczeństwie burskim jest zaprzeczeniem tezy o wyłącznej odpowiedzialności kapitalizmu za powstanie antagonizmów rasowych. Powstawały one tu stopniowo na skutek konfrontacji kolonistów holenderskich z prymitywną cywilizacją Hotentotów będącą dla nich nieustannym źródłem zgorszenia, a także na skutek długotrwałej rywalizacji obu grup rasowych podkradających sobie nawzajem bydło — symbol bogactwa i rękojmię społecznego uznania. Ta wojna między Białymi, wypierającymi stopniowo Czarnych w głąb lądu, nie skończyła się, tak jak się to stało w Ameryce Północnej, całkowitym wytępieniem tubylców ponieważ zabrakło tu oceanu, do którego można ich było przyprzeć. Wypierany przez napór kolonistów Czarny wycofywał się w kierunku północnym, w klimaty coraz bardziej dla Europejczyka zabójcze, aż schował się za barierę muchy tse-tse i malarycznego moskita.

Na tę urobioną już stuleciami wrogość nałożył się znacznie później, bo dopiero w dziewiętnastym wieku, po odkryciu złóż złota w Johannesburgu i diamentów w Kimberley, motyw kapitalistycznej eksploatacji. W dzisiejszej sytuacji jest on najbardziej zainteresowany w utrzymywaniu antagonizmów rasowych, gdyż poprzez stworzony na ten użytek aparat hamujący rozwój ras kolorowych zapewnia sobie nieprzebrany rezerwuar taniego robotnika. Ekonomia kopalnictwa złota, stanowiąca podstawę dobrobytu kraju, zawaliłaby się z dnia na dzień, gdyby w wyniku jakiegoś hipotetycznego cudu natury, Czarni zamienili się w Białych. Po prostu nie opłacałoby się wydobywać złota, bo żaden Biały nie zgodziłby się pracować pięć tysięcy stóp pod ziemią za 14 dolarów miesięcznie.

Stosunek płac w Republice wynosi 15 : 1 na korzyść Białego, a robotnik rolny pracujący na warunkach pańszczyźnianych otrzymuje nierzadko wynagrodzenie miesięczne nie przekraczające jednego dolara. W efekcie, mimo, że dochód narodowy Republiki na głowę mieszkańca jest tylko nieznacznie wyższy niż w Portugalii, najbiedniejszym kraju Europy, to standart życia Białego w Południowej Afryce dorównuje Kalifornii. Matematyka opresji jest dziecinnie prosta.

Czytelnikowi europejskiemu, żyjącemu w systemie kapitalistycznym, w którym wyzysk robotnika jest już w znacznej mierze wspomnieniem dziewiętnastowiecznym, trudno zapewne zrozumieć, że młodsze tego systemu szczepionki w krajach egzotycznych uprawiają współcześnie ostrą eksploatację, porównalną do najbardziej ponurych precedensów z epoki rewolucji przemysłowej. Bezkarność tego wyzysku jest zapewniona brakiem jakichkolwiek zorganizowanych sił społecznych, zdolnych się mu przeciwstawić. W wyniku tego choroby takie jak kwashkior, czy pelagra (z którą wiążą się dla Polaków niewesołe asocjacje) współżyją w Republice ze zbytkiem, jakiego nam może pozazdrościć Kalifornia.

Ale podczas gdy wyzyskiwani za rewolucji przemysłowej, a nawet ofiary stalinowskiego terroru, posiadali tak w przeszłości jak i dzisiaj swoich autentycznych pisarzy rejestrujących ich cierpienie i sumieniu świata podtykających ich bunt, to w Republice, a do niedawna na całym kontynencie afrykańskim panowało milczenie. Przerywane dopiero w ostatnim dziesięcioleciu przez paru czarnych pisarzy o ograniczonym zasięgu. Słowo pisane jest bronią intelektualisty, którą analfabeta posługiwać się nie może. O losie Murzyna i jego doli piszą do dziś dnia biali autorzy. Z nielicznymi wyjątkami — które Rząd niedługo toleruje, skazując autorów na banicję, lub więzienie. Afryka nie doczekała się jeszcze swoich Dickens'ów i Sinclair'ów.

Na arenie międzynarodowej sprzymierzeńcem *apartheid*'u są wszystkie państwa zachodnich demokracji, których w miliardy dolarów idące (3 miliardy) kapitały, zainwestowane w gospodarkę Republiki, wytyczają politykę cichego i jakże skutecznego poparcia przy głośnej i zupełnie jałowej krytyce otrąbianej solennie przy każdej sposobności. *We abhor apartheid* — formuła, którą każdy Prezydent Stanów Zjednoczonych, czy Premier brytyjski zaczyna *tour d'horizon* na temat Afryki, jest przyjmowana przez Rządców Republiki z uśmiechem pobłażania. Jaskrawym przykładem rozdziału między deklaracjami a pragmatyką jest Francja, robiące złote interesy na dostawach najnowocześniejszych broni, wyspecjalizowanych latami doświadczeń w zwalczaniu guerilli w Algierze. Zdaje ona egzamin w patrolowaniu i tropieniu terrorystów przeciekających z Zambii do Rodezji, zadania którego podjęła się Republika w ramach pomocy słabszemu a ideologicznie pokrewnemu sąsiadowi. Innym przykładem (o ile w ogóle potrzeba przykładów dla ilustracji nagminnie znanej tezy) jest powtarzana corocznie do znudzenia na forum Narodów Zjednoczonych komedia na temat odebrania Republice uzurpowanej przez nią suwerenności nad byłą kolonią niemiecką w południowo-zachodniej Afryce, albo jeszcze całkowite bankructwo sankcji ekono-

micznych uchwalonych przez Narody Zjednoczone przeciw Rodezji.

Ostatnim w końcu partnerem w tym nie-świętym aliansie są kościoły chrześcijańskie. W różnym oczywiście stopniu, zależnym od tradycji danego wyznania. Wachlarz reprezentowanych przez nie postaw rozciąga się od bezwarunkowej aprobaty, udzielanej *apartheid*'owi przez kalwińską *Dutch Reformed Church*, do mniej lub więcej cichego przyzwolenia, owiniętego w gęstą mgłę „drętwej mowy". Nawet dla kościołów anglikańskiego i katolickiego — stosunkowo najodważniejszych spośród mrowia innych wyznań — slogan „stania ponad polityką" wydaje się być zasadą przewodnią. W myśl tej zasady wszystkie dziedziny konfliktów i ustawodawstwa rasowego, skazującego setki tysięcy czarnych robotników na skoszarowanie w barakach przy-kopalnianych, na wynikający stąd zanik życia rodzinnego, na masowe zjawisko nieślubnych dzieci, na śmiertelność wśród niemowląt dwudziestopięciokrotnie wyższą niż u białych, na choroby niedożywienia i związane z tym genetyczne obniżanie gatunku, słowem na całą *condition humaine* serwilną i helocką — należą do dziedziny polityki, od której kościołom wara. Encykliki papieskie ostro potępiające rasizm i rzucające anatemy na wyzyskiwaczy, a nawet listy pasterskie miejscowej hierarchii katolickiej, mniej już odważnie sformułowane, ale przecież potępiające system *apartheid*'u, są albo ignorowane lub odczytywane bez komentarza z ambon parafialnych.

Rzadkie, do zjawisk wyjątkowych należące jednostki wśród wyższej hierarchii, a także (trzeba przyznać) coraz liczniejsi księża, podnoszący głos przeciw tej zmowie milczenia, są skutecznie likwidowani w ten lub inny sposób przez administrację państwową.

Wydawałoby się więc, że w obliczu tej koalicji wyzwolenie Kolorowych w Republice zależy tylko od możliwości wyłonienia z ich społeczności sił zdolnych do przeciwstawienia się jej. Nikt jednak nie jest w stanie przewidzieć kiedy, w jakim terminie, powstanie tu sytuacja rewolucyjna. Przewidywane daty wybuchu (a jest to ulubiony temat dyskusji w salonach johanesburskich) określane w ubiegłej dekadzie na pięć do dziesięciu lat, mają ostatnio tendencję wydłużania się w bliżej nieokreśloną ale za to jakże różową przyszłość. Socjologia nie potrafiła na razie ująć w formułę matematyczną tego co nazywamy zaistnieniem sytuacji rewolucyjnej. Ilość zmiennych w takim równaniu byłaby olbrzymia — idealna zabawa dla komputera — a dochodzi jeszcze nieznajomość psychiki Czarnego, którego reakcje, zdaniem Białego, są nietypowe.

Pewna jednak ilość parametrów w tym równaniu znana jest Rządowi, tak jak była znana każdej polskiej hrabinie na ukraińskim Podolu *de la belle époque*. Dlatego proporcje wydatków państwowych na oświatę dla Białych i dla Czarnych utrzymane są w granicach 15 : 1, a dzieci murzyńskie w szkołach piszą kredą na podłodze albo kijem na piasku w braku papieru, będącego

nieosiągalnym zbytkiem. Dlatego wszystkie pozostałości stosunkowo liberalnej polityki rządów z epoki Smuts'a, do których należy zaliczyć zaczątki organizacyjne związków zawodowych dla Czarnych, reprezentację parlamentarną (gdzie biali posłowie reprezentowali czarne konstytuanty), legalność partii politycznych *(African Congress)* zostały kolejno zlikwidowane i w obecnej chwili nie istnieje żadna aparatura dialogu między dwudziestu procentami Białych i osiemdziesięciu procentami Kolorowych. Dlatego wreszcie niezmiernie rozbudowany system policyjny w oparciu o armię donosicieli, rekrutowanych za grosze wśród samych Kolorowych, czuwa nad wygaszaniem najmniejszych nawet ognisk protestu.

Toteż kolejni Premierzy mogą z czystym sumieniem ogłaszać z trybuny parlamentarnej, że Republika jest oazą harmonii rasowej wśród reszty skłóconego świata. Zaiste pomidory służą tu do przyrządzania sałat, a nie do protestów politycznych.

Dzięki tej stabilizacji, i wynikającej z niej atrakcyjności Republiki dla kapitału zagranicznego, przeżywa ona w obecnej chwili fazę wielkiej koniunktury. *The winds of change*, którymi straszył opinię publiczną w ubiegłej dekadzie premier brytyjski Macmillan i które w sposób rewolucyjny zmieniły mapę Afryki, wyraźnie się wydmuchały, w wyniku czego potępiona jednogłośnie przez cały świat ideologia *apartheid*'u nie tylko, że nie została zlokalizowana, ale jeszcze zdobywa adherentów wśród sąsiadów. A potęga finansowa Republiki zamienia coraz dalszych sąsiadów murzyńskich na potulnych satelitów, karmionych z ręki Łaskawego Białego Pana. Równolegle, postawy rasistowskie wewnątrz kraju mają już od lat tendencję polaryzacji, której pożywką jest pogłębiająca się systematycznie przepaść między społeczeństwem białym, coraz bogatszym i wykształceńszym, fizycznie wysportowanym i przez to estetycznym, a masą kolorową, biologicznie otępianą przez niedożywienie i mechanicznie stultyfikowaną brakiem oświaty. Z jednej strony uperfumowana uroda życia, z drugiej brzydota i smród. *Les damnés de la terre* — jak ich Fannon nazywa.

Obserwując ten sukces *apartheid*'u w Południowej Afryce — przy równoczesnym zaostrzaniu się konfliktów rasowych w Anglii i Ameryce — można by dojść do wniosku, że Republice nic nie zagraża, że jej planom wybudowania rasistowskiego *Commonwealth*'u na południowym cyplu kontynentu, złożonego z Rodezji, kolonii portugalskich i satelitów murzyńskich nic nie stanie na przeszkodzie. Nic? A Rosja? A może Chiny?... Nie obserwuje się tu poważnego ich zaangażowania, a finansowana przez nie guerilla, tocząca się od lat na północnej granicy Rodezji, pochłania minimalny procent energii Republiki i jest omal całkowicie ignorowana przez opinię publiczną.

W tej sytuacji wydaje się najbardziej prawdopodobne, że bankructwo polityki *apartheid*'u nie będzie wynikiem ani rewolty murzyńskiej, ani ingerencji z zewnątrz, ale będzie spowodowane czynnikami, ledwie dziś przeczuwalnymi, których działanie w niedalekiej już przyszłości nabierze charakteru lawinowego. Takim

czynnikiem jest grożąca eksplozja ludnościowa czarnych mas, które utrzymywane w biedzie, ignorancji i niedożywiane mają idealne warunki na królicze rozmnażanie. Eksperci obliczywszy lat temu dziesięć prawdopodobną ilość kolorowych w roku 2000, przyznają dziś z żalem, że prognozy swoje zmuszeni są podwyższyć z 30 na 55 milionów. Wynikające z tej eksplozji obciążenie gospodarki narodowej milionami nieprodukcyjnych konsumentów stanie się problemem niemożliwym do rozwiązania. Jeśli bowiem wszystkie kraje, tak kapitalistyczne jak komunistyczne, rywalizują dziś ze sobą na polu upowszechnienia oświaty w zrozumieniu kardynalnej zasady, że kluczem postępu nie jest ilość, ale jakość człowieka, to trudno sobie wyobrazić jak może przetrwać kraj bazujący swoją politykę na diametralnie odwrotnych zasadach.

Innymi słowy: rozumowanie dialektyczne. Bo, gdyby nie wziąć tej możliwości pod uwagę trzeba by założyć, że obecny trend polaryzacji postaw rasowych w Afryce Południowej zakończy się wyciągnięciem logicznej konkluzji: sformułowania w stosunku do Czarnego metody *the last solution*. Ale wniosek taki byłby wynikiem skrajnego pesymizmu, przed którym musimy się tu bronić.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

Czy zmiana kierunku ?

To, co u nas w Europie ,dzieliło się politycznie na świat kapitału-posiadania i na świat pracy-proletariatu — tutaj w Afryce Południowej dzieli się na uprzywilejowanego białego i upośledzonego nie-białego. Biały ma tu łatwe życie i jak długo nie wyłamie się poza ramy odgradzające go prawnie od nie-białego, nic mu nie grozi. Na nie-białego, a szczególnie na Murzyna, czyhają setki, a nawet tysiące przepisów prawno-administracyjnych, ograniczających swobodę jego poruszania się, zatrudnienia, zamieszkania i co najważniejsze, otwartej krytyki tego stanu rzeczy. Bardzo czuli na punkcie swej przynależności do Zachodniej Cywilizacji i do Świata Chrześcijańskiego tutejsi biali obrażają się gdy opinia publiczna świata potępia ich za rasizm. Każdy kto ośmiela się ich krytykować, naraża się na podejrzenie o sympatie komunistyczne — dzielą świat zachodni na dobrych konserwatystów i złych socjalistów. Bronią ich na Zachodzie jedynie te koła, które mają zainwestowane w tutejszym przemyśle tysiące milionów funtów czy dolarów. W ich interesie leży utrzymanie *status quo* gwarantującego 10 % od kapitału. Jest wśród białych około 10 % które widzi krótkotrwałość tego raju na ziemi i w przewidywaniu katastrofy stara się wpłynąć na stopniową zmianę w ustosunkowaniu białego do nie-białych mas. Ich aktywność jak i nacisk opinii publicznej Zachodu, spowodowały jedynie zwrot ku skrajnemu szowinizmowi u Afrykanera-Kalwinisty. Stworzyli oni osobną partię polityczną, wołającą o przywileje konstytucyjne dla języka Afrikaans i kalwinizmu. Zaniepokojony tym brakiem zwartości własnego obozu, rząd Vorster'a-nacjonalisty, w wyborach 22 kwietnia 1970 pozbył się ich z parlamentu. Partia rządząca dostała 117 miejsc na 821.000 głosów, opozycja tj. umiarkowanie rasistowska *United Party* uzyskała 47 miejsc na 562.000 głosów, a *Progressive Party* anty-rasistowska, utrzymała swego jedynego reprezentanta Helen Suzman (née Gabański) przy ponad 50.000 głosów. Trzeba przyznać że wyeliminowani skrajni prawicowcy też uzyskali 50.000 głosów, ale dzięki jedno-mandatowemu systemowi i niesprawiedliwemu rozgraniczeniu okręgów wyborczych, odeszli z kwitkiem. Tak więc wypadło, że Helen Suzman siedzi w parlamencie poparta 50.000 głosów, każdy członek opozycji 12.000 głosów a posłowie rządowi mają za sobą 7.000 głosów każdy. Optymiści uważają to znikome przesunięcie z prawego skrzydła do centrum za dobry znak i giełda podskoczyła o parę punktów. Co to będzie znaczyło dla nie-białego? — mało wiele. Zarówno Murzyni jak kolorowi czy Indusi wiedzą, że nie mogą ufać białemu. Wobec każdej z tych grup biały złamał solenne obietnice i teraz po wyaresztowaniu lub ucieczce przywódców opozycji, nie ma nikogo z kim by biały mógł nawiązać kontakt. To jest może najbardziej tragiczny aspekt naszego tu życia. 80 % ludności żyje pod dozorem policyjnym bez żadnej reprezentacji, bez oficjalnego lub nieoficjalnego kontaktu z białym. Pęd za dorobieniem się jest tak potężny wśród 50 % Murzynów mieszkających w lokacjach przy miastach, że nie zostaje im energii na walkę o prawa polityczne. Druga połowa Murzynów, żyjąca w tzw. terytoriach, to starcy, kobiety i dzieci trzymający się zwyczajów szczepowych i chroniący się w ten sposób przed zbękartyzowaniem ich kultury. Ciężkie początki niezawisłości politycznej w krajach „czarnej" Afryki, odstraszają szczepowych Murzynów od dążeń niepodległościowych. Pozbawieni prężnej inteligencji (zaangażowanej w robieniu majątków w pracy dla białego przemysłu) i zorganizowanej masy robotniczej, nie mają nadziei na rychłe wyrwanie się spod opresji. Kryzys ekonomiczny ogólnoświatowy na wielką skalę, mógłby wstrzymać rekrutację młodych roczników murzyńskich do przemysłu — prężność w ten sposób stworzona, musiałaby znaleźć drogę do wyzwolenia w powszechnej rewolucji. Cała nadzieja w ewolucji białego — ale czy to realne?

Stefan KOMORNICKI

P.S. Dla czytelników *Kultury* rozsianych po całym świecie i obserwujących przemiany wśród społeczeństw krajów osiedlenia, mogą być interesujące powyższe uwagi pisane na gorąco pod wpływem gorączki wyborczej a może nawet goryczy, że tak znikome poparcie dla *Progressive Party*, nie ziściło przewidywań.

S. K.

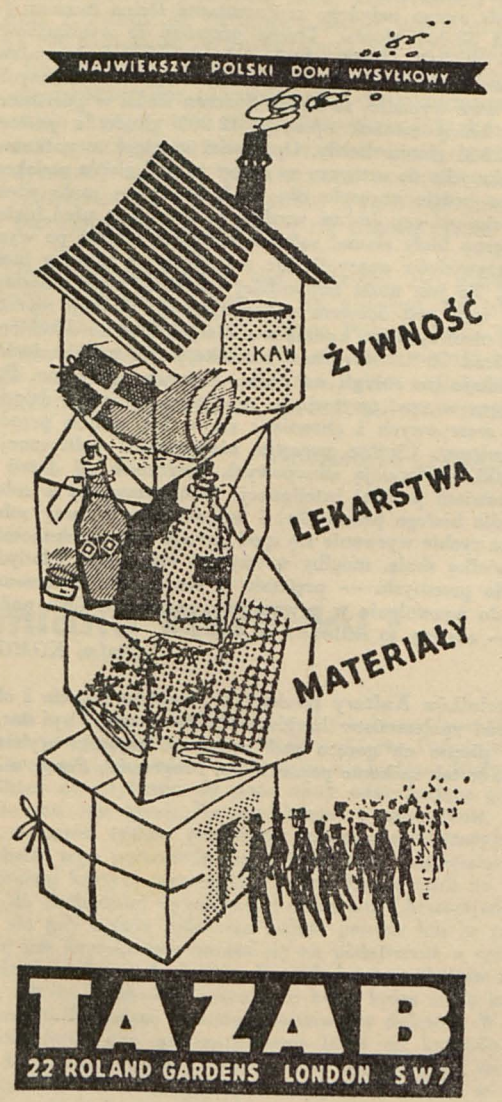

Gra

Z. opowiadał mi o pewnym slawiście, młodym naukowcu z prowincjonalnego uniwersytetu szwedzkiego, który pojechawszy rok czy dwa lata temu na wycieczkę do Związku Sowieckiego wrócił z niej, jeśli nie jako komunista, to jako sympatyk sowieckiego życia. Oczywiście, ten Svensson czy Johansson stał się komunistą bo chciał nim zostać. Ale przecież to nie tłumaczy zaniku krytycyzmu i zaniku wiedzy. Co się temu człowiekowi stało, że przestał wiedzieć o łagrach, Katyniu, Sołżenicynie i Pasternaku?

Z., dobry znawca mechaniki życia za żelazną kurtyną, próbował dociec, co urzekło jego szwedzkiego znajomego. Doszedł do wniosku, że ważnym elementem był program pobytu, ustalony przez sowieckie biuro podróży, program zresztą oparty na starym, ale dobrym bo skutecznym, schemacie izolowania od ludzi i pokazywania fasady. Drugim czynnikiem działającym była osoba rosyjskiego przewodnika, towarzyszącego wycieczce. Ten człowiek tryskał entuzjazmem do tego stopnia, że potrafił przytępić, zdławić instynkt krytyczny Szweda, który, na litość boską, miał za sobą wyższe studia i jakiś staż pracy naukowej.

I tu zaczyna się moja refleksja. Miałem możność wielokrotnie, trzydzieści lat temu i trzy lata temu, obserwowania takich zawodowych lub doraźnych *ekskursowodow* przy pracy, gdy obrabiali turystów z Zachodu, delegowanych naukowców, bawiących na na występach artystów. Jakież napięcie wszystkich wewnętrznych sił, jakaż koncentracja i stanowczość wypowiedzi. Ale wielu spośród nich widziałem również w życiu prywatnym, wśród rodziny, przyjaciół czy też po prostu wśród swoich, wśród *sowietskich liudiej*. Inny głos, inna postawa, inny zgoła sposób myślenia. Czasem nawet więcej jadu i goryczy, niż wśród przeciętnych Rosjan, borykających się z kłopotami materialnymi od *połuczki* do *połuczki*. Moim towarzystwem nie krępowali się. Znałem te same dowcipy, używałem tej samej gwary i czułem system parafraz w aluzjach. Nie byłem też z Zachodu.

Czy urabiając powierzonych im ludzi przewodnicy ci są obłudni i dwulicowi, jak się najczęściej uważa? Czy też wysilają się

ze strachu o pracę, o dzień jutrzejszy, lub w trosce o korzyści materialne?

I jedno i drugie wyjaśnienie jest częściowo słuszne, ale nie tłumaczy wszystkiego. Bo te czynniki mogą spowodować wiele, ale nie wszystko. A ci „ekskursowodzi" mało ze skóry nie wyłażą w służbie sprawy, która najczęściej jest im obca a niekiedy wręcz wroga, nienawistna.

Tylko karierowiczostwem lub strachem tego wytłumaczyć niesposób. Ludzie działający tylko ze strachu, a również większość karierowiczów, to ludzie obojętni na to co klepią. Zresztą, od wielu lat jakość klepania nie jest czynnikiem wpływającym na karierę. O tym decydują inne czynniki. Jakość klepania przez karierowiczów jest więc nie wysoka, ot, typowa „mowa-trawa", która nie jest w stanie nikogo pozyskać, wręcz nawet przeciwnie.

Kiedy myślę o tym entuzjazmie, który przekonał dla „Kraju Rad" szwedzkiego naukowca, chcąc nie chcąc zastanawiam się nad mało dostrzeganymi aspektami rosyjskiej miłości do teatru. O tej miłości pisano już wielokrotnie w kontekście pozytywnym. Należy to nawet niemal do dziennikarskiego rytuału w trakcie pisania reportaży z Moskwy. Że ludzie, odczuwający niedostatek lub biedę, dla możliwości pójścia na przedstawienie często wyrzekają się jedzenia lub kupna odzieży, że mimo dużej ilości teatrów, bilety na dobre przedstawienia są wyprzedane na wiele tygodni z góry itd. Zaprzysięgli racjonaliści, w tym propagatorzy materializmu historycznego, stykając się z tym zjawiskiem wpadają w mistycyzm, wyrzekają się wszelkiej sensownej próby wyjaśnienia rosyjskiej teatromanii. Po prostu jakiś biologizm, wrodzone predyspozycje. No i zupełnie słusznie: wspaniałość rosyjskiego teatru, rosyjskiej gry scenicznej.

Na pozór zdawałoby się to słuszne. Bo rosyjska miłość do teatru ma swoje specyficzne elementy, które, jeśli się nie mylę, nie były nigdy przedmiotem refleksji. Przeciętny miłośnik sztuki poza Rosją, idąc na przedstawienie, poszukuje albo rozrywki, albo — na wyższym szczeblu kulturalnym — pogłębienia wiedzy o sobie samym. Rosjanie inaczej. Teatr jest dla nich radością w sobie i dla siebie. By to zrozumieć, wystarczy wsłuchać się w rozmowy toczące się w czasie przerw lub po wyjściu z przedstawienia. Rzadko rozmawia się tam o problemach etycznych, światopoglądowych lub psychologicznych oglądanej sztuki. I to mimo znanej dociekliwości etycznej dużej części sztuk rosyjskich! Nie, mówi się wyłącznie o grze! Nawet problemy reżyserii, scenografii, od których zależy poziom gry aktorskiej, rzadko są przedmiotem uwagi.

Jest to w istocie rzeczy przejaw zjawiska szerzej znanego w literaturze światowej i noszącego nazwę bizantynizmu. Treścią bizantynizmu jest obrzędowość, przewaga formy nad treścią, zanik treści przytłoczonej przez formę, gra, koturnowość, nadużycie symbolu, znaku, zaklęcia, konwencji. Ciekawe, że gdy używamy pojęcia „bizantynizm", mało komu kojarzy się ono z mało znanym nam średniowiecznym Carogrodem. Kojarzy się z Rosją, tą

dawną i tą obecną i z obrządkiem wschodnim chrześcijaństwa, takim jakim je poprzez Rosję i prawosławie znamy. Bizantynizm to teatr przeniesiony w życie.

Bo Rosjanin od dziesięcioleci (a może od wieków?) zmuszony jest do gry lub uprawia grę, co często stanowi różnicę tylko terminologiczną. Jest zmuszony do gry ale i kocha grę. Rosyjska literatura ludowa, nie ta martwa, istniejąca tylko w chrestomatiach, ale ta ciągle jeszcze przekazywana z ust do ust, ma jednego tylko w istocie rzeczy bohatera, Waniuszkę-duraczka, który w obliczu przemożnych sił stosuje konsekwentną grę: płaszczy się, udaje głupka i... zwycięża. Czyż to nie prototyp Nikity Chruszczowa, płaszczącego się przed Stalinem i jego zausznikami, udającego posłusznego, prymitywnego durnia aż do momentu, w którym mógł zagrać własną politykę? Przecież nawet w 1953 roku Chruszczow dlatego został I sekretarzem KC, bo jego koledzy uważali go za niedołęgę, który nie będzie stał na przeszkodzie ich własnym ambitnym planom. *„Nikita, ni gołowa"*, mówiono o nim niemal w oczy. A on się nie obrażał...

Nawet przeciętny Rosjanin gra. Jest komunistą, jest prosowiecki, zawsze po stronie naczalstwa, tego na szczytach i tego bezpośredniego. Jest antyimperialistyczny, antykapitalistyczny. A jaki jest w głębi duszy?

Kiedy człowiek uprawiający grę jest prawdziwy, a kiedy nieprawdziwy? Ba, gdyby istniała recepta na odróżnienie prawdy od nieprawdy. Czasami gra wydaje się realniejsza od rzeczywistości. Sztuka — pisał o tym na przełomie stuleci Tomasz Mann — ma pełniejsze wymiary niż rzeczywistość i dlatego jest bardziej porywająca. Rozmówca mojego przyjaciela ma ostatecznie trzydzieści lat, a jego zawodowe przygotowanie pozwala mu bezbłędnie określać zastosowanie imiesłowu nieodmiennego w językach słowiańskich lub definiować różnice między zastosowaniem bezokolicznika w przeczeniu w języku rosyjskim i ukraińskim. Te rzeczy można robić bez znajomości państw, społeczeństw, psychiki społecznej a nawet bez dobrej znajomości porównywanych języków...

Ilu jednak ludzi, których zawód i doświadczenie winny uodparniać na grę, poddawało się i poddaje się jej wpływowi? Iluż literatów, polityków, byznesmenów porozmawiawszy przez godzinę z sowieckim politykiem „dochodzi" do głębokiego przekonania, że Rosjanie chcą pokoju, pokojowego współżycia, są za suwerennością małych państw, z pobudek ideowych popierają ruchy narodowe itd. A jeśli ci ludzie na dodatek pobędą kilka dni w Związku Sowieckim i porozmawiają nie tylko z tamtejszą „osobistością" ale i z tłumaczem-przewodnikiem, pokojową w hotelu, przygodnym rozmówcą w restauracji, piękną dziewczyną, szoferem taksówki, dziennikarzem, którzy zakomunikują mu swe intymne myśli zupełnie zgodne z zapewnieniami „osobistości" o pokojowości, postępie, suwerenności? Zachodni literat, polityk, byznesman nabiera głębokiego przeświadczenia, któremu daje głośny wyraz. U schyłku 1968 roku zdawało się, że po inwazji Czechosło-

wacji świat nauczy się odróżniać — jak to się mówi w moskiewskim dowcipie — „rzeczywistość od agitpunktu". I coś się zmieniło, ilość naiwnych zmalała. Ale nie wyginęli.

Rosji nie znają na ogół również i ci, którzy nie wierzą słowom i gestom, bo nieufność jest tylko poznaniem negatywnym. W 1927 roku, komunizujący, ale nieufny w stosunku do Rosji, którą znał jak mało kto, wielki historyk Zdenek Nejedly, podkreślał ignorancję świata w sprawach rosyjskich. Chytry Czech podpowiadał nawet jak tę nieświadomość dla doraźnej gierki wykorzystać: „Dobrze wiadomo, że jeśli ktoś chce sprowokować Anglika lub Francuza do powiedzenia jakiejś zdecydowanej bzdury, niech zapyta o coś rosyjskiego. To już jest stara tradycja, od czasów niemal średniowiecznych". No cóż, Nejedly miał rację, ale ta racja nie zbawiła Czechów i Słowaków. Może oni najtragiczniej płacą za nieumiejętność odróżniania gry od rzeczywistych zamiarów, nieumiejętność wyhodowaną na przestrzeni półtora wieku.

Ale nabierać Anglików a zwłaszcza Francuzów, tym bardziej zaś Szwedów, na *nêco hodnê nejapného*, jak radził Nejedly, nadal można. Jednym z popularniejszych obecnie złudzeń jest przeświadczenie, że Związek Sowiecki, uwikłany na Dalekim Wschodzie, musi zrezygnować z aktywnej polityki na Zachodzie. Bo w prasie sowieckiej gromkie artykuły o Chinach, bo złagodniał ton w sprawach zachodnich, bo w stosunku do Zachodu nie używa się takiej ilości obelżywych epitetów. Jeśli zdarzają się fakty przeczące artykułom w gazetach, np. inwazja Czechosłowacji, to również znajduje się dla nich wytłumaczenie np. w konieczności zapewnienia sobie bezpieczeństwa w obliczu rozgrywki z Chinami. Nawet aresztowania młodych pisarzy świadczą o zamiarach odprężenia w stosunkach międzynarodowych.

Niedawno w ramach tych samych złudzeń poważny szwedzki dziennikarz popełnił artykuł o Breżniewie jako o „jeńcu Nassera". Dziennikarz swego poglądu nie wyssał z palca, przeciwnie, zna literaturę przedmiotu i wyciągnął z niej takie wnioski, do jakich uprawniała. Być może, do podobnych wniosków doszłaby maszyna analityczna po zestawieniu *dostępnych i dotyczących bezpośrednio tematu* wynurzeń sowieckich. Maszyna — jak wiadomo — nie uprawia myślenia „bocznego", nie kojarzy faktów bezpośrednio nie dotyczących tematu, nie myśli analogiami. Ale właśnie o analogiach: w warszawskim światku opowiada się anegdoty o niezbyt mądrej lecz pretensjonalnej pani profesorowej C., na przykład: pani C. podziwia urodę swej przyjaciółki Zosi. Ponieważ rozmówcy są zdecydowanie innego zdania, pani C. w porywie oświadcza, że „na pewno Zosia jest bardzo ładna, sama mi o tym mówiła!".

Dziennikarze stosują metodę zestawiania wypowiedzi, metodę dającą na ogół poprawne wyniki w badaniu zamiarów politycznych krajów demokratycznych w których istnieje opinia publiczna, w których wszelki fałsz natychmiast zostanie podchwycony i zdemaskowany przez opozycję. Ale ta sama metoda stosowana

do Rosji może dawać tym gorsze rezultaty, im pełniejszym materiałem operuje.

Nie jestem agnostykiem. Uważam, że można przenikać zamiary mimo ich ukrywania i dezorientowania, ale to temat do odrębnych rozważań metodologicznych. Posłużę się tu tylko jednym, lecz dobrym przykładem. Jan Gawroński, b. poseł R.P. we Wiedniu, wspomina swój raport u marszałka Piłsudskiego w 1933 roku bodajże. Piłsudski chciał się zorientować jakie są szanse austriackiej samodzielności wobec tendencji zewnętrznych i wewnętrznych pchających do *Anschluss*'u. Ale Piłsudski nie dał powtarzać swemu rozmówcy, co mówił minister i co prezes. Przerwał Gawrońskiemu referowanie i zadał mu szereg niespodziewanych pytań, pozornie nawet od rzeczy, czyją np. stronę biorą gapie w wypadku zatargu między szoferem a policjantem, czy we wschodnich rejonach Austrii furmani przestrzegają węgierskich czy austriackich przepisów ruchu na drogach itd. Piłsudski chciał wiedzieć o faktach, które leżą u podstaw. Był w tym instynkt samotnika i konspiratora. Ale również specyficzne wyczulenie na kłamliwość słów i wymuszoność ról.

Ale wróćmy do poszczególnych osób grających. Wydaje się, że często sami grający nie wiedzą o sobie wszystkiego, nie są w stanie uzmysłowić sobie co jest realnością a co rolą, jak postąpią za chwilę, w dniu następnym, czy zgodnie z rolą czy też zgodnie z wewnętrznym przeświadczeniem. Siedem czy osiem lat temu siedziałem w kawiarni przy Newskim Prospekcie w Leningradzie z młodym, nieprzeciętnie inteligentnym człowiekiem, trudniącym się oprowadzaniem amerykańskich i angielskich turystów wyższej klasy, przeważnie polityków i intelektualistów. Było to przed pierwszym maja, przed oknami kawiarni płynął tłum, jak to przed świętem, w miarę wystrojony, w miarę beztroski. Patrzyliśmy na tłum jak na płonący kominek i prowadziliśmy typową inteligencką rozmowę o prądach intelektualnych, o współczesnej literaturze, o znaczeniu badań socjologicznych, o malarstwie polskim. Myśl przeskakiwała z tematu na temat. Graliśmy obydwaj. W powietrzu wisiało coś ważnego, niewypowiedzianego. Nagle ta myśl padła znienacka, bez związku z tym co zostało powiedziane wcześnie i z tym o czym mówiliśmy później:

„— Wiesz czego najbardziej zazdroszczę tym Amerykanom, których oprowadzam?

— ???

— Tego że w ich twarzach nie ma strachu przed szefem, rządem, bezrobociem, więzieniem, nami, bo ja wiem czego jeszcze może człowiek się bać?".

To było szczere, to nie mogło być grą. Zrozumiałem, że zostałem przez tego człowieka zmuszony do rozmowy w cztery oczy, jako ktoś, nie-Rosjanin i nie-Amerykanin, komu może wyspowiadać się ze swoich uczuć i myśli. Ale nie wątpię również, że gdybym podtrzymał ten wątek rozmowy, następnego dnia zostałby złożony na mnie donos. Zresztą, może i tak donos został na mnie złożony a słowa mojego rozmówcy zostały włożone w moje

usta? Więc nie wiem co było rolą a co było prawdą, i czy istniała znowu taka wielka sprzeczność między jednym a drugim?

Zastanawiam się więc, kiedy był prawdziwy Iwan Siergiejewicz Prasołow, czy wtedy gdy z ironią mówił mi o spustoszeniach etycznych w sowieckich wyższych sferach, czy też gdy w obecności innych deklamował o wspaniałości ustroju sowieckiego? Do historii ten człowiek przeszedł w sposób obrzydliwy — był od 1965 roku II radcą ambasady sowieckiej w Pradze i ze swoim przyjacielem Udalcowem prowokował co niemiara. Ale czy w swoim wewnętrznym odczuciu nie prowadził tylko gry?

A kiedy był prawdziwy Antoni Skulbaszewski? Czy wtedy gdy gnoił więźniów na Chałubińskiego, czy wtedy gdy oburzał się na prześladowanie pisarzy za Stalina? Czy wtedy gdy mówił skazanemu na śmierć Uziemble o konieczności wytępienia inteligencji polskiej jako ucieleśnienia oporu przeciwko rusyfikacji, czy wtedy gdy z pasją i pogardą mówił o Wandzie Wasilewskiej jako o *Notre Dame de Katyń?*

Tylu ludzi zastanawiało się i dotąd zastanawia nad mrokami duszy Jewno Azefa. Młodszym ode mnie przypomnę: rosyjski młody Żyd, wykształcony inżynier-elektryk, uczestnik ruchu rewolucyjnego, na przełomie stuleci przywódca organizacji bojowej Socjalistów-Rewolucjonistów, organizator wspaniałych, rozsławiających partię zamachów na gubernatorów, ministrów, wielkich książąt, okazał się agentem carskiej ochrany. Po dzień dzisiejszy trwają rozważania, komu właściwie Azef służył. Każda jednoznaczna odpowiedź nie wytrzymuje konfrontacji z materiałem faktycznym. A służyć jednocześnie i caratowi i rewolucji niesposób. Podejrzewano, że Azef żywił pogardę do wszystkich i do wszystkiego z wyjątkiem pieniędzy. Może i kochał pieniądze. Ale przecież jako inżynier mógł był zarobić o wiele więcej, niż jako agent ochrany. Prawdopodobnie Azef żywił pogardę dla wszystkich, ale kochał grę, wcielanie się, przeistaczanie, łudzenie wszystkich. Problem czy grał jako rewolucjonista czy jako agent ochrany jest już chyba łatwiejszy do rozwiązania, choć nie tak istotny. Bo na pewnym poziomie gry, w pewnym rodzaju gry — jak już poprzedziliśmy — staje się ona czymś naturalnym, nie mniej realnym niż rzeczywistość.

Ale w wielu wypadkach grę podejmuje się z jakimś celem. Myślę o jednym przykładzie i zastanawiam się, jak trudno ludziom wyrosłym w innych warunkach przejrzeć grę, dostrzec grę i jak trudno zrozumieć jej intencje. Otrzymałem niedawno wydaną w Związku Sowieckim książkę, pękatą monografię ekonomiczną. Czytałem ją i nie mogłem powstrzymać rosnącego niesmaku. Ileż w niej tępych, stereotypowych, zapożyczonych z prasy, frazesów o nędzy proletariatu w Europie Zachodniej, o wyzysku, potęgującym się rozgoryczeniu itd. Mogłem odłożyć książkę na bok, nie czytać jej, ale powstrzymywało mnie od tego jedno: dobrze znałem autora jako człowieka kulturalnego, wnikliwego, niejednokrotnie miałem możność utożsamiania się z jego subtelnymi myślami i analizami. Szukałem tego w książce... Znalazłem

w końcu. Pod pretekstem rozprawienia się ze Stanisławem Strumilinem, autor odświeżył jego tezę z lat dwudziestych, że za caratu, od 1861 roku do 1917 (pod pewnymi postaciami również w latach I wojny światowej!), stopa życiowa robotników w Rosji nieprzerwanie wzrastała, a po rewolucji stale się obniżała. Prawda oczywista, ale pogrzebana przez cenzurę, przez milczenie. Autor omawianej książki odgrzebał ją i przypomniał, przywrócił do życia. Ale mógł to zrobić tylko pod pozorem obalenia. Więc obalił. Wątpię, by mu przy pisaniu dopisywało poczucie humoru.

Nie wiem, czy wielu ludzi w przyszłości potrafi przebrnąć przez zwały „drętwej mowy" by zrozumieć i docenić prowadzoną grę. Ale historia postępu w Rosji Sowieckiej i w krajach bloku to nie tylko Sołżenicyn, Jan Palach, studenci warszawscy, Kuroń i Modzelewski. To także rezultat prowadzonej przez tysiące ludzi gry. Ocenić cele i motywy ludzkiego postępowania będzie kiedyś trudnym ale jakże ważnym elementem dziejopisarstwa.

Rolę można grać przez całe życie, można też z niej wyjść lub wypaść. Nie będę wspominał o zdemaskowanych agentach i agenciakach, każdy emigrant zna te przypadki lepiej ode mnie. Chciałbym powiedzieć o czymś zupełnie innym. Nienawidzący stalinizmu Chruszczow zrezygnował z roli w chwili, gdy doszedł do władzy. Nie zrezygnował z gry, ale mógł sobie pozwolić na granie innej roli, bardziej mu odpowiadającej. Tu zmiana roli była konsekwencją własnej decyzji, aby jednak taką decyzję podjąć musiała się zmienić sytuacja.

Zachowując wszystkie proporcje, podobnie od strony psychologicznej wygląda sprawa Kuzniecowa. Gdy, wybrawszy w 1969 r. wolność w Londynie, opowiedział jakim kosztem zaskarbił sobie łaski M.G.B. i paszport zagraniczny do Anglii, wielu ludzi, estetów, żachnęło się, nie na ustrój, ale na Kuzniecowa: Tego, na miłość Boską, się nie robi, a jak się robiło, to nie należy o tym mówić!

A przecież Kuzniecow toczył grę o wielką stawkę swego życia. Nie miał wiele do zaoferowania. Nie miał więc innych szans jak zagranie na całego, *va banque*. Pragnął wyjścia z gry, ale w tym celu musiał zagrać. Wygrał, bo potrafił pokierować grą.

Często jednak zmiany sytuacji dyktują wypadnięcie z roli niezależnie od tego, czy grający pragnie tego czy nie. Może nie czas teraz wnikać w elementy gry uprawianej przez Dubczeka i innych przywódców praskiego odrodzenia 1968 roku. Warto jednak zastanowić się nad grą, jaką prowadził Imre Nagy na Węgrzech; i nad tym jak okoliczności zmusiły go do jednoznaczności. Ale to przedmiot do specjalnych rozważań dla ludzi biegłych w języku węgierskim.

Może przykład mniej uniwersalny, ale i mniej znany. Gdy Artem Panfiłow, wieloletni, niczym specjalnie nie wyróżniający się korespondent *Komsomolskiej Prawdy*, recytował swym polskim kolegom całymi stronami Broniewskiego i Mickiewicza, gdy podkreślał że córkę swą uczył w Warszawie w polskiej szkole, myśleliśmy że jego grą jest udawanie przyjaciela.

Ale gdy u progu 1968 r. władze polskie zdjęły z afisza *Dziady* Mickiewicza w reżyserii Dejmka, motywując decyzję tym, że przedstawienie ma antysowiecki charakter, Panfiłow, mianowany w międzyczasie radcą ambasady sowieckiej w Warszawie, udał się na Krakowskie Przedmieście do Związku Literatów, do jego prezesa Jarosława Iwaszkiewicza, by stwierdzić że ambasada nie ingerowała w tę sprawę, że osobiście decyzję tę odczuł sam boleśnie. Co więcej, Panfiłow spowodował w jakiś sposób wydrukowanie w *Izwiestiach* sprawozdania z warszawskiego sezonu teatralnego w którym nader pochlebnie wyrażono się o *Dziadach*. Panfiłow grał, ale inną rolę niż tę, o którą go podejrzewano. Nie wybaczono mu tego i natychmiast odwołano do Moskwy. Dalsze jego losy są nam nieznane. Ponieważ zaszkodzić mu i tak już niesposób, oddajmy mu należny szacunek.

Mówiąc o grze, trzeba zaznaczyć jeszcze jedno: wszyscy ci, którzy kiedykolwiek stykali się ze sceną, wiedzą jak psychicznie wyczerpująca jest gra, nawet ta z której można się wyłączyć po zakończeniu przedstawienia a na pewno po zejściu sztuki z afisza. Gra życiowa jest trudniejsza, trwa dłużej, niekiedy do śmierci, kontrasty są silniejsze, obciążenie etyczne autentyczne. Czynnikiem pomagającym, przynajmniej doraźnie, skojarzyć rozdwajającą się psychikę jest alkohol (i w ogóle tzw. używki). Siedziałem kiedyś wśród młodych, utalentowanych, pnących się do góry, już zajmujących wysokie szczeble sowieckich aparatczyków. Obserwowałem błysk nieprzeciętnej inteligencji i podziwiałem morze wypijanego koniaku. I słuchałem śpiewu łagiernych, tragicznych pieśni. W pewnym momencie — nie, to nie była halucynacja — zamiast *Buď proklat-że ty Magadan stolica kołymskogo kraja!*, śpiewano *Buď proklata-że ty Moskwa, stolica katorżnogo kraja!*.

Było to w noc z soboty na niedzielę. A w poniedziałek, po tym oczyszczeniu sumienia wódką i śpiewem praca: w KC, w MID i Bóg wie jakich jeszcze urzędach moi znajomi podejmowali decyzje, niszczące ludzi, kraj, wprowadzające napięcie międzynarodowe.

I zrozumiałem że pokolenia najlepszych Rosjan, od dekabrystów i Herzena poprzez Lwa Tołstoja do Sołżenicyna, walczyły przeciwko rozdwojeniu i niszczącej społeczeństwo grze.

Marcin WYZIEMBŁO

W sowieckiej prasie

Ledwo zdążyliśmy zawiadomić w poprzednim „przeglądzie" o ukazaniu się w języku bułgarskim dzieł zebranych Leonida Iljicza Breżniewa i wyrazić nadzieję, że analogiczne wydanie ukaże się w języku rosyjskim — a już to życzenie się spełniło. 2 maja cała prasa sowiecka poinformowała o ukazaniu się „Dwóch tomów referatów i artykułów generalnego sekretarza KC KPZS L. I. Breżniewa: „Leninowskim szlakiem". Pierwszy tom obejmuje okres 1964-1967, drugi 1967-1970. Są to lata od upadku Chruszczowa do naszych dni.

Nie minęły trzy tygodnie, a znów wszystkie pisma sowieckie (24 maja) zawiadomiły swych czytelników o ukazaniu się „w masowym nakładzie" nowego „Zbioru referatów i przemówień" L. I. Breżniewa pod tytułem „Młodzi mają budować komunizm". Niezależnie od tego, przemówienia Breżniewa zajmują większą część tomu, który ukazał się w ostatnich dniach, zawierającego oficjalne materiały i dokumenty, poświęcone obchodowi stulecia urodzin Lenina.

Tak więc dokonało się przekształcenie pierwszego sekretarza KC KPZS w czołowego teoretyka marksizmu.

◆

Po paromiesięcznej przerwie znów wybuchła gwałtowna polemika sowiecko-chińska. Informowaliśmy w swoim czasie o pomyłce moskiewskich „talmudystów", którzy włączyli do „tez KC", z okazji stulecia Lenina, cytat z książki austriackiego socialdemokraty Otto Bauera, biorąc go za cytat z przemówienia Lenina. Pisaliśmy o pomyłce. Chińska agencja prasowa Sinhua potraktowała ją nie jako pomyłkę, lecz jako świadomą działalność „reakcyjnej kliki Breżniewa i jego współtowarzyszy", którzy stracili wszelki wstyd. Agencja Sinhua zakończyła swój komunikat proroctwem: „Idąc śladami Chruszczowa, Breżniew i jego towarzysze idą w przepaść".

Zaraz potem w artykule wstępnym, który był jednocześnie opublikowany w trzech największych pismach chińskich, Leonid Breżniew został nazwany „nowym Hitlerem", a Związek Sowiecki „państwem typu nazistowskiego" prowadzącym hitlerowską politykę rasistowską.

Związek Sowiecki początkowo odpowiedział w audycji radiowej w języku chińskim, w której Mao Tse-tunga oskarżono, że ponosi osobistą odpowiedzialność za śmierć swojej pierwszej żony, rozstrzelanej przez nacjonalistów chińskich, a także za tajemniczą śmierć swego starszego syna w czasie wojny koreańskiej.

18 maja *Prawda* ogłosiła wielki artykuł „Łże-rewolucjoniści bez maski", który jest jednym z najgwałtowniejszych ataków na Chiny w ostatnich latach. Chińskie kierownictwo, ma się rozumieć, zostało nazwane spadkobiercami przywódców hitlerowskiego Reichu, renegatami, najemnikami wrogów proletariatu itd., itp. W swoim czasie Baudouin de Courtenay opracował „Słownik rosyjskich przekleństw". Uczonemu, który chciałby ten słownik

uzupełnić, wystarczyłoby przepisać połowę artykułu *Prawdy*. Ale znaczenie tego artykułu polega nie tylko na wzbogaceniu słownika rosyjskich przekleństw. Zwracają uwagę dwa momenty. Twierdząc że Pekin dąży do podbicia całej Azji, *Prawda* dowodzi że działacze pekińscy ponoszą odpowiedzialność za „porażki i niepowodzenia niektórych narodowo-wyzwoleńczych ruchów w Azji i w Afryce". Z artykułu wynika, między innymi, że władze chińskie ponoszą odpowiedzialność za upadek rządu Norodona Silhanuka w Kambodży.

Jeśli zaś tak jest, to czytelnik może wyciągnąć logiczny wniosek, że rząd sowiecki ma rację nie uznając emigracyjnego rządu Sihanuka, który znalazł schronienie w Chinach.

Drugi, ważniejszy z naszego punktu widzenia, ustęp dotyczy nie Azji a Europy. Chińscy przywódcy — pisze *Prawda* — idąc śladami przywódców bandyckiego, hitlerowskiego Reichu, głoszą konieczność „ocalenia" świata od „słowiańskiej groźby".

Jasne, że jeśli narodom słowiańskim grozi niebezpieczeństwo ze strony Chin, to powinny one skupić się wokół Związku Sowieckiego, który może je wziąć w obronę. Jak wiadomo, Czechosłowacja podpisała nie dawno umowę ze Związkiem Sowieckim, w której zobowiązuje się brać udział w obronie wszystkich granic „Wielkiego Brata". Kolej na następne narody słowiańskie...

Na dowód że niebezpieczeństwo grożące Słowianom jest rzeczywiste, *Prawda* wspomina o chińskim sputniku, o którym prasa sowiecka niedawno wycedziła zaledwie kilka słów. Wiadomość o wystrzeleniu sputnika była opublikowana w *Prawdzie* na 5-ej stronie i składała się dosłownie z 10 słów: „Agencja Sinhua zawiadamia, że w Chinach wystrzelono sztucznego satelitę ziemi". Kilka dni później *Literaturnaja Gazieta* zamieściła na dole 9-ej strony artykuł pt. „Pułkownik Cian i chiński satelita". Z tego artykułu wynika, że chiński sputnik został stworzony przez amerykańskich i zachodnioniemieckich specjalistów i że „na ogromnym terytorium Chin z jego 700-milionową ludzką dżunglą niewielu ludziom wiadomo co to w ogóle jest sputnik i dlaczego Mao zdecydował się wystrzelić go w orbitę, wydając corocznie w tym celu 6 miliardów dolarów".

Artykuł kończy się słowami: „Każdy uważny obserwator... zgodzi się, że chiński satelita ma jedynie militarne znaczenie". Można jedynie dodać, że artykuł ten jest przedrukowany z „niezależnego" tygodnika hinduskiej postępowej partii „Link".

Znacznie spokojniej przyjęły władze sowieckie amerykańskiego kosmonautę Armstronga, który niedawno odwiedził Moskwę. Był on przyjęty przez Kosygina, któremu wręczył w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych dary dla narodu sowieckiego. Jednak nie bardzo jest jasne co wręczył. *Prawda* zawiadomiła, że próbki księżycowej gleby przywiezione przez Apollo-11. A prasa amerykańska twierdzi, że prócz tego sowieckiemu premierowi wręczono maleńki sowiecki sztandarek, który amerykańscy kosmonauci wzięli ze sobą na księżyc. Wypadło to rzeczywiście niezbyt zręcznie. Amerykanie biorą na księżyc sztandar sowiecki. Może sowieccy kosmonauci zabiorą ze sobą amerykański? Co to więc będzie? Przyjaźń narodów, czy amerykańsko-sowiecki spisek?

◆

„Syjonistyczna" kampania w prasie sowieckiej straciła swój nerwowy, histeryczny charakter i przekształciła się w codzienne, powszednie, trochę nudne, ale konieczne zadanie. We wszystkich gazetach zamieszcza się choćby niewielkie, ale koniecznie codzienne, artykuliki, czy wzmianki o syjonizmie. W każdej takiej wzmiance czy artykule rozpracowuje się w mniej więcej dwustu czy trzystu słowach, zrozumiałych dla wszystkich czytelników, nie więcej niż 3-4 „myśli". Stopniowo te myśli, nawet wbrew woli czytelników, przenikają do świadomości. Ta kampania jest świetnym przykładem oddziaływania na opinię społeczną za pomocą najbardzej prymitywnych instrumentów. Ponieważ „syjonistycznego" materiału potrzeba bardzo dużo, temat stał się prawdziwym *eldorado* dla wszelkiego rodzaju grafomanów i karierowiczów. Lecz wartość tego materiału nie interesuje redaktorów, potrzebna jest tylko ilość. I tak na przykład 20 maja *Izwiestia* zamieściły artykuł kandydata nauk ekonomicznych I. Swanidze: „Syjonizm — oręże militaryzmu i rasizmu", w którym podaje się czytelnikom taką informację: „... Ludność Izraela dzieli się na nierównoprawne grupy rasowe. Istnieją tam tak zwani 'biali Żydzi' — 'aszkenazi' i 'czarni' — 'sefardim'...". Jednak w tej armii syjonistologów jest specjalista, można powiedzieć, czołowy znawca, coś w rodzaju moskiewskiego Tadeusza Walichnowskiego. Podpisuje się on „W. Iwanow", a wśród jego głównych „prac" książka pt. „Uwaga — syjonizm" ukazała się 20 maja we fragmentach w *Industrialnoj Gazietie*, zdawałoby się przeznaczonej dla zupełnie innego rodzaju materiałów. W opublikowanych rozdziałach abstrakcyjny wróg — syjonizm został skonkretyzowany. Syjonizm — twierdzi W. Iwanow — to tajna światowa organizacja finansowana przez Rotszyldów. Pieniądze Rotszyldów są u podstaw „czechosłowackiej kontrrewolucji", działalności zachodnioniemieckich neo-faszystów, a nawet... działalności Watykanu. Ręką Rotszyldów w Watykanie, według informacji W. Iwanowa, jest kardynał Bea „który przeszedł z judaizmu na katolicyzm", no ale — jak by to powiedzieć — zachowując swoją żydowską duszę.

Aby te odkrycia godnego potomka autorów „Protokołów mędrców Syjonu" stały się dostępne dla szerokiej światowej opinii, artykuł W. Iwanowa był w całości zamieszczony w języku angielskim w biuletynie agencji *Nowosti*, 2 czerwca rb. Zrobiono to jak najbardziej w porę, na początku czerwca bowiem przebywał we Francji minister spraw zagranicznych Gromyko. Obawiając się demonstracji w sprawie Żydów sowieckich, odpowie-

dzialne sowieckie „organy" z góry przygotowały sprawcę tego rodzaju demonstracji: przywódcy syjonistów — Rotszyldowie.

◆

Walkę ze syjonizmem prowadzą nie tylko *żurnaliści*, ale i członkowie Związku Pisarzy. Jedna po drugiej wyszły nie dawno dwie powieści Iwana Szewcowa, powszechnie znanego już od 1964 r. kiedy wydał nędzny pamflet na malarzy-nowatorów w postaci powieści-felietonu „Próchno". Po ukazaniu się „Próchna" Szewcowa tak skrytykowano, że autor pochwalnej przedmowy, główny socrealista Łaktionow, uważał za niezbędne ogłosić że podpisał przedmowę nie czytając jej. O czytaniu powieści oczywiście mowy nie było.

No, ale teraz jest rok 1970 — zupełnie inny okres. I Szewcow wydaje najpierw powieść „W imię ojca i syna" w nakładzie 65.000 (Wydawnictwo „Moskowskij Roboczyj") i zaraz potem „Miłość i nienawiść", nakład 200.000 (Wydawnictwo Ministerstwa Obrony). W swoim czasie pisaliśmy o powieści Koczetowa „Czego ty chcesz?". Szewcow, jak się okazuje, pisze jeszcze gorzej od Koczetowa. Zdaje się że tych właśnie pisarzy sowieckich miał na myśli Stanisław Jerzy Lec, kiedy napisał: „Znalazłszy się na dnie, usłyszałem postukiwanie z dołu". Z dołu stuka Szewcow. W powieści „W imię ojca i syna" wykłada on swój (i tak jak on myślących) pogląd na sowieckie społeczeństwo. Dzieli się ono na dwie nierówne części — na sowieckich ludzi i na Żydów. Potem Szewcow, własnymi słowami, przedstawia tekst „Protokołów mędrców Syjonu" (ta książka od niedawna zaczęła być rozpowszechniana wśród zaufanych osób w Związku Sowieckim i z miejsca wywarła na nie silny wpływ), o wszechświatowym żydowskim spisku itd. Równie silnie jak Żydów nienawidzi Szewcow niewielką grupkę poetów i pisarzy, znajdujących się pod rozkładowymi wpływami żydowskimi i demoralizujących czystą rosyjską młodzież. Do niej zalicza np. Wozniesienskiego, którego przedstawił jako Wozdwiżenskiego — autora tomików „Piatiugolnyj szar", „Antimołnia" (jak wiadomo Wozniesenskij wydał zbiorki „Trieugolnaja grusza" i „Antimiry"), Bellę Achmadulinę — pokazaną jako Nowella Karapulina. W nowej powieści „Miłość i nienawiść" Żydzi przechodzą do akcji. Naum Golcer, członek Związku Pisarzy, zabija swoją matkę. Szewcow nie krępuje się w swoich opisach, pisze ostro, socrealistycznie: „Matka leżała po środku pokoju z rozprutym brzuchem. Przy tym wnętrzności jej były wyprute na zewnątrz, a jelita okręcone wokół szyi". Nawet *Literaturnaja Gazieta* nie wytrzymała takiego „pisarstwa" i ogłosiła ostry krytyczny artykuł. Gazeta specjalnie skrytykowała chwyty, przy pomocy których Szewcow przedstawia postacie nazwane w książce Nikifor i Marat, w których każdy czytelnik z miejsca rozpoznaje Nikitę Chruszczowa i jego zięcia Aleksieja Adżubeja.

Ponieważ Wojskowe Wydawnictwo szybko i w ogromnym nakładzie wydało tę książkę, można przypuszczać że redaktorom takie karykaturalne obrazy Żydów, Nikity i inteligencji przypadły do smaku.

◆

Anastas Mikojan ciągle jest żywym przykładem nieograniczonych ludzkich możliwości. Przeżywszy wszystkich władców Rosji od Lenina do Chruszczowa, zajął się obecnie zupełnie niewiarygodną dla członków Politbiura pracą — pisaniem pamiętników. Już od szeregu lat niewielkimi rozdziałami publikuje swoje wspomnienia w czasopiśmie *Junost'*. Co prawda są to głównie wspomnienia z lat rewolucji na Kaukazie. Ale właśnie w numerze 4-tym pisma Mikojan opublikował swoje wspomnienia o wydarzeniach z lat 1920-1922, o walce Lenina z opozycją w partii. Jasne że nie jest to pełna prawda, nawet nie półprawda. Ale są w tych wspomnieniach drobne fakty i uwagi, podważające poglądy, które do tej pory były obowiązujące. Nagle wyjaśnia się, że w 1920 i 1921 roku jedynym człowiekiem w partyjnym kierownictwie jawnie broniącym Lenina był Zinowiew. Zdaje się, że obecnie po raz pierwszy od czterdziestu lat o Trockim pisze się nie jako o agencie imperializmu, ale jako o poważnym, politycznym przeciwniku Lenina. Mikojan pisze o wystąpieniu Zinowiewa w obronie poglądów Lenina, i o wystąpieniu Trockiego który je atakował: „Zinowiew był w ogóle nie głębokim, ale zręcznym mówcą, operującym w dużym stopniu demagogią... Jako drugi wystąpił Trocki. Jako mówca był o wiele lepszy od Zinowiewa. Dowcipami, słówkami pełnymi polotu, wyszukaną formą udawało mu się nie raz zdobywać oklaski i poparcie części sali".

I bardzo dziwnie wygląda w tych pamiętnikach Lenin, w rzeczywistości znajdujący się w mniejszości, zmuszony coraz częściej uciekać się do nieortodoksyjnych chwytów dla utrzymania swej władzy nad partią. Mikojan opowiada, np., że po dwóch dniach X Zjazdu partii (marzec 1921) Lenin zebrał potajemnie niewielką, oddaną sobie grupę ludzi i „zaczął wyliczać nazwiska tych członków KC, których nie należy wybrać do nowego KC". Lenin domagał się, by oddani mu ludzie prowadzili podziemną robotę wśród delegatów zjazdu dla wybrania potrzebnych mu członków KC.

◆

Ponieważ w poprzednim numerze *Kultury* został wprowadzony nowy dział „Leniniana", uważam za mój obowiązek dorzucić do niego mały przyczynek. Nota Marcina Wyziembło „Genealogia Lenina" jest interesująca przede wszystkim dlatego, że dowodzi jak źle nawet ciekawa wiadomość przecieka ze Związku Sowieckiego. O odkryciu Marietty Szaginian rzeczywiście w swoim czasie wiedziała cała Moskwa. Ale ja chciałbym opowiedzieć o poszukiwaniach drzewa genealogicznego ojca Lenina. O pochodzeniu Ilji Nikołajewicza Uljanowa, ojca Włodzimierza, pisano różnie. Nazywano go Mordwinem, Kałmukiem, astrachań-

skim Tatarem. Po odkryciu Szaginian sytuacja stała się nieznośna: matka Żydówka, ojciec Kałmuk. W państwie komunistycznym, gdzie problem rasy odgrywa nie o wiele mniejszą rolę niż w państwie nazistowskim, nie można było tego lekceważyć.

14 stycznia 1970 w *Literaturnoj Gaziecie* ukazał się szkic pisarza Siemiona Szurtakowa „O Uljanowych ze wsi Androsowa". Okazuje się że Szurtakowowi (nie tylko Szaginian ma szczęście) udało się zrobić wielkie odkrycie. Dopiero niedawno udało się stwierdzić, że właśnie stąd, z *czysto rosyjskiej* (podkreślenie moje — A.K.) wsi Androsowa wyszedł sławny ród Uljanowych, który dał potem Rosji wielkiego Lenina...". Co prawda „odkrycie" Szurtakowa jest niezmiernie wątpliwe. Jak pisze sam „odkrywca": „Powstaje tu masa różnych znaków zapytania. Jak pańszczyźniany chłop (chodzi o dziada Władimira Lenina — Nikołaja Uljanowa) mógł stać się astrachańskim mieszczaninem? I jak jego syn — Ilja Nikołajewicz, ukończywszy astrachańskie męskie gimnazjum, mógł być przyjęty na kazański uniwersytet, gdzie przecież nie przyjmowano dzieci chłopskich?". Ale Szurtakow nie chce odpowiedzieć na te pytania. Przedstawia zeznania (niewykorzenione przyzwyczajenie sowieckiego człowieka). W jednym z zeznań mówi się: „Nikołaj Wasiliewicz Uljanow... (który miał syna Ilję) był wzrostu 2 arszyny i 5 wierszków, włosy na głowie, wąsy i broda płowe, oczy brązowe...". Cechy więc czysto aryjskie i Szurtakow z zadowoleniem stwierdza: „Same te cechy mówią za siebie". Lecz by nie było żadnych wątpliwości, Szurtakow cytuje drugie zeznanie: „Nikołaj Wasiliew Uljanow, dzieci Wasilij i Ilja. Nikołaj Wasiliew Uljanow czysto rosyjskiego pochodzenia".

Co należało udowodnić. Dziad Lenina, czysto rosyjskiego pochodzenia, a zatem... Zresztą co z tego wynika trudno zrozumieć. Ciekawe by było posłuchać co powiedziałby wódz światowego proletariatu o zajęciach swoich następców.

Adam KRUCZEK

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub $ 5,00, F. 25,00.

Jak kupuje PAX?

Wszelkie instytucje można charakteryzować w rozmaity sposób. Określa się ich przydatność, metody działania, ewentualny prestiż społeczny, wreszcie miejsce hierarchiczne w odniesieniu do innych instytucji.

Istnieje jednak jeszcze jeden sposób, który nie będąc ściśle naukowym ani opartym o najnowsze wyniki badań socjologicznych, zdaje mimo to egzamin w życiu praktycznym. Stawia się po prostu pytanie: jak o n i kupują, i odpowiedź na nie, o ile jest pełna, charakteryzuje zazwyczaj instytucję w sposób wystarczający jeśli chodzi o wnioski praktyczne dla człowieka, zamierzającego wejść w jej obręb.

W PRL instytucji mogących kupować istnieje niewiele i dlatego odpowiedź na to pytanie jest tym cenniejsza w sensie informacyjnym.

Niewiele jest nie tylko instytucji, niewielu jest także obywateli, których chce się kupić, nie dlatego, żeby Polacy byli tacy niezdolni, ale dlatego że zostali już względnie unieszkodliwieni, a ich bierność jest profesjonalna, jest prawie gwarantowana, czemu sprzyjają zarówno czynniki ekonomiczne jak psychologiczne.

Jedną z instytucji, które w PRL kupują, jest Stowarzyszenie PAX, instytucja o niesprecyzowanym profilu; wiadomo głównie to, że Piasecki się ześwinił, że Zespoły Gospodarcze Inco są zwolnione od podatków i co drugi dyrektor jest tam byłym przemysłowcem, wiadomo też, że całe Stowarzyszenie ma jakieś pretensje kulturalne, spokrewnione niejasno z katolicyzmem.

Centrala PAX'u (w sensie lokalizacyjnym, bo dyrektywy przychodzą skąd inąd) mieści się na ulicy Mokotowskiej w Warszawie, w schludnie odnowionej pięciopiętrowej przedwojennej kamienicy.

Najniżej mieści się *Słowo Powszechne*, tandetne, zaprojektowane jako kalka *Trybuny Ludu*, specjalizujące się w atakach na tych, którzy nie mogą się już bronić, ale których atakować jeszcze

warto, by wykazać maksymalną praworządność, kolportowane najlepiej na Podhalu, gdzie katolików jest bardzo wielu, ale, niestety, procent względnego analfabetyzmu dosyć znaczny.

Najwyżej, bo aż na piątym piętrze ulokował się Instytut Wydawniczy. W Instytucie króluje pani Kolendo, popularnie zwana Jasią. Pani Kolendo jest szwagierką Piaseckiego i jedyną w PRL kobietą kierującą wydawnictwem. Jest bezwzględna, energiczna, ciekawa ludzi i umie kupować. Z wykształcenia historyk sztuki, z profilu psychicznego typowa *career woman*. Bardzo dba o *publicity*, nie brak jej ani na efektownych pogrzebach, gdzie wyraża współczucie, ani na efektownych zgromadzeniach, gdzie zachęca do walki o.

Nie jest moją intencją przecenianie działalności Instytutu, niemniej to co się w ramach jego dzieje jest główną zasługą pani Kolendo. Rok rocznie na jesieni odbywa się, na przykład, huczne wręczanie nagród literackich imienia Wł. Pietrzaka (dobry katolicki publicysta, którego PAX sobie przywłaszczył). W hallu Filharmonii stoi wówczas pani Jasia, ostentacyjnie skromnie ubrana — czerń, surowość i żadnej biżuterii — i wśród tłumu facetów, którzy dzięki PAX'owi siedzą wygodnie na swoich pokrytych pluszem stołeczkach, ona jedna ma na twarzy wyraz napięcia i niepewności. Czy zaszczyci ktoś z KC, czy przemówi — odpowiednio ciepło — Żukrowski, jaki będzie komentarz Telewizji Warszawskiej, która następnego dnia zaprezentuje serwis informacyjny z uroczystości.

Na jednym takim zgromadzeniu siedziałam nawet koło autentycznego sowieckiego dziennikarza, przybyłego świeżo z ZSSR. Zachłystywał się naiwnie wolnością panującą w PRL. Nie pamiętam już tylko kto był bardziej zdziwiony zaproszeniem: on, czy ja? W każdym razie obydwoje byliśmy nie na swoim miejscu i obydwoje byliśmy dowodem aktywności profesjonalnej pani Kolendo.

Pani K. ma bowiem dobre oko na tzw. młodzież literacką. Nie interesują jej zakompleksieni brodacze z piwnicy na Krakowskim Przedmieściu, którzy przez kilkanaście lat nie mogą się dobić członkostwa ZLP, gotowa jest natomiast inwestować w tych, którzy naprawdę chcą się wybić.

Ma w tym swoje cele. PAX jest oparty głównie na starych, młodych nazwisk jest tam niewiele, o narybek trzeba się troszczyć. O narybek ten jest zresztą trudno, związanie się z partią jest o wiele prostsze, jest się wówczas od razu przy źródle, unika się wszelkiego pośrednictwa. Temu też zapewne należy przypisać fakt, że akcja werbunkowa obejmuje głównie tych, którzy mają powody — środowiskowe czy biograficzne — by unikać ścisłych powiązań z partią.

Sam PAX, kiedy już człowiek rozejrzy się trochę w środku, przypomina jedną wielką oazę mieszczaństwa i burżuazji, stuszowaną dla niepoznaki artykułami wstępnymi, ukazującymi się w paru pismach, wydawanych przez Stowarzyszenie. Ludzie się absolutnie nie krępują, rozmowy są swobodne, i poza paroma ideologicznymi frajerami, całość jest błogo szczęśliwa, że w ramach PRL'u udało im się znaleźć taki ciepły zapiecek. Pensje są dużo wyższe niż gdzie indziej. Stowarzyszenie ma własne lecznictwo, własne ośrodki wypoczynkowe, własną sieć opieki nad emerytami, zupełnie odrębne budownictwo spółdzielcze. Oczywiście wszystkie te przywileje dostępne są tylko dla posiadaczy legitymacji członkowskich.

Słowo Powszechne odwala brudną robotę za *Trybunę Ludu*, reagując krzykiem tam gdzie *Trybuna* potępia szeptem, *Kierunki* miały być w założeniu odpowiednikiem warszawskiej *Kultury*, ale to bardzo trudna rola dla pisma, któremu *a priori* limitowano możliwości rozwojowe, krojąc je wedle potrzeb Stowarzyszenia; najenergiczniej funkcjonuje Instytut Wydawniczy, kierowany przez panią Kolendo.

Początkowo celem Instytutu miało być wyłącznie propagowanie literatury religijnej, co przy ograniczeniu działalności *Znaku* nie było znowu takie trudne, później wzięto się i za tzw. literaturę piękną.

W ramach PAX'u występuje corocznie z nową powieścią Dobraczyński — jedyny polski literat, który ma naprawdę ładną willę w Zakopanym; w ramach PAX'u podhodowano też Ankę Kowalską, autorkę popularnej powieści miłosnej. Dobraczyński zaszczyca swoją obecnością rozmaite prezydia i posiedzenia, Anka, przystojna brunetka o płonących oczach, wygłasza przemówienia odznaczające się wysoką temperaturą ideologiczną. Obydwoje traktują swoje posłannictwo serio, a zwłaszcza Anka, która chyba poważnie wierzy w potrzebę istnienia PAX'u.

Są to jednak wszystko mniej lub bardziej efektowne marionetki o ruchach na scenie z góry zakreślonych odpowiednią reżyserią i scenopisem. Kimś, kto w pełni decyduje o własnych ruchach jest natomiast pani Kolendo. Moje pierwsze spotkanie z nią, w jej mieszkaniu na Różanej, trwało parę godzin. Kołowała zręcznie. Mówiło się o obozie, o Platonie, o konieczności posiadania własnych przekonań i ich obrony. Była życzliwa, umiała pytać i umiała słuchać. W międzyczasie załatwiła parę telefonów i wydała dyspozycje szoferowi. Podziwiałam jej kolekcję antycznej porcelany i nie raził mnie nieco chrapliwy głos.

Wyniosłam z tej rozmowy dwa wrażenia. Że ma dostęp do pieniędzy i że umie kupować.

Nie zraziło jej nic. Ani moja aideologiczna biografia, ani moje

zainteresowania literackie, nakierowane wyraźnie na Zachód, ani zafascynowanie psychoanalizą, ani zapewnienie, że nie mam zamiaru pisać książek religijnych bo nawet bym nie wiedziała jak się do tego zabrać.

Miałam dobre recenzje z pierwszej książki, wydanie drugiej zagwarantowane przez Kraków, byłam na drodze do nie najgorszego startu.

Kupiła wszystko. Moją znajomość języków i literatury amerykańskiej dla Instytutu, moją łatwość robienia reportaży dla *Kierunków*, gdzieś w niedopowiedzeniu, między zdaniami, zawisła nadzieja, że następną książkę wydam w PAX'ie.

W ciągu dwóch lat współpracy z PAX'em poznałam różne aspekty działalności Stowarzyszenia, ale uderzyła mnie głównie łatwość rozepchnięcia się w obrębie tej instytucji i niewymaganie jakichkolwiek świadczeń ideologicznych.

W *Kierunkach* pisałam reportaże na tematy neutralne, obyczajowe, otrząsałam się z odrazą na widok *Nowych Dróg* i nikomu nie przyszło nigdy do głowy zaprosić mnie do jakiejkolwiek dyskusji politycznej. Byli zadowoleni z tego co dostają, a ja miałam dla nich nieco ciepła za ułatwianie mi współistnienia z PRL'em. Mogę powiedzieć nawet więcej, ułatwili mi przygotowania do wyjazdu, finansując moje prywatne fascynacje.

Kiedy wpadała mi w rękę jakaś ciekawa książka w Ambasadzie Amerykańskiej, szłam do naczelnego i proponowałam, że napiszę mu esej na taki a taki temat w oparciu o najnowszą literaturę. Ponieważ polscy literaci na ogół boją się przebywać za długo w bibliotece Ambasady, więc naczelny był bardzo zadowolony, że ktoś odważny trafił się właśnie wśród jego współpracowników, i chętnie wyrażał zgodę. Drukowali i płacili. Czasami nie drukowali, ale też płacili. Niekiedy co prawda w bibliotece chodziła za mną szarawa pani w ortalioniku i popatrywała bystro co wybieram z półek, nie zostało to jednak spointowane żadną rozmową w oficjalnym gmachu z orzełkiem.

Recenzje robione dla pani Kolendo orientowały mnie systematycznie w przeglądzie prozy amerykańskiej.

Zdaję sobie jednak w pełni sprawę, że to co dla mnie było sposobem przetrwania pewnego etapu, byłoby dla innych zahamowaniem kariery. Jeśli ja się nie pchałam do *Kultury* czy *Polityki*, to w przewidywaniu przyszłej rozmowy z konsulem amerykańskim, ale moi rówieśnicy nie musieli mieć podobnych planów.

PRL było dla mnie nieprawdziwą groteską, co do której życzyłam sobie tylko by jej akcja krzyżowała się jak najrzadziej z moją i przebiegała możliwie równolegle. Dla innych była smutną ale autentyczną rzeczywistością.

W tym pierwszym wypadku czekania na wyjazd, PAX miał swoje zalety, w tym drugim był drogą okrężną i niepotrzebną.

Łatwość rozepchnięcia się w *Kierunkach* była na przykład ściśle związana z brakiem odpowiedniej konkurencji. Czy można sobie wyobrazić dobrego dziennikarza rozwijającego się w próżni?

Już po paru tygodniach współpracy z redakcją zorientowałam się, że coś jest nie tak, że istnieją pewne specyficzne bariery. Pismo miało ograniczone możliwości chłonięcia nowych materiałów i chociaż w zasadzie brało udział w rozmaitych akcjach zwalczania czy popierania oraz reagowało na bolączki codziennego dnia Polaka, odbywało się to wszystko jakby na marginesie, ze słabszym akcentem i mniejszym zainteresowaniem. Prawdziwe pasje odbijała tylko pierwsza i druga strona tygodnika, gdzie zamieszczano artykuły polemiczne. Polemizowało się prawie zawsze na tematy religijne.

Partnerem polemicznym numer jeden był *Tygodnik Powszechny*. Ataki, jeśli je organizowano, szły głównie w kierunku hierarchii kościelnej. Głębokie źródło tej paxowskiej namiętności odkryłam przypadkiem. Nie przepadając za angażowaniem się w jakiekolwiek spory, trwałam w błogim złudzeniu, że pisując na neutralne tematy zachowuję pozycję *outsider*'a. Szybko się jednak tych złudzeń pozbyłam. A było tak.

Reportaże w *Kierunkach* ustawiałam sobie zawsze pod kątem pewnego relaksu. Brałam papierek upoważniający mnie do wyjazdu, redakcja zwracała koszty, byli zresztą pod tym względem bez zarzutu, honorowali noclegi w najdroższych hotelach, temat załatwiałam w dwa dni, pozostałe pięć były dla mnie. Najlepszym dowodem braku konkurencji w tym miłym skądinąd piśmie był fakt, że zdaje się serio wierzyli, że tyle mi to wszystko zabiera czasu. Podejrzliwy był jedynie sekretarz redakcji w momencie podpisywania rachunków, jego nieufność płynęła ze źródeł ekonomicznych a nie intelektualnych.

Zima owego roku była ciężka, Zakopane miałam już zaliczone, Krynicę zostawiałam sobie na wiosenną opaleniznę, musiałam wymyśleć coś, co byłoby atrakcyjne dla pisma i względnie nieodległe od Warszawy. Wymyśliłam Laski. W Laskach pod Warszawą mieści się najnowocześniejszy w Polsce ośrodek reedukacji ociemniałych dzieci. Prowadzony jest przez siostry zakonne i zupełnie nie dotowany przez państwo. Przejeżdżałam tam latem i ten kompleks budynków umieszczonych w rzadkim sosnowym lesie zapadł mi w pamięć. Dzieci spacerowały po wygrabionych ścieżkach trzymając się za ręce, z daleka wszystko wyglądało zwyczajnie, dopiero z bliska dostrzegało się chwiejność ich kroków i nienaturalną, skupioną ostrożność. Jeśli nieszczęście może być spokojne, to ten właśnie klimat tam panował.

Kiedy zaanonsowałam propozycję tematu, zauważyłam, że w redakcji przyglądają mi się z wielkim szacunkiem. Proszę nie mówić, że pani jest z *Kierunków* — poradził naczelny. — Czemu? zdziwiłam się. — Oh, — odparł wymijająco — siostry nie przepadają za reklamą. — Czemu? — znowu się zdziwiłam — przecież to może dzieciom pomóc?

— Zobaczy pani — zakończył krótko.

W Laskach przyjęto mnie życzliwie. Cały teren zasypany był głębokim śniegiem, autobusy chodziły rzadko i nieregularnie, ludzie przytupywali niecierpliwie na przystankach, kiedy więc siostry zaproponowały mi bym nocowała w tzw. prymasowskim budynku rekolekcyjnym, zgodziłam się z radością. O *Kierunkach* nie wspominałam. Parę dni temu dostałam nagrodę za debiut dramaturgiczny, byłam po korekcie drugiej książki, interesowały mnie ociemniałe dzieci, moja wersja była prosta i w zasadzie prawdziwa. A zresztą pokażcie mi kogoś, komu nie zrobi dobrze kilka dni absolutnego spokoju i atmosfera bezwzględnej czystości moralnej, plus możność przyjrzenia się samemu sobie w bardzo przenikliwym, mroźnym powietrzu.

Nieopodal była Puszcza Kampinoska, chodziłam na spacery z bardzo nieśmiałym nauczycielem, leśniczy pokazywał nam ślady dzików i lisów, ptaków było pełno i nikt nie niszczył karmików. Absolutna sielanka. Bomba wybuchła nagle. Do Lasek przyjechał kardynał Wyszyński na kilkudniową rekonwalescencję po wypadku samochodowym i zapewne w związku z tym, siostry sprawdziły biografie swoich gości staranniej niż zwykle. Ponieważ we wszystkim obowiązuje prawo serii, równie niespodziewanie zaatakował mnie w *Tygodniku Powszechny* Stefan Kisielewski. Chodziło o mój reportaż z Podhala, atak był pełen dżentelmenerii i dla młodego dziennikarza był nawet wyróżnieniem, niemniej wypadł zdecydowanie nie w porę.

Kiedy zeszłam na śniadanie *Tygodnik Powszechny* leżał tuż koło mojego talerza. Zaczęły się indagacje. Nikt mnie z Lasek nie wyrzucał byłam jednak nagle otoczona atmosferą powszechnej nieufności. Moim pierwszym impulsem było wrócić do domu, moim drugim — pozostać. Nie byłam członkiem PAX'u, nie miałam za sobą żadnych publikacji polemicznych, z punktu widzenia trzeźwego rozsądku rzecz grała. Weszłam jednak przypadkiem w krąg walki zbyt gorącej, by rozsądek miał tu do kogokolwiek przemawiać. Tak jak budynek na Mokotowskiej był centralą rozdzielczą akcji paxowskich, tak Laski były miejscem gdzie w spokoju i ciszy analizowano wydarzenia i przygotowywano kontrataki.

Zostałam wezwana na rozmowę. Nie był to dialog, w tym obozie młodzi byli karni i przyuczeni do pokory, było to raczej

napomnienie by zejść póki czas, ze złej drogi. Siostry poprosiły o książkę, a nawet o maszynopis sztuki. Do dzieci chodzić już nie mogłam, nie pozwolono mi. Tak na wszelki wypadek, żeby mi się ze strzępków obserwacji nie urodził reportaż. Atmosfera podejrzeń gęstniała z każdym dniem. Nauczyciel nie spacerował już ze mną po Puszczy Kampinoskiej, chodziła ze mną młoda etnografka, ostrożna, naiwna i wyraźnie podstawiona, nie opuszczająca mnie ani na chwilę, fanatyzmem przekonań dziwnie spokrewniona z Anką Kowalską. Któregoś dnia zatrzymał mnie kardynał Wyszyński, którego omijałam w dzikim popłochu, by przypadkiem nie pomyślano że szukam spotkania na skutek paxowskich instrukcji, i zamienił ze mną kilka zdań. Odniosłam wrażenie, że wie absolutnie o wszystkim. Miał bardzo łagodny głos i wspaniałą cerę. Życzył mi zdrowia i powodzenia w pracy. Następnego ranka siostry nieco złagodniały, ale ja już miałam dosyć. Jeśli reprezentowałam dla nich wrogą agentkę, którą potraktowały z miłosierdziem i wyrozumiałością, to można powiedzieć, że agentka się zmęczyła.

W *Kierunkach* powitano mnie ze zrozumiałym podnieceniem. — Nie ma reportażu — powiedziałam od razu. Zapanowała chwila milczenia, naczelny i Bukowska wymienili spojrzenia. — Cholernie was tam kochają — dorzuciłam kwaśno. O mały włos, a musiałabym się tłumaczyć, czemu się urodziłam. — To teraz już pani wie wszystko? — spytał naczelny rzeczowo. — Tak jakby — zgodziłam się lakonicznie i bez entuzjazmu.

Następną porcję tej samej wiedzy otrzymałam w kilka miesięcy potem od pani Kolendo.

W PAX'ie moją aktywność poza Stowarzyszeniem obserwowano dość uważnie, zwłaszcza, że bezustannie podkreślałam, jak bardzo sobie cenię współpracę z Wydawnictwem Literackim w Krakowie. Trochę ich drażniło to siedzenie na dwóch stołkach, ale nie robiłam nic nowego, praktyka była powszechna, żeby tylko wspomnieć Żukrowskiego. W PAX'ie książki wydaje się niechętnie, mimo że stawki za arkusze są doskonałe. Autor, który wydaje w PAX'ie to najczęściej autor, który nie ma propozycji od innych wydawnictw, albo ma je niesprecyzowane w normalnej umowie wydawniczej. Znacznie rzadziej zdarzają się sytuacje odwrotne, kiedy publikuje ktoś, komu jego wydawnictwo nie jest w stanie zmieścić wszystkich pozycji w planie wydawniczym, na skutek ograniczeń papieru. Zupełnie sporadyczne są wypadki typu Brychta, na to trzeba mieć już dużo tupetu albo obojętności. W ogóle stosunek do Instytutu jest trochę podobny do tego, jaki się ma do bogatego kochanka z nie najlepszym testem inteligencji. Człowiek to znosi, bo musi, ale ogląda się na boki, gdzie by tu porozmawiać z kimś z prawdziwego zdarzenia. Kochankowie z do-

brym portfelem a nie najlepszym testem inteligencji mają jednak najczęściej wyczucie sytuacji i zwykle w momentach krytycznych wyskakują z nurkami albo kolią. Reakcje Instytutu były analogiczne. Wystarczył jakiś sukces na zewnątrz by ich podniecić do działania. Kiedy złożyłam w Krakowie trzecią książkę i zaczęto mówić o wystawieniu sztuki, nagrodzonej na konkursie debiutu dramaturgicznego, pani Kolendo wezwała mnie na rozmowę. Panował już między nami pewien odcień zażyłości, znałyśmy swoje mocne i słabe punkty, za wiele sobie po mnie nie obiecywała, ciągle się nie deklarowałam z chęcią wstąpienia do PAX'u.

Proces kupowania ma jednak do siebie to, że raz zaczęty, rzadko urywa się raptownie, kupującego podnieca opór albo chłód.

Na wstępie otrzymałam porcję umiarkowanych pochwał, podobały się jej recenzje i podobały reportaże, tylko po co ta psychoanaliza w prozie, wyraziła nadzieję, że z tego wyrosnę, i zaraz potem przeszła do sedna sprawy. Chodziło o powieść. Czy mam zamiar coś takiego napisać? Oczywiście. Zapytała o temat, wyjaśniłam. Chciała wiedzieć, jak szybko mam zamiar zacząć pisać. Odparłam, że wkrótce, ale spieszyć się nie mam po co, bo Kraków mi dwóch pozycji w jednym roku nie wyda. Była ciekawa, ile dostaję za arkusz. Zaspokoiłam jej ciekawość. Popatrzyła na mnie, a potem zupełnie bez słowa, nagle, sięgnęła po kartkę papieru, naszkicowała formułę umowy i podsunęła kartkę w moją stronę.

Nie miałam z tej powieści jednego napisanego zdania, nie przedstawiłam jej szkicu, konspektu, nic. Nie przerażało jej to. Nie przypuszczam nawet, żeby to była jakaś specjalna wiara w moje uzdolnienia literackie, po prostu nadszedł czas, żebym została kupiona i w tym punkcie. Odbyło się to zresztą z pewną klasą, pani K. zaakceptowała określony element ryzyka, zazwyczaj tzw. umowy w ciemno nie obejmują młodych.

Przed samym końcem wizyty, rozmowa zeszła na Laski. Kiedy wspomniałam, o kard. Wyszyńskim zobaczyłam, że się rozżarza. Zupełnie inna temperatura. Znikł chłód, rzeczowość, talenty komercjalne. Dopiero teraz ujawniła się prawdziwa wulgarność tej twarzy o grubych, mocno ciosanych rysach. Krzyczała. Nie mówiła, ale krzyczała. Nie był dla niej kardynałem, ale liderem opozycji, przez jego upór na paxowskich książkach brakowało *imprimatur*, jego kazania mąciły w głowach wiernym, kwestionowała w jego postępowaniu wszystko. Odmawiała mu nie tylko zdolności politycznych, ale i gruntownego wykształcenia teologicznego, posunęła się nawet tak daleko, że zaczęła mi wyjaśniać jego skromne, zbyt skromne jej zdaniem, pochodzenie. Siedziałam przerażona i zafascynowana. Z drugiej strony biurka ucieleśniła się autentyczna wściekłość. Tutaj biło źródło wszystkiego. — Robi złą robotę! — krzyczała. — To ja chodzę do KC i walczę o przydziały papieru,

żeby ludzie mogli wziąć do ręki porządną książkę religijną, a oni mi wypisują bzdury i szkodzą na każdym kroku. Instytut się rozwija a oni by chcieli to zahamować. To ja zatrudniam profesorów, specjalistów od Pisma Świętego, ściągam ich tutaj do Warszawy, płacę ciężkie pieniędze, żeby to robili faceci, którzy siedzą w tym od lat, faceci z nazwiskami, a oni odmawiają moim publikacjom głupiej pieczątki. W pewnym momencie obdarzyła kardynała dosyć niewybrednym epitetem i zamilkła. Zapaliła kolejnego papierosa i oddychała szybko, niczym człowiek po bójce. Byli bardzo niedobranymi partnerami do walki, ten wysoki, opanowany mężczyzna o miękkim głosie i ta zapalczywa, twarda, spragniona władzy kobieta. On wolał uniki i precyzyjne dyplomatyczne podchody, ona przepadała za autentycznym ringiem. Przekonanie o własnej racji było jednak z obu stron niewątpliwe i to rokowało o trwałości animozji.

Nie leżało w moich planach mieszanie się do tej walki w czasie pobytu w PRL, szczerze jednak życzyłam pani Kolendo, żeby dostała po nosie, mimo wysokich protekcji w KC i więcej niż ciepłego poparcia ze strony władz. W *Kierunkach* wstępnymi tasiemcami, poświęcanymi tematowi jaki kościół powinien być a jaki nie jest, zajmowała się Bukowska. Jedyna z całej redakcji znająca języki, brała udział we wszystkich możliwych mityngach i zgromadzeniach, na jakich w Europie krytykowano hierarchię kościelną i jej konserwatyzm.

Krajem najbardziej pasującym PAX'owi była rzecz jasna Holandia. Siedziała tam dosyć długo, wróciła rozentuzjazmowana, przywiozła sobie parę dobrych golfów w niecodziennych dla polskiego oka kolorach i napisała szybko parę ostrożnych reportaży.

Procesy odnowy w ramach kościoła były punktem, który PAX zastrzegł sobie do dosyć starannej eksploatacji, w sumie jednak te akcje uderzały w próżnię, episkopat także dysponował swoimi specjalistami od kontestacji, Mokotowska nie odkryła tu rewelacji.

Pismo kulało. Mimo paru dobrych lat istnienia nie zdołano zmontować trwałej, zdolnej ekipy. Poza naczelnym, Bukowską i Chłopeckim — wojowniczym polemistą, któremu w Radio rokowano po cichu spore szanse na wypadek przeniesienia się do PZPR, jego pióro było tak nieskazitelnie partyjne, jakby je wyświęcił sam Gomułka — reszta w sensie możliwości dziennikarskich raczej nie istniała. Zatrudniano ich, bo byli członkami PAX'u, niemniej każdy *outsider* witany był z radością.

W PRL trudno jest pracować dziennikarzowi rzutkiemu, z inicjatywą, trudności te podwajają się jeszcze w PAX'ie. Poza generalnymi ograniczeniami politycznymi dochodzą tu ograniczenia lokalne, mała sprężystość pisma wynikająca z jego wyraźnie wtórnej w założeniu roli. Kiedy postanawiano coś na górze, pismo musiało

to opracowywać, nawet żeby to było nie do zniesienia nudne i nic nie obchodzące czytelnika.

Lawirując między swoimi reportażami literackimi a działem kulturalnym, współczułam szczerze tym, którzy musieli tę zupę gotować. Jeśli trafiał się ktoś lepszy, to czym prędzej uciekał na szersze podwórko, tak było na przykład z Rolickim, który zaczynał w PAX'ie, żeby potem stać się czołowym reportażystą *Polityki*.

Czas płynął. Byłam przygotowana do wyjazdu, ale z MSW przychodziły ciągle odmowy. Moi nieliczni partyjni znajomi nie pojmowali mego zachowania. Powinnam się przenieść do lepszego pisma i zacząć karierę w klasycznym PRL'owskim stylu. Wystarczyłyby jeden albo dwa artykuły bardzo pro. Czemu tego nie robiłam? Czemu się nie wypowiadałam?

Przysłuchiwałam się ich radom w milczeniu, nie tracąc nadziei, że MSW zmieni zdanie. Chciałam wyjechać legalnie, brakowało mi awanturniczej żyłki.

W ZLP odbywały się tymczasem zebrania-groteski, na których głosowano na z góry wyznaczony zarząd, śrubki się zaciskały, Putrament grzmiał niczym na stado krnąbrnych dzieci, w pałacyku w Oborach knuto spiski o których w kwadrans potem wiedział zarząd.

Robiło się ciasno i duszno. W literaturze amerykańskiej obkułam się już jak na możliwości warszawskie wystarczająco, listy od matki przychodziły coraz częściej, ale szyfr stawał się nieco męczący, kiedy ja pisałam w najlepszej wierze: mama, trzymaj za mnie kciuka, myśląc o pospolitym kciuku za powodzenie, matka odpisywała: trzymam, ale co to znaczy? Śmiałam się, ale to nie był wesoły śmiech. Zdecydowałam się na pójście do Putramenta. On bywał bezczelny, ale ja też nie byłam nieśmiała. Chciałam znać chociaż motywy dla których odmowa następowała po odmowie, wszystkie tłumaczone słynnym, enigmatycznym paragrafem „... ze względu na bezpieczeństwo Polski Ludowej...".

Popatrzył na mnie krzywo i powiedział na wstępie z wrodzoną mu delikatnością: a kto mi zagwarantuje, że pani wróci? Ja nie jestem pewny nawet tych, którzy są członkami ZLP od dwudziestu lat. No?

W duchu przyznałam mu rację, brnęłam jednak dalej. Słuchał niechętnie i wreszcie przerwał. — PAX może dużo więcej niż ja — oświadczył. — Oni wchodzą bez pukania tam, gdzie ja muszę czekać. Czemu pani nie idzie do nich?

Uwaga była w zasadzie słuszna. Nie chciałam w PAX'ie rozgłaszać moich planów wyjazdowych, ale tym razem to była konieczność.

Zaczęłam od naczelnego.

Nie był nawet bardzo zdziwiony. Powiedział, że mają kogoś

kto załatwia dla nich te sprawy w MSW, nie ma go tylko w tej chwili w kraju. Będę musiała trochę poczekać. Zapisał sobie numer sprawy, można było sądzić, że nareszcie dobiłam do właściwych drzwi.

Ale już w tydzień potem obraz się trochę zaciemnił. Naczelny zatrzymał mnie w gabinecie i z wyraźnym zażenowaniem wyjaśnił, że interwencje tego rodzaju są zarezerwowane wyłącznie dla członków PAX'u.

Uśmiechnęliśmy się obydwoje nieco krzywo. Nie miałam nawet do niego pretensji, kółko się zamykało. Skoro nie byłam w partii, powinnam być w PAX'ie, a skoro nie byłam nigdzie, nie mogłam liczyć na nic. Już tylko z wrodzonego uporu spróbowałam pani Kolendo. Tak przejmująco mówiła kiedyś o humanizmie. Co powie teraz?

Przyjęła mnie natychmiast i rozmawiała jeszcze zwięźlej niż Putrament. Był to trochę dialog kota z myszą, mysz się miotała, kot był bardzo pewny siebie.

Z jej strony biurka obraz mnie — petentki — był i przyjemny i jasny. Po tylu różnych, drobnych ale znamiennych manifestacjach niezależności, nareszcie przychodziłam prosić. Nie byłaby sobą, żeby jej to nie sprawiło pewnej satysfakcji.

— Tak — rąbnęła bez zahamowań. — Wrzeszcz powiedział pani prawdę. Mamy naszego człowieka od interwencji ale używamy go rzadko. Zrozumiałe chyba, że nie możemy tego robić dla każdego kto przychodzi do nas z żalami na Koszykową.

— Wydaje mi się — powiedziałam ostrożnie — że przez te dwa lata współpracowałam jednak z PAX'em. Przynajmniej w miarę moich możliwości.

— To była bardzo dyskretna współpraca — zauważyła pani Kolendo. Przyglądała mi się bez cienia sentymentu, tak jakby to był przetarg, a ona zastanawiała się po cichu ile też obiekt jest naprawdę wart.

— Może dlatego, że dyskrecja leży w moim usposobieniu — odparłam. Roześmiała się hałaśliwie. — Pani jest dosyć sprytna, dziecko, ale my też umiemy myśleć. Wkraczamy w konflikty w stosunku do tych, którzy oddali nam przysługi, albo o których sądzimy, że mogą to zrobić. Ostrożni sympatycy to czasami niepewna kategoria.

Znowu się uśmiechnęła. Widziałam już kiedyś taki uśmiech. Tak samo cieszyli się ci, którzy mi po maturze napisali w papierach na uczelnię — „córka byłego fabrykanta, nie popieramy" — a jednak się dostałam, coś podobnego musi się stać teraz, nie mogło być prawdą to przymusowe zamknięcie w socjalizmie, to bezwzględne determinowanie przez innych mojej biografii.

Rozstałyśmy się chłodno i już bez żadnych złudzeń. Kiedy

w parę miesięcy potem napisałam do niej kartkę z pozdrowieniami nie byłam nawet specjalną hipokrytką. Powiedziała mi przecież kiedyś tym charakterystycznym tonem handlowca: z pani może coś być, pod warunkiem że pani będzie pracowała.

Lubię pracować. Mam nadzieję, że zdołam sprawdzić jej rokowania. Z tą małą ale istotną poprawką, że już z tej strony kurtyny.

Jolanta DWORZECKA

Czarna lista

Jarosław Iwaszkiewicz: opublikował w dowolnym i tendencyjnym wyborze listy zmarłego Witolda Gombrowicza, bez zgody p. Rity Gombrowicz. *Twórczość*, Nr 12, 1969.

Wojciech Sulewski: „'Literaci' spod znaku trójzęba". *Kurier Polski*, 6. 4. 70.

R. W.: „Portret paryskiej *Kultury*". *Chłopska Droga*, 12. 4. 70 — Czytelników krajowych prosimy o informacje, kto ukrywa się pod tym pseudonimem.

W. Czeczot, kandydat Nauk Historycznych: „Lenin a Polski Rewolucyjny ruch robotniczy". *Czerwony Sztandar*, Wilno, 15. 4. 70.

Andrzej Skowroński: „Polska racja stanu". *Prawo i Życie*, 19. 4. 70.

Teodor Kufel, gen. bryg.: „Społeczna tama szpiegowskiej penetracji". *Żołnierz Wolności*, 9. 5. 70.

Andrzej Szarecki: „W Englischer Garten". *Słowo Powszechne*, 20. 5. 70.

Doc. dr Kowalski: „25 lat sojuszu polsko-radzieckiego". Radio W-wa II.

Niejaka Zdena Dohnalova, posłanka do sejmu czechosłowackiego, zażądała na posiedzeniu parlamentu w Pradze w dn. 28 maja br. by „elementy kontrrewolucyjne i antysowieckie, które były czynne w 1968 i 1969 r. zostały pociągnięte do odpowiedzialności sądowej".

Kazimierz Koźniewski, Marian Turski: „Ostatnia postać legendy". *Polityka*, 21. 5. 70.

Wiesław Nowakowski: „Kim był gen. Anders?" *Zagadnienia i Materiały* z 2. 6. 70. Ten sam artykuł był przedrukowany w *Żołnierzu Wolności* z 8. 6. 70.

Jak się dowiadujemy autorem artykułu o gen. Andersie w *Życiu Warszawy* jest Wiesław Górnicki.

Wolna trybuna

Kwadratura koła socjalizmu

W okresie „twórczego darwinizmu" Łysenki opowiadano dowcip, jak to Miczurin skrzyżował jabłoń z psem i uzyskał drzewo, które samo się pilnuje i samo podlewa. Obawiam się, że wizja socjalizmu o ludzkim obliczu — to taka właśnie jabłoń. Jeśli przez socjalizm rozumieć to co powyższe słowo znaczy w językach politycznych Wschodniej Europy — czyli ustrój oparty na upaństwowieniu podstawowych środków produkcji — to socjalizm o ludzkim obliczu jest równie prawdopodobny, jak np. kot lub pies o ludzkim obliczu albo — jeszcze gorzej — jak wymienione w tytule kwadratowe koło. O tej niemożliwości niżej. Jeśli zaś przez „socjalizm" (ten o ludzkim obliczu) rozumieć coś innego, np. socjalizm skandynawski albo brytyjski w wersji Labour Party — to postulat budowy socjalizmu o ludzkim obliczu w Europie Wschodniej nie jest programem reformy ale rewolucji, wyrzucenia starej maszyny komunistycznej na złom[1] i zastąpienia jej czymś zupełnie odmiennym. Dlatego rewizjonistyczna terminologia posługująca się pojęciem uczłowieczenia socjalizmu jest myląca, a przez to szkodliwa. Nie tylko zresztą terminologia. Chciałbym poniżej powiedzieć, dlaczego i sam program ucywilizowania ustroju typu sowieckiego — uważam za dwudziestowieczny odpowiednik socjalizmu utopijnego.

Czytelnik nie dowie się z niniejszego tekstu żadnych nowych faktów. Tekst jest analizą polityczną i jak każda analiza nie przedstawia empirycznych odkryć, ale porządkuje fakty znane; jeśli to prowadzi do trafnych przewidywań — analiza przemienia się w teorię. Dosyć jednak autorefleksji, przejdźmy do rzeczy. Punktem wyjścia rozważań jest notoryczna prawda o techniczno-ekonomicznym zacofaniu państw wschodnioeuropejskich ze Związkiem Sowieckim na czele[2]. Ponieważ rządzący nie mogą tego

1. Por. *Kultura* Nr 270, artykuł Herlinga-Grudzińskiego.
2. Por. np. Z. Brzeziński, „Dylematy sowieckiej współczesności", *Kultura* Nr 270.

stanu zmienić, a równocześnie nie mogą ani sami powiedzieć całej prawdy ani pozwolić innym na jej mówienie, przeto muszą utrzymywać system policyjny, tępić opozycję, likwidować wszelkie ślady wolności itd. Aby tę konkluzję podbudować — postaram się teraz uzasadnić, dlaczego zarówno zacofanie jak i zakłamanie uważam za nieodłączne od ustroju panującego dziś na wschodzie Europy.

Dlaczego więc rządzący nie mogą — a nie tylko nie umieją — zmienić stanu gospodarki? Szczegółowo na to pytanie mogą odpowiedzieć tylko ekonomiści, ale jedna rzecz bije w oczy: próg maksymalnej komplikacji. Ilustracją tego pojęcia jest niemożność budowy samolotu długiego na 10 kilometrów. Za wielki, funkcjonować nie będzie. Otóż maszyna centralnie kierowanej biurokracji przemysłowej istniejąca w tzw. obozie socjalistycznym jest w tym samym stopniu za wielka. Nie tylko dlatego, że jedno centrum kieruje całą gospodarką olbrzymiego kraju i jego satelitów, ale także dlatego, że aparat gospodarczy tworzy jedną całość z aparatem politycznym, z aparatem kontroli życia kulturalnego, nauki, i tak dalej. Największe organizacje świata zachodniego są setki razy mniejsze. Nie umiem — ani nikt nie umie — opracować poprawnej skali pozwalającej to ująć liczbowo. Ale np. rząd Stanów Zjednoczonych kontroluje życie ok. dwustu milionów ludzi pod bardzo nielicznymi, prawnie określonymi i przeważnie pozaekonomicznymi względami. *General Motors Co.* kontroluje życie powiedzmy miliona ludzi pod jednym względem: produkcji samochodów. A kierownictwo w Moskwie musi kontrolować życie jakichś 300 milionów mieszkańców ZSSR i okolic — pod nieomal każdym względem — od produkcji butów do nieczytania samizdatów i *Kultury*. (Tę ostatnią czynność wykonuje ono za pomocą Gomułki, ale ten zależy od ośrodka dyspozycyjnego w Moskwie i albo wykonuje polecenia, albo życzenia tegoż kierownictwa odgaduje i uprzedza).

Musi więc być źle, a ludzi trzeba trzymać w ryzach, żeby tego nie mówili. Dlaczego jednak samo kierownictwo prawdy przyznać nie może? Aby to wyjaśnić zacznijmy przede wszystkim od stwierdzenia, że w tym kontekście może być mowa tylko o kierownictwie naczelnym w Związku Sowieckim, a nie o krajach satelickich. Najnowsza historia Czechosłowacji wyjaśniła tę sprawę dokumentnie. Najnowsza historia Rumunii nic tu nie zmienia, bo Rumuni nie starali się wcale zreformować podstawowych elementów ustroju. Interwencja w Rumunii po prostu nie była potrzebna, a gdy zacznie być potrzebna, to ją będzie można łatwo przeprowadzić. Subiektywne poczucie wolności elity władzy w Bukareszcie — o ile istnieje, w co wątpię — nie ma podstaw. Pies na długim łańcuchu też może się czuć wolny, zanim go pan za ten łańcuch z powrotem do budy nie wciągnie. Podstawową zmianę ustroju społeczno-ekonomicznego mogliby więc tylko przeprowadzić ci, którzy decydują o polityce ZSSR. Oni też tylko mogliby udzielić poddanym wolności. Ani jednej z tych rzeczy jednak zrobić nie mogą. Znowu — podkreślam to z naciskiem — nie mogą, a nie „nie umieją", albo „nie chcą". Ich umiejętności i prawdziwe dążenia (lub marzenia) są zupełnie nieistotne. Dlaczego? Przyczyn jest wiele. Najpierw zasygnalizuję te, które uważam za raczej drugoplanowe, a później przejdę do najważniejszej. A więc — rozluźnienie centralizmu gospodarczego, udzielenie ludziom jakiejś wolności ekonomicznej, stworzyłoby jak w Pradze nacisk społeczeństwa na poszerzenie sfery wolności. Udzielenie zaś wolności politycznej w wielonarodowym imperium sowieckim mogłoby być równoznaczne z samobójstwem imperium jako takiego. Mało jest prawdopodobne, aby wolni Gruzini, Ormianie, Kazachowie, itd., nie mówiąc już o Litwinach czy Ukraińcach, zgodzili się na federację z Rosją. Jedna jest tylko droga od narodowego ucisku do federacji: poprzez długie lata pełnej suwerenności narodowej. Oczywiście, o ile federacja ma być związkiem ludzi wolnych. Po drugie — przemiana gospodarki centralnie kierowanej w nowoczesną ekonomię zdolną do konkurencji z Zachodem — jest niesłychanie trudna. Efektywnego systemu ekonomicznego nie można zaprogramować we wszystkich szczegółach z góry. Droga do niego wiodłaby przez szereg prób i błędów. Doświadczenie np. Jugosławii wskazuje, że poprawa położenia ludności nie byłaby wcale natychmiastowa. Wszelkie zaś niepowodzenia, szczególnie w warunkach większej wolności, groziłyby rządzącym utratą posady, o ile nie w sensie dosłownym — głowy. Po trzecie — istnieje tradycja ujmowania tzw. społeczeństwa socjalistycznego jako pozbawionego sprzeczności antagonistycznych. Zezwolenie na krytykę, ujawnienie sprzeczności i odstępstwo od doktryny ekonomicznej byłoby więc dla elity władzy bardzo trudne psychologicznie tym bardziej, że groziłoby wydaniem całego międzynarodowego ruchu komunistycznego w ręce Mao.

Wszystko to jednak nie jest najważniejsze. Co jest istotne naprawdę, to fakt, że kierownictwo ZSSR nic zmienić nie może, bo się boi — siebie. Jest to grupa ludzi nie poddana jakiejkolwiek kontroli społeczeństwa, zamknięta i oficjalnie głosząca ortodoksyjną, niezmienną, szczegółową doktrynę, wykluczającą myśl o omawianych zmianach. Nie twierdzę, że tak jest naprawdę, bo o tym wiedzieć nie mogę — ale zupełnie dobrze jest do pomyślenia sytuacja następująca: ani jeden członek grupy rządzącej nie jest komunistą w ortodoksyjnym sensie. Każdy z nich jednak takiego komunistę udaje. Ten pierwszy bowiem kto powie prawdę — znajdzie się poza grupą. Te same reguły gry, które nakazują kłamać, nakazują także zachowywać czujność i rewizjonistę w tej lub innej formie usunąć. W przeciwieństwie do bajek nie wystarczy powiedzieć „król jest nagi", aby uzyskać powszechne uznanie prawdy. To co istnieje na szczytach władzy w Rosji — to postać totalnej alienacji oraz totalnej wzajemnej kontroli nie spotykana nigdy dotychczas w dziejach w tym stopniu, poza dziedziną *science fiction*[3]. Dlaczego tak się dzieje, jak taka grupa

3. Por. S. Lem, „Eden".

powstała — to jest sprawa wyjaśnienia historycznego, które musiałoby objąć lata strachu przed NKWD, wieki strachu przed caratem, mechanizm doboru grupy rządzącej spośród najwierniejszych, to jest najlepiej udających, jednostki które ukształtowały obecną sytuację, Stalina i Berię włączając, itd. Jak długo będzie trwała obecna sytuacja — także trudno przewidzieć. Obecne środki techniczne sprzyjają rządzeniu ludźmi wbrew ich woli, mogą więc także sprzyjać trwałości opisanego wyżej samokontrolującego się układu.

Pozwalając sobie na trochę określeń dosadniejszych — sytuację przedstawić można następująco. Ludzi się trzyma za mordę i przestać nie można. Trzymający — trzymają się także wzajemnie, choćby nawet myśleli dokładnie to samo co ci, którzy są już tylko przedmiotem, a nie podmiotem tej czynności. Podział na ideologię rządzonych i rządzących w państwie komunistycznym — wygląda w tym świetle podejrzanie. Standartowa jego wersja przeciwstawiała złych członków partii dobremu społeczeństwu. Obecnie — po Dubczeku — gdy widać, że wielu członków partii pragnie zmian tak samo, jak i społeczeństwo, pojawiają się próby przeprowadzenia innych rozgraniczeń. Tak więc na przykład można by założyć, że tylko sowieccy członkowie partii są prawdziwymi komunistami w przeciwieństwie do Polaków itd. Osobiście uważam to rozróżnienie za mityczne. Rosjanie ucierpieli najwięcej z rąk władzy sowieckiej, dotyczy to także członków partii. Znam przykłady — przynajmniej ze słyszenia — funkcjonariuszy KPZS przyznających się po kilku kieliszkach do najgłębszej nienawiści do wszystkiego, co komunistyczne. Przykłady takie zna zresztą każdy, kto był w ZSSR lub rozmawiał szczerze z ludźmi dobrze ten kraj znającymi. Również inne podziały tego rodzaju są często uderzająco prymitywne. Ze wspomnianego już numeru 270 *Kultury* dowiedziałem się, że po drugiej — komunistycznej — stronie barykady ideologicznej w Polsce znajdują się m.in. *in corpore* pracownicy wymiaru sprawiedliwości poza adwokaturą. Znam wielu przedstawicieli zawodów prawniczych, także członków PZPR, i zaręczyć mogę słowem honoru, że taka inwektywa pod ich adresem jest po prostu nieprawdą. To tylko p e w n i sędziowie — ich znaczna mniejszość — wyrokują w procesach politycznych, a nawet ich ideologia jest — poza elementem oportunizmu — całkowicie niemożliwa do rozpoznania za barierą udawanych ortodoksyjnych przytakiwań. Nie wiem ilu jest w Polsce autentycznych ortodoksyjnych komunistów, naprawdę myślących tak jak Breżniew przykazał. Wiem, że sam spotkałem chyba tylko jednego, a mam cień wątpliwości, czy i on nie kłamał. Nie znam dobrze Związku Sowieckiego, ale nie widzę żadnego powodu, dla którego tam ma być pod tym względem inaczej. Istnieją niewątpliwie ludzie, którzy by bronili systemu komunistycznego — nawet nie sterroryzowani — z pobudek czysto osobistych. Zaliczyć do nich można przede wszystkim wysoko postawionych „ciemniaków", którzy dobrze wiedzą, że jakakolwiek zmiana pozbawiłaby ich niczym nie zasłużonych przywile-

jów. Ale ci ludzie broniliby „żłobu", a nie ideologii. Problem zmian w Europie Wschodniej nie jest problemem ideologicznym, ale socjologicznym: problemem trwałości struktur społecznych istniejących wbrew autentycznej woli społeczeństwa, elitę władzy włączając. Nawiasem mówiąc — to samo dotyczy tzw. filozofii marksistowskiej. Jest to sprawa ważna, ta bowiem filozofia ma być rzekomo elementem cementującym partię lub przynajmniej jej elitę. Otóż pomijając już fakt, że rządzący zgoła nie mają czasu na filozofowanie i tak naprawdę to marksizmu nie znają, stwierdzić należy, że na wschodzie Europy filozofii marksistowskiej po prostu nie ma. Istnieje raczej ateistyczna religia panująca z milionami niewierzących ale praktykujących. Któż by obecnie — poza garstką intelektualistów lubujących się w mętnych perwersjach umysłowych — mógł na przykład serio wierzyć w Heglowskie dialektyczne sprzeczności, tkwiące w samych rzeczach i w procesach społecznych? Któż — tak naprawdę — wierzy obecnie w to, że Władza Ludowa uwolniła robotników od kapitalistycznego wyzysku? W wydaniu polskim była próba zrobienia z marksizmu-leninizmu czegoś w rodzaju zwartego systemu filozoficznego — próba choć beznadziejna, to miejscami na wysokim poziomie. Toteż syjonistów wyemigrowano, a rewizjonistów uciszono.

Krótko mówiąc: dwa główne czynniki warunkują obecną sytuację w krajach bloku sowieckiego: zacofanie gospodarcze i skrajna totalna alienacja czyli mówiąc po prostu — powszechne zakłamanie. Obydwa te czynniki są dobrze utrwalone i niesłychanie ciężkie do zmiany. Te same jednak czynniki przesądzają o skrajnej nieefektywności systemu. Może on być wydajny w kilku wybranych dziedzinach (sputniki, sprawność armii), ale nigdy jako całość. Najgłębszym źródłem powyższego faktu jest to, że system przekroczył stopień komplikacji dopuszczalny w organizacji dysponującej dzisiejszą (a nie absolutnie doskonałą, osiągalną może w przyszłości) techniką i nauką. To co teraz istnieje na wschodzie Europy, to nie jest Lewiatan Hobbes'a, ale starzejący się gigantozaur, jeszcze potężny, ale głupi i coraz częściej bezradny. Leczenie go, nie mówiąc już o dyskusji z nim, to zajęcie jałowe. Należy raczej po prostu poczekać, aż samokontrola grupy rządzącej Moskwą pęknie tak jak pękła w Pradze. Wtedy, ponieważ Moskwa nie ma Wielkiego Brata, który mógłby interweniować zbrojnie i którego trzeba by zwodzić — nie będzie na dłuższą metę mowy o socjalizmie o ludzkim obliczu, tylko o odrzuceniu komunizmu w całości. Napisałem „na dłuższą metę", bo i rządzący i rządzeni będą sobie musieli uzmysłowić zmianę sytuacji, a to w skali społecznej idzie wolno. Ale w końcu mitologia socjalizmu — jako ustroju opartego na państwowej własności środków produkcji, a zarazem demokratycznego — będzie się musiała skończyć. Centralizacja władzy politycznej i ekonomicznej jest nie do pogodzenia z demokracją, a ludzie którzy po długim czasie doszli do wolności, trudno się z nią rozstają. Jeśli zaś ktoś wierzy w zachowanie państwowej własności środków

produkcji przy równoczesnej pełnej decentralizacji ekonomicznych decyzji, np. na wzór zachodniego systemu rynkowego — to niech wytłumaczy, co właściwie w tym kontekście rozumie przez „własność państwową". Własność bez prawa dysponowania — to nonsens.

Czekać więc wypada na koniec wschodnioeuropejskiego socjalizmu, a nie na jego uczłowieczenie. Można mieć przecież nadzieję, że system totalnej alienacji nie przetrwa którejś kolejnej zmiany warunków we współczesnym tak niestałym świecie. Może też przyspieszyć zmieny czynnik zewnętrzny w postaci Chin, albo i Zachodu, którego przewaga techniczna przekształcić się kiedyś musi i w militarną. A na razie starać się trzeba, aby zepsuto w naszym kraju jak najmniej, aby proces socjaldemoralizacji społeczeństwa postępował jak najwolniej. A przede wszystkim: pamiętajmy o październikowym zawołaniu — „nie dajmy się zwariować!". Nie dajmy się zwariować mitowi o uzdrowieniu tego, czego uzdrowić nie można. Gdy mówimy młodym ludziom w kraju, że socjalizm może mieć ludzkie oblicze — to w gruncie rzeczy podbudowujemy komunistyczną indoktrynację. Ci młodzi ludzie są jedynymi, którzy czasem naprawdę wierzą w komunizm — przynajmniej do czasu nabrania większego doświadczenia życiowego lub do czasu pierwszego wyjazdu na Zachód. Nie zawracajmy ludziom głowy utopiami i mitami. Mówmy im prawdę, że „kapitalistyczny" system zachodni pod każdym względem góruje nad „socjalistycznym" — wschodnim. Operujmy konkretnymi przykładami. Ja wiem, że właśnie emigrantowi przychodzi to najtrudniej. Emigrant nie ma naturalnej skłonności do afirmacji obcego kraju, w którym się znalazł. Wręcz przeciwnie. Ale własne obserwacje skłaniają mnie raczej do konkluzji następującej: rzeczywistość zachodnia — jakkolwiek niedoskonała — jest potencjalnie dla młodzieży w kraju daleko większą atrakcją, niż jakiekolwiek utopie. Potencjalnie — to znaczy pod warunkiem przełamania stereotypów myślowych, których się ta młodzież nauczyła w szkole tak dobrze, że ulegają im i ci, którzy samodzielnie myśleć mogą i powinni. Panowie, nie dajmy się zwariować! I starajmy się opracować realny program na czas właściwy, to znaczy na czas moskiewskiej — bo praska nie wystarczy — wiosny. Jaki program? W tej chwili nie wiem. Raczej związków z Europą niż z Rosją, która długo pozostanie zacofana, ale w końcu i to nie jest pewne. Jaką drogę OD socjalizmu będzie musiała Polska obrać? Nie wiem. Kiedy? Nie wiem. Ale przynajmniej wiem, że nie wiem. Świadomość niewiedzy skłania do konstruktywnego myślenia. To lepsze od utopijnego socjalizmu o ludzkim obliczu. Bo kto nie wie, a myśli że wie, kto chce komunizm komunizmem leczyć, ten się jak baron Münchhausen za własny warkocz z bagna wyciąga.

Aleksander PECZENIK

Sprawy i troski

Przed Konwencją Kongresu Polonii Amerykańskiej

Dawniej co 4 lata, obecnie co 2 lata, odbywają się Konwencje Kongresu Polonii Amerykańskiej, spełniające rolę Sejmów całej Polonii w Stanach Zjednoczonych A.P. Na konwencjach wybiera się nowe władze naczelne K.P.A. i ustala działalność tej naczelnej reprezentacji Amerykanów polskiego pochodzenia, których my, Polacy, najchętniej nazywamy Polonią amerykańską.

Opinia polska przypisuje Polonii amerykańskiej znaczną rolę w naszych poczynaniach narodowych, zwłaszcza na obczyźnie, a to dlatego, że pamiętny jest jej patriotyzm, jak również z powodu przekonania, że Polonia ta zdolna jest wpływać na politykę amerykańską w sprawach Polski, na co brak jednak potwierdzenia w historii ostatniego półwiecza.

Jesteśmy właśnie w przededniu Konwencji K.P.A. zwołanej do Chicago na 14 sierpnia 1970 r. i już rozpoczęły się prace przygotowawcze do tego polonijnego Sejmu. Kongres Polonii powstał w 1944 r. i odbył już 7 swoich Konwencji, na których nic szczególnego się nie działo.

W ciągu 25 lat istnienia K.P.A. były tylko 2 Konwencje odbiegające od tego schematu. Była to pierwsza Konwencja w 1944 r. zwołana w obliczu trudności na jakie natrafiała sprawa Polski w koncercie mocarstw sprzymierzonych i — ostatnia — Konwencja w 1968 r., kiedy widownia przebudziła się, odmówiła posłuszeństwa uznanym autorytetom i wybrała nowego prezesa K.P.A. w osobie adw. Mazewskiego, który podjął próbę zerwania z dotychczasową rutyną. Nowy prezes zadeklarował się jako zwolennik kolektywnego kierownictwa, odwołał się do współpracy szerszego grona osób i organizacji, w wyniku czego doszło do zwołania w Waszyngtonie, w dniach 23 do 25 maja 1970 r., narady polonijnych naukowców, polityków, działaczy społecznych i dziennikarzy (w sumie 20 osób), którym dyrekcja K.P.A. postawiła pytanie — co należy czynić, aby deklamowana przy różnych okazjach „jedność i siła Polonii' stały się rzeczywistością?

Taka była geneza Narady Okrągłego Stołu, zwołanej w maju 1970 r. do Waszyngtonu, w której udział wzięli przywódcy głównych organizacji polonijnych, naukowcy z prof. Z. Brzezińskim, prof. Gronouskim, rektorem ks. W. Ziembą, prof. Kusielewiczem, prof. W. Chrypińskim na czele, oraz przedstawiciele polonijnej prasy i politycy. O politykach piszę na końcu, bo z zaproszonych na naradę polonijnych kongresmanów przybył tylko jeden i również jeden reprezentował tzw. emigrację polityczną.

Narada miała charakter doradczy. To znaczy, że nie podejmowała uchwał, ograniczając się do wymiany zdań i propozycji, które na podstawie protokołów obrad opracować ma w formie zaleceń prof. W. Chrypiński z Detroit. Będą to zalecenia, które mają posłużyć Dyrekcji K.P.A. przy ustalaniu wniosków na sierpniową Konwencję Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Z prasy polonijnej mało wiemy o przebiegu Narady, ponieważ pisma te czekają aż będą wypracowane przez Dyrekcję K.P.A. wnioski na Konwecję. Chociaż wcale nie jest takie pewne czy dyskusja, przeprowadzona na Naradzie, z udziałem osób których nazwiska coś znaczą w życiu amerykańskim, nie jest dla przyszłości Polonii amerykańskiej bardziej ważka, aniżeli wyważone wnioski Dyrekcji K.P.A.

Swoje własne wrażenia z Narady prez. A. Mazewski ujął następująco: — „Za najważniejsze uważam, że na zainicjowanej przez K.P.A. Naradzie zasiadły do dyskusji przy wspólnym stole trzy środowiska polskie w Ameryce: przedstawiciele zorganizowanej Polonii, Amerykanie polskiego pochodzenia i reprezentanci emigracji politycznej. Na takim poziomie, narady trzech odłamów polskich w St. Zjednoczonych, Polonia dawno nie widziała. Niemniej ważne jest — twierdzi prez. A. Mazewski — że spotkanie to pozwoliło przedstawicielom trzech polskich środowisk (w U.S.A. przyp.) dokonać poważnej wymiany zdań, w wyniku czego ludzie lepiej się zrozumieli, ufniej i przyjaźniej na siebie patrzą, co nie jest bez znaczenia w polskiej diasporze".

Prawdopodobnie dla wielu obraz Narady będzie bardziej wyrazisty, jeśli zamiast operować nazwiskami dyskutantów będziemy relacjonować postawy tych trzech środowisk. Mieliśmy więc — z grubsza biorąc — trzy odłamy opinii, a mianowicie:

1) Reprezentantów zorganizowanej Polonii Amerykańskiej. „Dz. Związkowy" obliczał, że do wszystkich organizacji polonijnych w USA należy ok. 7 % całej Polonii Amerykańskiej.

2) Amerykanów polskiego pochodzenia, bardziej związanych z życiem amerykańskim aniżeli ze środowiskiem polonijnym, zajmującym różne stanowiska naukowe i polityczne w USA. Stanowili oni nieformalną reprezentację tych ok. 93 % elementu polskiego, który żyje poza środowiskiem zorganizowanej Polonii. Ich udział w naradach lub spotkaniach polonijnych należy do rzadkości. (Powód? to jest odrębne zagadnienie).

3) Emigracja polityczna.

Otóż tym trzem odłamom polskości w USA dyrekcja Kongresu Polonii przedstawiła do dyskusji następujące problemy:

a) określić rolę Polonii w polityce amerykańskiej;

b) elementy polityki amerykańskiej wobec krajów Europy Wschodniej;

c) postawa Polonii wobec Kraju.

Rola Polonii w polityce amerykańskiej

Większość dyskutantów uznała, że Polonia amerykańska odgrywa pewną skromną rolę w stanowej i lokalnej polityce amerykańskiej, w okręgach silniejszego zagęszczenia elementu polskiego; natomiast zgodzono się, że Polonia nie posiada wpływu na wewnętrzną politykę federalną (innymi słowy jest poza amerykańskim *Establishment*'em). Dostały się przy tej okazji cierpkie uwagi kongresmanom polskiego pochodzenia, których jest 10-ciu i którzy niedostatecznie interesują się potrzebami polskiej grupy etnicznej, nie dbają o jej awans społeczny lub ekonomiczny.

Następnie zgodzono się, że Polonia amerykańska nie jest żadnym czynnikiem, który by się liczył w amerykańskiej polityce zagranicznej, Nie miała sprzeciwów opinia, że nadzieje żywione w tej mierze przez Polonię i Polaków na świecie nie znajdują potwierdzenia w poczynaniach zarówno demokratycznych, jak i republikańskich Sekretarzy Stanu.

Krytyce poddano administrację republikańską, która nie dotrzymuje obietnic, złożonych przed wyborami reprezentantom Polonii, w sprawie zapewnienia przedstawicielom polskiej grupy etnicznej większego udziału w administracji federalnej i stanowej. Stwierdzono, że rząd USA okazuje bez porównania więcej gotowości zaspakajania żądań innych, nawet mniej liczebnych, grup etnicznych, aniżeli polskiej, że pomija polonijnych przedstawicieli w obsadzie różnych stanowisk federalnych, w czym naśladują go władze stanowe i lokalne.

Natomiast zarysowały się różnice w poglądach na przyczyny. Przedstawiciele zorganizowanej Polonii byli zdania, że trzeba rozbudowywać i aktywizować organizacje polonijne, że główną przyczyną istniejących niedomagań jest ospałość życia polonijnego. Natomiast reprezentujący grupę Amerykanów polskiego pochodzenia wskazywali, że Polska niedostatecznie wchodzi w główne nurty życia amerykańskiego, że struktura socjalna i zawodowa emigracji polskiej czyni ją bardziej przydatną do pracy w produkcji, niż w administracji, że ciągle jeszcze Polonia — w stosunku do swej liczebności — nie dysponuje dostateczną ilością sił wykwalifikowanych, co utrudnia pozyskiwanie stanowisk kierowniczych w życiu publicznym. (Tym zagadnieniem zajmowała się obradująca pod przewodnictwem ks. rektora Ziemby specjalna Komisja Edukacyjna).

Polityka amerykańska wobec krajów Europy Wschodniej

W tej sprawie głos zabierali głównie Amerykanie polskiego pochodzenia, zajmujący poważne pozycje naukowe. Niektórzy z nich piastowali również wysokie stanowiska w rządzie federalnym. Ich opinia, której w zasadzie nie oponowano, wyrażała się w przekonaniu, że rząd amerykański ocenia sytuację w krajach Europy Wschodniej poprzez pryzmat swoich stosunków z Rosją. Były wypowiedzi, że ani Polska, ani żaden inny mniejszy kraj Europy Wschodniej nie stanowią samoistnego czynnika dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Wobec żadnego z tych krajów Stany Zjednoczone nie zrobią nic, co wymagałoby rewizji podstawowych zasad, na których po wojnie oparte zostały stosunki rosyjsko-amerykańskie. Jedyna różnica poglądów w tej mierze sprowadzała się do różnej oceny trwałości powojennego *status quo*.

Na podstawie swoich doświadczeń z pracy w agendach rządu amerykańskiego, dyskutanci utrzymywali, że rozpowszechniony w ośrodkach polskich za granicą zwyczaj składania rządom materiałów wyrażających pogląd polski na zagadnienia polityki światowej, dotyczącej interesujących nas rejonów Europy Wschodniej, nie spełnia swojego zadania. Memoriały takie są niezauważane i często nieczytane idą do kosza. Nawet przedstawiciel emigracji politycznej zgodził się z opinią, iż ten odcinek działalności politycznej emigracji pozbawiony jest znaczenia, jakie doń przywiązujemy.

Postawa Polonii wobec Kraju

Na ten temat była ożywiona dyskusja. Bezsporne było przekonanie, że zarówno Polacy w Kraju, jak i cała Polonia amerykańska, pragną aby Polska była wolna i niepodległa, że te bezsporne dążenia narodu polskiego winny być wspierane przez Polaków na całym świecie, że wysiłki w tym kierunku należy kontynuować i rozwijać. Nie było też wątpliwości, że Polonia Amerykańska nie darzy sympatią rządów komunistycznych w Polsce i nie rezygnuje z prawa krytykowania działalności tych rządów.

Przy praktycznych zaleceniach dla K.P.A. poglądy uczestników wykazywały większe różnice. Amerykanie polskiego pochodzenia twierdzili, że statut K.P.A. określa wyraźnie charakter tej organizacji. W statucie tym jest ustalone, że tylko obywatel amerykański może wchodzić w skład władz K.P.A. To znaczy, że Polak, który mieszka w Ameryce, ale nie jest obywatelem amerykańskim, nie może wpływać na postawę K.P.A. wobec Polski. Były również propozycje, aby Kongres, jako organizacja reprezentująca obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego, zajmował wobec spraw Polski stanowisko zbliżone do polityki rządu amerykańskiego, że jako organizacja społeczna nie posiada uprawnień do uznawania lub nieuznawania rządów w jakimś państwie.

Część dyskutantów stanowiska tego nie aprobowała, ale po ożywionej dyskusji skrajności zostały złagodzone i zgodzono się zalecić, aby Konwencja K.P.A. powzięła uchwałę stwierdzającą, że Polonia amerykańska nie udziela moralnego poparcia rządom komunistycznym w Polsce, solidaryzując się w tej mierze ze społeczeństwem w Kraju.

Inne zagadnienia

Na marginesie tych problemów Narada zajęła się na Komisji Politycznej również innymi sprawami. Omówiono stosunki polsko-niemieckie, stwierdzając konieczność domagania się aby Zachód uznał formalnie granice Polski na Odrze i Nysie. Według zaleceń uczestnika Narady, który piastował wysokie funkcje w rządzie amerykańskim, należy równocześnie z żądaniem uznania granicy na Odrze i Nysie przez rząd amerykański domagać się, aby Niemcy uznały te granice w układzie bilateralnym z Polską.

Narada, zgodnie potępiła doktrynę Breżniewa, która ma uzasadniać prawo Rosji do ingerowania w stosunki wewnętrzne innych krajów i zaleciła solidaryzowanie się z wnioskiem senatora Dodda w tej sprawie. Wypowiedziano się również przeciwko planom NATO użycia odstraszającej broni atomowej na Polskę, zalecając by K.P.A. stanął na czele akcji protestacyjnej w środowiskach polskich w USA.

◆

Podsumowanie wniosków z tej Narady wymaga ostrożności. Należy bowiem do tradycji polskich środowisk na obczyźnie, że wielkie myśli ozdrowieńcze kończą swój żywot w patetycznych deklaracjach i uchwałach, którym nie sądzone jest doczekać się realizacji. Już wstępne, ogólnikowe relacje prasy polonijnej pozwalają domyślać się, że jedni chcieliby wynieść z Narady w Waszyngtonie przekonanie, iż w życiu Polonii amerykańskiej żadne istotne zmiany nie są potrzebne, że stare, dobre tradycje starczą jeszcze na kilka pokoleń polonijnych. I są wreszcie inni, którzy oczekują, iż Narada w Waszyngtonie tchnie nowego ducha. O tym przekonamy się już wkrótce, na Konwencji K.P.A., w połowie sierpnia 1970 r. Czy będzie to Konwencja, która ruszy naprzód zaczęte w 1968 r. dzieło odnowy, czy też ci sami ludzie i ich styl pracy będą jeszcze jakiś czas straszyć po pustych lokalach organizacji, zapatrzonych jedynie w swoją piękną przeszłość.

Ale jakikolwiek oddźwięk będą miały na Konwencji K.P.A. debaty majowe w Waszyngtonie, godny odnotowania jest fakt konfrontacji poglądów, jaka dokonała się w Waszyngtonie pomiędzy reprezentantami 3-ch członów, z których składa się polska grupa etniczna w USA.

Jeśli z tej konfrontacji wyprowadzić można jakiś wniosek na przyszłość, to chyba ten, iż o przyszłości Polonii amerykańskiej, o jej roli w życiu amerykańskim i jej stosunku do spraw Polski

decydować będzie postawa tych ok. 93 % Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy dziś nie należą do organizacji polonijnych. To są ci Amerykanie polskiego pochodzenia, do których polskość jeszcze nie dotarła, lub też którym cierpiętniczy, mesjanistyczny patriotyzm polski nie przemawia do przekonania, albo których od polskości odsunęły wspomnienia biedy i poniewierki ich przodków, szukających chleba w obcych krajach, gdyż w ojczyźnie dla nich go zabrakło.

Henryk Sienkiewicz, przemawiając w 1883 r. w Chicago do polskich emigrantów, powiedział, że prawdopodobnie za 30 lat nie będzie tu słychać mowy polskiej. Prof. Chałasiński powtórzył coś podobnego w 1950 r. gdy prowadził w Chicago badania stosunków wśród emigracji polskiej. Teraz mamy rok 1970 i można jeszcze w Chicago rozmówić się po polsku, choć nie jest to miernikiem czyjejś przynależności do Polonii amerykańskiej. Nowe pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia słabiej mówią po polsku, ale coraz silniej odczuwają więź pochodzeniową, potrzebę posiadania własnych tradycji kulturowych, określenia swojego wkładu do kultury amerykańskiej, upomnienia się o swój spadek narodowy, jak to czynią inne grupy etniczne w USA, nieraz w sposób bardzo brutalny.

Edward PUACZ

Danuta Mostwin i jej ankieta

Pisarstwo pani Mostwin, od pierwszej powieści wydanej trochę więcej niż dziesięć lat temu, „Dom starej lady" (1958), było zwrócone ku poznaniu rzeczywistości. Wrażliwa kobieta, czująca w sobie powołanie lekarskie rozglądała się wśród otaczających ją ludzi, chciała ich rozpoznać, chciała im udzielić wiedzy o nich samych. Od początku, naturalnym instynktem poddała swoje pióro temu co nazywa się funkcją poznawczą literatury, w szczególności funkcją poznawczą prozy opisowej i opowiadającej. Nie jest to jedyne, a jak sądzą niektórzy, nie jest to najważniejsze zadanie literatury. Ale trudno przeczyć, że będąc autonomiczną, samowystarczalną dziedziną działalności ludzkiej, darząc nas jedynymi w swoim rodzaju przeżyciami, literatura wzbogaca naszą znajomość świata, w którym żyjemy, wzbogaca naszą znajomość człowieka, który w tym świecie z nami współżyje. I w tym punkcie literatura styka się z nauką. Mówiąc bardzo staroświeckim frazesem łączy *utile cum dulci,* nadobne z pożytecznym.

Do tego punktu pani Danuta dotarła bardzo zawiłym, bardzo polskim szlakiem. Formalną, maturalną dojrzałość osiągnęła w roku, w którym wybuchła wojna. Wojnę przeżyła w Warszawie okupowanej przez Niemców i idąc po śladzie ojca zaczęła studiować medycynę w konspiracyjnym uniwersytecie. Pod koniec wojny wyszła za mąż za tzw. „cichociemnego" lub „zrzutka", to znaczy za kuriera, zrzuconego na Polskę z samolotu i nazwisko, które nosi, jest *nom de guerre,* pseudonimem wojennym jej męża. Po tragicznym powstaniu warszawskim i przegranej wojnie, znalazła się z towarzyszem życia i synem w Anglii. W 1951 roku przyjechała do Stanów Zjednoczonych. Tu stanęła twarzą twarz z problemem znalezienia sobie miejsca pod nowym, obcym niebem, w nowym obcym świecie, w nowych, trudnych warunkach.

Nie podobna było w tych warunkach myśleć o kończeniu medycyny. Niedoszła lekarka ciała przeistoczyła się — mówiąc odrobinę patetycznie — w lekarkę duszy. Po studiach specjalnych, po zdobyciu magisterium w School of Social Service waszyngtońskiego Uniwersytetu Katolickiego pani Mostwin zaczęła działać jako *social worker,* jako opiekun społeczny. Od roku 1956 pracowała w Wydziale Opieki stanu Maryland, w kilka lat później otrzymała odpowiedzialne stanowisko Director of Social Services w Maryland Children's Aid Society.

I tak oto weszliśmy na pole obserwacyjne, na bazę surowcową, obszar literackich sondowań Danuty Mostwin. Wszystkie jej książki, a jest ich cztery, piąta zaś „w drodze" — rosną z tego obszaru, opierają się na materiale spostrzeżeń zbieranych na tym obszarze. Jedną z książek otwierają zapiski opiekunki społecznej pracującej w Ameryce — nie mamy żadnej wątpliwości kto się poza nią kryje. Sama autorka, człowiek głęboko współczujący, współdźwięczący z tym co wchodzi w obręb jej widzenia, dzielący los ze swoimi bohaterami, jest sama dla siebie tematem, przedmiotem obserwacji, badania i opisu. Ale w stosunku do siebie, do osobistych doświadczeń i w stosunku do swoich postaci, ich przygód i przeżyć narzuca dystans, nie pozwala sobie na tanie rozczulenie. Jest badaczem poszukującym obiektywnej prawdy.

Ogólnie można powiedzieć, że twórczość beletrystyczna Danuty Mostwin ma dwie osie krystalizacyjne, dwa punkty skupienia. Jedną oś, jeden punkt skupienia stanowi nowa, powojenna emigracja polska. Wokół drugiego gromadzą się niedomogi i schorzenia współczesnego społeczeństwa przemysłowego. Przecinają się, krzyżują i oświetlają wzajemnie w tej twórczości dwie płaszczyzny: polska i amerykańska, polsko-amerykańska i amerykańsko-ludzka. Bo wychodząc od doświadczeń osobistych i grupowych, związanych z określonym momentem historycznym i określonymi grupami, prowadzi ona do wniosków o powszechnym znaczeniu.

Wspomniany już debiut powieściowy „Dom starej lady" utrwalił pierwsze przeżycia po wojnie, wstępny, bolesny okres przystosowania do warunków egzystencji w Anglii. Druga książka, nosząca w tytule znamienne podwojenie wołacza: „Ameryko! Ameryko!" (1961) jest wielką panoramą; można by ją nazwać panoramą adaptacji społecznej. Nie jedno, ale trzy pokolenia rodziny Żuławskich są tu ukazane w konfrontacji z rzeczywistością tak odmienną od wszystkiego co było ich przyrodzonym i, zdawało się, niezmiennym losem. Rodzice, ich dzieci oraz dzieci ich dzieci już urodzone w Stanach, przedstawiają się nam w złożonych związkach między sobą i w stykach, zderzeniach, zawęźleniach z nowym krajem osiedlenia. Jest to, jak dotąd, jedyna tak ambitna i rozległa próba powieściowa w całej literaturze emigracyjnej.

Tytuł trzeciej książki „Asteroidy" (1964) ma charakter symboliczny. Słowo figurujące w jej nazwaniu jest zaczerpnięte z astrofizyki. Oznacza drobiny kosmiczne powstałe w następstwie kolizji planet i krążące po samotnych orbitach dokoła słońca. Boharowie siedmiu opowiadań tego zbioru — pięciu amerykańskich, dwu dziejących się w kraju — stanowią w widzeniu Danuty Mostwin takie cząstki skazane na zawieszenie między światami, między światem nieodwołalnie utraconym i światem nigdy w pełni nie przyswojonym.

Ostatnia powieść „Olivia" (1966) nie jest w temacie ani polska, ani nawet polsko-amerykańska. Jest to psychografia, historia adoptowanej dziewczynki, która sama staje się nieślubną matką i kończy krótkie, burzliwe, tragiczne życie śmiercią samobójczą. W tej książce może najdobitniej doszła do głosu podwójna parantela Danuty Mostwin, związek z jej dwoma protoplastami literackimi: z Bolesławem Prusem i Johnem Steinbeckiem. Jest w niej wstydliwa czułość pierwszego i surowa prawdomówność drugiego.

Nowa, piąta książka Danuty Mostwin jest gotowa do druku, przyjęta przez Instytut Literacki w Paryżu i spodziewana w tym lub przyszłym roku. Nosi ona tytuł odbijający echem słowa rzewnej piosenki ludowej: „Ja za wodą, ty za wodą". Jest to jakby dalszy ciąg powieści-panoramy „Ameryko! Ameryko!", ale wracają w niej również postaci z innych nowel naszej autorki. Czas postąpił tutaj naprzód. Polacy osiedli w Ameryce stają w obliczu jeszcze jednej konfrontacji — z Polakami przybywającymi z kraju. Najwidoczniej nie osłabło, nie wyczerpało się zaciekawienie, wrażliwość, wola utrwalania przemian w otaczającej rzeczywistości.

We wszystkich wymienionych książkach można również śledzić pogłębianie się samowiedzy artystycznej, doskonalenie rzemiosła, wzmaganie się siły wyrazu. We wszystkich uderza rys wskazany na początku. Operują one materiałem konkretnym, przenoszą do kompozycji artystycznej sposoby poznania naukowego: bogatą obserwację faktów, szczegółowy opis, ścisłą analizę, oparte na opisie i analizie uogólnienie przypadków występujących masowo lub ujęcie jednego przypadku indywidualnego.

Nie jest zatem dziwne, że w ostatnich latach u pani Mostwin zaznaczył się wyraźniej drugi tor działania — naukowy. Catholic University of America, w którym się uczyła, powołał ją jako assistant professor do uczenia w swojej szkole służby społecznej. Jednocześnie jest ona instruktorką w analogicznym oddziale John Hopkins Hospital w Baltimore. Ale i to nie jest wszystko. Pani Danuta odbyła dalsze, wyższe studia z zakresu opieki społecznej w Columbia University w Nowym Jorku. W tej chwili przygotowuje rozprawę doktorską, która przyniesie jej piękny, nieznany w Europie tytuł: D.S.W. — Doctor of Social Welfare (doktor opieki społecznej).

Temat obrany przez panią Danutę wynika logicznie, wiąże się konkretnie z całą jej dotychczasową działalnością praktyczną i pisarską. Brzmi on: *Transplanted Family — Adjustment of Polish Immigrants in the U.S. after the Second World War* co można by przełożyć w taki sposób: „Rodzina przeszczepiona na obcy grunt — Proces przystosowania się emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej".

Samo uzyskanie zgody na ten temat jest sukcesem. Nie możemy się żalić na nadmiar pozytywnego zainteresowania nami w tym kraju, choć nie zbywa na złej woli pochopnej do uprzedzeń, złośliwości i zniesławiania. Teza pani Mostwin, przygotowywana m.in. pod kierunkiem znakomitego antropologa prof. Margaret Maed, będzie naukowym, bezstronnym ujęciem problemu, którego się tu nie rozumie lub rozumie opacznie, będzie ważnym wkładem do ciągle tak ubogiej wiedzy o Polakach w Ameryce, o Amerykanach polskiego pochodzenia.

Temat, nad którym pracuje autorka „Ameryko! Ameryko!", obejmuje nas wszystkich. Leży w naszym zbiorowym interesie, żeby był opracowany jak najpełniej, najbardziej rzeczowo, najbardziej szczegółowo. Leży również w naszych możliwościach przyczynić się do tego bezpośrednio, nic nie kosztującym współdziałaniem. Prace socjologiczne, do których należy przedsięwzięcie pani Mostwin, opierają się na ankietach, na odpowiedziach metodycznie ułożonego kwestionariusza. Każdy kogo ten kwestionariusz dotyczy, powinien nań odpowiedzieć.

Tymon TERLECKI

Czytelnikom *Kultury*, którzy chcieliby odpowiedzieć na ten słuszny apel, podajemy adres Danuty Mostwin: 1300 Malvern Avenue, Baltimore, Maryland, 21204, U.S.A.

Z działalności organizacji kobiecych

KOMISJA POROZUMIEWAWCZA KOBIET POLSKICH

Zjazd Polek w Wielkiej Brytanii, odbyty w Londynie w dniach 21-22 lutego 1970 roku, podjął następującą uchwałę:

Zjazd uważa za pożądane, by organizacje kobiece, które wzięły udział w Komitecie Organizacyjnym Zjazdu oraz w miarę możności inne organizacje kobiece w dalszym ciągu podtrzymywały wzajemny kontakt i w razie potrzeby naradzały się nad bieżącymi zagadnieniami życia polskiego na obczyźnie, z uwzględnieniem roli i zadań kobiet polskich i ewentualnie zwoływały podobne zjazdy w przyszłości. Troskę o wykonanie tej uchwały powierza się Komitetowi Organizacyjnemu Zjazdu.

W myśl tej uchwały, z inicjatywy Komitetu Organizacyjnego Zjazdu odbywała się w dniu 27 kwietnia br., pod przewodnictwem dr Lidii Ciołkoszowej, konferencja przedstawicielek organizacji kobiecych.

Na konferencji uchwalono jednomyślnie powołanie do życia Komisji Porozumiewawczej Polskich Niepodległościowych Organizacji Kobiecych w Wielkiej Brytanii w celu zespolenia ich wysiłków w służbie dla sprawy polskiej. Przyjęte zasady współpracy podkreślają m.in. że wszystkie organizacje wchodzące w skład Komisji zachowują całkowitą swą niezależność. Komisja zaś ma charakter wyłącznie porozumiewawczy i koordynacyjny, nie stanowi żadnej organizacji ani nowej ani nadrzędnej. Uchwały o charakterze politycznym lub ideologicznym wymagać będą w Komisji jednomyślności, w innych sprawach obowiązywać ma zwykła zasada większości. W skład Komisji wchodzą: *a)* członkinie Komitetu Organizacyjnego Zjazdu; *b)* po dwie przedstawicielki organizacji, które należały do Komitetu Organizacyjnego Zjazdu; *c)* po dwie przedstawicielki innych organizacji kobiecych, które zgłoszą swoje uczestnictwo w Komisji i zostaną do niej przyjęte. Przewodnicząca Komisji Porozumiewawczej powoływana będzie w drodze rotacji przez plenarne zebranie Komisji na okres sześciu miesięcy; dla utrzymania zaś ciągłości prac, ustępująca przewodnicząca zostaje wiceprzewodniczącą na okres dalszych sześciu miesięcy. Komisja wybiera na rok dwie sekretarki i skarbniczkę oraz trzy ich zastępczynie.

Konferencja ustaliła plan pracy na najbliższy rok i wybrała prezydium w składzie: przewodnicząca — Jadwiga Hausnerowa (Zjednoczenie Polek); wiceprzewodnicząca — Anna Szczepanowska (Związek Katolickich Polskich Organizacji Kobiecych): sekretarki — Alicja Kaliniecka (Sekcja Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet) i Aniela Stepanowa (Zrzeszenie Nauczycielskie — Koło Londyn); zastępczynie sekretarek — Grażyna Moniakowa (Koło b. wychowanek Pitsford) i Hanna Czerniawska (Z.S.A.P.U.); skarbniczka — Teresa Affeltowiczowa (Kobiety — żołnierze AK), zastępczyni skarbniczki — Teresa Szadkowska (ZHP — chorągiew harcerek).

Komitet Organizacyjny Zjazdu przekazał nowopowstałej Komisji Porozumiewawczej wszystkie swoje czynności oraz pozostałe po Zjeździe fundusze, z przeznaczeniem na wydanie broszury sprawozdawczej ze Zjazdu.

Do Komisji porozumiewawczej weszło na razie 20 organizacji kobiecych w Wielkiej Brytanii, to jest o 6 więcej niż uczestniczyło w Komitecie Organizacyjnym Zjazdu, co już jest dobrą zapowiedzią na przyszłość. Prezydium Komisji prosi samodzielne polskie organizacje kobiece oraz sekcje kobiece poszczególnych organizacji społecznych, które do tej pory nie zgłosiły się do Komisji Porozumiewawczej, o nawiązanie z nią kontaktu w możliwie najbliższym czasie. Wspólnymi siłami osiągniemy lepsze wyniki pracy.

Adres Komisji Porozumiewawczej:
p. Alicja Kaliniecka, 14, Stanley Avenue, Wembley, Mddx.

UCHWAŁA

Komitet Organizacyjny Zjazdu Polek w Wielkiej Brytanii składa serdeczne podziękowanie rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, polskiej sekcji B.B.C. oraz pismom: *Dziennik Polski, Gazeta Niedzielna, Głos Kobiet, Jutro Polski, Kultura, Merkuriusz Polski, Nowy Świat, Orzeł Biały, Przegląd Powszechny, Rzeczpospolita Polska, Tydzień Polski* i *Wiadomości* za okazane zjazdowi życzliwość i poparcie, a to przez szerokie uwzględnienie wiadomości o zwołaniu zjazdu, sprawozdań z przebiegu obrad, uchwał, referatów, listów krytycznych i pochwalnych. Bez tego poparcia prasy polskiej na obczyźnie, pozytywne wyniki i osiągnięcia zjazdu nie mogłyby być udostępnione szerokim rzeszom społeczeństwa polskiego.

W tej zgodnie pozytywnej postawie prasy polskiej, jedyny wyjątek stanowi *Myśl Polska*, która w numerze z dn. 15 kwietnia br. zamieściła artykuł pt. „Uwagi o zjeździe Polek", napisany przez osobę czy osoby, które najwidoczniej w zjeździe udziału nie brały. Zawiera on obraz zjazdu nie odpowiadający faktycznemu przebiegowi obrad; polemizuje z faktami, których na zjeździe nie było; wysuwa nieuzasadnione zarzuty, mające przynieść ujmę Komitetowi Organizacyjnemu zjazdu czy też poszczególnym działaczkom, związanym ze zjazdem. Nie wdając się w ocenę politycznych poglądów autora czy autorów wymienionego artykułu, ani też wymienionego czasopisma, Komitet uważa, że artykuł ten nie jest wyrazem, bardzo zresztą pożądanej, rzeczowej krytyki w stosunku do zjazdu, lecz wyrazem złej woli.

Zjazd nasz odbywał się pod hasłem „Służymy sprawie polskiej", artykuł *Myśli Polskiej* dotyczący zjazdu Polek sprawie tej pożytku nie przynosi. Jesteśmy zmuszone wyrazić z tego powodu żal i ubolewanie.

Humor krajowy

Z uroczystości leninowskich w Polsce

— Co to jest SRUL?
— Stuletnia rocznica urodzin Lenina.

◆

— Jakie najważniejsze wydarzenie miało miejsce w r. 1888?
— Lenin ukończył 10 lat!

◆

— Dlaczego okręt „Aurora" już 52 lata pływa po morzu i nie może dobić do żadnego portu?
— Bo cała para idzie na gwizdanie...

◆

— Jaki jest najwyższy wymiar kary?
— Przedłużenie roku leninowskiego.

◆

Dyrektor fabryki zawiadamia Kowalskiego że został zwolniony z pracy.
— Za co? — pyta Kowalski? — Przecież nie tylko, że wziąłem udział w pochodzie, ale nawet niosłem cały czas Lenina.
— Tak, ale co niosłeś w drugiej ręce?
— Mojego pieska, małego jamnika — odpowiedział Kowalski.
— A co rzuciłeś, jak zawołałem: „Rzuć to bydlę"?

◆

W Warszawie mówią, że ze względu na niski poziom umysłowy tow. Wiesława postanowiono przeprowadzić na nim operację przeszczepienia mózgu. Niestety zabieg się nie udał: mózg nie przyjął Gomułki...

◆

Sprawozdanie z przemówienia tow. Gomułki

Ha, ha, ha — zaśmiał się na zakończenie Gomułka z pamięci...

◆

Szosą z Warszawy do Poznania zapycha „syrenka" a w niej cztery osoby. Nagle kierowca spostrzega, że jadący za nimi od dłuższego czasu wóz milicyjny wymija ich i zagradza im drogę. Przestraszony zatrzymuje się. Tymczasem milicjanci podchodzą z uśmiechem do kierowcy i mówią: „Jedziemy za wami dwie godziny i stwierdziliśmy, że prowadzicie wspaniale, nie zrobiliście ani jednego błędu, a zatem pozwolicie, że wręczymy wam dyplom doskonałego kierowcy i nagrodę w wysokości 1000 zł.".

Kierowca dziękując za wyróżnienie zwraca się do siedzącej obok żony:
— Widzisz, a nie mówiłem ci, jak się jedzie bez prawa jazdy to się dostaje nagrodę!

— Niech panowie nie zwracają uwagi na te głupstwa — woła przerażona żona do milicjantów — on jest na bańce. Już półtora litra wypił od rana...
— O co chodzi? — krzyczy siedząca z tyłu babcia. — Czy już wiedzą, że samochód jest kradziony?

Głośna rozmowa obudziła drzemiącego dotąd dziadka, który wysunął się do przodu i zapytał z uśmiechem:
— Co to? Już jesteśmy w NRD?

Zebrała Zofia HERTZ

Kronika kulturalna

Zepchnięta na margines

Dziesiątki przeróżnych muzycznych festiwali we wszystkich województwach Polski, Konkursy Chopinowskie i Warszawskie Jesienie, kilkanaście filharmonii i orkiestr symfonicznych, rozwinięta sieć ognisk i szkół muzycznych, amatorskie zespoły, wyższe uczelnie muzyczne, a w nich setki studentów, osiągnięcia twórcze i wykonawcze, muzyka na antenach radia i telewizji, akcje upowszechnieniowo-popularyzatorskie, opery i operetki, wprowadzenie do programów nauczania powszechnego obowiązkowego przedmiotu „wychowania muzycznego", najwyższe odznaczenia państwowe dla wybitnych muzyków — chciałoby się zawołać: oto raj dla muzyki i artystów! Niemal przytłoczony ową litanią osiągnięć, zdobyczy i planów, zadaję sobie czasem nieśmiało pytanie: jak to się dzieje, że w kraju, który szczyci się takim poziomem życia muzycznego i znakomitą jego organizacją, wysokim poziomem wykonawstwa, światowej klasy twórczością, jednocześnie tak kompromitująco nisko prezentuje się przeciętny poziom muzycznej kultury społeczeństwa? Dlaczego autorzy setek, a nawet tysięcy listów do muzycznych redakcji radia i telewizji, domagają się zredukowania ilości antenowych godzin poświęconych muzyce poważnej? Czym wytłumaczyć fakt, że nazwiska Karłowicza lub Szymanowskiego są dla większości Polaków pustymi, nic nie znaczącymi dźwiękami? Dlaczego podczas nawet bardzo atrakcyjnych repertuarowo i wykonawczo koncertów widownie świecą pustkami? Statystyki, wykazy, bilanse, cyfry — nie mogą przesłonić oczywistego faktu: muzyka w Polsce została zepchnięta do roli wąskiego marginesu. Czyżby cyfry kłamały?

Trzeba przyznać, że od lat z zadziwiającą konsekwencją starano się potencjalnemu melomanowi wpajać zły smak, że akcje koncertowe, których zadaniem miało być zdobycie nowego słuchacza organizowano pod hasłem faworyzowania tandety artystycznej, że muzykę podejrzanego autoramentu nobilitowano do rangi prawdziwej sztuki. Oczywiście czołową rolę w owym mu-

zycznym wulgaryzowaniu społeczeństwa odgrywały trybuny najpotężniejsze: Polskie Radio i Telewizja, kierowane przez jedną z najbardziej niebezpiecznych dla narodowej kultury osób — prezesa Sokorskiego. Cztery lata temu stwierdził on z anteny radiowej, że za dużo w radiu muzyki poważnej (i teatru!), że ilościowy stosunek sztuki przez duże S do rozrywki, należy radykalnie zweryfikować na korzyść tej ostatniej, że antena nie może służyć propagowaniu muzyki nie zrozumiałej dla „szerokich mas". W swoim przemówieniu były minister Kultury i Sztuki (!) powoływał się na życzenia abonentów, zasłaniał się wysoce demagogicznym argumentem, że środki masowego przekazu służyć mają ogółowi, nie jednostkom. Zaniepokojeni ekstrawagancją i oryginalnym rozumowaniem prezesa, polscy artyści muzycy wystosowali doń list otwarty, w którym bez ogródek stwierdzili: „obecna polityka PR jest na dłuższą metę społecznie szkodliwa, zaprzecza randze, jaką w całym świecie uzyskała polska twórczość muzyczna i polskie wykonawstwo, oraz deprecjonuje ogólny poziom kulturalny naszego narodu i społeczeństwa". Nie na wiele zdały się protesty muzyków i słowa poniektórych publicystów, którzy pisali, iż wręcz hańbiącym procederem jest zniżanie się do poziomu warstw społecznych o najniższych możliwościach percepcji, zamiast usiłowań zmierzających do podniesienia, podźwignięcia owego poziomu; nie pomogło specjalne zebranie sekcji krytyków we Wrocławiu — prezes okazał się człowiekiem o żelaznym charakterze i niezłomnych zasadach, zalał konsekwentnie radiosłuchaczy taką porcją muzyki najtańszego gatunku, że i tak niszczona innymi sposobami muzyczna wrażliwość radiosłuchaczy a tym samym ogromnej większości Polaków, stępiona została niemal doszczętnie. Toksyczne oddziaływanie radiowych programów muzycznych polega dziś nie tylko na zatrważającym stosunku czasowym, w jakim znajduje się upośledzona muzyka poważna do lekkiej, ich treścią jest przede wszystkim jakość emitowanej na antenie muzyki lekkiego gatunku. Niekończące się audycje muzyki ludowej (pseudo!), ckliwo-sentymentalne opracowania szlagierów, zespoły strasznych mandolinistów i harmonistów — oto według ideologii prezesa Sokorskiego najwłaściwsza strawa kulturalna dla „szerokich mas". Spośród licznych publicznych gaff redaktorów radia i telewizji rekordem nie do pobicia stała się zapowiedź radiowa, z której słuchacze dowiedzieli się, iż za chwilę słuchać będą pieśni M. Szalonego[1]! Ta anegdota mogąca stanowić ozdobę zbioru muzycznych osobliwości znakomicie ilustruje wiedzę i poziom ludzi, zajmujących się w radio i TV muzyką. Jeden z najwybitniejszych i najpoważniejszych krajowych publicystów muzycznych pisał przed ośmiu laty: „w radiu, telewizji, filmie i teatrach muzycznych działają ludzie, którzy poza tym nie mają nic wspólnego z muzyką. Ich zadaniem jest muzyczne wychowanie społeczeństwa, nie objętego sferą działal-

1. Chodzi oczywiście o Karola Szymanowskiego „Pieśni Muezzina Szalonego".

ności koncertowej. Z tego zadania nie są oni w stanie wywiązać się należycie, często bowiem nie mają po temu najmniejszych kwalifikacji". Śmiem twierdzić, że od ośmiu lat niewiele się zmieniło. Najboleśniejsze w tej całej farsie jest to, że potulny odbiorca owej papki kulturalnej serwowanej przez obrotnych, pozbawionych muzycznej wiedzy i poczucia odpowiedzialności panów, nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistej wartości artystycznych produktów, które każe mu się konsumować. Bo skąd niby ma wiedzieć? W praktyce nikt nie uczy, dlaczego Chopin jest bardziej wartościowy od akordeonistów Wesołowskiego, a sztuka Rubinsteina od — przepraszam za wyrażenie — Karin Stanek. Abonent radia i telewizji jest ogłupiały i otumaniony, jego naturalny zmysł estetyczny zniszczony został ze szczętem.

Być może, że statystyki nie kłamią. Istotnie wiele imprez muzycznych organizowanych jest w tzw. „terenie". Poziom owych koncertów jednak śmiało konkurować może z tym, co oferuje radio i TV. Nie wahałbym się określić owych imprez, których zadaniem i papierowym założeniem jest tłumaczenie istoty muzycznego przeżycia, mianem skandalu. Podobnie jak w radio, filmie, telewizji, i tu działają ludzie, dla których muzyka reprezentuje jeden jedynie walor — możliwość zarobienia niemałych jak na polskie stosunki pieniędzy. Tak zwani prelegenci towarzyszący każdej imprezie tego typu z bardzo prostej przyczyny nie są w stanie wywiązać się ze swego niezwykle ważnego przecież zadania. W przytłaczającej większości nie rozumieją oni bowiem czego od nich się wymaga, nie widzą różnic pomiędzy Chopinem, a Bachem, z jednakowym zapałem zachwalać potrafią pieśni Schumanna, co piosenki „Mazowsza". Poziom wykonawców-muzyków na ogół nie odbiega od poziomu słowa, poprzedzającego produkcje muzyczne. Ten niefrasobliwy stosunek do muzyki, którego źródłem jest kompletny brak kwalifikacji i poczucia odpowiedzialności, dominuje niestety nie tylko na estradach powiatowych. Ośmielę się twierdzić, że szkodliwa społecznie działalność podrzędnych prelegentów inspirowana jest wzorcami centralnymi. Klasycznym przykładem publicznej dezinformacji i kultywowania gustów à la Mniszkówna są oba krajowe festiwale piosenki: krajowy w Opolu i międzynarodowy w Sopocie. Prasowy zgiełk wokół tych imprez przekracza granice zdrowego rozsądku, a głosy kilku komentatorów wzywających do realniejszego spojrzenia na prawdziwą wartość demonstrowanej tam muzyki, toną w powodzi histerycznych zachwytów. Lecz nie tylko gazeciarscy sprawozdawcy grzeszą brakiem poczucia rzeczywistości. Zdarza się, że i osoby, którym z racji wykształcenia zawodowego i piastowanego stanowiska zależeć powinno na przywróceniu właściwej rangi muzyce dobrej, na wyjaśnieniu publiczności różnic pomiędzy estetycznymi wartościami i historycznym znaczeniem muzyki np. Lutosławskiego i „Czerwonych Gitar", bez zastanowienia do wspólnego kotła wrzucają wszystko, co podciągnąć się da pod pojęcie muzyka. Takim skrajnym przykładem pomieszania pojęć i nieodpowiedzialności było przemówienie

inaugurujące ostatni festiwal piosenki w Sopocie. Nie tylko zgromadzeni w Leśnej Operze słuchacze, ale również radiosłuchacze i telewidzowie całej Polski posłyszeli o „artystycznym święcie", „mistrzostwie wykonawczym", „wspaniałej muzyce", „doniosłym wydarzeniu kulturalnym, którego znaczenie przekracza granice kraju"; ze słów mówcy wynikało niedwuznacznie, że piosenkę uważa on za arcydzieło równe dokonaniom Mozarta lub Brahmsa, a piosenkarzy za wirtuozów klasy Horovitza lub Heifetza. Nie zaskoczyłoby mnie i to wystąpienie, gdyby nie osoba głównego bohatera — mówcy. Był nim bowiem ni mniej, ni więcej, tylko Rektor Wyższej Szkoły Muzycznej (!) na Wybrzeżu. Pomyślałem wówczas, że jeśli takie słowa wygłasza człowiek odpowiedzialny za przyszłe losy naszej kultury muzycznej, wychowawca pianistów, kompozytorów i dyrygentów, pedagog i propagator muzyki, to przyszłość polskiej sztuki dźwięków nie może napawać zbytnim optymizmem. Symptomatyczną rzeczą była reakcja, a właściwie jej brak, muzyków na głos Jego Magnificencji; przemówienie przeszło — jeśli nie liczyć dwóch głosów prasy — zupełnie bez echa. Lecz ciągle słyszy się z najbardziej oficjalnych trybun płynące frazesy o docenianiu i potrzebie doceniania wychowawczej roli muzyki, o dumie z osiągnięć naszych twórców i wykonawców. „Korzystanie z dóbr kulturalnych, to nie tylko przywilej, ale obowiązek obywatela, trudno bowiem sobie wyobrazić jego pełny, humanistyczny rozwój bez pełnej konsumpcji kulturalnej" — oto zapewnienia najbardziej oficjalne i miarodajne, wygłaszane z oficjalnych kazalnic Kongresu Kultury Polskiej i ostatniego Zjazdu Partii. Zabawne, a jednocześnie jakże przygnębiająco smutne pomieszanie materii.

Szeroki front antymuzycznej ofensywy objął oczywiście również najłatwiej dostępne szerokiemu odbiorcy środki masowego przekazu — prasę. Jestem gotów założyć się, że o wszystkich trzynastu „Warszawskich Jesieniach" łącznie, nie napisano tyle, ile o jednym Opolu, lub Sopocie. Nie chodzi zresztą o ilość, decyduje jakość tej „twórczej" działalności — pożal się Boże — recenzentów. Nie trudno zresztą sobie wyobrazić jej poziom, jeśli uświadomimy sobie, że w Polsce o muzyce pisać może w praktyce każdy, komu przyjdzie na to ochota, kto dysponuje odpowiednimi znajomościami w redakcjach, lub lepiej: na wyższych szczeblach biurokratycznej drabiny. Dwa najpopularniejsze warszawskie dzienniki, to *Trybuna Ludu* i *Życie Warszawy*, w pierwszym z nich publikuje swoje muzyczne spostrzeżenia osoba, która z muzyką tyle ma wspólnego, że o niej pisze, w drugim szaleje muzyczny ignorant, którego recenzje traktowane są często przez muzyków, jak osobliwe kompendium muzycznej anegdoty. Tak dzieje się w Stolicy, o prowincji lepiej w ogóle nie wspominać. Nic dziwnego, że gusty owych recenzentów skłaniają się w stronę gatunków najłatwiejszych, niewymagających tak rzetelnego profesjonalnego przygotowania, co muzyka poważna. Na pierwszych kolumnach dzienników przeczytać przeto można, co intelektualista Niemen sądzi o nowych prądach w muzyce młodzieżowej, lub

— powiedzmy — aleatoryzmie Cage'a, próżno natomiast szukać wzmianki o zagranicznych sukcesach kompozytorów, konkursowych przygotowaniach i osiągnięciach pianistów lub śpiewaków. Antymuzyczna ofensywa nie kończy się bowiem na totalnym ogłupianiu ludzi, jest to jedynie jej najbardziej rzucający się w oczy efekt, korzenie sięgają głębiej, podważają egzystencję garstki ludzi, bez istnienia których w ogóle nie można byłoby mówić o muzyce — muzyków.

Niedawno w jednym z najbardziej popularnych krajowych dzienników, wzięty publicysta począł ronić krokodyle łzy nad masowym exodusem naszych wybitnych artystów-muzyków. Narzekał, że są oni zbyt rzadkimi gośćmi krajowych estrad, że dokonywanie wyboru pomiędzy publicznością polską, a zagraniczną na korzyść tej ostatniej, jest co najmniej aktem niepatriotycznym, czarną niewdzięcznością. Nawoływał do powrotu polskich dyrygentów prowadzących zagraniczne orkiestry na podstawie długoletnich kontraktów, do obejmowania przez nich dyrekcji krajowych zespołów symfonicznych. Nie wiem, czy autor owych dość nieprzemyślanych słów zdawał sobie sprawę z warunków, jakie artyście-muzykowi oferuje ludowa ojczyzna?

Otrzymanie zagranicznego stypendium, podpisanie kontraktu z zagranicznym impresario na kilka choćby najgorzej płatnych koncertów, zawarcie stałej umowy o pracę z zagraniczną uczelnią muzyczną, operą, czy filharmonią — to szczyt marzeń nie tylko studentów PWSMów, czy młodych absolwentów, to szansa artystycznego rozwoju i finansowej niezależności dla muzyków dojrzałych, którzy dawno wykształcili swoje artystyczne oblicze. Zawód artysty-muzyka jest profesją trudną, wymaga stałych wyrzeczeń, ciągłości pracy nad doskonaleniem warsztatu i rozszerzaniem repertuaru. Najważniejszym bodaj — obok talentu — czynnikiem, gwarantującym estradowe sukcesy i ich ciągłość, jest specyficzna zdolność psychicznej koncentracji, która zrodzić się może jedynie w sprzyjającej atmosferze, w spokoju i systematyczności codziennej pracy. Nie wiem dokładnie ilu polskich artystów-muzyków pozwolić sobie może na luksus prowadzenia takiego trybu życia, jakiego wymaga ich zawód. Jest ich z pewnością bardzo niewielu. Reszta, a ta liczy setki, borykać się musi z kłopotami dnia powszedniego, użerać z administratorami krajowego życia muzycznego, zabiegać o audycje radiowe i koncerty na trzeciorzędnych estradach. Do garstki szczęśliwców zaliczają się ci, którym wrodzona przebiegłość, umiejętność załatwiania swoich spraw, specyficzna, nie przebierająca w środkach mentalność, znajomości, pozwalają żyć wyłącznie z grania, z estradowych produkcji. Zdecydowana większość, aby powiązać koniec z końcem, aby zapewnić sobie minimum egzystencji, swoje zainteresowania rozdrobnić musi na szereg drobnych muzycznych interesików i chałturek: uczenie w szkołach i ogniskach, chwytanie drobnych możliwości występowania na przeróżnych koncertach szkolnych, popularyzatorskich, granie w teatrach dramatycznych,

udział w zespołach rozrywkowych itd. itd. Owe zajęcia kradną czas, który powinien być przeznaczony na codzienną żmudną pracę warsztatową, doskonalenie i rozszerzanie repertuaru, wykoślawiają i zabijają indywidualność artystyczną, nieodwracalnie manierują mniej doświadczonych artystów.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że w Polsce z uczciwej, rzetelnie traktowanej działalności koncertowej utrzymać się niesposób. Honoraria, które oferuje się krajowym muzykom są bowiem tak śmiesznie niskie, że pełen podziwu jestem dla zapaleńców, którzy zamiast zabrać się do innej intratniejszej pracy, wierzą w siebie, swoją przyszłość i swoją sztukę — pracują za grosze jak woły. Opanowanie programu jednego pełnego recitalu, partii oratoryjnej, nauczenie koncertu z orkiestrą wymaga 3-6 miesięcznej wytężonej pracy, za którą instytucje zajmujące się organizacją koncertów oferują honorarium około 1000-1200 zł! Sytuacja nie byłaby tak tragiczna, gdyby można było ów raz nauczony program koncertowy wykorzystać kilkunastokrotnie, powtarzać go co tydzień w innym mieście. Jednak wbrew owej wielkiej statystycznej liczbie placówek muzycznych i sal koncertowych, możliwości grania w nich są nader nikłe. Artysta grający Beethovena lub Brahmsa jest ryzykiem, nigdy nie wiadomo, czy wystarczająca frekwencja słuchaczy zapewni wykonanie planu finansowego, lepiej zaprosić popularną piosenkarkę z zespołem młodzieżowych gitar... Jeden „poważny" koncert w miesiącu, to licząc przeciętnie, szczyt marzeń polskiego artysty-wirtuoza. Granie przed mikrofonami radia lub telewizji, to również praca nieomal „ideowa", bowiem i tu wynagrodzenia skalkulowano pod hasłem nie przewracania nikomu w głowie. Owe stawki, będące zmorą muzyków, zatwierdzono kilkanaście lat temu — już wówczas mówiono o ich nieżyciowej koncepcji i zdeaktualizowaniu! Muzyczne stawki, obowiązujące krajowych artystów w PRL są najniższymi w Europie (sprawdzałem), a prawdopodobnie w świecie!

Przepisy finansowe, polityka kulturalna, łaska administratorów faworyzują bowiem ludzi, których w większości nawet z uprzejmości nie można byłoby nazwać artystami. Przez długie lata deprawowano muzyczny smak społeczeństwa, wpajano mu starannie zasadę priorytetu muzy podkasanej, karmiono je tanią piosenką, ekliwą sentymentalnością, erzatzem muzyki firmowanym przez zespoły Rachonia czy Debicha, straszną, uszminkowaną z wielkomiejska pseudoludowością akordeonów Wesołowskiego i kapeli Dzierżanowskiego, młodzieżowymi gitarami — władcy kultury dumni powinni dziś być za swego dokonania: dziewięćdziesiąt kilka procent Polaków zamyka z obrzydzeniem radioodbiorniki słysząc dźwięki fortepianu lub skrzypiec. Wytworzono w ten sposób zadziwiającą koniunkturę dla ludzi, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi, talentowi i umiejętnościom, postanowili zrobić muzyczną „karierę". Przedsiębiorczy młodzi ludzie, po roku lub dwóch nauki, liźnięciu harmonii, zasad muzyki, czasem kontrapunktu, poczęli organizować zespoły takich samych jak oni niedouków, koncertować, uważać się za pełnoprawnych

muzyków — za artystów. Napisałem, że jeden koncert w miesiącu to typowa przeciętna krajowego solisty; piosenkarz takich koncertów, tak samo płatnych w miesiącu ma dziesięć, piętnaście, trzydzieści! Członkowie zespołów gitarowych w kułak śmieją się z konserwatoryjnych „frajerów", którzy ubzdurali sobie studiować aleatoryzm i punktualizm, i godziny całe tracą bezproduktywnie za klawiaturą fortepianu. Te fanaberie są dla głupców, bez niepotrzebnego i kłopotliwego balastu muzycznej wiedzy i tak mogą urosnąć do niezwykłych jak na PRL rozmiarów konta bankowe. A domorośli wykonawcy są przecież płotkami w polskiej dżungli rozrywkowego przemysłu. Świat rekinów, grubych ryb, to środowisko twórców muzyki rozrywkowej. To, że wielu z nich popełnia pisząc teksty piosenek błędy ortograficzne, że jedynie z trudem sklecić może na pięciolinii tzw. „prymkę" pozostawiając aranżację wykwalifikowanemu muzykowi, nie gra roli — oni weszli na rynek, oni dyktują jego prawa. Dzięki tantiemom płynącym z kas ZAIKSu, ich dochody roczne często sięgają abstrakcyjnej dla przeciętnego obywatela PRLu cyfry miliona. Każdy może zostać kompozytorem. Każdy, komu nie brak tupetu i znajomości. Kilka „upchniętych" po zaprzyjaźnionych zespołach melodii bo trudno nazwać „to" utworami, otwiera drogę do tantiem ZAIKSu, umożliwia i realną czyni perspektywę zawrotnych zarobków, sportowych samochodów, pełnomorskich jachtów, will w Zakopanem lub na Mazurach. W owej ponurej grotesce zadziwia bierność muzyków zrzeszonych w SPAM i ZKP, brak odruchów samoobrony. Prawem ścigani są znachorzy, na sądowy proces naraziłby się ktoś, kto bez zawodowych kwalifikacji usiłowałby wznieść dom, fabrykę lub most, aby zostać szewcem, lub fryzjerem złożyć należy egzamin mistrzowski — ochrona prawa nie obejmuje zawodu muzyka.

Na całym świecie istnieje większe zapotrzebowanie na muzykę rozrywkową, niż poważną. To zjawisko normalne. Jednak w żadnym z cywilizowanych krajów nie do pomyślenia byłoby oficjalne preferowanie i faworyzowanie artystycznej tandety i jawne dyskryminowanie prawdziwej sztuki. Powiedzieć należy bez ogródek: coraz wyraźniej zarysowuje się w kraju problem bezrobocia wśród artystów-muzyków. Tak zwane czynniki oficjalne zaprotestowałyby gwałtownie: bezrobocie? Dziesiątki wolnych posad czeka na absolwentów PWSMów w prowincjonalnych orkiestrach, szkołach, ogniskach muzycznych — to prawda. Kto jednak zgodzi się wyjechać do małego miasteczka, mieszkać kątem, nierzadko sypiać na prowizorycznym legowisku w gmachu szkoły (to wcale nieodosobnione przypadki), kto z ambitnych młodych ludzi zgodzi się na przekreślenie życiowych planów, na rezygnację z artystycznych projektów? Ośrodki prowincjonalne z ich organizacją artystycznego życia, z nędzą życiowych warunków — to grób kariery. W miastach większych istnieje — iluzoryczna co prawda — szansa wybicia się, zwrócenia na siebie uwagi. Iluzoryczna, ponieważ dyktatorzy życia koncertowego bardzo rzadko orientują się w prawdziwych umiejętnościach kołatających doń artystów.

Z reguły nie znają się na muzyce, a jeśli nawet, to wolą nie podejmować ryzyka lansowania nowego nazwiska — komu to potrzebne? Oto przyczyna, dla której w programach radiowych i telewizyjnych, repertuarach filharmonicznych czytamy ciągle, w kółko, do obrzydzenia nazwiska ludzi, którym kiedyś udało się zwrócić na siebie uwagę, którzy dysponują odpowiednimi znajomościami, którzy wiedzieli, jakich argumentów używać należy w rozmowach z przedstawicielami PAGARTu, dyrekcji orkiestr, teatrów muzycznych itd. Kiedy odwiedziłem kiedyś jedną z czołowych polskich artystek, pokazała mi ona przywieziony świeżo zza granicy wspaniały magnetofon Grundiga mówiąc: „to prezent dla p. X z PAGARTu, rozumiesz, od niego zależą moje dalsze wyjazdy koncertowe"! Korupcja, załatwianie interesów artystycznych na zasadzie wymiany grzeczności: „ja załatwię ci to, jeśli ty ułatwisz mi *tournée* koncertowe na Zachodzie", moralne szantaże, załatwianie spraw przez tzw. „bufet", a nierzadko łóżko — oto sposoby, którymi zagwarantować sobie można artystyczną karierę! Garstka ludzi postępujących w ten sposób zamyka automatycznie drogi rzeczywiście utalentowanym, lecz nieporadnym życiowo kolegom.

Posądzić mnie mógłby ktoś o to, że jestem zdeklarowanym wrogiem rock and rolla i piosenki — powiem otwarcie: lubię te gatunki. Różnica pomiędzy gitarową muzyką młodzieży, a „Pasją" Pendereckiego jest taka sama jak pomiędzy ilustrowanymi kolorowo tygodnikami, a poważną literaturą, lub Luwrem. Nieprawdą zaś jest to, co podczas repertuarowych konferencji usiłują wmówić artystom polscy dyktatorzy życia muzycznego, że ludzie nie chcą Luwru, że wolą Lengrena w *Przekroju*. Zasłanianie się argumentem społecznego zamówienia jest łatwym unikiem i trąci po trosze czystą demagogią. Dowodem zainteresowania społeczeństwa muzyką była podjęta przed kilku laty przez Bohdana Wodiczkę akcja koncertowa „Opera Viva". Obawiam się, że tłumy rozentuzjazmowanej akademickiej młodzieży walącej drzwiami i oknami na owe, niełatwe przecież, spektakle, miast cieszyć, niepokoiły partyjnych kacyków od muzyki. Wodiczko, to zresztą najlepszy przykład, jak tępi się muzyków, którzy zamiast posłuszeństwa demonstrują żywiołową, niepohamowaną pasję artystyczną.

Nonsensem byłoby udawadniać, że w kraju, gdzie państwo jest jedynym monopolistą i dyktatorem wszystkich dziedzin życia, rozsądnie uregulować można by sprawy muzyki, sztuki zdawałoby się stosunkowo bezpiecznej, bo abstrakcyjnej, z założenia apolitycznej. Być może, że w oczach wszystko wiedzących ekspertów z KC, zbyt długie ćwiczenie gam i pasaży, studiowanie partytur, aleatoryzm, bruityzm lub zgoła punktualizm, stanowią niebezpieczeństwo równe, co studiowanie filozofii lub ekonomii. Na wszelki wypadek należy być ostrożnym, lepiej niech naród słucha „Czerwono-Czarnych", lub „Skaldów"!

Jan KOWALSKI

Książki

Wolność dla Dobrowolskiego Stanisława Ryszarda

Dobry Żyd to martwy Żyd, aczkolwiek i po martwych niczego dobrego spodziewać się nie należy. Jako literacka podbudowa tej to ideologiczno-politycznej formuły ukazała się przed kilkoma miesiącami w wydawnictwie warszawskim „Czytelnik" powieść pt. „Głupia Sprawa" Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Ponieważ książka ta należy do rzędu utworów, których zwyczajnie ocenić i zrecenzować niesposób, poprzestańmy na możliwie wiernym i dokładnym jej streszczeniu, oceny pozostawiając Czytelnikowi. Metoda ta wydaje się zresztą słuszna także dlatego, że pierwsze wydanie tego *bestseller*'a (nakład: 10.280 egzemplarzy) zostało ponoć w Polsce rozchwytane w ciągu kilku dni; prasa, jeśli pominąć nieśmiały felieton „Polityki", zachowała dyskretne milczenie, a zatem nie należy skazywać szerokich rzesz publiczności czytelniczej na pełne niepewności oczekiwanie wznowienia.

Niejakie trudności z wyborem metody miał również, jak się wydaje, autor książki. Ponieważ Dobrowolski za pośrednictwem swego bohatera pozytywnego zapewnia czytelników, że „nie jest rasistą", „nie jest faszystą" i w ogóle „żadnym nacjonalistą", unika przeto wszelkiego generalnego potępiania Żydów polskich, którym utwór jego jest głównie poświęcony. Wręcz przeciwnie: dwie spośród jego żydowskich *dramatis personae*, bojownik Getta warszawskiego, Heitler, oraz stary stolarz Altman zostali nawet wyposażeni przez autora w cechy pozytywne.

Obydwaj już nie żyją. Krótko tylko na stronicach książki wspomniany Heitler został zabity przez Niemców, ponieważ stawiał im opór zbrojny. Bezpartyjny proletariusz i przekonany antysyjonista Altman nie stawiał Niemcom oporu i również został zabity. Wszyscy inni natomiast uczestnicy akcji powieściowej przeżyli okupację cało i zdrowo, dziś zaś, żyjąc na Zachodzie czy też w Polsce, są nieprzejednanymi wrogami tego kraju. Nawet syn klasowo uświadomionego stolarza, jak również jego wnuczka, nie stanowią wyjątku od tej reguły: obydwoje stają się prowodyrami rewizjonistycznych zamieszek wiosną 1968 roku, obydwoje

wołają o demokratyczne reformy, bądź też demagogicznie protestują przeciwko bratniej pomocy zbrojnej dla Czechosłowacji. Między tymi to obcymi Polsce, choć w Polsce żyjącymi, elementami krąży pozytywny bohater powieści, Cywiński, wyciągając z ich niecnego postępowania liczne wnioski natury ideologiczno-etycznej oraz politycznej.

Profesor doktor Zygmunt Cywiński, światowej sławy naukowiec w zakresie fizyki atomowej, syn maszynisty kolejowego ze Skierniewic oraz prostej patriotki polskiej, zmuszony jest w roku 1968, w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, państwie socjalistycznym i internacjonalistycznym, gorzko żałować dwóch czynów, które lekkomyślnie popełnił jeszcze w okresie okupacji. Pierwszym z nich była *Rassenschande*, drugim — ocalenie żydowskiego dziecka poprzez użyczenie mu swego aryjskiego nazwiska.

Wszystko zaczęło się od przedwojennej znajomości z dwiema młodymi paniami z bogatej żydowskiej rodziny Blauthów, „posiadaczkami solidnego pakietu papierów wartościowych", tudzież „dolarów i złotych rubli". Obydwie panie były jednakże nie tylko zamożne, lecz również niezwykle podłe i to zarówno pod względem politycznym, jak i moralnym. Na domiar obie one były bardzo nieobyczajne, co w przypadku jednej doprowadziło do nieślubnego dziecka, drugą zaś do tego przywiodło, że uczciwego Polaka uwiodła, do rzeczonej *Rassenschande* go zmuszając.

Ta druga pani to właśnie Maria (a tak naprawdę to Miriam) Blauth, „ciepła atrakcyjna wdówka" oraz „czystej krwi Żydówka", kobieta, jak powiedzieliśmy, o skłonnościach wysoce niemoralnych. Już przed wojną, kiedy to jeszcze należała do elity finansowej i towarzyskiej, zadawała sobie Maria Blauth wiele fatygi, by ubogiego lecz uczciwego katolika i przyszłego komunistę Cywińskiego zwabić w sidła rozpusty. Okazało się to jednak bynajmniej nie takie łatwe, jak to sobie przystojna i pełna tupetu Żydówka obmyśliła. Przez długi czas pozostawały jej podstępne wysiłki bez żadnego skutku: proponowała Cywińskiemu gotówkę (co bohater z oburzeniem odrzucił), płaciła za niego rachunki w luksusowych restauracjach (czego nie odrzucał), „wabiła go wężowym ruchem ręki", przemawiała doń „miękkim, jedwabnym głosem" (na który pozostawał obojętny), nawet „nuciła jedwabiście", razu pewnego posunęła się aż do tego, że „założyła nogę na nogę wysoko odsłaniając udo aż po podwiązkę".

Dumny aryjczyk trzymał się jednak twardo i jedyne ustępstwo, do jakiego dał się nakłonić, polegało na tym, że pozwalał bogatej Żydówce co pewien czas zapraszać się do lokalu przedwojennej kategorii „S", gdyż do dobrego koniaku rzeczywiście odczuwał pewną słabość. Wprawdzie niekiedy „ukradkiem coraz to popatrywał na jej wyciągnięte przed fotelem, długie, kształtne nogi, na zarys bioder opiętych ściśle przylegającą do nich czarną połyskliwą tkaniną sukni, na maleńkie strome piersi, jak gdyby usiłujące wydrzeć się spod stanika" — ale się trzymał aczkolwiek jego „zainteresowanie rosło jak dogotowujące się mleko na ostrym ogniu".

Uległ student cnotliwy dopiero pewnego dnia zimowego, już w okresie okupacji, kiedy to natarczywa Żydówka odwiedziła go w jego skromnej kawalerskiej izdebce. Jednakże *post coitum* posmutniał i syknął „ścierwo", swą obcoplemienną kochankę na myśli mając.

Był to też pierwszy i ostatni tego rodzaju lekkomyślny upadek bohatera. Następną możliwość stoczenia się na dno poprzedził — i zastąpił — następujący dialog:

„— Co, a teraz... a teraz nie chcesz?
— Nie, nie mogę.
— Szkoda — przeciągnęła się jak kotka.
— Nie mogę, choć bym chciał".

Ale poza wszystkim nie chciał i miał po temu dostateczne powody. Żydówka mianowicie, jak zresztą wszyscy prawie ludzie jej rasy, była niezwykle wyrachowana, stale myślała tylko o własnych korzyściach, bliźnimi natomiast, jeżeli nie miała do nich aktualnie interesu, zwyczajnie pomiatała. Gdy ona i jej szwagierka po wkroczeniu Niemców do Warszawy znalazły się w niebezpieczeństwie, bezzwłocznie oddaliły starą, wierną pomocnicę domową („ponieważ zbyt wiele o nas wiedziała"), by na jej miejsce przyjąć nową. Po to, żeby pomimo obowiązujących już podówczas ustaw rasowych móc zatrzymać swoje komfortowe mieszkanie, zaproponowały obie Żydówki aryjczykowi Cywińskiemu jedną izbę wraz z wiktem i opierunkiem, z czego ten zresztą zgodził się korzystać jedynie z przerwami.

Poza tym była Maria Blauth odrażającą kosmoplityczną cyniczką. „Dosyć tego dobrego. Nie będzie się pan tylko zamartwiał upadkiem ojczyzny, panie Zygmuncie — orzekła wobec powściągliwości, z jaką Cywiński przyjął propozycję wspólnego z nią udania się do knajpy w „Prudentialu". — Pan mnie nie zna? Ja stawiam. No?..." W owym „Prudentialu" zasię była Blauthowa, jak zresztą wielu Żydów w okupowanej Warszawie, stałym gościem i tam to zwykła była poić niedoświadczonego studenta importowym koniakiem marki „Napoleon".

Owo bogactwo żydowskie i przepych były jeszcze jednym faktem, który autora i jego bohatera do głębi oburzał. Na ulicach warszawskiego getta, dokąd zaniósł pewnego razu na prośbę polskiej organizacji podziemnej pistolet dla żydowskich powstańców, widział Cywiński „eleganckie damy w kosztownych futrach oraz zażywnych, nie mniej wytwornych panów". „Jemy nie z głodu" — informowała go Maria Blauth, gdy ją pewnego dnia odwiedził w getcie. Cóż, pewne niewygody okupacja hitlerowska niewątpliwie także Żydom przyniosła: „Żyje nam się wprawdzie już nie tak, jak pierwej — stwierdziła poważnie Maria — ale nie możemy szczególnie narzekać. Musimy tylko teraz być ostrożniejsze, mniej włóczyć się po mieście, a zwłaszcza po lokalach — dorzuciła z leciutkim odcieniem żalu". Nawet na koncerty symfoniczne uczęszczali Żydzi w getcie. Po jednej z takich imprez zwierzyła się Blauthowa Cywińskiemu, że ona sama naj-

chętniej wytrułaby swoich współwyznawców, tych uboższych oczywiście, „jak szczury". Tylko jej własne wygody i bogactwo mają dla niej jakiekolwiek znaczenie.

Owo niesłychane bogactwo żydowskie mógł ubogi student Cywiński obserwować, gdy pewnego dnia, podczas okupacji, kiedy to rodowici Polacy, jak również — co autor lojalnie przyznaje — proletariusze żydowscy, przymierali głodem, został wraz ze swoją przybyłą ze Skierniewic matką zaproszony na przyjęcie świąteczne do domu pań Blauth. W pełnym drogocennych mebli i innych kosztownych przedmiotów pokoju siedzą tłuści Żydzi oraz obwieszone biżuterią Żydówki, jedzą pieczone indyki tudzież inne smakołyki, spłukują je drogimi winami z importu, upijają się koniakiem i „szampitrem", przy czym pozwalają się obsługiwać przez aryjskie pracownice najemne, dla których przeznaczone są resztki na talerzach, i cmokają nad rozkładową literaturą żydowską. Wprawdzie okazuje się, że towarzystwo „można bez obawy popełnienia błędu nazwać mieszanym nie tylko z powodu tego, że składa się z kobiet i mężczyzn", czyli że w uczcie biorą udział także aryjczycy, ale cóż to za szumowiny moralne! Oto na przykład jeden z tego pokroju gości „z zaciekłym uporem znęca się nad Przybosiem, przeciwstawiając mu Peipera i Sterna jako papieży awangardy", inny — na szczęście już nie aryjczyk — „chwyta pod obrusem za kolano dziewczynę, ma się rozumieć katolicką. Po deserze nadchodzi kolej na większe jeszcze bezeceństwa, w trakcie których opasły Żyd nazwiskiem Rosenbaum dokonuje brutalnie gwałtu na młodej i niewinnej chrześcijańskiej służącej. Niezbędną w tym celu potencję seksualną bezwstydnik posiada, gdyż: „Ostatnią bułkę, jaka będzie w Warszawie, to ja zjem" — powiada. Zaś okryte hańbą dziewczę bezwzględne panie Blauth wyrzucają z pracy.

Autor powieści, dotychczas publiczności polskiej znany głównie jako twórca patriotycznych piosenek, w przesłanym do „Czytelnika" wstępie czy też projekcie obwoluty, z którego wydawnictwo niestety nie skorzystało, przedstawił sam siebie jako „najwybitniejszego współczesnego poetę polskiego". Ponieważ zaś, jak wiadomo, *noblesse oblige*, przeto stara się Dobrowolski być sprawiedliwym nawet wobec najczarniejszych charakterów swojej powieści. Nawet szwagierka Marii Blauth, doktor fizyki, Helena Blauth, dorabia się, choć szpetna, nieślubnego dziecka.

Dziecko to, dziewczynka imieniem Małgorzata, przysporzy przyszłemu członkowi partii Cywińskiemu nie byle jakich kłopotów. Otóż proszę uważać. Po to, by hitlerowcy nie posłali małej, z tytułu jej żydowskiego pochodzenia — jako że nieślubnym ojcem był wzmiankowany gwałciciel Rozenbaum — do komory gazowej, obydwie panie Blauth zwracają się do Cywińskiego z prośbą, żeby użyczył dziewczynce swojego nazwiska. Ten zaproszony przez, równie jak jej rozpustna szwagierka wyrachowaną, Helenę Blauth do luksusowej restauracji i już znowu poddany działaniu koniaku, w pierwszej chwili odrzuca propozycję — „nie handluję nazwiskiem mojej rodziny!" — woła dumnie, ale zaraz po tym ulega i to za darmo, gdyż jest człowiekiem i ma dobre serce.

I to właśnie jest ową „głupią sprawą", która posłużyła Dobrowolskiemu za tytuł powieści i z powodu której jego bohaterowi, już jako „naukowcowi światowej sławy" i w ogóle „uczonemu i mądremu człowiekowi" wypadnie w przyszłości, w socjalistycznej Polsce, robić sobie gorzkie wyrzuty.

„Pisał zawsze — w życiorysie dla Instytutu też, ba! gdy przyjmowano go w 1957 roku do partii, również — że nie ma dzieci i w ogóle żadnej rodziny za granicą. A tymczasem „córeczka", na pół Żydówka, w Paryżu — to co? To pies? Jakaś pani Mazin, licho wie za kogo wydana — i do tego jeszcze... z kim? Z syjonistką, doktorem fizyki, zatrudnioną we Francji. Boże jedyny!" Przecież on z tą syjonistką przez lata całe utrzymywał rozmaite stosunki — korespondencyjne i nie tylko korespondencyjne..." Teraz z powodu swego wówczas okazanego dobrego serca będzie towarzysz profesor narażony na duże przykrości ze strony dbającej o czystość rasową partii...

Gotowość do niesienia pomocy zagrożonym Żydom w ogóle nie wyszła bohaterowi powieści na dobre. Syn stolarza Altmana, który w czasie okupacji zdołał wyleczyć się z gruźlicy jedynie dzięki pieniądzom podarowanym Cywińskiemu przez Marię Blauth, okazał się niewdzięcznikiem: teraz, wiosną 1968, ów — jak go określa autor — „wolontariusz polskiego patriotyzmu", „pryskając śliną" prawi o wolności i demokracji, ditto jego córka, którą bohater powieści poznaje na zebraniu studenckim. Na szczęście światowej sławy naukowcowi udaje się bardzo szybko uspokoić studentów, podjudzonych przez czarnowłosych prowodyrów, bo łatwo znajduje z nimi wspólny język. „W tym sęk, a w sęku dziura" — powiada, „kawa na ławę" — powiada, słowem — powiada — „robi z nich polityczno-moralne jajko na miękko", gdyż w odróżnieniu od nich dysponuje argumentami: „Nie bądźcie naiwni, przyjaciele i nie dajcie się bujać, panowie szlachta Polski Ludowej! Czyż sądzicie, że władza ludowa nie poradziłaby sobie ze studentami, gdyby leżało w jej intencjach, o co pomawianie jej jest brednią, likwidowanie praw obywatela?... Przyjrzyjcie się Hiszpanii".

Także owa ongiś przez bohatera tak lekkomyślnie popełniona *Rassenschande* przyniesie mu w przyszłości rozliczne zgryzoty. Perfidna uwodzicielka, Maria Blauth, wyjdzie za mąż za bogatego dewizowego Żyda i wyjedzie wraz z nim do słonecznej Italii, gdzie — w San Michele, oczywiście — zamieszka w luksusowej willi. Stąd będzie nękała polskiego naukowca otwartymi pocztówkami z widoczkiem oraz z płomienną agitacją, by czym prędzej zdradził swą ojczyznę ludową i przybył w objęcia byłej kochanki. Również jej szwagierka, dr Helena Blauth wyemigruje — i to nie czekając na Apel Władysława Gomułki z „Pałacu Kultury" — do Francji, gdzie zajmować się będzie problemami fizyki atomowej, tak samo jak jej — na papierze zaś także prof. Cywińskiego — córka, „uzdolniona chemo-fizyczka". Obydwie panie jako na-

miętne, bo jakże by inaczej, syjonistki natychmiast po wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie postanowiają przenieść się do Izraela, gdzie z miejsca przystępują do produkowania bomb atomowych oraz rakiet. W bezwstydnych listach („Czymże w gruncie rzeczy są poglądy polityczne? Tym samym, co i strój. Można je zmieniać".) obie syjonistki usiłują swego byłego dobroczyńcę przekonać, że powinien nie zwlekając sprzedać Polskę Ludową oraz jej atomowe tajemnice Izraelowi, temu samemu państwu, w którego sztabie generalnym służy obecnie były gwałciciel służących, pułkownik Ralf Rosenbaum. Jak dawniej gwałcił, tak teraz zabija, tylko nazwisko zmienił, Ben Asafarim się obecnie nazywa.

W tym miejscu nadmienić warto, że autor powieści nazwiska wprawdzie nie zmienił, zmienił natomiast co nieco swe poglądy, przynajmniej te przeznaczone do publikacji. Oto w wydanej lat temu siedem w NRD antologii, pod nazwiskiem Stanisław Jerzy Dobrowolski znajdujemy gustowny wierszyk pt. „Nie było dzwonka na przerwę"[1], w którym poeta ciska gromy na tych, „co pod mury Syjonu dynamit podkładają", porównując ich z „oprawcami Madrytu, Walencji i Barcelony".

W tym czasie jednak prof. Cywiński bohater pozytywny jego upartyjnionej powieści, zdołał się szczęśliwie zaręczyć z pewną wojskową i bardzo partyjną lekarką, której w chwili miłosnego uniesienia tak oto zwierza się na tematy sercologiczno-ideologiczne:

„— Zgoda? Nie, nie ma zgody pomiędzy Cywińskim i krwią Blauthów, Ben Asafarimów czy, diabeł wie, czyją tam! Nie moja rzecz. I nie o krew, nie o *Blut und Boden* tu idzie, bom ja nie rasista, nie... narodowy socjalista w izraelskim wydaniu, nie polski ani żydowski, ani jakiejkolwiek innej maści faszysta. Ale idzie o zlikwidowanie tej i wszystkich innych głupich spraw, które mącą nam życie".

By zamącone swe życie doprowadzić do porządku, zamierza towarzysz profesor odwołać się do praworządności socjalistycznej:

„— Mogę się zgłosić do prokuratury z dowodami lub świadkami... z osobami, a przynajmniej z jedną osobą, która mogłaby świadczyć, żem to zrobił dla ocalenia dziecka, które dzisiaj wraz z matką będzie pracować nad... skonstruowaniem bomby nuklearnej... Cóż za małpi grymas losu! Cóż za szatański paradoks! One będą pracowały, ta moja 'córka' razem ze swoją matką i swoim rzeczywistym ojcem, nad tym, by unicestwić ciebie, mnie i mnie podobnych. W imię czego?!"

Nie samopas zamierzają Żydzi te przestępcze zamiary urzeczywistnić, do spółki z Niemcami będą je realizować, przy czym ta żydowsko-niemiecka współpraca datuje się jeszcze z czasów getta warszawskiego:

„I niemieccy, i żydowscy — w jednej służbie, w służbie Himmlera — policjanci nosili takie same pejcze, z tą tylko funkcjonalną ich różnicą, że

1. Nie dysponując, niestety, oryginałem polskim zmuszeni jesteśmy przytoczone cytaty tłumaczyć z niemieckiego przekładu.

niemieccy 'stróże nowego porządku europejskiego' mieli prawo do woli siec żydowskich cerberów ładu w getcie, a żydowscy mogli tylko kłaniać się w pas reprezentantom narodu panów i znęcać się nad swoimi rodakami, którym także przez wieki się śniło, że należą do wybranego narodu".

Współpraca ta oczywiście opierała się na wzajemnych świadczeniach:

„W bramy żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej wjeżdżały ciężarowe samochody, otulone brezentem, uginające się od towaru, z zaopatrzeniem dla żydowskiej nędzy. Jeszcze częściej — to nie było tajemnicą dla wścibskich warszawiaków — z półlegalnym, na dobry ład, przemytem dla 'arystokracji' getta, dostarczanym ogromnymi samochodami *SS und Sicherheitspolizei* na 'tamtą stronę' za grube dolary i inne walory, za biżuterię!"

Obecnie, po trzydziestu latach, współpraca na linii Bonn-Tel-Aviv rozwija się na pełnych obrotach. Dobrowolski, jak zawsze obiektywny, potępia za to obydwie strony. Jego bohater, prof. Cywiński, który w blisko 300-stronicowej, obfitującej w dialogi powieści musi się niestety ograniczyć do skromnego zasobu słów samego autora, czy do słownictwa, powiedzmy, skierniewickiego kelnera, jest jednak zarazem „człowiekiem uczonym" i systematycznie studiuje prasę światową, również tę z Zachodu. Dzięki temu wie dokładnie, że izraelskimi przygotowaniami do zrzucenia bomby atomowej na Skierniewice kieruje „pięćdziesięciu zachodnioniemieckich naukowców i czterystu ekspertów od uzbrojenia". Oczyma socrealistycznej wyobraźni widzi Stanisław Ryszard, jak tabuny dzikich Żydów z nadjordańskich kibuców, po społu z Niemcami zachodnimi i Amerykanami, maszerują w kierunku Płońska:

„Toć nie skąd inąd, lecz właśnie z Płońska pochodzi Ben Gurion, wysoki protektor owych 'uczonych', były premier i mąż opatrznościowy Izraela, wierny sojusznik amerykańskich zbrodniarzy i neonazistowskich amatorów włączenia na nowo Płońska, Baboszewa i okolic do wielkiej tysiącletniej Rzeszy — do Rejchu".

Tę, przeciwko Płońskowi, Baboszewowi i okolicom, jak również przeciwko M. Kopernikowi i W. Stwoszowi skierowaną zbrodniczą współpracę żydowsko-niemiecką zdemaskował czujny poeta Dobrowolski również w wydarzeniach kontrrewolucji czechosłowackiej. Podczas swego pobytu w Pradze spotyka się Cywiński z tamtejszym dziennikarzem-rewizjonistą Lindem, pochodzenia widać żydowskego, który zdejmuje przed nim maskę i ujawnia swe niecne antypolskie oblicze:

„Ano... u was to zawsze tak. Wszystko jest polskie. Wszystko. I Veith Stoss jest Polakiem. I Copernicus. I Corazzi".

Gdy zaś syn dobrego, zabitego stolarza, rewizjonista Altman, uskarża się Cywińskiemu, że Polska poprzez swój udział w inwazji Czechosłowacji stała się „żandarmem Europy", otrzymuje z miejsca godną odpowiedź:

„Jeśli miałbym być po raz trzeci okupowany, ja i... ty, i wszyscy moi bliscy, my wszyscy... no, to już wolę w twoich oczach i w oczach jak ty myślących być 'okupantem' ".

Niebezpieczeństwo kolejnej okupacji Polski udało się jednak, dzięki mądrej polityce emigracyjnej Partii i Rządu, szczęśliwie zażegnać i autorowi pozostaje jedynie w drodze retrospekcji, na której zresztą cała jego powieść została oparta, wykazać, iż owo tak operatywnie zlikwidowane zagrożenie Baboszewa zaczęło się od nie czego innego, jak tylko od demagogicznego, rozkładowego wołania o wolność. Nie jest przy tym, broń Boże, gołosłowny, przytacza cytaty, m.in. z organu czechosłowackich związków zawodowych „Prace":

„Elementem socjalizmu jest wszechstronna wolność jednostki ludzkiej, dotycząca nie tylko wolności słowa, zgromadzeń, zrzeszania się, lecz także wolności indywidualnego samowyrażania i rozwoju. [...] Kryterium socjalizmu jest poszczególna jednostka, a nie władza społecznej całości nad społeczeństwem ludzkim. [...] Swobodna praktyka prowadzić będzie także do swobody ducha. Teologowie znów będą teologami, idealiści — idealistami, moraliści — moralistami, marksiści — marksistami. Każdy będzie nosił własną odzież i zniknie konieczność niegodnej, błazeńskiej zmiany szat ideologicznych".

W tym kontekście może Dobrowolski, którego „wolność indywidualnego samowyrażania" nigdy w Polsce powojennej nie była ograniczana, powołać się na swój własny artykuł prasowy jeszcze z roku 1947, w którym pod odkrywczym tytułem „Wolność, ale jaka?" pisał co następuje:

„Wolność — owszem, ale jaka i dla kogo, i kiedy?... Wolność dla miłujących swobodę, dla wszystkich, ale nie dla jej wrogów"...

„Nie całkiem głupi facet" — powiada teraz ustami bohatera Dobrowolski o Dobrowolskim. — „I pomyśleć, że to było napisane tyle lat temu, a dzisiaj pasuje do wszystkiego".

Jak ulał.

Leon SZULCZYŃSKI

Rustaweli w wersji Jerzego Zagórskiego

„Wepchis Tkaosani" — wielka epopea gruzińskiego poety narodowego, Szoty Rustawelego, nie doczekała się po dziś dzień pełnego przekładu na język polski. Trud to byłby niemały, nie

tylko ze względu na rozmiary — około siedmiu tysięcy wierszy — lecz także na specyficzne cechy poematu. Przed wojną ukazał się w kwartalniku „Wschód" przekład drobnego fragmentu pióra raczej amatorskiego (niestety, nie pamiętam nazwiska), nieco później, w 750-tą rocznicę urodzin wielkiego Gruzina, Julian Tuwim przełożył Wstęp, a po wojnie zapowiadał podjęcie pracy nad całością. Obietnicy nie spełnił, być może, na skutek przedwczesnej śmierci.

Niżej podpisany ogłosił w dwutygodniku *Myśl Polska* własną wersję Wstępu i miał w chwili wybuchu wojny przekład dość zaawansowany. W roku 1960 ukazało się „spolszczenie"[1] całości Igora Sikiryckiego, dokonane na podstawie rosyjskiego, wierszowanego skrótu „dla młodzieży", Zabołockiego. Próba raczej poroniona, bo dzisiejsza młodzież takich rzeczy nie czytuje, zaś wartości poetyckie uległy w owym skrócie redukcji, żeby nie powiedzieć — likwidacji.

W roku 1966 ukazała się pięknie wydana książka: „Szota Rustaweli — Wiciądz w tygrysiej skórze. — Przekłady fragmentów, trawestacje i słowo wiążące Jerzego Zagórskiego". Właśnie ta książka jest tematem niniejszego omówienia.

Od razu wolno zakwestionować polski przekład tytułu. Ale jak byłoby najściślej? W oryginale chodzi o skórę *barsa*, dzikiego kaukaskiego kota, bliższego rozmiarami rysiowi, niż tygrysowi. *Bars* w rosyjszczyźnie zdobył prawo obywatelstwa, głównie dzięki poematowi Lermontowa, „Mcyri", natomiast w polszczyźnie nie istnieje. Stąd Zagórski zastąpił go tygrysem.

„Wiciądz"? „Użyłem — wyjaśnia tłumacz — terminu 'wiciądz', a nie 'witeź', idąc za Brücknerem, własnym wyczuciem, a także dla odróżnienia od innych prac na tym polu". Inni przekładali po prostu „Człowiek w tygrysiej skórze". Człowiek, rycerz, witeź, wiciądz — nie spierajmy się! Mniejsza o tytuł, zajrzyjmy do szkatuły.

W przedmowie Zagórski wyjaśnia, jak doszło do tego osobliwego przekładu. Inicjatywa wyszła od Mieczysława Kotlarczyka, dyrektora Teatru Rapsodycznego w Krakowie. „Miałem mu dostarczyć coś w rodzaju półfabrykatu dla jego dramaturgicznego opracowania. Szło mu o powiązane już w logiczną teatralnie całość, ale tylko fragmenty, bo przecież cała epopea musiałaby zająć z pięćdziesiąt godzin gry. Tymczasem uroki dzieła stwarzały pokusę dokładnego przekładu, a nie tylko poetyckiego streszczenia...".

Tak więc są to fragmenty poematu, przeważnie wiernie przełożone, a towarzyszą im wierszowane trawestacje, wszystko zaś połączone jest w całość „słowem wiążącym", prozą. O wyborze takiego kształtu zadecydowały wymagania teatralne.

Właściwy przekład obejmuje przeszło dwieście czterowierszowych zwrotek, to znaczy mniej więcej jedną siódmą poematu.

1. K. W. Zawodziński mocno zżymał się na to określenie — „spolszczenie". Chyba miał rację. Przekład, tłumaczenie — to wyłącznie właściwe terminy.

Zagórski zwierza się w zakończeniu przedmowy, że zamierza swoją pracę kontynuować. „Przeszkodą dla mnie — pisze — w przełożeniu całego eposu był dotychczas brak środków na poświęcenie się tej pracy wyłącznie. Jednak w miarę możności krok po kroku posuwam się w głąb puszczy...". Tę obietnicę ponawia pięknym wierszem na ostatniej stronie książki:

Już mija ósme stulecie, jak góra powtarza górze
opowieść Rustawelego „Wiciądz w tygrysiej skórze".
Część płatków z niej odchyliłem. Zamiaru jeszcze nie burzę,
by kiedyś całą odwinąć, jak wielolistną różę.

◆

Rytmika wiersza gruzińskiego jest inna niż polskiego, stąd każdy tłumacz musi natrafić na poważne trudności. Zagórski spowiada się w przedmowie z tych trudności, stwierdzając słusznie, że „nasza mowa stawia opór *daktylom* i *anapestom*, i kiedy chce się wywołać pokrewny efekt, przyzywa się na pomoc *amfibrachy*, które nie tylko że leżą naturalnie w naszym języku, ale także wiążą się w nim świetnie z *trochejami* w płynne układy chorejowo-daktyliczne".

Zagórski wybrał więc jako najbardziej zbliżony do oryginału tzw. „polski pseudoheksametr" — sześcioakcentowy szesnastozgłoskowiec ze średniówką. Kiedyś zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby wybrać mickiewiczowski heksametr z „Opowieści wajdeloty", tak pięknie po latach zastosowany przez Norwida w „Rapsodzie żałobnym": „Dokąd cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz...". Tu także mamy kombinację trochejów z amfibrachami, ale w nieco innym układzie, mnej rygorystycznym. Ale to już kwestia osobistego upodobania. Wybór Zagórskiego jest jednym z dwóch możliwych, więc nie zgłaszam żadnych obiekcji.

Za to mam wątpliwości, czy tłumacz postąpił słusznie, zachowując poczwórny rym w każdej zwrotce. Poeci Wschodu lubowali się w wielokrotnym powtarzaniu tego samego rymu, typowa *gazela* perska oparta jest na jednej tylko końcówce na obszarze całego utworu, niezależnie od jego rozmiarów.

Polska prozodia takich form nie zna. Poczwórne rymy istnieją w klasycznym sonecie, ale są przeplatane innym rymem, więc nie ma tak daleko posuniętej monotonii. A najważniejsze, że sonet to miniatura, a nie potężny rozmiarami tom. Zagórski nagiął się wiernie i bezkompromisowo do oryginału: a a a a. Tuwim zastosował dwa rymy: a b b a; ja — rymy parzyste: a a b b. Konstantin Balmont stworzył zupełnie nową strofę, wersyfikacyjnie nie mającą nic wspólnego z oryginałem, natomiast dwaj późniejsi tłumacze na rosyjski, Petrenko i Nucubidze, poszli tą samą drogą co Zagórski.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem bezwzględnego szanowania wersyfikacji tłumaczonego autora, ale i od tej zasady muszą być odstępstwa. Poczwórny rym, powtarzający się w tysiącu siedmiuset zwrotkach, jest dla ucha polskiego trudny do zniesienia. Ktoś nawet oktawę nazwał „trzepaczką", a przecież mamy w niej dwie pary tylko potrójnych rymów, przy czym oddzielonych od siebie. Więc może właściwsze byłoby kompromisowe odejście od oryginału.

Analogicznie, Maksym Rylskyj w swoim kongenialnym przekładzie „Pana Tadeusza" wprowadził rymy męskie na zmianę z żeńskimi, czego nie zna mickiewiczowskie arcydzieło; poetyka ukraińska toleruje wyłączne żeńskie rymy w krótszym utworze, ale nie w ogromnym poemacie. I odwrotnie — tłumacze polscy z poezji ukraińskiej i rosyjskiej z konieczności redukują do minimum rymy męskie. Każda mowa ma swoje suwerenne prawa.

Zagórski zdecydował się na drogę najtrudniejszą. „W narodową ją przybrałem szatę czwórrymowych wierszy..." — czytamy we Wstępie do „Wepchis Tkaosani". Tę gruzińską „narodową szatę" wolno było nieco przerobić na polski krój. A tak spiętrzyły się niesamowite trudności. Że tłumacz często pokonał je w brawurowy sposób, świadczy zarówno o znakomitej technice, jak o włożonym wysiłku. Ale nie obeszło się, nie mogło się obejść i bez poważnych potknięć. Gdy Zagórski nie chciał — z pełną racją! — naginać treści do tego poczwórnego rymu, tu i ówdzie poszedł na zbyt oddalone asonanse, niekiedy wpadające w dysonans: mroczniejsza-rumieńca, uwielbi-niezmierny, blisko-przyszłaś... Kiedy indziej, odwrotnie, ceną stały się rymy prymitywne.

Tego wszystkiego można było uniknąć, rezygnując z poczwórnego rymu. Było jeszcze inne wyjście. Rustaweli lubuje się w aliteracjach, niezmiernie trudnych do oddania, zwłaszcza, gdy się jest skrępowanym tą poczwórną uździenicą rymów. Uproszczenie wersyfikacyjne ułatwiłoby choćby oszczędne wprowadzenie rymów wewnętrznych, czyli ustrzelenie dwóch ptaków jednocześnie: złagodzenie monotonii rytmicznej i osiągnięcie swoistego odpowiednika owych licznych aliteracji.

Nie wiem jak bardzo zaawansowany jest przekład Zagórskiego. Od wydania omawianej książki minęły cztery lata, więc, być może, praca znacznie posunęła się naprzód. Oczywista, nie jest moją intencją dawanie mu jakichś rad, ani tym bardziej namawianie na zmianę przyjętej koncepcji przekładu: po prostu, wypowiadam własną opinię.

Jeżeli Zagórskiemu uda się doprowadzić swe niełatwe dzieło do szczęśliwego końca, to mimo wytkniętych usterek, będzie to doniosłe osiągnięcie poetyckie i kulturalne. Epopea Szoty Rustawelego zasłużyła w pełni, by wejść również i do polskiej literatury.

◆

Ktoś, niedostatecznie zorientowany, mógłby pomyśleć, że poemat gruziński, który powstał przed prawie ośmiuset laty, jest już szacowną skamieliną, mogącą zainteresować wyłącznie filologów i historyków literatury, więc w tych tylko kategoriach należy oceniać pracę polskiego tłumacza.

Tak nie jest. Niesłabnąca, powszechna, z roku na rok przekazywana popularność „Wepchis Tkaosani" stanowi fenomen kulturalny chyba bez precedensu i analogii w dziejach kultury. Byle chłop gruziński recytuje po dziś dzień długie fragmenty z pamięci. Jeśli gdzie wielka poezja „trafiła pod strzechy", to właśnie w Gruzji. Za najpiękniejszy podarunek ślubny dziewczynie uważano z dawien dawna egzemplarz poematu w starym manuskrypcie. Tej tradycji nie przerwało ani nie osłabiło nawet półwieczne panowanie komunizmu.

Znawca Rustawelego i średniowiecznego języka gruzińskiego, mnich Gregorio Peradze, który w Warszawie, w latach 1938-39, wprowadzał mnie w uroki tego poematu, zanim został zamordowany przez hitlerowców, wyjaśnił tę tajemnicę w niewielu słowach.

— Pozornie — mówił — to tylko fantastyczna bajka poetycka na skrzyżowaniu wpływów arabskich i perskich. Ot, ułamek „Szeherezady", przeszczepiony na ziemię gruzińską! Ale to tylko pozory. Przygody Taryjela i Nestan-Deredżan, Awtandiła i Tinatiny to tylko kanwa, na której poeta dał kwintesencję wartości, ożywiających jego naród. Współczesny Gruzin znajdzie tu wszystko, co cenił zawsze i ceni najbardziej: umiłowanie wolności osobistej, zmysłową radość życia, ożenioną z duchowym ideałem, podniosłą miłość do kobiety, tolerancję opartą na międzyludzkiej przyjaźni, lojalność i rycerskość nawet w walce z wrogiem. Więc baśniowe przygody to tylko tło.

— To nasza świecka Biblia — mówił dalej wzruszony zakonnik — zbiór maksym przydatnych na każdą okazję, nasz życiowy kodeks, mądrość wyniesiona z najbardziej tragicznych dziejów w świecie, nasza „Boska Komedia", „Don Kichot", „Faust" i „Pan Tadeusz" w jednej jedynej księdze. W niej — cała Gruzja!

Marksistowska krytyka usiłuje zrobić z Rustawelego pisarza o światopoglądzie marksistowskim, naciągając poszczególne teksty i powołując się na pewne akcenty, dające się zinterpretować jako antyklerykalne, czy nawet antyreligijne. Jest to oczywiste nadużycie.

Rustaweli występował przeciw ortodoksyjnej nietolerancji, zresztą w sposób ostrożnie zawoalowany, ale od tego do materialistycznej postawy daleko. Raczej można go uznać za oświeconego racjonalistę, wyraźnie dotkniętego wpływami neo-platonizmu, który właśnie wtedy zdobywał sobie licznych zwolenników na Wschodzie. Gdyby autor „Wepchis Tkaosani" urodził się o jakieś dwieście kilkadziesiąt lat później i nie na Kaukazie, lecz, powiedzmy, we Włoszech, czułby się jak u siebie w domu na gruncie dojrzewającego humanizmu.

Wszystko razem wystarczyło, aby jego poemat i po tylu wiekach pozostał lekturą żywą.

Józef ŁOBODOWSKI

Literacka madame zwiedza Hiszpanię

Pani Maria Kuncewiczowa wydała w roku 1965 książkę pod dość oryginalnym tytułem „Don Kichote i niańki" (Instytut Wydawniczy „Pax"). Naturalnie, rzecz o Hiszpanii: wrażenia z pobytu w tym kraju. Książka wydana jest luksusowo: albumowy format, drogi papier, ładny druk, przeszło dwadzieścia doskonałych zdjęć na całą stronę. W Polsce Ludowej nie wychodzi wiele książek na takim poziomie graficznym.

Dlaczego „Don Kichote", a nie Kiszot, jak się to tradycyjnie utarło, ani K i c h o t ? Kuncewiczowa poszła tu bodaj za polskimi hiszpanistami, tłumaczami arcydzieła Cervantesa, Zygmuntem Czernym i jego żoną, Anną Ludwiką.

„Wiele złej krwi — czytamy w zamykającym przekład „Słowie od tłumaczy" — narobiło dokonane przez nas zbliżenie brzmienia tytułu do hiszpańskiego; powoływano się, że istnieje dwustoletnia tradycja francuskiej jego postaci, „Don Kiszot", tak jak w epoce supremacji języka francuskiego w Polsce przyjął ją pierwszy tłumacz, opierający się zresztą na przekładzie francuskim. To nie racja, aby tę postać w nieskończoność podtrzymywać. Ale już zgoła nieporozumieniem byłaby forma „Don Kichot", na poły francuska, a na pół hiszpańska. Zresztą po dziesięciu latach można stwierdzić, że forma „Don Kichote" coraz bardziej się przyjmuje".

Miałbym poważne obiekcje. Kiszot to, naturalnie forma francuska, ale dlaczego tak bezwzględnie odrzucać Kichota? Jest precedens i to niebylejaki: bodaj pierwszy tak napisał Juliusz Słowacki w „Beniowskim". Obce nazwy, imiona i nazwiska zawsze podlegały w polszczyźnie, jak i w każdym innym języku, zmianom i fluktuacjom. Piszemy i mówimy Rasyn i nikt się na to nie zżyma; Molier, choć ani pisownia ani wymowa nie zgadzają się z francuszczyzną; Boccacio zamienił się w Bokacjusza, Schiller w Szyllera — przykłady można mnożyć na kopy. Nie ma właściwie reguły, podobnie jak z nazwami miast. Nikt rozsądny nie zaproponuje zmiany Rzymu na Roma, Paryża na Paris, Londynu na London.

A co na przykład zrobić z Kolumbem? Jeżeli wracać do pierwotnego brzmienia nazwiska, to w jakiej wersji: włoskiej, rodem z Genui — Colombo, czy hiszpańskiej — Colón? Zostaniemy chyba przy Kolumbie.

Istotnie, don Kichot to pewny kompromis między starą formą, wziętą od Francuzów, i brzmieniem oryginalnym. Ale jest bliższy duchowi polszczyzny niż Kichote. Poza tym znikają kłopoty z deklinacją; jeżeli Kichote, to chyba także Kichotego i Kicho-

temu, a to brzmiałoby wręcz fatalnie. Osobiście, wolę don Kichota.

To tylko mała dygresja. Ale skąd w tytule książki Kuncewiczowej wzięły się owe niańki? „Don Kichote i niańki" — co niańki wszelkiego rodzaju mają do czynienia z „rycerzem smętnego oblicza"?

Przede wszystkim — zgodnie z tym, co wyznaje autorka — w grę wchodzi pewna obsesja, wywodząca się z dzieciństwa. Kilkuletnia dziewczynka znalazła w bibliotece popularne wydanie „Don Kichota", obficie ilustrowane, zaś niańki (mademoiselle Marie miała wiele nianiek) odbierały książkę i nie pozwalały jej czytać. Po wielu latach, podróżując po Hiszpanii, w ogrodach i na skwerach zwróciła uwagę na wielką ilość nianiek z dziećmi, przeważnie w asyście żołnierzy. Więc odpowiednie skojarzenie.

Ale nie tylko to. Kuncewiczowa natychmiast podłożyła pod to skojarzenie różne symbole, zgodnie ze swoistą interpretacją postaci don Kichota. Błędny rycerz — powiada nasza podróżniczka — nieustannie natrafia na „straszne niańki": władza państwowa, konwencje społeczne, wojsko, kościół, wszelkiego rodzaju instytucje, po tyrańsku ograniczające lub wręcz likwidujące wolność jednostki.

Nie zamierzam wdawać się w dyskusję z takim podejściem do bohatera Cervantesa, chociaż naiwność kuncewiczowskiej interpretacji jest oczywista. O don Kichocie trudno jest napisać coś nowego, podobnie jak o Hamlecie — literatura na temat tych dwóch postaci jest olbrzymia. Madame Marie niewiele o tym wie, a wydaje się jej, że wygłasza same rewelacje.

Mniejsza o to. Osobiście interesuje mnie raczej to, co Kuncewiczowa ma do powiedzenia o współczesnej Hiszpanii, a także jak wyglądają jej liczne wycieczki w przeszłość. W pewnej chwili pisze z przekąsem o relacjach tych podróżników, którzy starają się nagromadzić możliwie największą ilość szczegółowych informacji. A jej rzekomo chodziło tylko o własne wrażenia i o ich podanie w syntetycznym ujęciu.

Cóż, kiedy ta zapowiedź nie została spełniona! Przeciwnie, autorka „Cudzoziemki" lubuje się w szczegółach i szczególikach, i nieustannie popisuje się swoją erudycją. Niestety, erudycja ta jest bardzo podłego gatunku, książka roi się od grubych błędów, niekiedy, jak zaraz się przekonamy, wielce zabawnych.

Można nie znać jakiegoś języka i mimo to cytować słowa i całe zwroty, z tym jednak, że trzeba przedtem dać teksty komuś kompetentnemu do sprawdzenia. Prawie wszystkie hiszpańskie cytaty, a jest ich sporo, są podane w mylnym brzmieniu. Przeważnie włazi w paradę włoszczyzna, oczywiście nie „selery, pory i kalafiory", lecz mowa włoska: na przykład „dottore" zamiast „doctor".

Błędy historyczne występują prawie na każdej stronie: jedne mniejsze, inne wręcz skandaliczne. Samo ich wymienienie zajęłoby kilkanaście stron druku. Oto wiązanka najsmaczniejszych.

W Madrycie pani Kuncewiczowa zwiedziła muzeum w klasztorze Karmelitanek Bosych i ze zdziwieniem znalazła tam portret

Władysława IV. Naturalne zaciekawienie: skąd się tam wziął portret polskiego króla? Czytelnik podziela tę ciekawość i zostaje pouczony, że Władysław był synem siostry hiszpańskiego króla Filipa IV, czyli po kądzieli — wnukiem Filipa III. Zważywszy, że Władysław urodził się w roku 1595, Filip III, urodzony w 1578, musiałby zostać dziadkiem w wieku lat siedemnastu. Habsburgowie hiszpańscy miewali różne talenty, ale nie potrafili rozmnażać się z taką szybkością.

Oczywista, chodzi o kuzynostwo pierwszego stopnia: matka Filipa IV, Małgorzata austriacka, i matka Władysława IV, Anna, były rodzonymi siostrami.

W Barcelonie Kuncewiczowa obejrzała pomnik Kolumba i autorytatywnie poinformowała, że „stoi on w porcie, z którego odpłynął w 1492 na „Santa María" do legendarnej „Indii". Nie, nie odpłynął z Barcelony. Trzy historyczne okręty udały się w podróż z andaluzyjskiego portu Palos de Moguer. Natomiast w Barcelonie odbyła się uroczysta audiencja u królów katolickich po powrocie z pierwszej wyprawy.

Zwraca też uwagę gorliwość z jaką Kuncewiczowa przyswoiła sobie formę „India" zamiast Indie. W kraju byli tacy, co protestowali przeciw temu gwałtowi nad polskim językiem; nasza literacka madame wykazała większą lojalność.

Okręt „Santa María", na którym Kolumb odbył swoją pierwszą podróż, pani Kuncewiczowa uporczywie, bo kilkakrotnie, nazywa galeonem. Skąd się to wzięło nie mam pojęcia, w każdym razie „Santa María" to *nao*, nazwa pochodząca od greckiego *naus*, polski odpowiednik *nawa*. W żadnym wypadku galeon, rodzaj żaglowca, typowego dla następnego XVI wieku. Nie wymagam, naturalnie od Kuncewiczowej erudycji żeglarskiej, ale jeśli się czegoś nie wie, to trzeba sprawdzić.

Izabella Kastylijska — informuje dalej pani Kuncewiczowa — sprzedała swoje klejnoty żydowskim bankierom, żeby móc sfinansować wyprawę Kolumba. Nie sprzedała! Po prostu zastawiła. Po wydatkach związanych ze zdobyciem Grenady, skarb kastylijski świecił pustkami, więc Izabella zwróciła się o pożyczkę do swego małżonka, króla Aragonii, Ferdynanda. Ten zasięgnął opinii nadwornego bankiera, zresztą istotnie Żyda z pochodzenia, i na podstawie jego opinii zgodził się udzielić pożyczki pod zastaw owych klejnotów.

Przykładem najskrajniejszego niechlujstwa jest chyba następująca informacja: „Zanim w VIII wieku Grenada przyłączona została do kalifatu Ommajadów w Kordobie, przez blisko trzy wieki podlegała kalifowi Damaszku". To nadzwyczajna rewelacja historyczna! Wynika z niej, że już w V wieku istniał kalifat w Damaszku, na te głupie sto lat przed przyjściem na świat Mahometa. Jeszcze nie było religii mahometańskiej a już był kalifat!

Ponadto Grenada nie mogła być przyłączona do kalifatu Ommajadów w VIII wieku z tej oczywistej racji, że kalifat powstał znacznie później, mianowicie w wieku X, dokładnie — w roku

929! Przed tą datą istniał niezależny emirat, a to zupełnie co innego.

Wiadomość o wspaniałym zwycięstwie pod Lepanto Filip II miał przyjąć „obojętnie", gdy mu ją przyniesiono podczas mszy, gdy siedział w stallach w Capilla Mayor w Eskurialu. „Obojętność" polegała chyba na tym, że król dosłuchał mszy do końca, a dopiero potem kazał odśpiewać Te Deum. W Capilla Mayor mógłby przyjąć ową szczęśliwą wiadomość, siedząc nietyle w stallach, co na rusztowaniu obok kubła z wapnem, gdyż kaplica w roku 1571 była jeszcze w budowie. W międzyczasie nabożeństwa odprawiano gdzie indziej.

Filipa II autorka bardzo nie lubi i maluje go w czarnych kolorach. Powiada, że był wrogo nastawiony do Juana de Austria, swego naturalnego brata, i właśnie dlatego nie ucieszył się zwycięstwem odniesionym pod Lepanto. Jeżeli istotnie był takim wrogiem Juana, to dlaczego mianował go naczelnym wodzem hiszpańskiej eskadry? Może miał nadzieję na zwycięstwo tureckie?

W ogóle Kuncewiczowa znajduje się pod wyraźnym urokiem antyhiszpańskiej „czarnej legendy", bliskiej krewnej takich pseudo-historycznych sztanc, jak „słoneczna Hellada", albo „mroki średniowiecza". Filip II to dla niej wyłącznie ponury fanatyk, okrutnik, inkwizytor i tak dalej. Nie zna życiorysu Filipa, nie czytała dzieł historyków, którzy tę legendę w sporym stopniu odczernili, a nie brakowało wśród nich badaczy anglosaskich! W wieku XVI popełniono w Hiszpanii wiele okrucieństw, ale na pewno nie było ich więcej niż we Francji, Niemczech, a zwłaszcza w Anglii.

Co do samego Filipa warto przytoczyć jeden szczegół, który ustawia jego postać w nieco innym świetle, niż tego chce Kuncewiczowa, idąc bezkrytycznie za „czarną legendą". Gdy pewni duchowni chcieli zniszczyć wspaniały tryptyk Hieronima Van Boscha, „Ogrójec rozkoszy", jako dzieło niemoralne i heretyckie, król kategorycznie się temu przeciwstawił i tryptyk został uratowany. Jeżeli pani Kuncewiczowa będąc w Prado mogła podziwiać „Ogrójec rozkoszy", to tylko dzięki temu straszliwemu Filipowi.

I nie żeby zanadto znał się na malarstwie! Na przykład nie docenił geniusza Dominika Theotokopulusa, „el Greco" (ale kto go wtedy doceniał!) i zmarnował jedyną okazję ozdobienia ścian Eskorialu jego obrazami. Jeżeli nie pozwolił spalić tryptyku Boscha, to przede wszystkim dlatego, że nie podzielał inkwizytorskich zarzutów. To jedno wystarczy, żeby stwierdzić, że takim tępym i ponurym fanatykiem jednak nie był.

I *à propos* malarstwa... Madame Kuncewiczowa mocno kręci nosem na Velazqueza i wygłasza dziwaczne zdanie, że sprzedał się monarszym łaskom, że jego twórczość to „zawrotne mistrzostwo pędzla na usługach kariery". Velazquez — karierowicz?! Karierowicz, bo brał stałą pensję od króla, portretował jego, infantów, infantki, dworaków, ba, nawet karłów i karlice? W takim razie wszyscy malarze, którzy kiedykolwiek przyjmowali zamówienia na portrety, byli karierowiczami! Portrety portretami, ale

co zrobić z takimi arcydziełami Velazqueza, jak „Wenus przed zwierciadłem", „Zwycięstwo Bachusa", „Apollo w kuźni Wulkana", czy niewykończone „Prządki"? A pejzaż z willą Medyceuszów, obraz prawdziwie prekursorski, zapowiadający impresjonistów francuskich na dwieście lat z górą! Czy to wszystko także było malowane z myślą o karierze i schlebianiu królowi? Cóż za niebotyczna bzdura!

Znakomita podróżniczka myli się niemal z reguły, ktoś złośliwy mógłby powiedzieć że z zasady. W rzeczach ważnych i w szczegółach. Niekiedy po prostu zmyśla, na przykład, gdy pisze, że Cervantes „został wyklęty". Zapomniała jednak dodać, kiedy, przez kogo i za co!

Nie lepiej wypadł obraz Hiszpanii współczesnej, zniekształcony przez liczne obsesje i kompleksy autorki, aż proszące się pod pióro doświadczonego freudysty. Nie znaczy to, że odbieram książce wartość literacką; są w niej fragmenty doskonale napisane, wytrzymane w bezbłędnym stylu. A to przeważnie wtedy, gdy Kuncewiczowa ogranicza się do impresji, gdy pociąga ją głównie malownicza powierzchnia rzeczy i spraw.

Natomiast, gdy chce swoje impresje pogłębić, wychodzi na jaw kompromitujący brak przygotowania, tendencyjność i wspomniane kompleksiki. Odnosi się wrażenie, że Kuncewiczowa jechała do Hiszpanii z koncepcją powziętą z góry, a na miejscu skwapliwie szukała racji na poparcie tej koncepcji. Ostatecznie, można i tak, ale trzeba umieć szukać i selekcjonować.

W swojej twórczości przedwojennej Kuncewiczowa nie zdradzała jakichś społecznych zainteresowań: nie było ich w „Twarzy mężczyzny", ani w „Dwóch księżycach" i „Cudzoziemce". Książki pisane podczas wojny i po niej, przyniosły nowe tony i akcenty, a w „Don Kichote i niańki" Kuncewiczowa występuje już jako zdecydowana orędowniczka ubogich i pokrzywdzonych, i zajmuje określone stanowisko polityczne.

Jak przystało na osobę, która już dawno przestała być emigrantką polityczną i, przebywając stale zagranicą, drukuje i wydaje w Polsce Ludowej, nasza podróżniczka widzi rzeczywistość hiszpańską w bardzo ponurych barwach. To jej dobre prawo oceniać negatywnie stosunki społeczne i polityczne w dzisiejszej Hiszpanii. Ale znowu czytelnikowi wolno żądać, by mu pokazano konkrety, a nie karmiono bajeczkami, wyssanymi nie wiadomo z czyjego palca. Bo nawet nie z palców znajomych czy przyjaciół skrajnie lewicowej prowienencji. Ci musieliby informować Kuncewiczową rzetelniej.

Podróżniczka przybywa do Barcelony i, naturalnie, zwiedza starą, średniowieczną dzielnicę — „barrio gótico". Przygląda się dzieciom: „uderza biała cera i łzawe, e l g r e c o s k i e oczy — znamiona nietyle uduchowienia, co bezsłonecznej biedy..." „Czerwoni w 1936 słusznie strzelali w te domy..." Że niby chcieli zburzyć gniazda odwiecznej nędzy!

Cosik się naszej madamie pomyliło. Łzawe, podłużne oczy, „elgrecoskie" (to znaczy z portretów i obrazów El Greca) spotyka

się w Hiszpanii dość często, ale właśnie dla Katalonii, zatem i dla Barcelony absolutnie nie są typowe. Ale niech tam! Co jednak z tą strzelaniną w 1936 roku? Przede wszystkim budzi się refleksja: jedno z dwojga — albo dzielnica gotycka jest i była zaludniona przez burżuazję, a w takim razie skąd ta „bezsłoneczna bieda"? — albo przez proletariat, a znowu w tym wypadku „czerwoni" chyba nie strzelaliby do swoich!

Oczywiście, nie strzelali. Na samym początku wojny domowej w Barcelonie doszło do dwudniowych krwawych walk, w których zginęło ponad osiemset osób, ale walki te nie objęły starej dzielnicy. Strzelano co prawda w pobliskim sąsiedztwie, na Plaza de Cataluña, gdzie główną redutą insurgentów był hotel Colón, a poza tym walczono w okolicach wojskowych koszar. Żaden stary dom między katedrą, pałacem królów aragońskich i Santa María del Mar nie poniósł w owych dniach żadnego szwanku. Paliły się kościoły, ale to już historia z zupełnie innej beczki. Mamy więc do czynienia z czystą fantazją. Powiedzmy — n i e z b y t c z y s t ą!

Kościoły... Na ich widok madame Kuncewiczowa ogarnia smętna zaduma. Nie jest w stanie zachwycać się romańską i gotycką architekturą, bo stają jej przed oczami cierpienia biednych ludzi, którzy musieli budować te kościoły i katedry. Rzewnie szczebiocze o feudalizmie, o ciężkim wyzysku, o cenie potu i krwi, jaką płacono za tę świetną architekturę.

Średniowiecze można oceniać rozmaicie. Pod wpływem Oświecenia (głównie encyklopedystów) rozpowszechniła się ocena zdecydowanie negatywna, która tu i ówdzie pokutuje po dziś dzień. Bodaj pierwszym historykiem, który przeciwstawił się tym skrajnie jednostronnym osądom, był Cesare Cantù, inicjując długi proces rehabilitacyjny. Niezależnie jednak od zajmowanej postawy, jedno nie ulega wątpliwości: katedry średniowieczne budowali w s z y s c y, zarówno królowie, książęta, feudałowie, jak mieszczaństwo i lud. Budowali przeważnie w uniesieniu, w wielkich zrywach religijnych. Są to dzieła kolektywne w najlepszym tego określenia znaczeniu i stąd tak często powtarzająca się ich anonimowość.

A tu przychodzi „racjonalistka" od siedmiu boleści i, załamawszy czułe dłonie, stawia sprawę tak, jak gdyby chodziło o jakieś egipskie piramidy, wznoszone przez ginących jak muchy niewolników, popędzanych batami okrutnych dozorców. Niby to erudycja, a w gruncie rzeczy analfabetyzm.

Pani Kuncewiczowa siedzi wraz z małżonkiem przy stoliku w restauracji luksusowego hotelu w Barcelonie. Wyfraczeni kelnerzy celebrują wokół zagranicznych turystów, podają wykwintne dania, dyskretnie doradzają marki win. Znakomita pisarka, świetna obserwatorka, znawczyni ludzkiej psychologii, przypatruje się im z uwagą. I oto wyniki tej dociekliwej obserwacji:

Na pewno po pracy zostawiali w hotelu fraki, wracali na swoje niechlujne przedmieścia, do niedożywionych rodzin, wiedźmowatych matek, rozpustnych sióstr i łapczywych kochanek — i zacinali się w milczeniu".

Oszołamiająca przenikliwość! Wystarczyła jedna kolacyjna godzina, by zorientować się, że barcelońscy kelnerzy mieszkają na nędznych przedmieściach, że ich rodziny są niedożywione, każda matka to wiedźma, siostra — rozpustna, kochanka — łapczywa. Madame nie ma żadnych wątpliwości, nie przypuszcza, twierdzi, pisze „n a p e w n o"! To już nie spojrzenie, to — psychologiczny rentgen!

W Barcelonie jest dużo nędzy, jak i w całej Hiszpanii. Dziś znacznie mniej niż przed kilkunastu laty, ale istnieje. Są dzielnice, złożone z tak zwanych *chabolas*, odpowiednik angielskich *slumsów*. Ale kelnerzy, pracujący w restauracjach luksusowych hoteli, zarabiają bardzo dobrze, nie „zacinają się w milczeniu", nie mieszkają w *chabolas* i ich rodziny odżywiają się znakomicie.

Gdyby Kuncewiczowa zechciała zadać sobie trud znalezienia prawdziwej nędzy, na pewno by ją znalazła. Ale po co fatygować się? Wystarczy puścić w ruch chorobliwą wyobraźnię, a kelner z drogiej restauracji natychmiast zamienia się w nędzarza.

Chorobliwa wyobraźnia? Ależ tak! I to grubo podszyta jakąś dziwaczną obsesją erotyczną. Kelnerskie siostry muszą uprawiać rozpustę, kochanki odznaczać się łapczywością. Pseudo-socjologia pomieszana z patologicznym kompleksem. Wspomniałem uprzednio, że książka Kuncewiczowej aż prosi się o pióro doświadczonego freudysty. Nie chcę mnożyć przykładów, ten jeden powinien wystarczyć.

To nie jest obraz Hiszpanii, ani dzisiejszej, ani historycznej, choć, oczywiście, poszczególne spostrzeżenia i opinie zgadzają się z rzeczywistością. Całość sprawia jednak wrażenie krzywego zwierciadła, O Hiszpanii autentycznej czytelnik dowiaduje się niewiele.

Literacka niańka zaopiekowała się don Kichotem. Biedny rycerz z La Manczy! Za życia walczył z olbrzymami i czarownikami, a po czterystu latach wpadł w objęcia strasznej niańki.

Józef ŁOBODOWSKI

Na marginesie książki "Roman Dmowski"

Nie ulega chyba wątpliwości, że brak rzetelnie opracowanej biografii Romana Dmowskiego stanowi poważną lukę w historiografii najnowszych dziejów Polski. Jedynie względy polityczne a po drugiej wojnie światowej trudności dostępu do źródeł mogą tłumaczyć fakt, że ani Piłsudski ani Dmowski nie stali się przed-

miotem wyczerpującej pracy naukowej. Jakkolwiek istnieje szereg książek o Piłsudskim, po polsku, francusku i angielsku, żadna z nich, łącznie z opartą na ogromnym materiale badawczym pracą Poboga-Malinowskiego, nie odpowiada w pełni wymogom bezstronnego i możliwie wyczerpującego studium historycznego. W wypadku Dmowskiego sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej. Wydana przed paroma laty książka Izabeli Wolikowskiej, *Roman Dmowski: Człowiek, Polak, Przyjaciel* (Chicago, 1961) stoi na pograniczu personalnych wspomnień i politycznego penegiryku. Dla historyka może ona być jedynie ciekawą jako świadectwo uwielbienia jakie Dmowski wzbudzał wśród bliskich mu ludzi. Zaledwie w paru miejscach można w niej znaleźć ustępy, które rzucają względnie nowe i interesujące światło na przywódcę narodowej demokracji. Książka Tadeusza Bieleckiego, *W Szkole Dmowskiego. Szkice i wspomnienia* (Londyn, 1968) zasługuje na bardziej poważne potraktowanie, jakkolwiek mamy tu do czynienia ze zbiorem esejów, nie z biografią, a polityczne zabarwienie książki jest oczywiste dla czytelnika. Interesującym przyczynkiem do analizy polityki Dmowskiego jest artykuł niemieckiego historyka K. H. Hausmanna *Dmowski's Stellung zu Deutschland vor dem Ersten Welkriege*, „Zeitschrift für Ostforschung", 1/2 (1964) i pełen ciekawych choć kontrowersyjnych sformułowań tom Micewskiego, *Z geografii politycznej II-ej Rzeczpospolitej* (pierwsze wydanie, Warszawa, 1964).

Sylwetka Dmowskiego jako polityka wyłania się w zupełnie różnej formie w zależności od typu książki, daty jej wydania, i jej autora. Nic w tym dziwnego, gdyż Dmowski był niewątpliwie kontrowersyjną postacią i sam umiejąc kochać i nienawidzieć, wzbudzał te uczucia wobec swej osoby u innych. W obecnym stanie naszej wiedzy historycznej o Dmowskim, nasuwa się szereg ogólnikowych sformułowań charakteryzujących jego postać jako polityka. U niżej podpisanego łączą się one z tendencją do porównywania i kontrastowania sylwetek Dmowskiego i Piłsudskiego. A oto próbka tej z pewnością nie naukowej i impresyjnej metody: Dmowski był przede wszystkim teoretykiem, wychowawcą i ideologiem choć może nie doktrynerem. Jego idea narodu łączyła się z Polską piastowską w sensie historycznym i utożsamiała z ludem — zwłaszcza w pierwszym okresie działalności Dmowskiego. Piłsudski był pragmatykiem, związanym uczuciowo z wizją Polski jagiellońskiej, konserwatystą bardziej niż ludowcem, dającym prymat idei państwa nad ideą narodu. Dmowski w dużej mierze był organicznikiem, socjalnym darwinistą, przenoszącym kryteria nauk ścisłych na nauki polityczne, zwolennikiem nowoczesnych partii politycznych i wytrawnym graczem. Piłsudski był uczuciowo romantykiem i zwolennikiem nieortodoksyjnych na wpół rewolucyjnych metod w polityce, artystą w polityce raczej niż naukowcem, nie mieszczący się w partiach politycznych i im niechętny, wybuchowy ale równocześnie umiejący się opanowywać gdy zachodziła tego potrzeba, kalkulujący i skryty. Dmowski w większym stopniu niż Piłsudski nie identyfikował się uczuciowo z żadną klasą społeczną, a obaj tkwili korzeniami w ostatnich dekadach XIX wieku i przynajmniej w dziedzinach gospodarczej i społecznej nie wyprzedzali okresu w którym przyszło im żyć i działać. U obydwóch krytyka wad narodowych polskich przybierała namiętne formy — wystarczy porównać ustępy z *Myśli nowoczesnego Polaka* z wybuchami Piłsudskiego na temat spodlonego ze strachu społeczeństwa — które świadczyły o ich bezmiernym umiłowaniu Polski. Tak może bowiem krytykować tylko ten, który ma przed oczami wizję ideału i choć Dmowski i Piłsudski robili to w bardzo różny sposób, obaj różnili się od stanowiska Wielopolskiego, którego słynne „Dla Polaków można coś zrobić, z Polakami nic" miało swe podłoże w specyficznej psychice margrabiego. Częste użycie określenia „czyn" przy charakterystyce Piłsudskiego, jak gdyby w przeciwstawieniu do Dmowskiego, ma swoje uzasadnienie, ale nie może być sprowadzane do szablonowych uproszczeń. Piłsudski niewątpliwie kilkakroć w swoim życiu grał *va banque* i sam nazywał się ryzykantem. Czy było to w sierpniu 1914 roku, czy w czasie przysięgi legionowej, czy w okresie Magdeburga, wojny bolszewickiej, zamachu majowego czy deklaracji o nieagresji z Niemcami. W tym sensie Dmowski był jego przeciwieństwem. Nie stawiał wszystkiego na jedną kartę, ale ważył i oceniał szanse i możliwości. W pewnym sensie był on mniej niecierpliwy w polityce; grając o wielką stawkę gotów był czekać.

Garść tych uwag, z których każda może być z łatwością zakwestionowana nasuwa się przy pobieżnych nawet studiach obu dominujących postaci w Polsce przed i po pierwszej wojnie światowej. Dla historyka te lapidarnie ujęte sformułowania mogłyby służyć jako hipotezy robocze, które dopiero głębsze studia mogłyby potwierdzić lub odrzucić.

Ale powróćmy do sprawy biografii Dmowskiego. Niewątpliwie dobrze się stało, że w 1968 roku ukazała się pod redakcją Mariusza Kołakowskiego książka pt. *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień* (staraniem Instytutu Romana Dmowskiego w Ameryce, nakładem Gryf Publications w Londynie, 1968). Ten przeszło 400-stronicowy tom (tom pierwszy) obejmuje okres do 1914 roku a więc okres zarówno ważny w działalności Dmowskiego jak i kontrowersyjny. Książka składa się z zarysu biograficznego pióra Ignacego Chrzanowskiego i Stanisława Kozickiego, który był przeznaczony do zbiorowego wydania dzieł Dmowskiego; wyboru pism i dokumentów; przejrzystej chronologii (kalendarza) do roku 1914 i skorowidza nazwisk. Całość poprzedzona jest kilkunastostronicowym wstępem Wojciecha Wasiutyńskiego i ten objętościowo nieduży, ale przemyślany i głęboki wstęp stanowi może najlepszą po dziś dzień próbę charakterystyki Dmowskiego. Wasiutyński pisze z perspektywy historycznej i formułuje swoje osądy w sposób o wiele bardziej przekonywujący dla czytelnika niż robią to Chrzanowski i Kozicki, których zarys zatrąca chwilami o apologię.

Wasiutyński stwierdza słusznie, że w procesie oczerniania

Dmowskiego przez przeciwników i ubrązowiania przez zwolenników zatracił się w dużej mierze sam Dmowski jako człowiek. A był on, jak pisze Wasiutyński, „człowiekiem niezmiernie oryginalnym tak pod względem umysłu jak charakteru". Każdemu, który uważnie przeczytał choćby tylko *Myśli Nowoczesnego Polaka* powinno trafić do przekonania określenie Dmowskiego jako teoretyka „w tym znaczeniu, że swej działalności politycznej starał się dać głębszą podbudowę. Ale nie był teoretykiem w znaczeniu twórcy doktryny. Jego wszystkie książki są raczej publicystyką najwyższego poziomu, służą uzasadnieniu zamierzonej akcji, wytłumaczenia podjętej, przekonaniu społeczeństwa do działania w pewnym kierunku". Wasiutyński porusza zagadnienie, które jest niewątpliwie fascynujące, a mianowicie dlaczego Dmowski, którego nazywa *per excellence* politykiem i „naturą władczą" nigdy nie doszedł do władzy „co więcej, nigdy po nią naprawdę nie sięgał". Jakkolwiek Wasiutyński stara się dać wytłumaczenie tej „tajemnicy Dmowskiego", sugerując jego niechęć do „kompromisu ideologicznego", tłumaczenie to nie jest zadawalające i sam autor nie wydaje się być przekonany, że tu tkwi klucz do decyzji Dmowskiego.

Wiadomo, że Dmowski skarżył się parokrotnie na słaby zespół swoich współpracowników i nie uważał ich za gotowych do objęcia władzy. Być może sam miewał czasem wątpliwości, czy rola ministra lub szefa rządu odpowiadałaby *à la longue* jego osobowości? Krótki okres rządów endencji w 1923 roku nie dał szczęśliwych rezultatów, a Skotnicki, z pewnością niezbyt przychylny Dmowskiemu, ostro krytykował go jako ministra spraw zagranicznych. „Wydaje się nam", pisał, „że byłby on [Dmowski] świetnym naczelnym redaktorem jakiegoś wielkiego politycznego organu, nigdy zaś ministrem!".

Próba podjęta przez Wasiutyńskiego wyjaśnienia drugiej, osobistej tajemnicy życia Dmowskiego, a mianowicie jego starokawalerstwa, nie jest też na sto procent udana. Stosunek Dmowskiego do kobiet był dość staroświecki czy staromodny, ale to jeszcze nie stanowi wytłumaczenia jego niechęci do małżeństwa. Być może, że Wasiutyński, charakteryzując Dmowskiego jako stoika i widząc w jego specyficznej postawie wobec życia źródła obu tajemnic „publicznej" i „prywatnej" ma do pewnego stopnia rację. Ale chyba nie jest to pełna racja. W każdym bądź razie, sam fakt postawienia tych zagadnień nadaje jego wywodom charakter spekulacji historycznych. Tak pisze się z perspektywy choćby kilkudziesięciu lat. Dla Chrzanowskiego i Kozickiego tego typu zagadnienia w ogóle nie istniały.

Materiały zebrane w omawianym tu tomie to przede wszystkim korespondencja Dmowskiego, wspomnienia polityczne, wspomnienia innych o Dmowskim. Trudno się zorientować czy wydawcom udało się dotrzeć do różnych materiałów archiwalnych, które zachowały się w Polsce, na przykład cytowana czasem w publikacjach krajowych „Teka osobowa Dmowskiego" w archiwum Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Rozproszonych archiwaliów musi istnieć zapewne jeszcze dużo więcej. Układ tomu jest niewątpliwie przejrzysty i wybór zrobiony starannie. Całość nie ma na celu ubrązowiania Dmowskiego, choć wyczuwa się pietyzm wydawców w stosunku do jego osoby. Jak słusznie pisze Wasiutyński, ta książka nie jest jeszcze biografią Dmowskiego, ale materiałem, mogącym do niej służyć. W połączeniu z pismami Dmowskiego i dokumentami dyplomatyczno-politycznymi, ten tom znacznie poszerza fundamenty, na których przyszły biograf będzie mógł budować swą syntezę. Kiedy nadejdzie ten moment, można jedynie wyrazić nadzieję, że biografia Dmowskiego, choćby nawet niekompletna, będzie studium uwzględniającym wymogi naukowego obiektywizmu postaci dziś już historycznej a na pewno wybitnej i kontrowersyjnej.

Piotr WANDYCZ

Krótka historia narodu chińskiego

Jedno z najzwyklejszych ogłoszeń handlowych w telewizji (USA) kończy się żartobliwym powiedzeniem: „*quite clever these Chinese*", co by można swobodnie przełożyć słowami: „Ci Chińczycy mają głowy nie od parady!".

Nasuwa się to spostrzeżenie co najmniej kilkadziesiąt razy przy czytaniu książki pod skromnym tytułem *A Short History of the Chinese People*. Autorem jej jest znakomity sinolog amerykański L. Carrington Goodrich. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1948, a ostatnie w roku 1969, uzupełnione przez sinologa nazwiskiem W. A. C. Adie.

Autor nazwał swą książkę „krótką historią", bo dokonał nielada cudu streszczając dzieje blisko czterech tysięcy lat na 408 stronicach (włączając indeksy i stronice nadliczbowe). W porównaniu z dwutomowym kolosem profesora Latourette i książką chińskiego profesora Dun J. Li *(The Ageless Chinese)*, która liczy blisko 600 stron większego formatu, jest praca prof. Goodrich rzeczywiście krótka. Właśnie jako krótką polecił mi ją prof. Jan Miś, dyrektor działu orientalistyki w Bibliotece Publicznej w Nowym Jorku.

Nie rozmawiałem z uczniami profesora Misia i nie wiem, jak im ta książka „podchodzi". Domyślam się jednak, że jeżeli pierwsze czytanie idzie gładko, to spamiętać jej bogatą treść musi być bardzo trudno. Jest to bowiem prawdziwe streszczenie, a nie pobieżne opowiadanie, autor oszczędza czytelnikowi imion i nazwisk władców, pomija mniej ważne daty, ale za to faktów wtłacza na każdą stronicę ile się tylko zmieści i to nie tylko z dziedziny politycznej, ustrojowej i wojennej, ale przede wszystkim gospodarczej i kulturalnej, nie pomijając nawet takich na pozór błahych wynalazków jak proste taczki, dzięki którym jeden człowiek może przewieźć więcej niż dwóch, i które się w Europie pojawiły co najmniej o tysiąc lat później niż w Chinach.

Niesposób tu streścić tę skondensowaną historię narodu chińskiego, miejmy nadzieję, że kiedyś pojawi się na polskim rynku księgarskim pełna historia Chin. Historię tego narodu pisano już wiele, wiele razy, a teraz pisze się

ją na nowo. Marksiści chińscy komentują wydarzenia z przeszłości w świetle swojej dialektyki i sprzeczają się czasem między sobą, bo zdaniem jednych feudalizmowi położył kres już wielki zjednoczyciel Chin, znany jako Cin Szy Huang-di („Pierwszy Cesarz z rodu Cin") przeszło 200 lat przed naszą erą, a inni są lub byli zdania, że feudalizm jednak przetrwał aż do zwycięstwa KPCh w roku 1949.

Ale nie tylko w tym znaczeniu pisze się dzieje chińskie na nowo. Do roku 1930 krytycznie usposobieni historycy odrzucali w czambuł jako proste baśnie wiele faktów zanotowanych w historii określanej słowem „tradycyjna", zwłaszcza gdy chodziło o dzieje najdawniejsze. Tymczasem właśnie tuż przed rokiem 1930 przeprowadzono w „kolebce Chin", w dolnym biegu rzeki Żółtej pierwsze poważne wykopaliska i odkryto tam na sposób naukowy, to jest z dokładnym określeniem dat i nazwisk, całe skarby kultury z dynastii Szang, zwanej później dynastią Jin. Od tego czasu krytycy historii tradycyjnej są ostrożniejsi. Napisy na brązowych naczyniach i sprzętach oraz na kościanych tabliczkach potwierdziły niezbicie imiona kilkudziesięciu władców wymienianych w starych kronikach. Jak się zaś dowiadujemy z doniesień prasowych, obecny rząd chiński prowadzi badania archeologiczne nadal, a i bez systematycznych badań odkryto w czasie wielkich robót publicznych (koleje, kanały, tamy, likwidacja starych cmentarzy) takie mnóstwo wykopalisk, że całe lata nie starczą na ich wykorzystanie dla nauki.

Prof. Goodrich zwraca uwagę na niektóre znaleziska otwierające całkiem nowe pola dla badaczy przeszłości, jak np. tysiące małych figurek glinianych umieszczanych w grobowcach. Nie ma w żadnej książce objaśnienia, co one miały znaczyć, wygląda na to, że są one przejawem jakiejś religii, o której historycy nigdy nie wspominali.

Nowe podejście do badań historycznych ułatwiają też dziś raporty archeologów i lingwistów zajmujących się dziejami *całej Azji*. Okazuje się bowiem, że Chiny nie były w dawnych czasach zamknięte dla wpływów kulturalnych idących nie tylko z Indii („jedynego kraju, który nie był przez Chińczyków nazywany barbarzyńskim"), ale nawet z dalekiej Grecji i Rzymu. Produkty zaś chińskie trafiały w niewyjaśniony dotąd sposób już w owych dawnych wiekach zarówno do Korei jak i do Azji centralnej. (Nie wiadomo jeszcze jakie echa wywoła wśród historyków odkrycie dokonane ostatnio przez uczonych japońskich w Tailand. Ku swojemu zdziwieniu ustalili archeologowie nowoczesnymi metodami wiek znalezisk: 11.690 lat! Rzecz o tyle ciekawa, że znaleziono resztki roślin i nasiona ryżu, pszenicy i owsa oraz narzędzia wykonane z brązu, a nawet kamienną formę, w której były odlewane siekiery brązowe. Dotyczas przypuszczano — i tego zdania był prof. Goodrich — że zboże i pewne metody rolnicze przyszły nad rzekę Żółtą z dalekiej Mezopotamii, a brąz z gdzieś z Azji środkowej. Czy nie przyszło to wszystko z południa?).

Dzieje Chin są o tyle odmienne od dziejów Europy, że podczas gdy w Europie przeważały wojny najeźdźcze, to dzieje Chin wypełnione są raczej przewrotami wewnętrznymi. Nie w inny sposób, ale właśnie drogą gwałtownych wojen domowych zaczynały się i kończyły dzieje chińskich dynastii, których oficjalna historia liczy aż 24, a gdy pominiemy dynastie efemeryczne to i tak zostanie ich kilkanaście. Tytułem do zasiadania na tronie było prawie zawsze tylko zbrojne zwycięstwo nad władcą poprzedniej dynastii i nad rywalami, nieraz nawet tylko domniemanymi. Określano jednak to prawo różnie. Najbliższe prawdy było pół cyniczne a pół realistyczne powiedzenie: „*zwyciężaj, a będziesz królem, przegraj a nazwą cię bandytą*". Nieco lepiej brzmiało porównanie: lud jest jak morze, a władca jak łódź na morzu, gdy morze spokojne, to i łódź bezpieczna, ale gdy morze wzburzone, to nie ma dla łodzi ratunku. Innymi słowy: przewroty są rzeczą tak naturalną jak burze na morzu.

Było w tym wszystkim ostrzeżenie dla władców ale była i zachęta dla zbiedniałej ludności, by sobie poszukała przywódcę i podniosła sztandar buntu. Zdaje się że od czasu, kiedy przywódcą takiego buntu był założyciel trzeciej dynastii, pojawiło się na dobre pojęcie „mandatu Nieba", który w jakiś tajemniczy sposób przypada jednemu rodowi, a jest równocześnie odbierany drugiemu, tak przynajmniej pisze Herrlee Creel w swej książce pod tytułem *The Birth of China* (1939, nowe wyd. 1959). Prof. Goodrich ledwo o tym wspomina, poza cytatami świadczącymi, że zdaniem ludności „Niebo odebrało mandat" danemu władcy.

Goodrich woli chodzić po ziemi i przyczyn przewrotów dopatrywać się w rozwoju wypadków i stosunków społecznych. Chiny były *ex definitione* monarchią i to w zasadzie absolutną, wszelka władza prawodawcza, sądownicza spoczywała w ręku władcy, nawet najwyżsi dygnitarze nie mieli głosu, wolno im było jedynie przedkładać władcy prośby i memoriały i to w formie stwierdzającej władzę monarszą. W takich warunkach od władcy zależało bardzo wiele, a niestety żaden król czy cesarz nie może być pewny, że jego następca będzie człowiekiem na miejscu.

Zwykle tak bywało, że pierwsi dwaj, trzej a czasem nawet czterej władcy nowej dynastii byli energiczni i uzdolnieni, ale późniejsi to już były marionetki w rękach kobiet: to matek-regentek, to zwykłych sobie nałożnic i kochanic à la Madame Pompadour. Chińczycy mawiali od najdawniejszych czasów: „*biada domowi, w którym nie kogut, ale kura pieje na dzień-dobry!*". Tak się niestety zdarzało często. Taki zarzut podniósł już przywódca pierwszego historycznie zanotowanego buntu przeciw półlegendarnej dynastii Sia, to samo powtarzano pięć wieków później gdy plemię Dżou podniosło bunt przeciw władcy z rodu Szang-Jin. Harem i zgraja eunuchów przyczyniały się do ruiny dynastii Han (aż dwa razy), Thang i Ming, nie inaczej było za ostatnich cesarzy z ostatniej dynastii (mandżurskiej).

Oczywiście nie był to jedyny powód każdego przewrotu. Ważniejszą sprawą było zawsze położenie materialne ludności. Chiny były krajem rolniczym, a więc zależnym od opadów, od posuchy, od powodzi i takich klęsk jak szarańcza. Klęski żywiołowe i wiele innych czynników przyczyniało się do zubożenia pewnej ilości rolników i pracowników rolnych, przy równoczesnym wzroście latyfundiów. Ludność wyzuta z roli, bez widoków na jakiekolwiek zarobki, szła na rabunek, tworząc rosnące z roku na rok bandy. Coraz mniej zdatni urzędnicy nie umieli ani tłumić buntów ani zapobiegać pauperyzacji mas. Prędzej czy później kombinacja tych czynników doprowadzała do ostatecznej konfrontacji z dworem cesarskim. Rywale marzący o tronie wykańczali się wzajemnie, aż jeden z nich wysuwał się na czoło i ogłaszał się władcą. Typowym takim zwycięzcą był prosty syn chłopa, założyciel dynastii Han (200 przed do 220 po Chrystusie). Inni założyciele dynastii nie zaczynali tak nisko, wywodzili się zwykle z jakichś rodów mniej więcej arystokratycznych lub magnackich, poza jednym jeszcze — założycielem dynastii Ming (1368), który jednak był wodzem nie tyle buntu co powstania przeciw najeźdźcy, to jest przeciw Mongołom.

Goodrich wymienia wszystkie dynastie i w tekście i w tablicach chronologicznych, ale bardziej niż lista dynastii i władców interesuje go ludność, jej sposób życia, zajęcia, kultura materialna, pismo, poezja i proza, sztuki piękne i prądy ideowe oraz religijne.

Konfucjanizm od samego początku wywierał na życie narodu chińskiego wpływ kształtujący stosunki rodzinne, społeczne i państwowe — później jednak skostniał i za ostatniej dynastii stał się hamulcem wszelkich innowacji. Taoizm stał od samego początku po stronie raczej anarchicznej, opozycyjnej, a na dworach władców trafiał do serc kobiet i wywierał wpływ raczej szkodliwy. Buddyzm był politycznie neutralny, pokojowy, wywarł ogromny wpływ na sztuki piękne podobnie jak w Europie chrześcijaństwo

w wiekach średnich, a jeśli się znalazł w konflikcie z władcami oraz zwolennikami Konfucjusza, to przede wszystkim przez nadmiar swoich świątyń i bonzów, których ludność uważała za pasożytów, bo nie pracowali na roli i nie produkowali niczego. Wydawano więc czasem dekrety nakazujące niszczyć pagody i zmuszające bonzów do życia rodzinnego.

Ostatni rozdział napisał już kto inny, ale stylem takim samym jak wszystkie poprzednie. Jest w nim dużo trafnych spostrzeżeń, a jeszcze więcej pytań bez odpowiedzi, bo sprawy w nim omawiane są nowsze — od roku 1911 do 1968.

Nie znam dobrze wszystkich książek wymienionych w zamieszczonej na końcu bibliografii, ale znam ich sporo i mogę stwierdzić, że są to wszystko książki wartościowe, zwłaszcza gdy chodzi o dawniejsze dzieje Chin. Książki odnoszące się do ostatniego rozdziału, omawiające zagadnienia które jeszcze nie należą do historii, mogą być jednostronne i kontrowersyjne. Wyborowa bibliografia jest świetnym zakończeniem tej naprawdę pożytecznej książki.

Jest ona owocem olbrzymiej erudycji obejmującej nie tylko dzieje samych Chin, ale całej Azji a właściwie Eurazji. Chiny wyglądają w tej książce jak organiczna część świata, a nie jak wyspa „pośród czterech mórz", jak to bywa w wielu innych podobnych historiach tego kraju.

W Ameryce broszurowe wydanie kosztuje tylko dwa i pół dolara. Szkoda, że brak w książce ilustracji — są tylko skromne mapki historyczne.

Ks. W. SOJKA

Dziwna pomyłka

Nowy Świat w New Yorku, w nrze z 26 maja br., zamieścił nie tyle recenzję co przedruk omówienia książki „Znasz-li ten kraj?" (które ukazało się w *Na Antenie)*. Przedruk jest zaopatrzony tytułem „Ostrożnie z używanymi szczoteczkami..." a we wprowadzeniu *Nowy Świat* stwierdza, że *książka ukazała się w kraju.* Biorąc pod uwagę, że ze względu na wagę tej książki egzemplarze recenzyjne były wysłane do całej prasy polonijnej, a także do *Nowego Świata*, zachodzi pytanie czy to jest ignorancja Redakcji czy też chęć stwierdzenia liberalizmu cenzury w PRL?

Amerykańska prasa polonijna zresztą książkę „Znasz-li ten kraj?" zgodnie przemilczała.

SUBSKRYPCJA NA KSIĄŻKĘ

STANISŁAW VINCENZ

Z W A D A

nowy cykl eposu huculskiego

NA WYSOKIEJ POŁONINIE

Na tle monumentalnej pierwotnej przyrody, w atmosferze mitu i legendy, dzieje ludzi w dziewiczej puszczy górskiej.

Dzieło pisarza, nad którym pracował dwadzieścia lat, wyjdzie na jego 82 urodziny w listopadzie 1970.

Książka ukaże się w wydawnictwie Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie.

Stron 650, cena £ 3.0.0, $ 8, F. 41, Fr.szw. 32, DM 27 (ceny wraz z portem).

Dla ułatwienia druku ogłaszamy już teraz przedsprzedaż.

Osoby które do dnia 30 września br. wpłacą co najmniej: £ 5, $ 15, F. 75, Fr.szw. 60, MD 50, lub więcej, otrzymają egzemplarz książki, a ponadto nazwiska ich ogłoszone zostaną w Tabula Gratulatoria na końcu tomu.

Wpłaty przyjmują:

Libella
12, rue Saint-Louis-en-l'Ile
Paris (IV^e^)

Kazimierz F. Vincenz
4500 Soleure 2, Postcheck 45-4694,
albo konto
Nr 3861 Soluthurner Handelsbank,
Solothurn, Szwajcaria.

Poets' and Painters' Press
146, Bridge Arch, Sutton Walk, London S.E.1., England.

Nadesłane nowości wydawnicze

PANKOWSKI (Marian). *Chrabąszcze.* Sztuka teatralna. Str. 33 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, London, 1970).

JENNE (Beniamin Józef). *Erotyki.* (Poezje). Str. 89 i 7 nlb. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Oczy jak bursztyny.* Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1970. Cena 21 sh.).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Tryptyk miłosny.* (Poezje). Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970).

KALINOWSKI (Piotr). *Emigracja polska we Francji w służbie dla Polski i Francji 1939-1945.* Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1970).

KRET (Wojciech). *La Bibliothéque Polonaise de Paris.* Str. 61 i 1 nlb. Tirage à part du *Librarium*, Revue de la Société Suisse des Bibliophiles, Volume 13, No I/1970.

Essays on Poland's Foreign Policy 1918-1939. Pod redakcją i z przedmową Thaddeus'a V. Gromady, z wprowadzeniem Wacława Jędrzejewicza. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, New York, 1970).

WANDYCZ (Piotr). *Recent Traditions of the Quest for Unity.* Attempted Polish-Czechoslovak and Yugoslav-Bulgarian Confederations 1940-1948. Str. 38-93. (Tiré à part des *Cahiers de Bruges*, N.S. 25).

BRZEZINSKI (Zbigniew). *The Soviet Past and Future.* Str. 16. (Odbitka z *Encounter.* March 1970).

BROMKE (Adam). *Eastern Europe and the Throshold of the 1970's.* Str. 32-48. (Nadbitka ze *Slavic and East-European Studies*, Volume XIV, 1969).

BRZEZINSKI (Zbigniew). *Five Years after Khrushchev.* Str. 40-41. (Nadbitka z *Survey*, No. 72, Summer 1969; Wyd. Eastern Press Ltd., Londyn).

Dziesięć lat szkoły polskiej w New Britain, Connecticut 1960 — 19 kwietnia 1970. Pamiętnik rocznicowy w języku polskim i angielskim z licznymi ilustracjami. (Wyd. Komitet Szkoły Polskiej w New Britain, Conn.).

LUBOWYCZ (Uljana). *Rozkażu wam pro Kazachstan.* Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. „Nowyj Szlach", Winnipeg-Toronto, Kanada, 1969).

KRAJ — EUROPA WSCHODNIA

16-5-70
Radio Warszawa I w felietonie p. W. Wilczka informuje że w woj. katowickim gdzie wytwarza się 1/5 ogólnokrajowej produkcji przemysłowej, gdzie powstaje w dziedzinie paliw, surowców i materiałów 70 % polskiego eksportu i gdzie produkuje się 22 % maszyn przyznaczonych na eksport — na 65 zakładów przemysłu ciężkiego i maszynowego tylko 9 obiektów zostało zbudowanych za czasów PRL. Mimo koniunktury na polski węgiel nie ma od lat kredytów na modernizację od dawna przestarzałych koksowni. ■ Według radia Warszawa I 10.000 Polaków z Zachodu zgłosiło przyjazd do Polski w 143-ch grupach wycieczkowych. To samo radio podaje, że w ciągu 1969 r. Polska dostarczyła Związkowi Sowieckiemu 150-milionową tonę węgla kamiennego oraz milionową kuchnię gazową. W tymże samym roku Związek Sowiecki dostarczył 100-milionową tonę rudy żelaza dla Polski, jak równie 20-milionową tonę ropy naftowej.

18-5-70
W Warszawie rozpoczęło się Międzynarodowe kolokwium historyków, poświęcone II wojnie światowej. Tematem jest geneza II wojny światowej, polityka okupacyjna III Rzeszy w krajach Europy Wschodniej oraz walka konspiracyjna z hitleryzmem w Europie Wschodniej. ■ Janina Ipohorska została odwołana ze stanowiska zastępcy redaktora naczelnego *Przekroju.*

19-5-70
Pisarz Tadeusz Breza zmarł w Warszawie w wieku 65 lat. ■ Zmarł w Warszawie w wieku lat 72 prof. Dr Cezary Berezowski.

20-5-70
Zmarł w Warszawie Eustachy Czekalski, literat, publicysta, redaktor, w wieku 85 lat.

21-5-70
Pisarz Andrej Amalrik, 31 lat, autor książek: „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 r." i „Przymusowa podróż na Syberię", został aresztowany przez KGB. ■ Zgromadzenie Księży Najśw. Serca Jezusowego (sercanie) w Polsce wysłało grupę misjonarzy do Afryki (Kongo-Kinshaza). Jest to druga grupa misjonarzy tego Zakonu. Pierwsza w liczbie 12 wyjechała do Indonezji trzy lata temu. ■ Zmarł w Warszawie Leonid Teliga, pisarz, tłumacz i żeglarz. ■ Zmarł w Warszawie Kazimierz Kosiński, historyk literatury i pedagog, w wieku 83 lat. ■ Tegoroczne nagrody im. Stanisława Piętaka otrzymali: Henryk Jachimowski za powieść „Skaza", Zbigniew Ryndak za powieść „Drugi Brzeg Miłości" oraz Zygmunt Trziszka za powieść „Romansoid".

22-5-70
Odbyło się doroczne zebranie plenarne głównej komisji badania zbrodni hitlerowskichw Polsce. Obecnie prowadzi się 4 tysiące śledztw przeciwko 11 tysiącom zbrodniarzy hitlerowskich, którzy są winni zbrodni dokonanych w okupowanej Polsce oraz na Polakach poza granicami Polski.

25-5-70
Prezydium Komitetu Centralnego Czechosłowackiej Partii Komunistycznej zdecydowało wykluczenie Dubczeka z partii i odwołanie go ze stanowiska ambasadora w Ankarze.

27-5-70
Podziemna prasa sowiecka doniosła o aresztowaniu szeregu oficerów sowieckiej floty na Bałtyku. Jeden z nich został rozstrzelany. Trzech z tych oficerów: Kosyriew, Gawriłow i Paramonow jest oskarżonych o organizowanie Związku Walczących o wolność polityczną. Fermenty opozycyjne przejawiają się nie tylko we flocie ale i w armii lądowej. Prasa podziemna podaje ilość oficerów aresztowanych na 30. Są informacje o aresztowaniu w rejonie Leningradu kilkudziesięciu intelektualistów. Program Ruchu Demokratycznego jest szeroko kolportowany w kołach inteligencji Rosji, Ukrainy i państw bałtyckich. ■ Słynny wydział filozoficzny uniwersytetu Karola w Pradze został zamknięty przez czeskie Ministerstwo Szkolnictwa wyższego, które zamierza przeorganizować uniwersytet.

31-5-70
W Polsce podrożała kawa. Cena skoczyła z 250 zł na 400 zł za kilogram. Powodem jest chęć zmniejszenia importu kawy. Spożycie kawy z 3.000 ton wzrosło ostatnio do 18.700 ton rocznie. ■ Najbardziej katastrofalna w dziejach Rumunii powódź objęła praktycznie całą Rumunię, z wyjątkiem tylko jednego na 39 istniejących w Rumunii okręgów administracyjnych. ■ Polska Ludowa wydaje rocznie 3 miliardy złotych na poszukiwania geologiczne. 60 % tej sumy pochłania poszukiwanie ropy naftowej. Jak dotąd bez rezultatów. Mówi się powszechnie o złych metodach poszukiwawczych i złej organizacji prac. ■ Przeciętny mieszkaniec Warszawy wydał w 1969 roku 209 zł na książki. Natomiast mieszkaniec województwa warszawskiego jedynie 20 zł. ■ Zniesiono obowiązek posiadania wiz w podróżach obywateli polskich do Związku Sowieckiego i obywateli sowieckich do Polski. Obecnie wystarczy jedynie poświadczone zaproszenie by otrzymać wkładkę paszportową. ■ Nagrody *Polityki* 1970 otrzymali: Stanisław Kalabiński, Feliks Tych za książkę „Czwarte powstanie, czy pierwsza rewolucja", Marian Orzechowski za książkę „Odra-Nysa Łużycka- Bałtyk w polskiej myśli politycznej okresu II wojny światowej", Tomasz Szarota za „Osadnictwo miejskie na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948", Wiesław Bieńkowski za „Kazimierz Kelles-Krauz — życie i dzieło", Hanna Jędruszczak za dwutomowy zbiór „Upaństwowienie i odbudowa przemysłu w Polsce", Szczepan Ciekot za „Wspomnienia".

3-6-70
Zmarł w Warszawie Stanisław Zabiełło, b. urzędnik MSZ, w okresie wojny członek ruchu oporu we Francji, historyk i publicysta. ■ W Toruniu powstało jedyne w kraju muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu. Ofiarodawcą niemal wszystkich zbiorów jest kolekcjoner warszawski Tadeusz Wierzejski.

5-6-70
W Polsce rozpoczął się doroczny spis rolniczy. Obejmuje on użytki rolne, powierzchnie zasiewów poszczególnych ziemiopłodów oraz pogłowie zwierząt gospodarskich. ■ Rada Miejska w Rymarowie, mieście położonym na zachód od Ostrawy, blisko granicy polskiej, odmówiła pozbawienia Smrkovskiego tytułu honorowego obywatela miasta i jest gwałtownie atakowana przez prasę partyjną. ■ Biolog sowiecki, Jaurès Miedwiediew, aresztowany przed dziesięcioma dniami, był badany przez komisję lekarską, która stwierdziwszy, że jest zdrowy umysłowo, skazała go jednak na miesiąc internowania w szpitalu psychiatrycznym w Kałudze. ■ Szereg uczonych sowieckich, jak znany fizyk Kapica i Andrej Sacharow, zaprotestowali w „liście" do prokuratora ZSSR przeciw skazaniu gen. Grigorenko. Uczeni ci zaprotestowali również przeciwko skazaniu Jaurèsa Miedwiediewa. Do protestu dołączył się b. naczelny redaktor *Nowowo Mira* Twardowski.

8-6-70
W Warszawie rozpoczęło się polsko-arabskie seminarium poświęcone planowaniu perspektywicznemu i regionalnemu. Organizatorami seminarium są instytut gospodarki krajów rozwijających się przy szkole głównej planowania i statystyki w Warszawie oraz instytut planowania w Kairze. Jest to już drugie tego rodzaju seminarium polsko-arabskie. Pierwsze odbyło się w ub.r. w Kairze.

12-6-70
Nagrody konkursu na najlepsze materiały publicystyczne o tematyce polonijnej i kombatanckiej opublikowane w 1969 r. w prasie radio i telewizji otrzymali: Klaudiusz Hrabyk — Krajowa Agencja Inform., J. Wierzbiński, J. Wolniewicz, O. Budrewicz, H. Tarnowska i in.

13-6-70
Polityka donosi że: Pan Wojciech Sulewski stanął przed Naczelnym Sądem Dziennikarskim (przewodniczący — R. Gontarz, rzecznik dyscyplinarny — Alina Reutt) za „uwłaczenie godności osobistej red. Jerzego Ślaskiego z „WTK". Sąd okazał pobłażanie dla winowajcy, rzecznik odstąpił od oskarżenia, a to ze względu na skruchę p. Sulewskiego. W istocie, w liście opublikowanym na łamach „Prasy Polskiej" daje on samokrytykę wzorową: „oświadczam, że zarzuty... nie odpowiadają prawdzie... wyrażam ubolewanie... odwołuję i wycofuję... przepraszam... zobowiązuję się w mojej pracy publicystycznej do unikania tego typu pochopnych oskarżeń naruszających dobre obyczaje dziennikarskie". Powstaje pytanie, czy przy tego rodzaju „niedokładnościach" czytelnicy będą brali na serio publikacje p. Sulewskiego. (P. Sulewski należy do klanu „kulturologów" obok Kolczyńskich i Fillerów i od dawna zajmuje poczesne miejsce w opublikowanej przez nas „Czarnej liście"). ■ W ubiegłym roku wykryto na terenie kraju 1847 bimbrowni. Pierwsze miejsce pod względem wykrytych bimbrowni zajmuje woj. łódzkie, a drugie woj. warszawskie. ■ Warszawie przybyła nowa szkoła wyższa, Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzęgorzewskiej. Przygotowywać ma ona nauczycieli dla potrzeb szkolnictwa specjalnego i wychowawców dla placówek opiekuńczo-wychowawczych. ■ W kraju jest prawie 9 mln. dzieci w wieku do lat 14; z opieki w żłobkach korzysta 123 tys. dzieci, a w przedszkolach 512tys. W szkołach podstawowych uczy się 5443,1 tys. dzieci, a w szkołach specjalnych 81,9 tys.

15-6-70
Marszałek sowiecki, Iwan Jakubowski, naczelny d-ca sił zbrojnych Paktu Warszawskiego, odbył w Berlinie Wschodnim konferencję z Ulbrichtem. Konferencja dotyczyła zagadnień bezpieczeństwa europejskiego i zacieśnienia współpracy między siłami zbrojnymi Związku Sowieckiego a armią Niemiec Wschodnich. ■ Aleksander Sołżenicyn zaprotestował przeciw nowym metodom policji sowieckiej polegającej na zamykaniu opozycjonistów czy krytyków reżymu w zakładach psychiatrycznych określając to jako „morderstwo duchowe". ■ *Leningradzkaja Prawda* donosi o aresztowaniu szeregu osób w związku z próbą porwania samolotu AW-2. Z dobrego źródła informują, że 12 osób zostało aresztowanych na lotnisku Smolny, który w Leningradzie obsługuje linie wewnętrzne Związku. Tego samego dnia odbyły się rewizje u kilkudziesięciu osób w Leningradzie, Rydze, Charkowie i Moskwie, na podstawie artykułu kodeksu karnego dot. „zdrady ojczyzny". Wśród aresztowanych na lotnisku było szereg osób poprzednio już skazanych z powodów politycznych. ■ W Moskwie, na grobie Stalina, ma być postawiony pomnik. ■ Około setki wojskowych czechosłowackich przybyło na Syberię do republiki buriackiej, na granicy mongolskiej. Są to specjaliści łączności, znający język rosyjski. Formalnym pretekstem jest *stage* z tytułu Paktu Warszawskiego. Jak dotąd wszystkie staże odbywały się wyłącznie na terenach europejskich. Kontyngenty wojskowych innych Demokracji Ludowych z Polską na czele są oczekiwane na Syberii w najbliższym czasie. ■ W Krakowie zmarł znakomity polski filozof prof. Roman Ingarden jeden z najwybitniejszych przedstawicieli filozofii fenomenologicznej. ■ Nagrody im. Bolesława Prusa otrzymali: E. Osmańczyk, Wiesław Rogowski i Ryszard Wojna.

16-6-70
Dwaj kosmonauci sowieccy, Andrian Nikołajew i Witali Sewastianow, pobili rekord światowy przebywania w kosmosie. Dotychczasowy rekord ustalony przez Amerykanów w 1965 r. wynosił 13 dni, 18 godzin, 35 minut. ■ Laureatami tegorocznej nagrody im. Józefa Conrada Korzeniowskiego zostali: Walentyn Milenuszkin autor książki „Kapitanowie na piasku", Jan Mrozowicki twórca „Konwoju w nieznane". Obaj są kapitanami wielkiej żeglugi. Nagrodę otrzymał również syn wielkiego pisarza, Borys Korzeniowski, za książkę „Kronika rodzinna" wydaną w ub. roku przez Książkę i Wiedzę. ■ Zostały otwarte 39-te Targi Poznańskie, w których bierze udział 6 tys. wystawców z 41 krajów. ■ 358.264 czytelników uczestniczyło w kolejnym plebiscycie „Złoty Kłos" na najpoczytniejszych autorów roku 1969/70. Laureatami konkursu zostali: J. Putrament, W. Żukrowski, A. Fiedler.

ZACHÓD — EMIGRACJA

17-5-70
Znany pisarz rosyjski, Arkadiusz Bielinkow, który w 1968 r. uszedł ze Związku Sowieckiego, zmarł w New Haven (USA) na atak serca w wieku 49 lat. ■ W Rzymie ukazał się pierwszy numer miesięcznika *Settanta* poświęconego kulturze, polityce i ekonomii. W komitecie redakcyjnym pisma jest Gustaw Herling-Grudziński. ■ Duże poruszenie w opinii światowej wywołał fakt wydania przez Izrael rządowi greckiemu emigranta politycznego Georges Panagulisa. Sprawa ta została ujawniona w interpelacji posłów do parlamentu Izraela pp. Szalom Kohena i Uri Awnery.

20-5-70
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt p. E. Faucher, wiceprzewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Czechosłowackiej pt. „T. G. Masaryk i kryzys współczesnego człowieka". Odczyt był zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Literacko-Historyczne. ■ W Muzeum Polskim w Chicago została otwarta wystawa pt. „Czyn Zbrojny Polonii Amerykańskiej".

22-5-70
Zmarł w Brazylii, w wieku 81 lat, Józef Gieburowski, b. konsul gen. w Kurytybie.

23-5-70
W Chicago odbył się wieczór autorski Stanisława Zadrożnego.

25-5-70
Przedstawiciele Polsko-Murzyńskiej Grupy Porozumiewawczej w Detroit przybyli do Chicago na zaproszenie Uniwersytetu Chicagowskiego w celu spotkania się z przedstawicielami polonii chicagowskiej dla zapoznania jej z rozwojem wzajemnych stosunków polsko-murzyńskich w Detroit. W wyniku tej

współpracy kandydaci grupy polsko-murzyńskiej odnieśli w Detroit poważny sukces w wyborach municypalnych.

30-5-70
Zachodnioniemiecki Instytut Badania Opinii Publicznej w Allensbach ogłosił na podstawie ankiety, że 72 % ludności uważa Śląsk, Pomorze i Prusy Wschodnie jako „na zawsze stracone". Pół roku temu nie wierzyło w powrót tych ziem do Niemiec 68 %. ■ W amerykańskiej Częstochowie, zbudowanej i prowadzonej przez Ojców Paulinów, odbył się Zjazd b. więźniów politycznych zwołany z okazji przeniesienia zwłok na miejscowy cmentarz polski gen. Antoniego Chruściela-Montera, jednego z dowódców Powstania Warszawskiego. Zwłoki spoczęły w Alei Zasłużonych.

31-5-70
W Filadelfii odbył się Zjazd Weteranów Armii Polskiej w Ameryce na który jako główny mówca przybył gen. R. E. Haines, naczelny dowódca wojsk USA na Pacyfiku. ■ W Bostonie została otwarta wystawa „Poland Today". ■ Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* Paryskiej rozwija na terenie Toronta coraz żywszą działalność, przyciągając na swe comiesięczne niedzielne popołudnia elitę intelektualną kanadyjskiej Polonii. Po udanym marcowym spotkaniu z pisarzem i poetą Aleksandrem Jantą, który przybył do Toronto na zaproszenie Prezesa Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* Paryskiej p. Wacława Iwaniuka, w kwietniu odbył się pokaz polskich i kanadyjskich filmów krótkometrażowych, z dodatkiem filmu nakręconego w Polsce przez pp. Zarembów. Wyświetlono dwie polskie krótkometrażówki: Polańskiego „Dwaj ludzie z szafą" oraz Tadeusza Makarczyńskiego „Czarodzieje", kanadyjskie filmy Maclarera „Pas de deux" oraz „Karuzela" W ostatnią niedzielę maja Towarzystwo zaprosiło swych członków, sympatyków i gości na spotkanie z pisarzem Zbigniewem Grabowskim — w opracowaniu artystycznym inżyniera Zygmunta Czerniakowskiego.

2-6-70
W Instytucie Katolickim w Paryżu p. I. Gałęzowska wygłosiła odczyt pt. Augustyn Jakubisiak — ksiądz i filozof, 1884-1945.

3-6-70
Zmarł w Madrycie Józef Wyrwa, przeżywszy 72 lata. Pochowany na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem. J. Wyrwa był uczestnikiem walk o niepodległość w latach 1917-20, w czasie drugiej wojny światowej był jednym z pierwszych organizatorów armii podziemnej z mjr. Hubalem, w okresie „Burzy" zastępca 25 p.A.K.

4-6-70
W Monachium zmarł, w wieku 93 lat, dr Hjalmar Schacht. Był on prezesem Reichsbanku w 1923 r., ministrem ekonomii Adolfa Hitlera w 1934 r. i głównym twórcą uzbrojenia Niemiec hitlerowskich. Był zesłany do obozu koncentracyjnego w lipcu 1944 r. z powodu spisku antyhitlerowskiego i został uniewinniony na procesie norymberskim.

5-6-70
Emigracja białoruska w W. Brytanii przejawia dużą aktywność. Wydaje na dobrym poziomie *The Journal of Byelorussian Studies*, a ostatnio zakupiła już czwarty dom w Londynie, do którego zostanie przeniesione Muzeum białoruskie i biblioteka. W końcu br. ma się ukazać w Anglii Antologia poezji białoruskiej w przekładzie Very Rich. ■ Nagrodę muzyczną im. Lily Boulanger za rok 1969 otrzymał Zygmunt Mycielski.

6-6-70
Samolot „Lotu" kursujący między Szczecinem a Gdańskiem został zmuszony pod groźbą użycia broni do lądowania w Kopenhadze. Sprawca Zbigniew Iwanicki został aresztowany po wylądowaniu samolotu. ■ Samolot transportowy czechosłowacki został zmuszony do lądowania w Norymberdze. ■ Zmarł w Anglii, w wieku 91 lat, senior pisarzy angielskich Edward Morgan Forster. ■ Teatr królewski w Kopenhadze oraz teatr norweski w Oslo przygotowują wystawienie „Operetki" Gombrowicza w najbliższym sezonie teatralnym. W przygotowaniu jest też wystawienie tej sztuki w Finlandii i w Sztokholmie. ■ Nagrodę jury *Wiadomości* londyńskich za najlepszą książkę ub. roku otrzymał Andrzej Chciuk za „Atlantydę", wydaną przez Polską Fundację Kulturalną. Na tym samym zebraniu przyznano nagrodę za najlepszy utwór wierszem drukowany w *Wiadomościach* w 1969 Bogumiłowi Andrzejewskiemu, a za najlepszy utwór prozą Janinie Kowalskiej.

8-6-70
W Bonn rozpoczęło się czwarte spotkanie polsko-niemieckie. ■ Studenci polscy z Orchard Lake utworzyli Komitet na Rzecz Nominacji sen. E. Muskie na Prezydenta USA w wyborach w 1972 r.

10-6-70
Na Uniw. Manitoba w Winnipegu, odbył się 14-ty Kongres Kanadyjskiego Tow. Filozoficznego, którego przewodniczącym jest dr Jerzy A. Wojciechowski, prof. filozofii na uniw. w Ottawie, który jednocześnie został wybrany członkiem Executive Council of the Humanities Research Council of Canada.

11-6-70
Aleksander Kierenskij, były premier rosyjski, zmarł w New Yorku, w wieku 89 lat. ■ Prof. Mierzwa, organizator i długoletni prezes Fundacji Kościuszkowskiej, przechodzi w tym roku na emeryturę. Jego następcą został dotychczasowy wiceprezes Fundacji prof. Eugeniusz Kusielewicz.

13-6-70
Zmarł w Brooklynie Ks. K. E. Trzeciak C.M., założyciel i były redaktor *Tygodnika Katolickiego* w Australii. W Stanach Zjednoczonych przebywał od 1962 r.

14-6-70
Odbyła się w Paryżu na cmentarzu Montmorency uroczystość inauguracji pomnika ku czci żołnierzy polskich zmarłych w czasie II wojny światowej. Pomnik jest wzniesiony przez miasto Montmorency przy pomocy Conseil Général w Val-d'Oise. ■ Referendum w Szwajcarii niewielką większością głosów odrzuciło wniosek zmierzający do ograniczenia liczby rezydentów cudzoziemskich do 10 % ludności szwajcarskiej. Problem cudzoziemców w ostatnim czasie niepokojąco narasta we Francji, powodując dyskusję prasową. ■ W Londynie z inicjatywy pisma studenckiego *Merkuriusz Polski* odbyło się zebranie dyskusyjne na temat: „Udział młodzieży polskiej w brytyjskiej akcji wyborczej".

15-6-70
Redaktor B. Korpowski został współredaktorem *Tygodnika Polskiego* w Melbourne.

16-6-70
Zmarła pod Paryżem, w wieku 74 lat, Elsa Triolet, znana pisarka, żona Louis Aragona. ■ Prof. dr Jerzy Zubrzycki objął nowoutworzoną katedrę socjologii na Uniw. Narodowym w Canberra (Australia).

Listy do Redakcji

Melbourne, 3 czerwca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

W czerwcowym numerze *Kultury* p. Michał K. Pawlikowski pisze co następuje:

„Wśród głosów 'krytykujących' ostatnią powieść Józefa Mackiewicza (chodzi o „Nie trzeba głośno mówić" — przyp. R.G.) zwrócił moją uwagę artykuł pt. 'Los kolaboranta' w reżymowej 'Kulturze' z 25 stycznia br. Artykuł podpisał Roman Korab-Żebryk nazywający siebie 'b. dowódcą 1 brygady wileńskiej AK'. Artykuł jest całostronicowy i wypełniony oszczerstwami i nieprawdopodobnymi łgarstwami. Pan Żebryk cytuje również rozmaitych autorów, m.in. Józefa Garlińskiego, autora recenzji książki Mackiewicza w londyńskim 'Tygodniu Polskim' z 4 października ub. roku.

Białoruskie przysłowie powiada: *Swoj swojeho paznau*".

Krótko mówiąc: p. M. K. P. twierdzi, że recenzja Garlińskiego, podobnie jak recenzja w krajowej „Kulturze", wypełniona jest oszczerstwami i nieprawdopodobnymi łgarstwami.

Spośród wielu recenzji i polemik na temat ostatniej książki Mackiewicza, recenzja Garlińskiego wyróżnia się tym, że jest starannie udokumentowana cytatami z wielu autorytatywnych i zasługujących na wiarygodność źródeł — co ze względu na quasi-historyczność omawianej książki jest rzeczą niemal nieodzowną. Mimo że od ukazania się recenzji Garlińskiego upłynęło osiem miesięcy, nie znalazł się jeszcze żaden publicysta, który pokusiłby się o podważenie jego argumentów.

Uważam, że — bardzo oględnie to określając — p. M. K. P. wyrządził Garlińskiemu wielką krzywdę gołosłownymi a ciężkimi oskarżeniami. Wierzę, że przytoczony przeze mnie fragment jego recenzji ukazał się w Pańskim piśmie przez niedopatrzenie.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Roman GRONOWSKI

◆

Paryż, 16 maja 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pan generał Odzierzyński zamieścił w prasie uchodźczej list otwarty (patrz *Robotnik* z maja 1970 roku, str. 5), którego ustęp końcowy zawiera bezzasadne, gołosłowne i oszczercze zarzuty skierowane przeciw Wolnomularstwu polskiemu („W Polsce uważano masonerię, *i to słusznie*, za organizacje tajne, posłuszne obcym wpływom i dlatego szkodliwe dla Polski").

Korzystam z gościnności *Kultury* aby wyrazić publicznie ubolewanie, że poważna osobistość uznała za możliwe sformułować tego rodzaju oskarżenie nie zastanowiwszy się nad poważnym zagadnieniem o które chodzi i nad odpowiedzialnością, jaką w ten sposób bierze na swoje sumienie: gdyby gen. Odzierzyński był poprzestał na wzmiance, że w Polsce tak istotnie w pewnych sferach mniemano, to stanowiłoby to tylko przypomnienie (raczej zbędne, gdyż w danej sytuacji niczym nieuzasadnione) obskuranckich oskarżeń, formułowanych — ze złej woli, głupoty lub obu naraz — przez część

polskiej opinii, która miast przedtem starać się o źródłowe informacje, łatwo dostępne, poprzestawała na bezmyślnym powtarzaniu sloganów, świadomie lansowanych przez pewne ośrodki polityczne; ale uznał on za odpowiednie solidaryzować się osobiście i niedwuznacznie z tym sloganem, co wymaga reakcji.

Ani moi przyjaciele ani ja sam nie poniżymy się by polemizować szczegółowo z tak sformułowanym „zarzutem" na temat rzekomego „posłuszeństwa obcym wpływom" (?) i tym więcej „szkodliwości dla Polski". Wystarczy wspomnieć, że fakty historyczne mówią same za siebie. Zbyt wiele jest dowodów zasług polskiego ruchu wolnomularskiego dla kraju, społeczeństwa i ludzkości, poczynając od XVIII stulecia aż po dzień dzisiejszy, aby obserwator dobrej woli ich nie dojrzał. Dobrze znane są nazwiska wolnomularzy naszego i poprzedniego pokolenia, zasłużonych w walce o odzyskanie i utrzymanie niepodległości Ojczyzny; należeli oni do najwybitniejszych Polaków naszej doby i cieszyli się chyba także — chociaż „masoni" — szacunkiem gen. Odzierzyńskiego! Istotnie smutek ogarnia, że mimo tylu doświadczeń wciąż jeszcze trwa proces tumanienia opinii publicznej nieprzemyślanymi i lekkomyślnie powtarzanymi ogólnikami, bez umiarkowania w sądach i bez wysiłku w kierunku samodzielnego myślenia.

Wydaje się, że gen. Odzierzyński słusznie ustala, że jego ranga wojskowa i rzekoma przeszłość polityczna nie pozbawiały go bynajmniej kwalifikacji uzasadniających ubieganie się o przodujące stanowiska w życiu uchodźczym; co najwyżej mogło tu chodzić o zagadnienia taktyki a nie kwalifikacyj. Ale stwierdzić wypada, że niestety dyskwalifikuje go ta lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie rzucona obelga na Wolnomularstwo polskie.

Dziękuję za gościnę na łamach *Kultury* i łączę zapewnienie prawdziwego szacunku,

St. ŁANIEWSKI

◆

Londyn, 20 czerwca 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule wstępnym czerwcowego numeru *Kultury* pt. „Śmierć Generała Andersa" czytamy, że „Ta śmierć jest końcem emigracji wojennej, jej „Ostatnim Rozdziałem", chociaż innym niż ten o którym Generał myślał i marzył pisząc swą książkę".

Ten pośpieszny wniosek spodoba się, być może, komunistom, ale jest błędny i samo życie zada mu kłam. Póki w Warszawie rządzą słudzy moskiewscy, a Kraj ma usta zakneblowane, póty emigracja pełnić musi i będzie obowiązek, który jej przypadł, reprezentowania Narodu i bronienia jego praw.

Generał Anders był nam przykładem i pozostaje nim nadal. Był założycielem Skarbu Narodowego, stał na czele Macierzy, dbającej o zachowanie polskości młodego pokolenia, otaczał gorliwą opieką Harcerstwo. Jemu to przed rokiem w czasie uroczystości na Monte Cassino powierzył opiekę nad grobami polskich żołnierzy. Za jego sprawą sztandary bojowe naszej armii powierzone zostały Instytutowi Polskiemu w Londynie, autentycznemu ośrodkowi polskiej myśli niepodległościowej.

Śmierć zamknęła Generałowi oczy, ale stan rzeczy z którym walczył, przeciw któremu protestował, pozostał niezmieniony. Polska jest uciemiężona i skazana na milczenie. Walka trwa.

„Ostatni Rozdział" napisze historia.

Z wyrazami poważania,

Aniela MIECZYSŁAWSKA

Birmingham, 26 maja 1970.

Czcigodny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. A. Kruczka *(Kultura* Nr 5) pozwalam sobie dodać opinię o autorze słownika języka rosyjskiego *(Tolkowy słowar żywego wielikoruskogo jazyka)* W. I. Dalu, podaną w komentarzu *Dziennika T. Szewczenki*, Wyd. Akademia, Moskwa-Leningrad 1935 (Tłum. na język polski przez H. Mankiewicz-Szaniawską, Polska, „Czytelnik" 1952):

... „Dal znał Szewczenkę jeszcze z czasów studiów poety w Akademii Sztuk Pięknych, spotykał go też za czasów pobytu Szewczenki w Niżnym Nowgorodzie, gdzie Dal mieszkał w latach 1849-1859. Jednak szczególnie bliskie stosunki między nimi nie zadzierznęły się, zbyt różne były poglądy Szewczenki i Dala, zwolennika pańszczyzny, surowej władzy obszarniczej „ze środkami poprawczymi, niezbędnymi dla głupiego rosyjskiego chłopa", przeciwnika likwidacji analfabetyzmu wśród „prostego ludu".

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy poważania i ukłony,

A. S. ORŁOWSKI

◆

Sztokholm, 13 czerwca 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z masowym wyjazdem z kraju Polaków żydowskiego pochodzenia otrzymuję często listy z zapytaniem o możliwości pracy i osiedlenia się w Szwecji. Pragnę wobec tego poinformować czytelników *Kultury*, że Szwecja do niedawna stosowała najbardziej liberalną w Europie politykę w stosunku zarówno do emigrantów politycznych jak i zarobkowych. W związku jednak z otwarciem przed kilkoma laty granicy jugosłowiańskiej i tureckiej napłynęły do Szwecji nagle tysiące Jugosłowian i Turków, poszukujących pracy. Aby zapobiec chaosowi na rynku pracy, a także wobec pogarszającej się koniunktury gospodarczej w Szwecji, wydano rozporządzenie według którego o zezwolenie pracy i stałego pobytu w Szwecji starać się należy przed przyjazdem do tego kraju poprzez Ambasady wzgl. Konsulaty Szwedzkie. Żadne odstępstwa od tej reguły nie są więcej dopuszczalne. W dalszym ciągu jednak Szwecja stosuje wobec emigrantów politycznych jak najbardziej liberalną politykę. Polak, który przybywa z Polski do Szwecji i zgłasza się do policji z prośbą o azyl polityczny, taki azyl otrzyma, jeżeli potrafi prośbę swoją uzasadnić. Daje to automatycznie prawo pracy, a przedtem emigrant przechodzi kurs języka szwedzkiego na koszt państwa szwedzkiego. Natomiast Polak który już otrzymał azyl w innym kraju, nie może w razie przyjazdu do Szwecji jako turysta starać się o pracę i stały pobyt. Uczynić musi to z kraju swego obecnego pobytu zapośrednictwem dyplomatycznej czy konsularnej placówki szwedzkiej.

Swój humanitaryzm i tradycyjną pomoc ludziom prześladowanym za poglądy, religię czy pochodzenie rasowe zadokumentowała Szwecja także obecnie w stosunku do polskich emigrantów żydowskiego pochodzenia, zgłaszając gotowość przyjęcia 2.000 polskich Żydów. Ludziom tym daje się nie tylko azyl, ale urządza się dla nich specjalne kursa języka szwedzkiego, udziela się pożyczki na zakup mieszkania, a po skończeniu kursów daje się uchodźcom pracę, oczywiście nie zawsze w swoim zawodzie, gdyż to często, z różnych względów nie jest możliwe.

Niestety spora część starej emigracji polskiej odnosi się do ostatniej tragedii Polaków żydowskiego pochodzenia obojętnie, uważając ich za kolaborantów itp. Winę za brak kontaktu z poprzednimi falami polskiej emigracji w Szwecji ponoszą jednak także i nowi uchodźcy którzy tego kontaktu nie

szukali uważając częściowo (nie zawsze słusznie) starą emigrację za reakcyjną, wzgl. sądząc iż nawiązując łączność z gminą żydowską czy wsiąkając od razu w społeczeństwo szwedzkie będą mieli większe korzyści.

Próbę nawiązania łączności między dawniejszą a najnowszą emigracją podjęła grupa czytelników *Kultury* w Sztokholmie za pośrednictwem niżej podpisanego. Dyskusyjny wieczór *Kultury* jaki odbył się w Sztokholmie w maju, w lokalu Rady Uchodźtwa Polskiego, był pierwszym wspólnym zebraniem Polaków starej i najnowszej emigracji reprezentujących bardzo szeroki wachlarz ideologiczny. Wygłoszone referaty wywołały ciekawą dyskusję dotyczącą głównie problemu obecnego polskiego antysemityzmu, akcji przeciw intelektualistom oraz zmian psychicznych, jakie zachodzą w nowym pokoleniu w Polsce.

W rezultacie tego pierwszego kontaktu powstała myśl urządzania, począwszy od jesieni, regularnych spotkań przyjaciół *Kultury* i konieczność przełamania przesądów istniejących zarówno wśród starej jak i nowej emigracji. Zresztą czas robi swoje. Życie usuwa tych starych, którzy niczego nie zapomnieli i niczego się na emigracji nie nauczyli. Brak tolerancji, rasizm i ciasny fanatyzm szkodzą opinii polskiej w Szwecji. Nowe, już w Szwecji wychowane, pokolenie polskie oraz coraz szersze grono przybywających z Polski ludzi, nie są obciążone takimi kompleksami. O ile organizacje polskie mają przetrwać na terenie szwedzkim, a zachowany będzie system wyborów demokratycznych, ludzie obciążeni kompleksami przeszłości stopniowo znikną z kierownictwa nielicznych organizacyj polskich w Szwecji.

Zaistniała w Sztokholmie jeszcze inna trybuna ciekawych spotkań z nową emigracją, mianowicie sztokholmskie koło PPS-lewica. Inicjatywa ta ma jednak określone podłoże ideologiczne — gdy natomiast intencją przyjaciół *Kultury* jest organizowanie zebrań dyskusyjnych i spotkań wszystkich Polaków, od prawicy do lewicy, będących jednak w opozycji do panującego w Polsce „socjalizmu" z nieludzką twarzą.

Najlepsze pozdrowienia przesyła

Norbert ŻABA

◆

Płk dypl. Jan Ciastoń (Edynburg) polemizuje z płk. dypl. Klepaczko, wykazując niesłuszność jego krytyki pracy śp. płk. Chocianowicza o Wyższej Szkole Wojennej.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Prasa paryska donosi, że rzekomo władze sowieckie noszą się z zamiarem skazania A. Sołżenicyna na banicję i że w kilku krajach neutralnych są robione delikatne sondaże czy przyjęłyby pisarza.

Podstawowa komórka partyjna w Bratysławie, do której należy Dubczek, odmówiła skreślenia go z listy członków — mimo nacisków prezydium partii.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury": Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.
Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1970.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : **Roman Krolikowski,** 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : **Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « **Vistula** « **(Australia) Pty Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : **Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I,** Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a.	280 szyl. -
BELGIA : **Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	350,00 F b.	600.00 F. b.
BRAZYLIA : **Janina Pomian-Piatkowska,** rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « **KULTURY** » i w księgarniach polskich w **Paryzu**	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : **Inz. J. Minkiewicz,** Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : **M. Jaxa-Debicka,** Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; **Krystyna Krakowska,** 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « **ZWIAZKOWIEC** », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can
NIEMCY : **St. Mikiciuk,** 8 München 45, Gabionzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : **Br. Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss. ..	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : **Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s
SZWECJA : **Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor
U.S.A. : **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; **Ada Dziewanowska,** 41 Katherine Rd., Watertown, **Mass.** 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, **Polish Amer, Book Co,** 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Prace,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12.00 dol.
W. BRYTANIA : **P.C.A. Publications, Ltd.,** 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WLOCHY : **Witold Zahorski,** Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 187 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

Głośna powieść rosyjskiego pisarza. Tłumaczył z rosyjskiego *Michał Kaniowski*. *Całość w dwóch tomach.*

T. I. str. 400.
T. II. str. 304.

Cena I/II F. 60 (dol. 12; £.6)

◆

TOM 188 — SŁAWOMIR MROŻEK

DWA LISTY

I INNE OPOWIADANIA

Pierwsze wydanie książkowe opowiadań znanego pisarza

Str. 192. Cena egz. F. 18,50 (dol. 4; 32 sh.)

◆

TOM 189 — WITOLD GOMBROWICZ

PORNOGRAFIA

Tom III-ci DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Pornografii" ukazało się w r. 1960 jako tom 54-ty Biblioteki „Kultury")

Str. 168. Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

◆

TOM 190 — SERIA „DOKUMENTY"

ANDREJ AMALRIK

CZY ZWIĄZEK SOWIECKI PRZETRWA DO R. 1984 ?

wraz z trzema listami Amalrika i listem Piotra Jakira.
Przedmowa *Adama Kruczka*
UKAŻE SIĘ W CIĄGU LIPCA R.B.

◆

TOM 191 — WITOLD GOMBROWICZ

KOSMOS

Tom IV-ty DZIEŁ ZEBRANYCH (pierwsze wydanie „Kosmosu" ukazało się w r. 1965 jako tom 111 Biblioteki „Kultury")

Str. 160. Cena egz. F. 15; (dol. 3,75; 31 sh.)

Richard, 24, rue Stephenson, Paris-18e

Cena 9,00 F